

Z PRZERAŻENIA SERCE PODEJDZIE WAM DO GARDŁA,
ALE NIE PRZESTANIECIE CZYTAĆ.

„Kirkus Reviews”

NOWA
SERIA!

LISA
GARDNER

KANION

ŚMIERCI

Przywykłam do bycia myśliwym.
Nigdy dotąd nie byłam zdobywcą.

ALBATROS

AMERYKAŃSKA MISTRZYNI THRILLERA KRYMINALNEGO

**LISA
GARDNER
KANION
ŚMIERCI**

Z angielskiego przełożył
JERZY ŻEBROWSKI

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

Tytuł oryginału:
ONE STEP TOO FAR

Copyright © Lisa Gardner, Inc. 2022
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Jerzy Żebrowski 2023

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki: Justyna Nawrocka

Zdjęcie na okładce: © Jasmine Aurora/Arcangel Images

ISBN 978-83-6775-841-3

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu epub na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Angelika Kuler-Duchnik

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Autor

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Epilog

Uwagi autorki i podziękowania

FRANKIE ELKIN – KOBIECA WERSJA JACKA REACHERA.

POSTAĆ, W KTÓRĄ WCIELI SIĘ ZDOBYWCZYNI DWÓCH OSCARÓW –
HILARY SWANK.

Frankie Elkin, kobieta po przejściach, podróżuje po Stanach Zjednoczonych i pojawia się tam, gdzie jest potrzebna: w miejscach, gdzie ktoś zaginął i policja nie radzi sobie ze sprawą. Poszukiwanie zaginionych osób to coś, co Frankie potrafi najlepiej. Tylko że nie wszyscy przyjmują od niej propozycję pomocy.

Tak jak teraz w miasteczku w Wyoming. Pięć lat wcześniej pięciu młodych mężczyzn wybrało się w tamtejsze góry na wieczór kawalerski. Wróciło czterech. Ojciec zaginionego organizuje wyprawę w poszukiwaniu śladów syna. Frankie, choć nie ma doświadczenia w górach, przyłącza się do grupy. I już pierwszego dnia przekonuje się, że trudy marszu i wspinaczki to najmniejszy z jej problemów.

KTOŚ SABOTUJE WYPRAWĘ.

KTOŚ NISZCZY ICH ZAPASY.

KTOŚ ZASTAWIA PUŁAPKI.

KTOŚ NA NICH POLUJE.

LISA GARDNER

Amerykańska autorka powieści kryminalnych. Urodziła się i wychowała w Oregonie, studiowała na Uniwersytecie Stanu Pensylwania. Po opublikowaniu debiutanckiej książki, *Mążdoskonały*, która okazała się niesamowitym sukcesem, zajęła się pisaniem na pełny etat. Dotychczas do księgarni trafiło ponad dwadzieścia jej powieści, z których większość miesiącami zajmowała czołowe miejsca na liście bestsellerów „New York Timesa”. *Sąsiad* został uznany przez International Thriller Writers za Thriller Roku 2010 i nagrodzony francuską Grand prix de lectrices de „Elle”. Książki Lisy Gardner ukazały się w ponad 30 krajach. Autorka obecnie mieszka w New Hampshire i kiedy nie pisze, zajmuje się ogrodem i zwierzętami, podróżuje lub wybiera się na piesze wędrówki.

lisagardner.com

Tej autorki w Wydawnictwie Albatros

D.D. Warren

SAMOTNA

W UKRYCIU

SĄSIAD

DZIECIĘCE KOSZMARY

POWIEM TYLKO RAZ

CZYSSTE ZŁO

ZŁAP MNIE

NIE BÓJ SIĘ

ZNAJDŹ JĄ

Frankie Elkin

ZANIM ZNIKNĘŁA

KANION ŚMIERCI

Quincy & Rainie

ZAGINIONA

POŻEGNAJ SIĘ

KROK ZA TOBĄ

Pamięci Pierre'a O'Rourke'a, nieodżałowanego utalentowanego pisarza i wspaniałego przyjaciela wszystkich autorów książek. Wyobrażam sobie, jak gdzieś w zaświatach parkujesz w końcu samochód na lotnisku, a ja śmieję się głośno razem z Tobą.

Na dedykację zasłużył też Ruby, ukochany adoptowany pies, najlepszy przyjaciel i towarzysz pisarki. Lizałeś mi codziennie delikatnie rękę na powitanie. A na koniec odwróciłeś się i zrobiłeś to samo, by się pożegnać. Dzięki, mój drogi, za ocalenie mnie, gdy najbardziej tego potrzebowałam.

Rozdział 1

PIERWSI TRZEJ MĘŻCZYŹNI DOWLEKLI się do miasta krótko po dziesiątej rano. Bełkotali coś o tajemniczych upiornych krzykach, o ich zaginionym kumplu Scotcie i drugim koledze, Timie, który opuścił obóz przed świtem, by wezwać pomoc.

– Niedźwiedź, niedźwiedź... – jęczał pierwszy.

– Puma! – upierał się drugi.

Trzeci zwymiotował.

Może to prawda, może nie, pomyślała Marge Santi, omijając kałużę rzygów. Posadziła młodych mężczyzn w narożnym boksie swojej restauracji, po czym sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Nemetha. Dla porządku skontaktowała się również z szeryfem Jimem Kelleyem, szanowanym przez miejscowych miłym facetem, który miał na głowie całe hrabstwo i starał się temu sprostać.

Od awaryjnych sytuacji był Nemeth. Jako były strażnik Lasu Narodowego Shoshone, a teraz lokalny przewodnik, wiedział, jak się do tego zabrać. Najpierw napił trzech mężczyzn kawą. Sądząc z intensywności zapachu strachu i gorzały, dobywającego się z porów ich skóry, nie potrzebowali niczego więcej. Po kolejnych dwóch filiżankach znał już niemal całą historię.

Pięciu mężczyzn wyruszyło w weekend do lasu na wieczór kawalerski. Wszyscy znali się od studiów i mieli pewne doświadczenia w biwakowaniu, choć ci trzej byli zgodni, że to przyszedł pan młody, Tim, im przewodził. Chodził z ojcem po górach, odkąd skończył sześć lat. To z jego inicjatywy pojechali na biwak. Pozostała czwórka nie miała by nic przeciwko temu, by pograć w weekend w golfa albo spędzić luksusowo czas w hotelu z kasynem. Ale Tim czuł się szczęśliwy na łonie natury, więc wyruszyli w góry. W pełni wyposażeni – w plecaki, namioty, śpiwory,

dwupalnikową kuchenkę gazową, puszek z fasolą i frankfurterkami i oczywiście tyle piwa i whiskey, ile mogło unieść pięciu sprawnych młodych mężczyzn. Czyli sporo. Nie byli jednak kompletnymi idiotami. Tim znał się na rzeczy i osobiście nadzorował pakowanie.

Wczoraj pokonali jedenaście kilometrów w poszukiwaniu idealnego miejsca na biwak w jednym z głębokich kanionów w pobliżu szerokiej rzeki. Gdy je znaleźli, rozbili namioty i otworzyli pierwszy sześciopak piwa; pozostałe cztery wstawili do lodowatej wody.

O tej porze roku zmierzch zapadał szybko. Ale wszystko było w porządku. Rozpalili ognisko, upiekli kielbaski i zjedli prosto z puszek fasolę w sosie pomidorowym. Posypały się pikantne dowcipy.

Pili piwo, a potem whiskey. Ile alkoholu może wypić pięciu zdrowych młodych mężczyzn? Dużo. Nie musieli nigdzie iść, prowadzić samochodu ani odbierać natarczywych telefonów, zważywszy na brak zasięgu.

Byli tylko oni i rozgwieżdżone niebo. Opróżnili pierwszą butelkę bourbona Maker's Mark i zaczęli drugą. Tim siedział przy ognisku i gryzmołił coś na kartce papieru. Notował słowa przysięgi małżeńskiej, pisał list do ukochanej? Podpytywali go żartobliwie, ale nie chciał się przyznać.

Robiło się późno. Nikt nie wiedział, która godzina, i nie miało to znaczenia. Położyli się w końcu spać, po dwóch w namiocie. Tim, przyszły pan młody, miał namiot tylko dla siebie. To była jedna z ostatnich w jego życiu nocy, gdy miał spać sam. Żartowali, że powinien się tym cieszyć, póki może.

I nagle...

Ostry, przenikliwy skowyt. Rozdzierający ciszę otaczającego ich lasu.

– Grizzly – rzucił teraz Neil, który siedział w kącie restauracji.

– Puma – upierał się Josh.

Miguel, na którego mówiono Miggy, wypełznął z boksu i ponownie zwymiotował.

Może tak, może nie, pomyślał Nemeth. Marge przyniosła mopa.

Mężczyźni na biwaku wyskoczyli z namiotów i nerwowo omiatali teren latarkami, próbując ustalić źródło skowytu. Rozpalić ognisko, zarządził Tim. Narobić hałasu. Sprawdzić dokładnie zapasy żywności, które ukryli między drzewami za obozowiskiem.

I dlatego dopiero po pięciu, a może nawet dziesięciu minutach zdali sobie sprawę, że z pięćoosobowej grupy zostało ich tylko czterech. Gdzie, do cholery, podział się Scott?

Miggy dzielił z nim namiot i nie miał pojęcia, gdzie kolega zniknął.

– Kurwa... nie wiem – zwrócił się do Nemetha między kolejnymi skurczami żołądka.

Przyszły pan młody potraktował sprawę poważnie. Scott mógł pójść się wysikać. Mógł zwyczajnie się oddalić, pijany i zdezorientowany. Ale zważywszy na niską temperaturę, niebezpieczną okolicę i obecność drapieżników, musieli go znaleźć.

Tim podzielił ich na dwie pary. Ta, w której się znalazł, ruszyła na północ od obozu, a druga miała przeszukać las na południu. Ci, którzy znaleźliby Scotta pierwsi, mieli dać sygnał gwizdkiem.

Nikt go jednak nie znalazł. Szli w górę i w dół rzeki, zapuszczając się coraz głębiej w las. Ani śladu Scotta. Odkryli jednak podeptane zarośla. Połamane gałęzie. Być może krew.

– Niedźwiedź grizzly – jęknął teraz Neil.

– Puma – trwał przy swoim Josh.

– Ja pierdolę! – wyszeptał Miggy.

Z tym Nemeth się zgadzał.

O czwartej nad ranem, gdy jesienne powietrze stało się przenikliwie zimne, a bezchmurna noc nieubłaganie mroczna, Tim podjął decyzję: potrzebowali pomocy, a zważywszy na całkowity brak zasięgu, pozostawało im jedynie zawrócić tam, skąd przyszli. Jako najbardziej doświadczony – i trzeźwy – członek grupy chwycił plecak, włączył niezawodną latarkę i wyruszył w kierunku cywilizacji.

Neil, Josh i Miggy zostali; jeszcze przez trzy godziny siedzieli skuleni przy ognisku, żłopiąc wodę i wpadając w coraz większą panikę. O brzasku

napełnili manierki i ruszyli w drogę. Zostawili wszystko: namioty, śpiwory, żywność. Młodzi mężczyźni, sprawni i prawie już trzeźwi, postanowili uciec stamtąd w cholerę najszybciej, jak to możliwe.

Ale nie było to łatwe. Kiedy się dało, biegli, ale często musieli z mozołem pokonywać górzysty teren; wdrapywali się na skały, przedzierali się przez chaszczce, brnęli przez strumienie. Aż dotarli do początku szlaku, gdzie stały wypożyczone przez nich quady. Było ich pięć. Czy nie powinny być tylko cztery? Wtedy zaczęli się martwić o Tima.

Quadami dotarli do miasta i znaleźli restaurację. I tu poprosili o pomoc. Nemetha. Szeryfa. Kawalerię. Myśliwych z wielkimi strzelbami. Jakiegokolwiek wsparcie. Ratunek.

Nemeth rozłożył mapę i kazał mężczyznom odtworzyć ich trasę. Wiedzieli, gdzie miała początek, bo jak wiele górskich szlaków była oznakowana, zanim zaczęła przebiegać po mniej uczęszczanym skalistym terenie. Zdecydowanie nieodpowiednim dla osób o słabym sercu. Ale mężczyźni potrafili wskazać, gdzie biwakowali nad rzeką. Nemeth, wiodąc palcem z tego miejsca wzdłuż różnych formacji geologicznych, intensywnie się zastanawiał. Marge wykonała parę telefonów i zaparzyła więcej kawy.

Jako górskie miasteczko dysponowali lokalną ekipą piętnastu ochotników do akcji poszukiwawczych i ratunkowych. Biorąc jednak pod uwagę okoliczności, tym razem potrzebowali pomocy wszystkich. Sąsiedzi kontaktowali się ze sobą, zewsząd zaczęli napływać ludzie, a Nemeth robił to, co potrafił najlepiej: koordynował akcję.

Na początek zorganizował grupy szybkiego działania, składające się z najlepszych poszukiwaczy. Chciał, by jak najszybciej spenetrowali kluczowe obszary wokół miejsca, gdzie widziano ostatnio dwóch zaginionych mężczyzn. Zważywszy na przeciętną odległość, jaką człowiek może pokonać w ciągu godziny w takim terenie, Nemeth zakreślił na mapie wielki krąg, zaznaczając w ten sposób główną strefę poszukiwań. Jego ludzie, poruszając się pieszo, quadami albo konno od obwodu do centrum tego kręgu, mieli skrupulatnie przeszukać cały teren, wypatrywać zaginionych mężczyzn, ale także wszelkich śladów, które

dostarczyłyby informacji, dokąd mógł się udać człowiek doświadczony w górskich wędrówkach i jego pijany kumpel Scott.

W Ramsey w Wyoming, liczącym cztery tysiące mieszkańców miasteczku, usytuowanym na skraju Popo Agie Wilderness, było wielu ludzi doświadczonych w górskich wędrówkach. Z górami wiązał się ich styl życia, a często także praca. Nemeth był jak stary generał dysponujący wyszkolonymi żołnierzami.

Dlatego rodzinie Tima trudno było zaakceptować to, co wydarzyło się później. Po pierwszych ośmiu godzinach poszukiwań odnaleziono Scotta, idącego na oślep wzdłuż skalistego brzegu rzeki. Wyraźnie zdezorientowany i zszokowany, był w kalesonach, miał podrapaną twarz i brud za paznokciami.

– Grizzly – wyszeptał Neil.

– Puma – rzucił Josh.

– Cholera... – jęknął Miggy.

Nawet kiedy Scott wytrzeźwiał, nie potrafił wyjaśnić, gdzie był i co robił. Pamiętał, że pił z kolegami przy ognisku i żartował z Tima, że przygotowuje małżeńską przysięgę. Potem położył się spać i... Nastął świt. Zimny. Bardzo zimny. Scott szedł boso, aż odnalazł drogę do rzeki. W końcu pojawili się jacyś ludzie, rozległ się przenikliwy dźwięk gwizdka i znalazł się tutaj... ale zaraz... Gdzie jest Tim?

Timothy O'Day. Trzydzieści trzy lata, pierwszy członek rodziny, który poszedł na studia i ukończył Uniwersytet Stanu Oregon z tytułem inżyniera mechanika. Opisywany przez krewnych i przyjaciół jako prawdziwy MacGyver. Zaręczony z Latishą Gibbons, którą przedstawił mu trzy lata wcześniej kolega z uczelni, Neil. Latisha pochodziła z Atlanty, pracowała w marketingu, spędzała aktywnie weekendy – chodziła po górach, jeździła na rowerze albo na nartach – i była równie szalona jak jej przyszły mąż.

Wszyscy uważali, że pięknie razem wyglądają. Stanowili idealną nowoczesną parę. Mieli kupić dom, zaadoptować labradora i spłodzić dwójkę wspaniałych dzieci, które będą biegały po górskich szlakach, przez zbrocza i strumienie.

Mieli wieść cudowne życie.

Tymczasem godziny wlokły się jak dni, a dni jak tygodnie.

W Ramsey pojawili się rodzice Tima. Jego ojciec Martin przyjechał samochodem z Oregonu z całym zestawem sprzętu wspinaczkowego w bagażniku. Ten szczupły i ogorzały mężczyzna był z zawodu cieślą, doświadczonym w górskich wyprawach i gotowym przejąć dowodzenie. W przeciwieństwie do niego matka Tima, Patrice, miała niemal przezroczystą skórę. Jak dowiedzieli się miejscowi, chorowała na raka; piętnaście lat temu miała przerzuty i ledwie z tego wyszła.

Marge uznała za swój obowiązek zrobić jej kawę i podać dyskretnie leki.

Martin odbył rozmowę z Nemethem i szeryfem Kelleyem, którzy dowodzili akcją poszukiwawczą. Początkowo przytakiwał, aprobował ich decyzje, wyrażał wdzięczność. Ale po pięciu dniach zaczął kwestionować ich działania i wpadać w gniew. Siódmego dnia wyruszył do lasu sam i prychnął ze złości, gdy Nemeth i szeryf próbowali go zatrzymać.

Grupy szybkiego działania przestały działać szybko. Akcja poszukiwawcza spowolniła, stała się bardziej metodyczna; nie liczone już na łatwy sukces, więc skupiono się na przeczesywaniu terenu krok po kroku, ścieżka po ścieżce, metr po metrze. Śmigłowce penetrowały cały obszar promieniami podczerwieni. Psy poszukiwawcze próbowały znaleźć trop w wyznaczonych miejscach. Paru jasnowidzów dostarczyło informacji, gdzie należy szukać: wskazywali głównie na rwące strumienie i mroczne jaskinie.

Pojawili się kolejni ochotnicy. Przybyła z pomocą Gwardia Narodowa. Ale po dwudziestu trzech długich dniach – mozolnych i wyczerpujących – spadła temperatura i wyższe partie gór pokrył śnieg.

Poszukiwacze powrócili do normalnego życia, grupy z psami – do domów. Śmigłowce skierowano do nowych zadań. Pozostali tylko krewni i przyjaciele.

Martin O'Day najdłużej kontynuował szlachetną walkę. Miał ogromne doświadczenie i tę przewagę nad innymi, że to on wyszkolił syna. Prowadził w góry jedną ekspedycję za drugą, podczas gdy Patrice,

z narzeczoną syna u boku, udzielała wywiadów prasie. Obie były uosobieniem żalu i rozpacz. Koledzy Tima z uczelni, Neil, Josh, Miggy i Scott, starali się pomagać, jak mogli, ale musieli godzić to z obowiązkami rodzinnymi i zawodowymi.

Ojciec Tima poszukiwał najpierw syna, potem wszelkich śladów, jakie mógł pozostawić, a na koniec zaczął szukać jego szczątków.

- Niedźwiedź grizzly - szeptał Neil.
- Puma - przekonywał Josh.
- Niech to cholera - kłął Miggy.

Las i góry nigdy nie udzieliły im odpowiedzi. Mijały kolejne pory roku, potem lata i Timothy O'Day okazał się jeszcze jednym człowiekiem, który zaginął bez wieści.

WIĘKSZOŚĆ LUDZI NIE WIE, że w Stanach Zjednoczonych na terenach należących do państwa zaginęło bez śladu co najmniej tysiąc sześćset osób, a może nawet znacznie więcej. Turyści, wycieczkowicze, dzieci uczestniczące w rodzinnych biwakach. W jednej chwili są z nami, a zaraz potem znikają.

Nie ma krajowej bazy danych do śledzenia takich przypadków. Nie istnieje scentralizowany system szkolenia do akcji poszukiwawczo-ratunkowych, a w wielu sytuacjach brak nawet wyraźnych przepisów, które by określały, kto ma je przeprowadzać. Nie ma również odpowiednich funduszy. Prowadzona na dużą skalę akcja poszukiwawcza może kosztować powyżej trzystu tysięcy dolarów dziennie. Dla wielu szeryfów hrabstw jest to roczny budżet.

Co oznacza, że gdy odchodzą ochotnicy, akcja ratunkowa się kończy, a rodzina pozostaje z niewielkimi nadziejami i niezamkniętą sprawą. Większość rodzin będzie kontynuowała poszukiwania na własną rękę, jak długo będą mogli. Niektórzy, jak Martin O'Day, robią to co roku, korzystając z pomocy przyjaciół, funduszy zdobywanych przez internet i rad ekspertów.

W artykule lokalnej gazety wyczytałam, że Martin organizuje poszukiwania od pięciu lat. W sierpniu tego roku zamierza spróbować po raz ostatni. Jego żona Patrice umiera na tego samego raka, który próbował uśmiercić ją już wcześniej, i chce po raz ostatni zobaczyć syna. Chce zostać pochowana obok niego.

Siedzę w restauracji niewiele różniącej się od tej, do której musieli wpaść w pośpiechu towarzysze wyprawy Tima O'Daya. Spędziłam ostatnich dwanaście godzin w autobusie i łapię teraz oddech w stanie Wyoming, gdzieś na zachód od Cheyenne i na południe od Jackson. Nie wiem zbyt dokładnie, gdzie jestem, i cieszę się poczuciem wolności, życiem w drodze. Czytam ponownie artykuł, a potem raz jeszcze. Coś w tej historii głęboko mnie poruszyło i nie daje mi spokoju.

Nazywam się Frankie Elkin i zajmuję się poszukiwaniem osób zaginionych. Kiedy policja zamyka sprawę, opinia publiczna o niej zapomina, a media nigdy się nią nawet nie interesowały, ja zaczynam szukać. Nie dla pieniędzy ani dla sławy i w większości przypadków bez pomocy kogokolwiek.

Nie mam profesjonalnego przygotowania. Nie jestem byłą policjantką, prywatnym detektywem ani nikim szczególnym. Jestem tylko sobą. Przeciętną białą kobietą w średnim wieku, która nie ma majątku i nie ma czego żałować. Próbowałam kiedyś prawdziwego życia. Miałam dom, pracę i mężczyznę, który kochał mnie wystarczająco, by trzymać mnie za rękę, kiedy walczyłam, by wytrzeźwieć.

W końcu ściany się zamknęły i pochłonęła mnie bezlitosna monotonia. A człowiek, który mnie kochał...

Pewnego dnia kobieta uczestnicząca w spotkaniach AA opowiedziała o córce, która zaginęła, i braku zainteresowania policji odnalezieniem dziewczyny z przeszłością. Zaintrygowało mnie to, zaczęłam zadawać pytania i postanowiłam ją odszukać. Niestety, jej pojebany chłopak wołał ją sprzątnąć i zostawić ciało w jakiejś melinie, niż pozwolić jej odejść. Mimo że ten przypadek nie miał szczęśliwego zakończenia, a może właśnie dlatego, wkrótce zajęłam się kolejną sprawą, a potem następną.

Minęło dziesięć lat i teraz na tym polega moje życie. Podróżuję z miejsca na miejsce, uzbrojona jedynie w dobre intencje. Właśnie jadę autobusem do Idaho, żeby zająć się przypadkiem Eugene'a Santiago, ośmioletniego chłopca, który zniknął przed szesnastoma miesiącami. Przeczytałam o jego zaginięciu na jednym z wielu forów internetowych dotyczących nierozwiązanych spraw. Dostrzegłam coś w smutnych ciemnych oczach i bardzo poważnym uśmiechu chłopca. Nie zawsze wiem, dlaczego wybieram dany przypadek. Jest ich tak wiele. Ale zauważam nagłówki, czytam artykuły i po prostu wiem.

Podobnie jak teraz, myślę, odkładając gazetę. Od dawna nie prowadziłam poszukiwań w lesie. Pracuję głównie w niewielkich wiejskich społecznościach albo w gęsto zaludnionych miastach. Skłaniam się bardziej ku przypadkom dzieci niż dorosłych, ku przedstawicielom mniejszości etnicznych niż białym. Moją misją jest pomaganie tym, których pozostawiono bez pomocy, a rodziny tych tysiąca sześciuset osób zaginionych w publicznych miejscach potwierdzą, że się do nich zaliczają.

Myślę przede wszystkim o matce Timothy'ego O'Daya, która chce być pochowana obok syna.

Eugene Santiago zaginał prawie półtora roku temu. Kilka dodatkowych tygodni nie zrobi różnicy. I choć być może nie ma szans na znalezienie Timothy'ego O'Daya żywego, to wiem z doświadczenia, że przywiezienie w końcu do domu ciała wiele znaczy.

Sięgam po rozkład jazdy autobusów i planuję nową trasę podróży.

Rozdział 2

JESLI CZŁOWIEK JEST BIEDNY, musi mieć cierpliwość. Nie mam samochodu ani konta w banku, dzięki któremu mogłabym wynająć auto, by dostać się do miasteczka Ramsey w stanie Wyoming. Co oznacza, że muszę dojechać autobusem z punktu A do B i z B do C. Przystanki autobusowe są bardziej różnorodne, niż wiele osób sobie wyobraża. Bywają piękne dworce z toaletami i restauracjami. Albo takie miejsca jak to: samotna przydrożna stacja benzynowa z minimarketem.

Autobus odjeżdża, a ja zostaję i próbuję zorientować się w okolicy. Jest wczesne popołudnie. Mam nad głową błękitne niebo, które kojarzę z pocztówkami i życiem innych ludzi. Wiejska droga wiję się ciemnoszarą wstęgą między wznoszącymi się za mną odległymi szczytami i położonymi niewiarygodnie blisko wysokimi górami, które widzę przed sobą.

Nie byłam nigdy w Wyoming. Na razie wszystko mi się tu podoba. Zapach ciepłej ziemi i wysuszonej na słońcu trawy. Płynące z minimarketu dźwięki muzyki country. Przejeżdżające obok ciężarówki i naczepy do przewozu bydła.

Czuję się równocześnie podekscytowana i przerażona tą wielką niewiadomą. To, że nie lubię być uwiązana, nie oznacza wcale, że odpowiada mi nadmierna swoboda ruchu.

Wchodzę do zakurzonego niewielkiego minimarketu. Starszy mężczyzna z krzaczastymi brązowymi wąsami i w spłowiałej czerwonej bejsbolówce spogląda na mnie zza kasy. Wita mnie skinieniem głowy i twardym spojrzeniem; najwyraźniej od razu rozpoznaje we mnie obcą. Zdążyłam się już do tego przyzwyczaić. Nigdzie nie traktują mnie jak swojej, wszędzie jestem tylko przejazdem.

Wykosztowuję się na batonik i butelkę wody, po czym siadam obok regału z broszurami reklamującymi miejscowe atrakcje. Mężczyzna wraca

do lektury czasopisma. Nie wzbudzam jego zainteresowania.

Zwykle planuję działania z dużym wyprzedzeniem. Sprawdzam ogłoszenia dotyczące pracy w danym miejscu i możliwości zakwaterowania. Ale teraz, pod wpływem nagłego impulsu, działam na ślepo. Nie potrafię określić, czy jest to niewiarygodnie śmiałe, czy niewyobrażalnie głupie. Wiele moich decyzji wywołuje takie wątpliwości.

Większość ludzi wyjęłaby smartfony i poszperała w Google'u. Niestety, moja praca – obsesyjne poszukiwanie zaginionych osób – jest bezpłatna, a dodatkowe zajęcie, zwykle posada barmanki na pół etatu w miejscu chwilowego pobytu, przynosi niewielkie dochody. W efekcie mój „smartfon” jest starego typu komórką o ograniczonych możliwościach. W najlepszym razie może odebrać esemesa. Google zredukowałby go do grudki stopionych mikrochipów.

Nie mam również komputera ani nawet tabletu. Chętnie korzystałabym z takich luksusów, ale nie prowadzę koczowniczego życia, tylko życie wysokiego ryzyka. Wiele miejsc, w których bywałam, słynie z przestępczości i niechęci do obcych. Włamywano mi się do mieszkań, które wynajmowałam, niszczone dobytek. Dobrzy gliniarze mierzyli do mnie z broni, a zrozpaczeni krewni atakowali rozbitymi butelkami po piwie.

Pozbyłam się wszelkich materialnych dóbr, bo czułam, że mnie zniewalają. Teraz nie posiadam żadnej rzeczy, na której utratę nie mogłabym sobie pozwolić, bo nie chcę zginąć pewnego dnia, próbując obronić coś, o co nigdy właściwie nie powinnam się troszczyć.

Gdybym była w pobliżu dużego miasta, skorzystałabym z kafejki internetowej albo biblioteki publicznej, żeby zdobyć informacje. Ale teraz, zważywszy, że jestem uziemiona na stacji benzynowej gdzieś w środku Wyoming, pozostają mi broszury turystyczne.

Widzę zdjęcia owiec z wielkimi rogami, skalistych gór i błękitnych jezior. Mogę popробować jazdy konnej, wspinaczki wysokogórskiej, polowania albo wędkarstwa. Znajduję ostrzeżenia przed niedźwiedziami – *Bądź świadomy zagrożenia!* – mapy lokalnych szlaków i przepisy dotyczące zrywania polnych kwiatów. Po ostatnich dziesięciu miesiącach

spędzonych w centrum Bostonu i smutnym zleceniu w pobliżu Memphis zdjęcia wspaniałych plenerów przyprawiają mnie o zawrót głowy.

Ale znów odzywa się lekki niepokój. Prowadziłam już poszukiwania w terenie, nigdy jednak nie w tak skalistych górach. Chodziłam po lasach, lecz nie wiem nic o niedźwiedziach grizzly. Poszukiwania zwykle doprowadzały mnie do smutnych odkryć, mimo to moim wyznaczonym celem nie było odnalezienie zwłok.

Myszę o Patrice O'Day, która chce być pochowana obok syna.

– Dlaczego cudze problemy muszą być twoimi? – utyskiwał Paul. – Kiedy wreszcie zdasz sobie sprawę, że to ty jesteś najważniejsza? Ty, Frankie. Kocham cię.

Nie rozmawiam już z Paulem. Ale czasami dzwonię do jego żony, która została wdową.

Kończę właśnie szczegółową analizę lokalnych danych wywiadowczych, gdy przed stacją benzynową zatrzymuje się sfatygowany pick-up Chevroleta. Skrzynia jest wyładowana belami słomy, a boki ochlapane błotem. Wysiada z niego kobieta w wytartych dżinsach, podkoszulce bez rękawów i płowym kowbojskim kapeluszu.

Świetnie.

Żegnam skinieniem głowy milczącego mężczyznę za kasą i wychodzę na zewnątrz, by ponegocjować w sprawie mojego następnego środka transportu.

WYCHOWAŁAM SIĘ W MIASTECZKU w północnej części Kalifornii. Mój ojciec był najsympatyczniejszym na świecie pijaczyną, a matka, choć wciąż na niego zła, przyczyniała się do tego, że trwał w nałogu. Gdy on pił, ona pracowała. Pracowała tym więcej, im więcej pił.

Co oznacza, że żadne z nich nie poświęcało zbyt wiele czasu mnie. Biegałam swobodnie, zanim zaczęliśmy się przejmować zagrożeniami ze strony obcych i zastanawiać, jacy samotni mężczyźni kręcą się po placach zabaw. Jak większość dzieci miałam używany rower z zardzewiałą ramą i oklejonym taśmą siodełkiem. Jeździłam nim wszędzie. Choć oczywiście

dziewczyna nie może pojechać na rowerze zbyt daleko. Co znaczyło, że jeśli ja albo inne dzieci chcieliśmy dotrzeć do sklepiku, żeby wydać oszczędności na żelki za dwa centy, jechaliśmy autostopem. Stawaliśmy przy głównej drodze i wyciągaliśmy w górę kciuki.

Czasem było nas sześcioro, stłoczonych z tyłu pojazdu, którego kierowca zlitował się nad nami. Czasami byłam tylko ja i moja przyjaciółka Sophie. A nieraz podróżowałam sama, bo tata już nie żył, a mama późno wracała do domu. I nawet wtedy nie mogłam usiedzieć w miejscu.

Nigdy nie przejmowałam się tym, czy bezpiecznie jest wsiadać do samochodu obcego człowieka. Tak po prostu robiliśmy.

W dzisiejszych czasach większość rodziców odradzałaby to swoim dzieciom, a jednak w wielu miejscach na wsi autostop pozostaje nadal sposobem na przemieszczanie się. Masowa komunikacja istnieje tylko w dużych miastach. Taksówki, ubery, wynajem samochodów – to udogodnienia dla mieszkańców.

Miasteczko Ramsey leży ponad dwadzieścia kilometrów od końcowego przystanku autobusu. Trochę za daleko, by iść pieszo w palącym sierpniowym słońcu, w dodatku przy bezlitośnie suchym powietrzu. Więc muszę poprosić o podwiezienie.

Podchodzę do kobiety tankującej paliwo. Podnosi wzrok i wita mnie skinieniem głowy. Jest mniej więcej w moim wieku, ma ogorzałą skórę i szczupłe, umięśnione ramiona. Na pewno jeździ konno – widzę to po jej postawie. Od razu przypada mi do gustu, ale to jedna z moich nielicznych supermocy: mimo zamiłowania do samotności lubię przebywać z ludźmi.

Pozostaje jednak zawsze intrygujące pytanie, czy ludzie lubią mnie.

– Jestem Frankie Elkin – przedstawiam się. – Chcę się dostać do Ramsey. Jeśli jedzie pani w tym kierunku, mam nadzieję, że mnie pani podwiezie.

Kobieta patrzy na mnie, moją walizkę na kółkach i sfatygowaną brązową torbę ze skóry. Zastanawiam się, co widzi, a czego być może nie dostrzega. Nie jestem stara. Ani młoda. Nie jestem piękna, ale i nie odrażająca. Nie jestem stąd – przybywam znikąd.

Odwiesza pistolet na dystrybutor i zakręca korek zbiornika paliwa.

– Mam pieniądze na benzynę – proponuję, próbując sobie przypomnieć, ile gotówki włożyłam do przedniej kieszeni. Zostało mi sto dwanaście dolarów. W porządku, mogę przeżyć za mniejszą sumę.

– Kim pani jest? – pyta kobieta.

– Frankie...

– Nie. Kim pani jest?

– W zasadzie jestem zawodową barmanką.

– Dlaczego chce się pani dostać do Ramsay?

– Oprócz tego, że jestem barmanką, poszukuję zaginionych osób i interesuje mnie przypadek Timothy'ego O'Daya.

– Jest pani dziennikarką?

– Nie. Kimś, kto szuka ludzi. – Wzruszam ramionami. – Istnieje większe zapotrzebowanie na takich jak ja, niż mogłaby pani podejrzewać.

– To pani cały bagaż?

– Tak.

– A gdzie plecak? Buty do wspinaczki? Sprzęt biwakowy?

Spoglądam na moją walizkę takiej wielkości, że można by ją wziąć do kabiny samolotu, poobijaną po podróżach do tyłu miast, przejechaniu tyłu kilometrów autobusami. Ta amazonka ma rację. Nie zabiorę takiego bagażu w góry. Moja spontaniczna decyzja mogła być więc nie do końca przemyślana. To jednak nigdy dotąd mnie nie powstrzymało.

– Wymyślę coś – rzucam.

Kobieta opiera się o pick-upa i krzyżuje ręce na piersiach. Lustruje mnie od stóp do głów. Nie odmówiła, co dla mnie oznacza zgodę, ale wymaga nieco cierpliwości.

– Skąd mam wiedzieć, że nie jest pani jakąś szaloną morderczynią? – pyta w końcu.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, by w jednym pojeździe znalazło się dwoje seryjnych zabójców?

To stary dowcip, ale wywołuje jej uśmiech. Widzę, jak pod rondem kapelusza mruży niebieskie oczy. Ma zakurzone, przybrudzone słomą

ubranie i czuć od niej lekko końskim nawozem.

Może znalazłabym pracę na ranczu? Kusi mnie to, ale po chwili przyglądam się bliżej jej umięśnionym ramionom i porównuję je z moimi cherlawymi kończynami. Jestem bardzo przedsiębiorczą osobą. Uniknęłam już wielu kłopotów. Ale nie mam zamiaru wygrywać w najbliższym czasie żadnych zawodów w siłowaniu się na rękę.

– W porządku – rzuca nagle. – Nazywam się Lisa Rowell. Zabiorę panią do Ramsey. Niech pani wsiada.

Wdrapuję się bez wahania do kabiny starego pick-upa, z walizką pod nogami i skórzaną torbą u boku.

– Miło panią poznać, Liso.

I tak oto jestem znów w drodze.

– **MIESZKA PANI** w tej okolicy? – pytam, gdy ruszamy. Szyby po obu stronach kabiny są opuszczone i wiatr targa mi włosy. Znów cieszę się ze swojej spontanicznej decyzji.

– Prawie całe życie. Mam ranczo w pobliżu Ramsey.

– Konie?

– Konie, krowy i parę innych stworzeń.

– Ludzie czy zwierzęta?

Uśmiecha się.

– Chyba wszystkiego po trochu.

– Brała pani udział w poszukiwaniach Tima O'Daya?

Odpowiada skinieniem głowy.

– Kiedy on i jego przyjaciel zaginęli – mówi. – Większość miejscowych pomagała. Dostarczyłam konie dla ekipy poszukiwawczej.

– Czy miejscowi mają jakieś teorie na temat tego, co się stało?

– Natura wymaga szacunku.

– Wygląda na to, że Timothy traktował ją z szacunkiem. Był doświadczony. Dobrze wyposażony.

Lisa wzrusza ramionami.

- Chodzi o alkohol? – pytam. – O to, że on i jego koledzy powędrowali w góry i zamroczyli się piwem i whiskey?

- A nie robiliśmy tego wszyscy, kiedy byliśmy młodzi?

Słuszna uwaga, przyznaję.

- Czy mogło chodzić o jakieś dzikie zwierzę? – dociekam. – O niedźwiedzia grizzly? Pumę?

- Możliwe.

- Ale mało prawdopodobne?

- Nie wychodzę w góry bez strzelby – odpowiada Lisa. – Są po temu powody. Ale nigdy nie widziałam grizzly. Baribale, owszem, ale one nie stanowią problemu. Poza tym zwierzęta nie są zbyt schludnymi biesiadnikami.

- Innymi słowy, gdyby Tima zaatakował niedźwiedź grizzly albo puma, byłoby więcej śladów. Tych trzech mężczyzn powiedziało chyba, że szukając Scotta, znaleźli krew i połamane gałęzie.

- Grupa poszukiwawcza odkryła podeptane zarośla, ale żadnej krwi. Zresztą Tim był wtedy jeszcze z nimi. Nie mówiąc o tym, że Scotta odnaleziono później całego i zdrowego.

- Może podeszło tam jakieś zwierzę, zwabione zapachem jedzenia. Mógł odstraszyć je ogień – myślę głośno. Co za bzdury! – Ale kiedy Tim oddalił się od ogniska...

Lisa prychna pogardliwie.

- Mówi pani jak ten łowca Wielkich Stóp – oznajmia.

- Jest ktoś taki?

- Myślałam, że należy pani do ekipy poszukiwawczej.

- Będę należała. Jak tylko ich spotkam i rzucę na nich czary.

- Kim pani właściwie jest?

- Proszę mi uwierzyć, im częściej odpowiadam na to pytanie, tym mniej ludzie mi wierzą. Ktoś tu poluje na Wielkie Stopy? Naprawdę?

- To członek Północnoamerykańskiego Stowarzyszenia Poszukiwaczy Wielkich Stóp.

Coś klika mi z tyłu głowy. Powinnam o tym wiedzieć.

- Czy Martin O'Day naprawdę wierzy, że jego syna porwał Wielka Stopa?

- Będzie pani musiała sama go o to zapytać.

- A jak pani sądzi?

Oczekuję ironicznej riposty albo nawet przewracania oczami, więc wahanie Lisy zbija mnie z tropu.

- Co? - ponaglam ją w końcu.

- Mówi pani, że odnajduje pani zaginione osoby?

- Tak.

- Czyli szuka pani ich wszystkich?

- Wszystkich... w całym kraju?

Lisa zerka na mnie.

- Wszystkich, którzy zaginęli w Popo Agie Wilderness - wyjaśnia. - Chodzi nie tylko o pijanego pana młodego. W ciągu ostatnich dwudziestu lat zaginęło tu co najmniej pięć osób.

Uświadamiam sobie, jak wiele jeszcze nie wiem.

- Czy to dużo na tak rozległym obszarze?

- Z pewnością niemało, jeśli ludzie znikają bez śladu.

- Wielka Stopa? - pytam, nie mogąc oprzeć się pokusie.

Przez chwilę milczy, a potem kręci głową.

- Albo coś innego. Ale proszę posłuchać rady osoby, która tu mieszka. Niech pani będzie cholernie ostrożna, wchodząc na ten teren.

Rozdział 3

MIASTECZKO RAMSEY W STANIE Wyoming przypomina scenografię westernu, przeniesioną na piaszczysty teren u podnóża prawdziwych gór. Po obu stronach malowniczej głównej ulicy stoją drewniane sklepiki, których strome dachy wyglądają na tle błękitnego nieba jak fragmenty puzzli. Zauważam pomalowany na żółto sklep wielobranżowy, przylegający do ciemnozielonego taniego marketu i baru z wypłowiałą czerwoną fasadą. Jest też kawiarnia, sklep spożywczy, punkt sprzedaży koszulek dla turystów, wyrobów ze skóry oraz oczywiście wszelkich akcesoriów dla kowbojów.

W słoneczne sierpniowe popołudnie chodniki są pełne ludzi. Niektórzy to najwyraźniej turyści, całe rodziny w szortach i klapkach. Inni są zapewne miejscowi, zważywszy na ich džinsy i kowbojskie buty. W większości to ludzie biali. Wielu uśmiechniętych i beztroskich trzyma się za ręce.

Dawno nie miałam do czynienia z takim tłumem białych ludzi. To ciekawe, że czuję się tutaj równie nieswojo, jak w społeczności Haitańczyków w Bostonie albo zdominowanej przez czarnych dzielnicy Memphis. Ci ludzie, mający olśniewające życie, noszący modną odzież, wybierający się na wakacje w miejsca, gdzie jeżdżą inni... Nie potrafię się z nimi identyfikować.

Zastanawiam się czasem, czy jest jakieś miejsce, gdzie czułabym się u siebie. Zaczęłam kiedyś udawać outsiderkę. A teraz się nią stałam.

Bębnę nerwowo o udo pustą butelką po wodzie.

– Proszę pamiętać, żeby pić dużo płynów – radzi mi Lisa. – Lato jest tu suche, a popołudniami zdarzają się sporadyczne burze. Nie wiem, co ma pani w tej torbie, ale będzie pani potrzebowała kilku warstw odzieży.

Temperatura może się zmienić o dwadzieścia stopni w ciągu dnia, a noce są cholernie zimne, nawet o tej porze roku.

Kiwam głową. Podróżuję z lekkim bagażem, co oznacza, że w podręcznej walizce są tylko podstawowe rzeczy: trzy pary spodni i sześć koszul. Jeśli chodzi o obuwie, mam parę sneakersów i solidne brązowe buty do trekkingu. Mam również piżamę – męskie bokserki i stary T-shirt Paula – oraz zapas skarpet i bielizny na siedem dni.

Moje brązowe buty wydają się odpowiednie do wędrowki po górach, ale skarpetki są zdecydowanie za cienkie. I mam tylko jedno wierzchnie okrycie, niezbyt grubą zieloną wojskową kurtkę. W miesiącach zimowych dodaję do tego czapkę, rękawiczki i szalik, by było mi ciepło. Nie pomyślałam jeszcze o kupieniu tych rzeczy, bo jest dopiero sierpień.

Powinna chyba zostać w Ramsey, choćby po to, by popracować i trochę zarobić. Ale może również dlatego, że jestem zmęczona. To rodzaj zmęczenia, które nigdy naprawdę nie ustępuje. Myślę o Paulu, co zdarza mi się często, gdy czuję brzemię upływających lat.

Ale myślę również o detektywie z Bostonu i byłym komandosie Danie Lothamie, o jego dłoniach muskających moje ciało. Myślę o milczącym jak głaz właścicielu baru, Stoneyu. Myślę o Piper, kotce zabójczyni, o energicznym kucharzu i szesnastoletniej dziewczynie z Haiti, Angelique, pierwszej i jedynej osobie, którą odnalazłam żywą.

Moje myśli rozpraszają się i wirują. Czuję się zarówno nakręcona, jak i wyczerpana. I – jak to ja – myślę, jak bardzo chciałabym coś wypić. Może schłodzone piwo, by ugasić pragnienie. Albo cierpką margaritę, która rozgrzewa gardło tequilą i orzeźwia nutą limonki. Albo rum z colą. Gin z tonikiem. Nigdy nie byłam wybredna w wyborze alkoholi. Po prostu chciałam pić, dopóki nerwy mi nie tępiały, a skołatany umysł wiotczał i nie musiałam już tak dużo myśleć, bo było mi wszystko jedno.

Gdy tylko czuję ten impuls, odpycham go od siebie. Trzeźwość jest jednym z moich nielicznych osiągnięć w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Nie mogę sobie pozwolić, by z niej zrezygnować.

Lisa zwalnia. Dojechałyśmy na przedmieścia, gdzie kończą się ładne domki i zaczyna bardziej komercyjna zabudowa. Przysadzisty tani motel.

Duży sklep ze sprzętem turystycznym i odzieżą. A naprzeciwko motelu restauracja. Zdaję sobie nagle sprawę, że to właśnie ta restauracja, do której drużbowie Tima O'Daya dotarli rano przed pięciu laty i bełkotali o niedźwiedziach, pumach i zjawach straszących po nocy.

– Wysiądę tutaj – zwracam się do Lisy, gdy staje na światłach w pobliżu restauracji.

– Jest pani pewna?

– Tak.

– Powodzenia – rzuca. Gdy sięgam do kieszeni po pieniądze, które obiecałam jej za benzynę, mówi: – Nie trzeba. I tak jechałam do miasta.

Uśmiecham się z wdzięcznością. Odjeżdża, zostawiając mnie, z walizką na kółkach w jednej ręce i skórzaną torbą w drugiej, na rogu obok restauracji.

Nie ma czasu na wahanie. Wchodzę do środka.

W RESTAURACJI PACHNIE KAWĄ, smażonym boczkiem i hamburgerami z grilla. Natychmiast zaczyna mi burczeć w brzuchu. Na śniadanie zjadłam czerstwą drożdżówkę, a na lunch batonik czekoladowy. Przydałby się jakiś posiłek. Podobnie jak sprzęt wspinaczkowy, kwatera i eliksir młodości.

Jest już prawie piętnasta. Jak wynika z tabliczki, za kwadrans zamykają, co wyjaśnia, dlaczego wewnątrz jest niemal pusto, a samotny kucharz w białym fartuchu skrobie ruszt.

W głębi sali dostrzegam jednak osiem pograżonych w rozmowie nad rozłożoną mapą osób, siedzących w dwóch boksach przy stercie odsuniętych na bok brudnych talerzy. To zapewne Martin O'Day i jego grupa poszukiwawcza. Wszyscy są w strojach niezbędnych do wędrówek po górach: wysłużonych butach trekkingowych, spodniach cargo i koszulkach flanelowych. Na pierwszy rzut oka wyglądają na ludzi zahartowanych, zdrowych i gotowych do akcji.

Spoglądam na mój zdecydowanie nienadający się na górską wyprawę zestaw odzieży: tenisówki, wypłowiałe dżinsy i cienki T-shirt. Ale mam

przynajmniej na skórze warstwę potu i kurzu po podróży. To przydaje mi autentyczności, gdy podchodzę z walizką do grupy mężczyzn.

Mówi głównie ten, który siedzi w środku. Wygląda na faceta po pięćdziesiątce. Ma wysportowaną szczupłą sylwetkę człowieka, który zawsze jest w ruchu. Naprzeciwko niego siedzi starszy mężczyzna o stalowosiwych rzadkich włosach i ogorzałej twarzy. Po ich lewej zajmują miejsca rudzielec z krzaczastą brodą i ciemnowłosa kobieta, a po prawej czterej młodszy mężczyźni. Przyglądając się z bliska, dostrzegam dziewiętego członka ekipy: biszkoptowego mieszańca labradora z jaskrawopomarańczową szarfą, rozciągniętego pod stołem, z łbem na łapach.

Gdy się zbliżam, pies podnosi łeb i macha ogonem. Jedyna w tym gronie kobieta, wyjątkowo urodziwa Latynoska o migdałowej skórze i pięknie obramowanych ciemnych oczach, spogląda na mnie. Domyślam się, że to jej pies.

Mam poczucie déjà vu. Trzy lata temu w innym lesie zaginął sześciolatek chłopiec, który bawił się w berka z ośmioletnim bratem w pobliżu obozowiska. Dzień po dniu włóczyłam się po tym obszarze z grupą ochotników. Szukaliśmy chłopca jeszcze wiele tygodni później, gdy nie było już nadziei na odnalezienie go żywego. Rozpoczynając poszukiwania, nie mogliśmy zrezygnować. Musieliśmy kontynuować. Musieliśmy go znaleźć.

Rodzina musi wiedzieć, co się stało.

Pamiętam krzyk matki, gdy dotarła do niej wiadomość o odnalezieniu chłopca. Pamiętam, jak jego ojciec – dwudziestoparolatek mężczyzna z szarą jak popiół twarzą i ochryłym głosem – ścisnął dłonie wszystkim ochotnikom i dziękował za sprowadzenie synka do domu. Jakby ktokolwiek mógł być wdzięczny za to, że oddano mu dziecko, by mogło zostać należycie pochowane. A jednak tak bywa. Często.

Rozumiem teraz, jaką rolę odgrywa kobieta. Wiem, co robi jej mieszańiec labradora. Szuka szczątków. Bo po pięciu latach po Timothyem O'Dayu mogły pozostać tylko kości.

Dlaczego to robię? Dlaczego szukam zaginionych, gdy dawno nie ma już nadziei? Wędruję od miasta do miasta. Z nieustannym bólem serca.

Na świecie giną setki tysięcy ludzi. Niektórzy znikają z własnej woli. Niektórzy popadają w kłopoty. A jeszcze inni, zważywszy na ich pochodzenie, zawsze byli bez szans.

Nie zadaję sobie pytania, dlaczego poświęcam temu życie. Pytam raczej, dlaczego nie robią tego wszyscy. Tak wiele naszych dzieci zasługuje na to, by wrócić do domu. Tylu kochających krewnych chce wiedzieć, co stało się z członkami ich rodzin. Tyle społeczności prześladuje myśl, co mogło się wydarzyć i do czego doszło.

Wiem, kim jestem. Wiem, dlaczego to robię. Nie rozumiem tylko postawy reszty świata.

Podchodzę bliżej. Człowiek, który coś mówi, w końcu na mnie spogląda. Ma orzechowe oczy.

– Martin O’Day? – pytam, przysiadając na najbliższym barowym stołku. Jestem równie podekscytowana, co zdenerwowana. Zdeterminowana i przestraszona. Zawsze tak jest.

Wyciągam rękę.

– Nazywam się Frankie Elkin – przedstawiam się. – Specjalizuję się w poszukiwaniu dawno zaginionych osób. I chciałabym pomóc sprowadzić do domu pańskiego syna.

POJAWIA SIĘ ENERGETYCZNA STARSZA kobieta w białym fartuchu; ma poprządkane siwizną kręcone włosy spięte w kok i szczupłą sylwetkę, świadczącą o aktywnym życiu. Rozpoznaję ją natychmiast ze zdjęcia w gazecie: to Marge Santi, właścicielka restauracji i uczestniczka wydarzeń. Patrzy na mnie, unosząc brwi, a potem spogląda z ukosa w kierunku stołu, jakby chciała się upewnić, czy nie przeszkadzam gościom. Chroni ich. Zastanawiam się, jak wielu miejscowych po pięciu latach czuje to samo: że to ich tragedia i obcy nie powinni się wtrącać.

Przez chwilę nikt się nie odzywa. Martin O’Day, który wyraźnie przewodzi pozostałym, spogląda na moją podróżną odzież i bagaż. Patrzy

na mnie wilkiem.

– Nie odpowiadam teraz na żadne pytania – mówi.

– Nie jestem dziennikarką.

– Mimo wszystko nie odpowiem na żadne pytania.

Starszy mężczyzna z czupryną gęstych siwych włosów odwraca się, by mi się przyjrzeć. To musi być Nemeth, legendarny miejscowy przewodnik. Taksuje mnie spojrzeniem, po czym spogląda na Marge.

– Wszystko w porządku – rzuca, mówiąc jak swój do swego.

Marge patrzy na mnie z ukosa, najwyraźniej mniej o tym przekonana. Ale Nemeth pozostaje niewzruszony, więc właścicielka restauracji bierze w końcu stertę brudnych talerzy i znika.

Czterej młodszy mężczyźni nie włączają się do rozmowy – są obecni, ale zdystansowani. To muszą być kumple pana młodego, zważywszy na wyczuwalne brzemie ich zbiorowej winy. Pozostaje mi więc tylko ustalić, kim są śliczna właścicielka psa i potężny mężczyzna z rudą brodą.

Nazywam go w myślach Krzaczastą Brodą i identyfikuję jako łowcę Wielkich Stóp, choć gdyby dodać mu owłosienie ciała, sam mógłby być Wielką Stopą. Intrygujący przykład tego, jak właściciele zwierząt przypominają wyglądem swoich pupilów.

A więc to jest ta ekipa marzeń. Doświadczony lokalny przewodnik, zropaczony ojciec, czterech dotkniętych poczuciem winy przyjaciół, opiekunka psa tropiciela i łowca Wielkich Stóp. Ciekawa kombinacja.

– Mam doświadczenie w poszukiwaniu ludzi w terenie – odzywam się.

– Nie, dziękuję. – Martin O'Day skupia się ponownie na mapie, wymownie postukując palcami o blat.

A zatem zostałam odprawiona. Nie po raz pierwszy. Jestem nieznaną zmienną. Ludzie takich nie lubią.

Próbuję przełamać lody, zaczynając od najmniej uprzedzonego do mnie członka grupy. Zsuwam się ze stołka, przykucam i wyciągam rękę w kierunku biszkoptowego labradora. Pies, niemający w tej chwili na grzbiecie roboczej kamizelki, wstaje i podchodzi do mnie. Nie jest na

smyczy, ale najwyraźniej nikt, łącznie z właścicielką restauracji, nie ma nic przeciwko temu.

– Jak ma na imię? – pytam, drapiąc go za uszami.

Miałam rację. Piękna Latynoska jest jego opiekunką.

– Daisy – odpowiada natychmiast.

– Dała pani tak na imię psu poszukującemu zwłoki?

To, że domyśliłam się roli Daisy, sprawia, że kobieta obdarza mnie badawczym spojrzeniem, a Martin O'Day, który najwyraźniej chce wrócić do tego, czym zajmował się wcześniej, unosi brwi.

– Uratowaliśmy Daisy na Filipinach – wyjaśnia Latynoska. – Mój partner i ja zaczęliśmy karmić ją odpadkami, gdy pracowaliśmy z naszą ekipą psów, szukając ofiar lawiny błotnej. W końcu zabraliśmy ją ze sobą do domu. I natychmiast okazała się chętna do tresury. Zanim się obejrzelśmy, prześcignęła nasze owczarki belgijskie. Radzi sobie z problemami jak żaden inny pies.

– Jak pani się nazywa?

– Luciana. Luciana Rojas.

Posyłam jej uśmiech, po czym skupiam uwagę na potężnym rudym mężczyźnie. Chcecie poznać sztuczkę, jak radzić sobie z nieprzyjaznymi samcami alfa, takimi jak Martin O'Day? Nie odzywajcie się do nich. Całkowicie ich ignorujcie. Okażecie swoją przewagę.

– Jest pan z Północnoamerykańskiego Stowarzyszenia Poszukiwaczy Wielkich Stóp – zwracam się do Krzaczastej Brody.

– Mam na imię Bob – oznajmia wesoło, nie bacząc na ostrzegawczy pomruk Martina O'Daya.

Nagle przychodzi mi do głowy to, co próbowałam sobie wcześniej przypomnieć.

– Twoja organizacja ma najpełniejszą listę osób zaginionych w tym kraju – mówię. – Wiecie o tym, co dzieje się w lasach i górach, nawet więcej niż władze.

Wcale nie przesadzam. Jeśli droga ci osoba zaginęła w głuszy, najlepsze dane na temat potencjalnie podobnych przypadków pochodzą od łowców

Wielkich Stóp, a nie od rządu federalnego. Świat funkcjonuje w dziwny sposób.

W tym momencie udaje mi się dopasować drugi kawałek układanki.

– Chwileczkę. Ty jesteś WSBob, prawda? Z forów poszukiwaczy osób zaginionych. Bob Wielka Stopa. Opracowujesz Projekt Północnoamerykański, mapę zaginięć na naszej półkuli. Miło mi cię poznać!

Wstaję, a Bob Wielka Stopa otwiera szeroko oczy – rozpoznaje mnie.

– Zaraz! Frankie Elkin? FELkinPoszukiwania?

Przytakuję energicznie, ciesząc się, że poznaję osobiście innego poszukiwacza amatora.

– Jesteś w Wyoming? – dziwię się. – Sądziłam, że najnowsze poszukiwania Wielkich Stóp koncentrowały się na północnym zachodzie, w rejonie Pacyfiku. Pracowałeś wcześniej na półwyspie Olympic.

– Jeśli nie wiesz, gdzie jest jakaś istota, nie wiesz również, gdzie jej nie ma. Poza tym te poszukiwania... – Bob waha się, spoglądając na Martina – dotyczą szczególnie interesującego obszaru.

Rozumiem. Chodzi o te inne zaginione w górach osoby, o których wspominała Lisa Rowell. Na krajowej mapie Stowarzyszenia Poszukiwaczy Wielkich Stóp na tym obszarze byłoby skupisko czerwonych chorągiewek. Gorąca strefa, niedostrzegana przez władze, ale stanowiąca wiarygodną pożywkę dla spekulacji w peryferyjnych społecznościach, w jakich żyjemy Bob i ja.

– Musimy wracać do pracy – rzuca ostro Martin.

– Chwileczkę, Marty – mówi Bob. – Frankie jest prawdziwą ekspertką. Znamy się z sieci. Ona nie tylko pracuje nad sprawami zaginionych osób, ale też je rozwiązuje. Dziesiątki.

Bliżej szesnastu, ale nie będę się sprzeczczać.

Martin nie bardzo wie, jak zareagować. Ma swój plan, pewnie już dawno opracowany. Postrzega go jako serię logistycznych kroków, a nie misję sprowadzenia do domu szczątków syna, i tak ma zamiar go

zrealizować. A ja zjawiam się nagle, wprowadzając zamęt, gdy on z trudem pozostaje przy zdrowych zmysłach.

Rozumiem to. Wszystkie moje misje zaczynają się od tego momentu: pojawiając się nagle, zrywam opatrunek z rodzinnej rany i mam nadzieję, że nie doprowadzi to do krwotoku z tętnicy.

Siedzący przy drugim końcu stołu koledzy Tima ze studiów nadal mnie ignorują, co wydaje mi się fascynujące. Stanowią grupę wewnątrz grupy. Osobną kapsułę niepokoju i rozpacz. Jeden z nich, jasny blondyn, pochłania ogromne ilości kawy, a ręka drży mu tak, że z trudem trafia kubkiem do ust. Siedzący przy nim kolega szepcze mu coś do ucha. Domyślam się, że mówi „Opanuj się”.

– Ma pani doświadczenie w akcjach poszukiwawczo-ratunkowych? – odzywa się po raz pierwszy Nemeth. W tonie jego głosu pobrzmiwa powątpiewanie, gdy mi się przygląda. Nie mogę mieć mu tego za złe.

– Uczestniczyłam w poszukiwaniach. I pracowałam z psami tropiącymi. – Kiwam głową, patrząc na Lucianę.

Daisy wróciła na swoje miejsce pod stołem, oparła łeb na kolanach opiekunki i wzdycha błogo, gdy ta drapie ją po szyi.

– Ma pani plecak? Sprzęt do obozowania? – Nemeth wskazuje na mój bagaż. – To wyprawa w góry. Musi pani być doświadczona, wiedzieć, co pani robi.

– Mogę wypożyczyć sprzęt. – Zakładając, że nie będzie kosztował więcej niż sto dwanaście dolarów.

– Dlaczego pani to robi? – odzywa się Martin. Mniej wojowniczym, bardziej zmęczonym głosem. – Nie znamy pani. Najwyraźniej nie jest pani przygotowana. Nie mamy na to czasu. Jutro rano wyruszamy.

– Chcę pomóc. Czytałam o pańskim synu. I o pana żonie.

Skurcz bólu przeszywa twarz Martina.

– Chcę pomóc – powtarzam. – Mam doświadczenie. Jestem dobra w tym, co robię.

– Jest dobra – potwierdza Bob.

– Przykro mi. – Nemeth najwyraźniej nie jest przekonany o mojej wiarygodności. – Na tego rodzaju ekspedycje trzeba mieć zezwolenie, a my mamy je tylko na osiem osób.

– Nadal będzie nas ośmioro – mówię.

Martin rozgląda się.

– Tu jest osiem osób – stwierdza. – Więc pani byłaby dziewiąta.

– On sobie nie poradzi. – Wskazuję głową rozdygotanego blondyna.

– Josh! – wykrzykuje jeden z młodych ludzi, gdy kolega, trzymając kubek w drżącej ręce, rozlewa kawę na stole.

– Cholera, Josh! – Trzej mężczyźni zrywają się na nogi, gdy gorący napój oblewa im spodnie. – Co z tobą? Człowieku, masz gorączkę!

Josh siedzi, wpatrując się w rozlaną kawę, jakby nie wiedział, co się dzieje. Ma spoconą i rozpaloną twarz. Drży już na całym ciele.

– Jest chory – mówi jeden z jego przyjaciół. – Chyba ma grypę.

– To nie grypa. – Nie muszę być alkoholiczką na odwyku, by rozpoznać objawy delirium tremens.

Martin wzdycha ciężko i zerka na Nemetha. A więc obaj wiedzą, że Josh ma problem z alkoholem. Musiał niedawno przestać pić, żeby uczestniczyć w ostatniej próbie sprowadzenia do domu przyjaciela.

Tyle że Josh nie pił umiarkowanie. Wygląda na to, że jest uzależnionym wchodzącym właśnie w pierwszy etap detoksykacji.

– Mogę pomóc – powtarzam, zwracając się do Marty'ego. – Mogę wykorzystać sprzęt Josha. Nie spowolnię marszu. Obiecuję.

– Cholera! – rozlega się okrzyk, gdy Josh osuwa się na bok, a potem opada powoli na podłogę.

Martin nie odzywa się ani słowem. Tylko zamyka oczy.

Nemeth zwraca się do mnie, mówiąc za niego:

– Chyba jesteś w zespole. Niech to szlag!

Rozdział 4

- POTRAFISZ POSŁUGIWAĆ SIĘ BRONIA?

- Boże, nie. Polegam na moim uroku.

- A jak zaatakuje cię niedźwiedź?

- Hm... Pobiegnę szybciej niż osoba obok mnie?

Nemeth zerka na mnie, niepozorną kobietę, podczas gdy ja obserwuję jego solidnej budowy postać. Wygląda jak wyciosany z gór posąg o torsie z twardego granitu i ramionach z konarów drzew. Jest średniego wzrostu i nie widać na nim ani grama tłuszczu. Ja nie wyglądałam tak dobrze nawet w wieku dwudziestu lat i nie wyobrażam sobie, żebym była w takiej formie jak on w jego wieku – dobrze po sześćdziesiątce. Nemeth może stać się moim nowym bohaterem. Chociaż mam ochotę się z nim podroczyć, żeby zobaczyć, co zrobi.

- Ostatni raz miałem równie głupią rozmowę z pewnym aroganckim dupkiem, Bobbym Monfortem. Przeprowadził się tutaj ze Wschodniego Wybrzeża i przysięgał, że dorastał w górach i ze wszystkim sobie poradzi. Próbowaliśmy go ostrzec, że tereny są inne, a mimo to wyruszył na siedmiodniową wyprawę. Wiesz, co się z nim stało?

- Hm... Żył długo i szczęśliwie?

- Przynieśliśmy go z gór w kawałkach. Znalezienie wszystkich jego szczątków zajęło wiele tygodni. Chyba zaatakował go grizzly. Ale potem zajęły się nim szopy i padlinożerne ptaki. Oczyściły jego czaszkę, połamały kości, by dostać się do szpiku, wyssały wszystko z palców rąk i nóg.

Wiem, że celowo tak plastycznie to opisuje, by mnie przerazić. Co nie znaczy, że to nie działa.

- Zabiorę ze sobą środek do odstraszenia niedźwiedzi – obiecuję.

Nemeth przewraca oczami. Siedzę z nim w pokoju przyjaciół Tima w motelu naprzeciwko restauracji. Trzej młodzi ludzie, którzy nadal

trzymali się na nogach, i Martin zawieźli będącego na odwyku Josha do najbliższego szpitala, który znajduje się podobno godzinę jazdy stąd. Nemeth pogania mnie tymczasem, pomagając przetrząsnąć zapasy Josha. Nie jestem pewna, co robią Bob, łowca Wielkich Stóp, i Luciana, opiekunka psa, ale Bob nie wydawał się zbyt zmartwiony, że spędzi trochę czasu sam na sam z piękną kobietą. A może naprawdę lubi biszkoptowe labradory.

– Wstań – rozkazuje Nemeth.

Podnoszę się. Zakłada mi plecak Josha z metalowym stelażem na prawe ramię, a potem na lewe. Odsuwa się. Chwieję się lekko, ale udaje mi się nie upaść do tyłu.

Nemeth przygląda mi się oczami koloru błękitnego lodowca. Ani przez chwilę nie dał się zwieść.

– Trzeba go tylko dopasować – mówię.

Kolejne ciężkie westchnienie. Serio, temu facetowi przydałaby się czekolada.

Zdejmuję ze mnie plecak i siada na jednym z dwóch szerokich łóżek.

– Przewodzę tej ekipie – oznajmia. – Odpowiadam za ich i twoje bezpieczeństwo. Więc lepiej od razu się wypowiedaj, bo nie zabiorę cię w góry tak po prostu. Akurat uwierzę, że poszukiwałaś już kogoś w górach!

– Robiłam to. Niejeden raz.

– Dwa razy?

– Możliwe.

Znów to spojrzenie. Mam uczucie, że ten człowiek miał kiedyś do czynienia z kretynami, i to nie tylko jako zawodowy przewodnik. Dobra wiadomość jest taka, że moja głupota go nie załamie.

– Chodzę pieszo – podkreślam. – Wszędzie. Przez cały czas. Nie mam samochodu i ostatnich dziesięć lat spędziłam w miejscach, do których nie dociera publiczny transport.

– Chodniki to nie to samo co góry.

– Jestem sprawna. Nie będę opóźniała marszu. Co więcej, zachowuję trzeźwość. Od dziesięciu lat. To daje mi przewagę nad Joshem, a jego byliście gotowi zabrać.

– To Marty chciał go wziąć. Ja zgłosiłem zastrzeżenia. Pokaż mi swoje buty. Mogę zdobyć plecak lepiej dopasowany do twojej sylwetki i nieco lżejszy, zważywszy na to, że ważysz... Ile kilogramów?

– Pięćdziesiąt dwa! – Być może.

– Podczas siedmiodniowej wyprawy buty to podstawa. Tam, dokąd idziemy, trzeba mieć wsparcie dla kostek i solidne podeszwy.

Jego głos brzmi tak surowo, że rozpinam pospiesznie torbę i wyjmuję moją jedyną parę butów, poza sneakersami, które mam na nogach. Są podniszczone na zewnątrz i wyglądają jak coś pomiędzy markowym obuwiem a trekkingowymi butami Nemetha. Wstrzymuję oddech. Nikt dotąd nie oceniał moich butów. Czuję zdenerwowanie w ich imieniu.

Nemeth podnosi je i odwraca, by przyjrzeć się grubym podeszwom, sprawdzić, czy buty są trwale i dobrze obejmują stopę. Marszczy brwi i oddaje mi je.

– Nosiałś je przez długi czas?

– Całymi dniami. Doskonale pasują, nie robią się od nich odciski.

To są najwyraźniej magiczne słowa.

– Dobrze. Nadadzą się.

Przechodzimy do zawartości ogromnego plecaka Josha. Od zewnątrz przytwierdzona jest do niego zwinięta karimata, przewiązana elastycznymi linkami bungee, i długi nylonowy worek z otworem ściągniętym sznurkiem. Wyczuwam palcami jego zawartość: są tam cienkie pręty i miękka tkanina.

– Namiot! – oznajmiam triumfalnie.

– Oczekujesz nagrody?

– Być może.

Znajduję butelki z wodą i zawieszony na sznurku czerwony gwizdek – coś, co noszę zawsze w mieście. W przedniej kieszonce z zamkiem błyskawicznym odkrywam apteczkę pierwszej pomocy i zestaw plastrów

na odciski. Do tego przekąski: batony proteinowe, musli, czekoladki z masłem orzechowym. Przynajmniej Josh wie, co dobre. Jest też cały zestaw różnego sprzętu: wodoodporne zapalki, zapalniczka, uniwersalny nóż, latarka czołowa, zwykła latarka, filtr do wody. W końcu wyciągam torebkę śniadaniową z czymś, co wygląda jak nasączone tłuszczem kulki waty.

– To bawełna zanurzona w wazelinie – wyjaśnia Nemeth. – Dla wielu ulubiona podpałka do rozniecania ognia.

Kiwam głową, jakbym o tym wiedziała. Zaczynam się denerwować. Czyżbym porwała się z motyką na słońce? Trudno powiedzieć. Zawsze jestem outsiderką. Zawsze w jakimś nowym miejscu, gdzie nie wiem, dokąd zmierzam ani co robię. Przez ostatnie lata jest mi dobrze tam, gdzie czuję się niezręcznie.

Nie chcę jednak przeszkadzać Martinowi w jego ostatecznych wysiłkach, by sprowadzić do domu syna. Nemeth może mnie wkurzać, ale ma swoje zasady. Skoro mam dołączyć do poszukiwań, muszę się starać tak jak wszyscy.

Otwieram pokrywę ogromnego jasnożółtego plecaka i odkrywam cały skarbiec ubrań.

– Co sądzisz o Martinie? – pytam, wyciągając parę za parą grube wełniane skarpety. W połączeniu z moimi butami zupełnie wystarczą. Następnie wyjmuję dwie kurtki, jedną cienką i odporną na wiatr, drugą z podpinką, wodoodporną. Będą dla mnie za duże, ale darowanemu koniowi...

Nemeth, który wciąż siedzi na łóżku, przygląda mi się i wzrusza ramionami.

– A jakie to ma znaczenie? – rzuca.

– Ma. Bo idę w góry z zupełnie obcymi ludźmi, żeby odnaleźć ich bliskich.

– Obsesyjnie wtrącasz się w sprawy innych, tak?

– Właśnie.

– Czego chcesz? – Ton Nemetha jest sceptyczny.

Jestem do tego przyzwyczajona. Przystaję grzebać w żółtym plecaku, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Tego samego, czego chcecie ty i Martin. Sprowadzić Tima do domu. Zbliżyć do siebie rodzinę. – Waham się przez moment, po czym dodaję z lekkim wzruszeniem ramion: – Uleczyć cudze rany, bo nie radzę sobie z własnymi.

– Ile razy zajmowałaś się czymś takim?

– Szesnaście.

– Ale to nie były akcje poszukiwawczo-ratunkowe?

– Nierozwiązane sprawy. Na terenie całego kraju. Rezerwaty, miasta, miasteczka. Nie masz pojęcia, jak wielu jest zaginionych ludzi, których nawet nikt nie szuka.

– Jak się o nich dowiadujesz?

– Z gazet, jak w tym przypadku. Albo z forów internetowych, takich jak to, dzięki któremu poznałam Boba. Są całe witryny, które zajmują się tego rodzaju sprawami.

– Nie znasz ofiar? Masz jakieś osobiste relacje z ich krewnymi?

– Ty nie spotkałeś nigdy Timothy’ego O’Daya. A poświęcasz czas na szukanie go.

Nemeth ze zmarszczonym czołem wpatruje się w brązową wykładzinę dywanową.

– Dowodziłem tamtą operacją – mówi w końcu. – Nie sprowadziłem Tima do domu. Nadal czuję się odpowiedzialny za jego los.

– A pozostałe zaginione osoby?

Spogląda na mnie zaskoczony.

– Już plotkowałaś z miejscowymi?

– Taki mam dar.

– Czy wiesz, jak rozległy jest obszar Popo Agie Wilderness?

– Pewnie bardzo duży.

– Raczej cholernie wielki.

– Coraz bardziej cię lubię.

– Mamy tu lasy, góry, strumienie, jeziora, wąwozy, kaniony, dziką zwierzynę, nie wspominając o drapieżnikach, które nie pogardzą ludzkim mięsem...

– O Wielkich Stopach?

– To jest natura – mówi Nemeth. – Dzika. Potężna. Ogromny obszar ponad czterdziestu tysięcy hektarów. Zwykła statystyka wskazuje, że nie wszyscy przeżyją.

– To brzmi jak *Igrzyska śmierci*.

– Czysto praktyczne podejście. Ludzkość może robić nie wiadomo jakie postępy, a matka natura i tak trzyma nas za jaja.

– Co sądzisz o czekoladzie? Mam wrażenie, że przydałoby ci się w życiu więcej dekadencji.

– Nie masz kwalifikacji do tych poszukiwań. Wyświadczyć nam przysługę i wycofaj się.

Milczę przez chwilę. Bywam zbyt nonszalancka. Bywam totalną suką. Ale potrafię również być uczciwa i myślę, że Nemeth na to zasługuje.

– Nie mam aż takiego doświadczenia w biwakowaniu, jak byś chciał. Ale jestem zdrowsza niż Josh i mam przyzwoite buty i wspaniałe skarpety. Jeśli zdobędziesz dla mnie odpowiedni plecak, dam radę. Nie będę się skarżyć, nie będę was opóźniać i mogę pomóc. Nie wiem dlaczego, ale w odnajdywaniu zaginionych jestem dobra. Po prostu.

– Jesteś cholernie uparta.

Uśmiecham się.

– Dzięki Bogu, prawda? Jak inaczej tych szesnaście osób dotarłoby z powrotem do domów? – Skupiam znów uwagę na plecaku Joshua; wyciągam kolejne ubrania, spodnie, kalesony, rzeczy, które zdecydowanie nie będą na mnie pasowały. – Martin O’Day – rzucam. – Zrozpaczony ojciec, człowiek doświadczony w górskich wędrówkach. Lubisz go? Masz do niego zaufanie?

– Tak.

– Co prowadzi nas do kolegów Tima. Co o nich sądzisz?

– Przyzwoici młodzi ludzie. Popełnili błąd i zapłacili za to. Nadal płacą.

– Na czym polegała ich wina? Za dużo wypili?

Nemeth znów wzrusza ramionami.

– Wystarczająco długo jestem przewodnikiem, by wiedzieć, że na większości biwaków pije się więcej alkoholu niż wody. Zdarzają się libacje. To głupie, ale rzadko zabójcze. Natomiast rozdzielanie się, tracenie z oczu kolegów...

– Zostawianie kogoś samego?

– Zniknięcie Scotta było bardzo niefortunne. Powinni zostać na miejscu i przegrupować się rano, a nie posyłać kolejnego uczestnika wyprawy, by błąkał się po nocy w niebezpiecznym terenie.

– Scott zaginął pierwszy, prawda? Pozostali ocknęli się z alkoholowego zamroczenia, bo usłyszeli jakieś hałasy. Rozglądali się gorączkowo wokół, świecąc latarkami, i w końcu zdali sobie sprawę, że Scott zniknął. Co się z nim stało tamtej nocy? Powiedział coś?

– Scott twierdzi, że nie pamięta, co działo się od chwili, gdy poszedł do namiotu. Chcesz znać moją teorię? Chłopak był pijany. Wyszedł z namiotu w środku nocy i włóczył się po okolicy. Aż doszedł do rzeki i zemdlął z zimna. Dlatego nie słyszał poszukujących go kolegów ani innych hałasów. Rano, gdy odzyskał przytomność, zdołał w końcu znaleźć drogę do obozu.

– Wierzysz w jego historię?

Nemeth wzrusza ramionami.

– Nie mam powodu w nią nie wierzyć.

To nie to samo co odpowiedź „tak”.

– W porządku, więc ich kumpel Scott na dobre się zgubił. Ofiara nocnej pijackiej eskapady. Ale co z informacjami o przeraźliwych odgłosach zwierząt i śladach krwi na drzewach?

– Znaleźliśmy podeptane zarośla, połamane gałęzie, miejsca, gdzie coś się działo. Mogło to być zwierzę...

– Wielka Stopa? – pytam.

Przewraca oczami.

– Według mojej fachowej opinii znaleźliśmy ślady, które pozostawiło czterech pijanych facetów przedzierających się przez las w poszukiwaniu zaginionego przyjaciela. Czy to mógł być niedźwiedź grizzly albo jakaś mityczna dwunoga bestia? Nie, bo tych pięciu pozostawiło resztki po uczcie. To samo dotyczy pum, na które natykamy się od czasu do czasu. Ale są z natury nieśmiałyimi stworzeniami. Nie włóczą się po tym terenie, tratując drzewka i ciągnąc zdobycz bez pozostawiania krwawego tropu. A zważywszy, że Scott w końcu się znalazł...

– To Timothy O’Day zginął.

– Tim miał sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i ważył dziewięćdziesiąt kilogramów. Był wysportowany, silny, dobrze wyposażony i zdaniem jego kolegów miał pistolet.

– Był uzbrojony? – O tym nie pisano w gazecie.

– W glocka kalibru dziewięć milimetrów. Zabierał go zawsze w góry. Większość z nas, miejscowych, woli karabiny, bo pozwalają strzelać z dużej odległości i mają większą siłę ognia. Nie wspomnę, że Tim miał broń w plecaku, co jest zwykłą głupotą. Jakby dzikie zwierzę dawało ci czas na wyciągnięcie broni, zanim zaatakuje. Ale ogólnie biorąc, był doświadczony. Wiedział, co robi. – Nemeth waha się. – Jeśli człowiek spędzi dość czasu w głuszy, wyczuwa, kiedy nie jest sam. Kiedy trzeba wynosić się w cholerę. I kiedy się zatrzymać, ocenić sytuację i przygotować się do walki.

– Zdjąć plecak i wyciągnąć pistolet – wtrącam spokojnie.

Lekko drzę. Nie mam doświadczenia Nemetha w obcowaniu z dziką przyrodą, ale rozumiem, co chce powiedzieć. Są rzeczy, które po prostu się wie. Dotarłam kiedyś na wiejską farmę. Trzypokoleniowa rodzina gadała o tym, jak czteroletni Johnny po prostu zniknął pewnej nocy. Porwali go obcy, uprowadzili kosmici, kto to może wiedzieć? A ja, przechadzając się między zrujnowanymi chałupami, stertami zbutwiałego drewna i kupami gnoju, wiedziałam – po prostu wiedziałam – że mały Johnny nie opuścił tego miejsca. Klucz do rozwiązania zagadki jego zniknięcia znajdował się właśnie tam i kosmici nie mieli z tym nic wspólnego. Sześć lat później okazało się, że miałam rację.

– Nie znaleźliście żadnego sprzętu Tima – mówię. – Plecaka, latarki, kurtki... niczego.

Nemeth kręci głową.

– I to jest niezwykle. Czterdzieści lat temu, kiedy zacząłem być przewodnikiem, akcje ratunkowe koncentrowały się na poszukiwaniach zwłok. Znajdowało się kogoś albo nie. Gdy doszło do wielu kolejnych tragedii, zrewidowaliśmy tę taktykę. Stosowane obecnie procedury operacyjne zakładają, że nie szukamy tylko zaginionej osoby, ale także śladów, które mogła pozostawić. Określamy miejsce, gdzie widziano ją po raz ostatni, na przykład obozowisko. Ale próbujemy również ustalić, gdzie znajdowała się później. Może to być wiele kilometrów od obozu, na co wskaże złamana gałązka albo porzucona butelka po wodzie.

– To jak szukanie kolczyka – myślę na głos. – Najpierw próbujesz sobie przypomnieć, w jakich miejscach byłeś w ciągu całego dnia. Potem zaczynasz się zastanawiać. Zaraz, pamiętam, że miałam go jeszcze w restauracji albo kiedy oglądałam telewizję. Zauważasz pole poszukiwań, co pozwala ci bardziej się skoncentrować. Przeczesujesz każdy centymetr kanapy, a nie całego mieszkania. I voilà, znajdujesz piękną błyskotkę.

– Zakładając, że ludzie to biżuteria – kwituje bez emocji Nemeth. – Pierwszy krok każdej operacji ratunkowej to utworzenie grup szybkiego działania. Jak wskazuje ich nazwa, działają błyskawicznie i na rozległym obszarze. Mówiąc ogólnie, dają pięćdziesiąt do sześćdziesięciu procent prawdopodobieństwa, że odnajdziemy poszukiwaną osobę. Jeśli się to nie uda, mamy sześćdziesiąt procent pewności, że nie ma jej na danym terenie. Niezły wynik na początkowym etapie, gdy penetrujemy kolejne obszary strategiczne.

– Co to jest obszar strategiczny?

– Jednym z moich pierwszych zadań jest przejrzenie mapy i ustalenie, gdzie widziano po raz ostatni poszukiwaną osobę, a potem zidentyfikowanie miejsc, w których mogła zboczyć z drogi. Tim mógł na przykład skręcić w lewo zamiast w prawo na którymś rozwidleniu ścieżek. Albo w miejscu, gdzie były niskie zarośla, pomylił w ciemnościach przesmyk między drzewami ze ścieżką i wszedł głębiej w las. Nie ma dość

ludzi, by przeczesać całe Popo Agie. Muszę wyznaczyć najbardziej prawdopodobne obszary poszukiwań i wysłać tam ekipy. Przy odrobinie szczęścia powinno się udać.

– Tyle że się nie udało.

Nemeth znów kręci głową.

– W pewnym momencie należy zwolnić i zmienić bieg. Wyobraź sobie, że gubisz monetę w piaskownicy. Najpierw przesiewasz pospiesznie palcami piasek. Gdy to nie daje efektu, dzielisz piaskownicę na pola i dokładnie sprawdzasz każde.

– Tak właśnie robiłam – wtrącam. – Przeczesywaliśmy cały teren w poszukiwaniu najmniejszego tropu.

– Co daje nadzieję na odnalezienie zaginionej osoby. Albo... – Nemeth przygląda mi się wyczekująco.

– ...śladów, które pozostawiła. – Rozumiem teraz, co ma na myśli. – Dzięki temu można ustalić miejsce, gdzie ostatnio przebywała, zaznaczyć na mapie kolejne obszary poszukiwań i odpowiednio skorygować działania. – Ogarnia mnie podniecenie. Wiem, do czego zmierza. – A jednak – mój entuzjazm przygasa – nie odnalazłeś Tima.

– Ani żadnych śladów – dodaje. – Setki ochotników, tygodnie żmudnych poszukiwań. Ekipy z psami, piloci śmigłowców, ludzie na quadach, jeźdźcy na koniach, Gwardia Narodowa. W pewnym momencie w tych lasach roіło się od sprawnych fizycznie ochotników. Ja i szeryf Kelley ślęczeliśmy nad mapami. Tego typu operacje wymagają racjonalnego podejścia, ale również instynktu. – Przygląda mi się. – Szczerze mówiąc, mam cholernie dobre wyczucie.

– Małe dzieci szukają schronienia – mruczę. – Osoby starsze schodzą w dół. A niedoświadczone idą po linii najmniejszego oporu.

– Natomiast ludzie uzależnieni od internetu kierują się w górę. Nie mamy tu zasięgu. Jest zerowy. Tylko że do ludzi z miasta to nie dociera. Sądzą, że jeśli tylko zdołają się wspiąć dostatecznie wysoko... powiedzmy, na szczyt góry... to w magiczny sposób uzyskają zasięg i będą mogli wezwać pomoc. Niestety, mogą również spaść i się zabić. Braliśmy pod uwagę wszystkie możliwości i dostosowywaliśmy do tego poszukiwania.

W ciągu pięciu lat nie znaleźliśmy nawet odcisku buta. Ani porzuconego karabinka do wspinaczki czy kosmyka włosów. Zupełnie jakby Tim, młody człowiek z dużym doświadczeniem w górach i dobrze wyposażony w sprzęt, opuścił obóz i zniknął z powierzchni ziemi.

– I dlatego szukamy teraz Wielkiej Stopy?

Nemeth patrzy na mnie.

– To sprawa Marty’ego. Nie moja. Bob wie, jak prowadzić poszukiwania w górach.

– Innymi słowy, ma lepsze kwalifikacje niż ja. Skoro więc nie wierzysz w Wielką Stopę, to co twoim zdaniem się wydarzyło?

– Nie wiem. – Błękitne jak lodowiec oczy Nemetha wyrażają niepokój. Kręci głową. – Wracaj do domu.

– Nie mam domu.

– To weź urlop.

Uśmiecham się.

– To jest mój urlop. – Skupiam ponownie uwagę na plecaku Josha; wyciągam ostatnie z jego ubrań i natrafiam na liofilizowaną żywność. – Kiedy wyruszamy?

– Jutro o szóstej rano.

– Biorąc pod uwagę, że przeszukałeś już niemal cały ten obszar, dokąd się udajemy?

– Do Kanionu Diabła. Potrzebujemy całego dnia żmudnego marszu, żeby tam dotrzeć. To strzał w ciemno, ale ten kanion jest jednym z niewielu miejsc, których nigdy dokładnie nie zbadano.

– A kiedy już tam dotrzemy?

– Pozwolimy Daisy przejąć inicjatywę.

Pies do poszukiwania zwłok, ostatnia nadzieja Martina O’Daya na odnalezienie szczątków syna.

– Jeszcze nie jest za późno, żeby nauczyć się posługiwać karabinem – mówi Nemeth.

Sięgam na dno plecaka i wydobywam spod sterty racji żywnościowych ostatni przedmiot w długiej czarnej pochwie. Chwytam za rękojeść

i wyciągam wyglądający złowrogo ząbkowany nóż. Taki, jakich używają komandosi. Albo Rambo. Przerażający i budzący respekt.

– Nie bawię się zwykle ostrymi przedmiotami – informuję Nemetha, czując, że drży mi już lekko dłoń. Ale nie odkładam noża. Podwójne ostrze, wyszczerbione z jednej strony i ostre jak brzytwa z drugiej, lśni złowieszczo.

– Dam ci dobrą radę. Nóż na dnie plecaka to kiepski pomysł. Trzeba mieć go na wierzchu, najlepiej przymocować do nogi, żeby móc szybko po niego sięgnąć. Może nie wierzę w Wielką Stopę, ale tam, dokąd idziemy... Matka natura to kapryśna dziwka i nigdy o tym nie zapominaj. Zobaczę, czy uda mi się znaleźć dla ciebie odpowiednich rozmiarów plecak.

Nemeth wstaje i zmierza do drzwi. Zostaję sama w pokoju hotelowym, trzymając śmiercionośny taktyczny nóż, wsadzony na dno plecaka przez pijanego mężczyznę.

Zastanawiam się, co myślał Josh, wrzucając go tam. Czy uważał, że to podstawowy sprzęt, niezbędny do przetrwania? Czy myślał coś innego?

Coś gorszego.

Rozdział 5

DWANAŚCIE GODZIN PRZED WYRUSZENIEM w drogę, zaplanowanym na szóstą rano, jestem głodna, zdenerwowana i nie mam pojęcia, gdzie spędzę noc. Przypuszczam, że w motelu, choć wolę nie wydawać na to pieniędzy.

Zastanawiam się, czy Luciana, jako jedyna kobieta w zespole, pozwoliłaby mi przespać się u niej na podłodze. Nemeth powiedział mi, że członkowie ekipy mają pokoje na parterze, więc zaczynam pukać do drzwi. Za trzecim razem mam szczęście, bo na progu pojawia się Luciana. Za nią dostrzegam Daisy, która siedzi przed zamkniętą szafą, z uniesioną łapą, w pełnym napięcia oczekiwaniu.

– Przyszłaś w samą porę – mówi Luciana.

– Naprawdę?

– Tak. Daisy właśnie popisuje się swoimi umiejętnościami i zawsze lubi mieć publiczność.

Luciana zaprasza mnie gestem do wejścia. Daisy jest w pełni skoncentrowana i wpatruje się tak intensywnie w swój cel, że dostaję gęsiej skórki.

– Czy w twojej szafie są zwłoki? – pytam.

– Prawie. – Luciana przesuwając harmonijkowe drzwi i po chwili wyskakując zza nich ukryty w ciasnej przestrzeni Bob z imponującą krzaczastą brodą.

– Ta-dam! – woła triumfalnie.

Luciana przewraca oczami, ale uśmiecha się szeroko.

– Okej! – rzuca radośnie i pies zrywa się na nogi.

Machając energicznie ogonem, skacze wokół Boba, a ten ją czochra. Potem Daisy podbiega do mnie, oczekując dalszych pochwał.

- Jest w pełni wyszkolonym psem ratowniczym - wyjaśnia Luciana, wyjmując kolorową piszczącą zabawkę dla podekscytowanego labradora.

- Poszukuje żywych ludzi i zwłok, także w wodzie. Nasz zespół specjalizuje się w ratowaniu ofiar katastrof, co oznacza, że nie wiemy, czy zastaniemy na miejscu osoby żyjące, czy martwe. Nasze psy muszą być w stanie odnaleźć i jedne, i drugie. Nawet one wolą jednak szczęśliwe zakończenia. Zbyt wiele odnalezionych w krótkim czasie zwłok wprawia je w depresję. Wkrótce Daisy będzie szukała ludzkich szczątków, więc musimy pozwalać jej „znajdować” czasem kogoś z nas, by nie była zdeprymowana. Bob tak się tym przejął, że zgłosił się na ochotnika, by być pierwszym celem jej poszukiwań.

- Jest niewątpliwie bardzo podekscytowana - mówię, obserwując, jak Daisy rzuca w powietrze piszczącą zabawkę i ją łapie.

- Ma naturalną potrzebę poszukiwania. Nie da się wyszkolić psa, jeśli nie ma tej cechy.

Bob przyklęka, by pogłaskać psa, a ten mruczy z rozkoszy.

- Kto jest najlepszym psem? Ty jesteś najlepsza! Tak, właśnie ty! Tak, tak, tak!

Nigdy nie widziałam, by tak potężny mężczyzna mówił jak dziecko, ale podoba mi się to. Po bardzo otrzeźwiającej rozmowie z Nemethem ten pokój wydaje mi się szczęśliwym miejscem.

- Sądziłam, że psy poszukiwawcze zazwyczaj sygnalizują szczekaniem, że coś znalazły - zwracam się do Luciany.

- Większość tak robi. Ale to zależy od tresera, a ja nie jestem zwolenniczką szczekania. Moim zdaniem może to przestraszyć zaginioną osobę. Wyobraź sobie reakcję dziecka zagubionego w lesie albo kogoś uwięzionego pod gruzami, gdy usłyszy nagle nad sobą ujadanie obcego psa. Uczę swoje psy, by siadały, kiedy na coś natrafia. Daisy dodała do tego uniesienie łapy. Ma zacięcie do dramaturgii.

Labrador znów macha ogonem. Najwyraźniej jest z siebie zadowolony. Zważywszy, że moja ostatnia pupilka lubiła ostrzyć sobie pazury na moich kostkach i zostawiać na podłodze wypatroszone myszy, Daisy wydaje mi się szczególnie urocza.

– Jestem potwornie głodna – mówię. – Myślałam, żeby zjeść jeszcze porządny gorący posiłek, zanim przejdziemy na cały tydzień na suchy prowiant. Ktoś jest chętny mi towarzyszyć?

– Ja zawsze mogę jeść! – oznajmia Bob, wstając z podłogi.

– Ile jedzenia musicie ze sobą zabrać na siedem dni? – pytam zaciekawiona.

– Nie tyle, ile bym chciał – odpowiada żalosnym tonem, klepiąc się po zaokrąglonym brzuchu. Z ponad stu dziewięćdziesięcioma centymetrami wzrostu przypomina bardziej legendarnego drwała Paula Bunyana niż umięśnionych zdobywców gór, takich jak Nemeth czy Martin, ale jest najwyraźniej wysportowany, nie wspominając o tym, że jedna jego noga odpowiada mniej więcej długością mojemu wzrostowi. Wyobrażam go sobie bez problemu, jak przedziera się przez góry. Małe lasy pokonuje prawdopodobnie jednym skokiem.

– Nie pogardziłabym gorącym posiłkiem – przyznaje Luciana. – Ale nakarmię najpierw Daisy.

– Hm... jeszcze jedno pytanie – mówię, patrząc na nią. – Czy mogłabym dzisiaj spać u ciebie na podłodze? – W pokoju są dwa podwójne łóżka, ale nie chcę być bezczelna. – Głupio wydawać pieniądze na motel, żeby przespać się parę godzin.

Luciana nie daje się zwieść.

– Zakładam, że jeżdżąc od miasta do miasta, by rozwiązywać problemy ludzi, nie zarabia się zbyt wiele?

– Powiedzmy, że gdybym dostała w nagrodę piszczącą zabawkę, byłby to już krok naprzód.

– Może Daisy się z tobą podzieli.

Pies znowu do mnie przybiega. Drapię go za uszami, gdy jego opiekunka nakłada do miski porcję karmy.

– Rób tak nadal, to będzie dziś z tobą spała – ostrzega Luciana.

– Woli po prawej czy po lewej stronie?

– Raczej na środku. To rozpuszczony pies. No i oczywiście, możesz tu przenocować.

– Daisy może spać ze mną – proponuje podekscytowany Bob. – Nie mówcie tylko mojemu mężowi.

Widząc moje zdumione spojrzenie, Bob wzrusza bezpretensjonalnie ramionami i wyjaśnia:

– Ma na imię Rob. Jesteśmy Rob i Bob. Czy może być coś bardziej zagmatwanego? Ale braterstwo dusz to braterstwo dusz.

– Czy on też poluje na Wielkie Stopy?

– Gorzej. Jest neurochirurgiem. Interesuje go tylko nauka. Co ja sobie wyobrażałem?

– Że Rob pozwoli ci kiedyś mieć takiego labradora jak Daisy? – sugeruję.

– Tak! Powiem mu to. Kiedy wrócę do domu, będzie pora na nowego członka rodziny.

– Czy Wielkie Stopy lubią psy?

– Lubię sobie wyobrażać, że Wielkie Stopy są przyjaźnie nastawione do wszystkich, skoro zajmują tak wysoką pozycję w ewolucyjnym łańcuchu pokarmowym.

– Są roślinożerne czy mięsożerne?

– Wszystkożerne.

– Nie jesteś tego pewny.

– Nie mogę być, skoro nie spotkałem jeszcze Wielkiej Stopy. Ale współcześni kryptozoologowie wysuwają teorię, że Wielkie Stopy mają wiele wspólnych cech z małpami, co by znaczyło, że są wszystkożerne. – Bob, niewątpliwie przyzwyczajony do sceptycyzmu, mówi rzeczowo. Jesteśmy pod tym względem bratnimi duszami.

Labrador kończy pałaszować karmę. Luciana zabiera go na zewnątrz, by podlał krzaczki, a potem każe mu iść spać. Daisy nie bardzo się to podoba, ale zwiija się posłusznie w kłębek na dywanie, skąd może obserwować drzwi pokoju, wyczekując powrotu opiekunki.

Odkładam w końcu na bok walizkę i wychodzimy na kolację. Troje ludzi, którzy – mam nadzieję – właśnie się zaprzyjaźnili.

Delektujących się ciszą przed burzą.

MUSIMY CZEKAĆ GODZINĘ NA stolik w restauracji, do której można dojść pieszo z motelu. Przyglądamy się strumieniowi turystów płynącemu nieprzerwanie do lokalu w amerykańskim stylu. Rodziny, pary. Niektórzy podnoszą wzrok i uśmiechają się. Inni nie odrywają oczu od telefonów. Niektórzy wyraźnie obchodzą z daleka Boba. W pewnym momencie zauważam, że on to dostrzega. Patrząc na mnie, wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Co mogę na to poradzić?”

Gdy już siedzimy, Luciana i Bob zamawiają po piwie. Ja koncentruję się na jedzeniu. Nie jestem wybredna. Jem wszystko. Przypuszczam, że okaże się to przydatne, gdy przez kolejny tydzień będziemy musieli poprzestać na racjach żywnościowych. Na samą myśl, że wkrótce będę pozbawiona wyboru, mam ochotę zamówić wszystko z menu. Nachos. Steki. Fajitas. Prawdę mówiąc, nie odmówiłabym piwa.

Wydawać by się mogło, że uzależnienie w końcu człowieka opuszcza. Ale tak nie jest. Mogę przebywać z ludźmi, którzy piją. Pracując jako barmanka, nadal spędzam życie otoczona butelkami alkoholu. Pewne wspomnienia prześladują mnie jednak nadal, jak słowa szeptane przez dawno utraconego kochanka. Zapach chmielu. Stukanie kostek lodu o szkło. Kremowy przepych wlewanej do kufla pianki.

Powinam po czymś takim pójść na spotkanie AA, przespać całą noc, odnaleźć w sercu radość i przeżyć ponownie miłe wspomnienie.

Ale pozostaję sobą. Kobieta, która je kolację z dwiema dopiero co poznanymi osobami, a jednak czuje się samotna w zatłoczonej sali. Nie pamiętam, w jakim dokładnie wieku wypiałam pierwszego drinka. Byłam młoda, bardzo młoda, ale przecież wiele dzieciaków podpija alkohol z kieliszków rodziców, próbując odkryć tajemnice dorosłości.

Większość z nich krzywi się, bo smakuje im jak benzyna do zapalniczek. A tymczasem ja...

Nie pamiętam pierwszego pocałunku. Nie pamiętam matury. Nawet telefon z informacją o śmierci rodziców jest tylko mglistym wspomnieniem, jakby przydarzyło się to komuś innemu.

Ale pierwszy łyk alkoholu, który podkrađłam ojcu... Płynne złoto rozpalające mi gardło. Rozchodzące się w przełyku ciepło, które sprawiło,

że moje niespokojne kończyny i wzburzony umysł ogarnęło nagle błogie odprężenie.

Alkohol jest moją pierwszą miłością i najbardziej toksycznym związkiem. Wszystko inne przy nim błędnie. Nawet moja miłość do Paula.

Podchodzi kelnerka, by przyjąć zamówienie. W restauracji jest tak tłoczno i głośno, że musimy niemal krzyczeć, by dziewczyna nas słyszała. Ja zamawiam fajitas. Luciana – grillowanego kurczaka. Bob prosi o nachos, stek z antrykotu i porcję smażonych brukselek z syropem klonowym. Dla wszystkich, dodaje.

Kelnerka przestaje notować. Po raz pierwszy podnosi wzrok. Wiem z własnego doświadczenia w tej pracy, że ma problem z koncentracją uwagi. Taksuje spojrzeniem potężny tors Boba i jego promieniejącą twarz.

– Przyniosę panu dodatkową porcję chleba – mówi.

– Świetnie!

Odchodzi, nadal jakby trochę skonsternowana. Uśmiecham się, wyobrażając już sobie historie, które będzie opowiadała w kuchni.

KELNERKA PRZYNOSI CHLEB. BOB dziękuje jej wylewnie. Nikt z nas się nie odzywa, ale jest miło. Luciana pisze do kogoś esemesa. Bob jest szczęśliwy z koszykiem chleba. Ja przyglądam się z przyjemnością towarzyszom przy stole, wyobrażając sobie, jak radosne i idealne muszą mieć życie, choć powinnam przecież dobrze wiedzieć, że to nieprawda.

W końcu dostajemy jedzenie: talerz dla mnie, talerz dla Luciany i pół stołu dla Boba. Luciana odkłada telefon i zabieramy się do uczyty.

Pomiędzy kolejnymi kęsami dowiaduję się, że Luciana jest w trzydziestu paru procentach Kolumbijką, ale jej rodzina przeniosła się do Stanów, gdy ona miała osiem lat, i niewiele pamięta z tego, co było wcześniej. Zawsze kochała zwierzęta i jako wolontariuszka w miejscowym schronisku poznała kobietę specjalizującą się w tresurze. W końcu zaczęła pracować z owczarkami belgijskimi, potem z psami ratowniczymi i wreszcie z Daisy.

Jako ratownik zarabia równie dobrze jak ja... i Bob. Wiele osób nie zdaje sobie z tego sprawy, ale dostarczanie psów ratowniczych nawet na światowym poziomie wykszolenia to działalność ochotnicza. Luciana nie śledzi forów o osobach zaginionych, tak jak Bob i ja. Należy do dużej grupy ekip ratowniczych, więc kiedy dzwoni jej telefon, wyrusza z Daisy w drogę. Istnieje sieć pilotów ochotników, którzy transportują ekipy za darmo. W przypadku międzynarodowych akcji taka instytucja jak Czerwony Krzyż może zapłacić za żywność i zakwaterowanie, ale to wszystko.

W ciągu dnia – uśmiecha się, gdy o tym mówi – pracuje online jako menadżerka projektów w firmie ubezpieczeniowej, a nocami trenuje w Jaskini Nietoperzy.

Teraz kolej na Boba. Dorastał w Idaho jako jedno z pięciorga dzieci i przysięga, że jest najmniejszy w rodzinie. Nie wierzymy mu, dopóki nie pokazuje w telefonie rodzinne zdjęcia. Wprawdzie matka i ojciec są nieco niżsi, ale za to znacznie bardziej otyli.

Ojciec i bracia są naprawdę potężni i wyglądają jak zawodnicy linii defensywnej zawodowej drużyny futbolu. Wszyscy członkowie rodziny zajmują się ogrodnictwem i hodowlą zwierząt, co czyni zrozumiałym zainteresowanie Boba kryptozoologią.

Bob mieszka w Waszyngtonie, gdzie uczy biologii w liceum. Letnie wakacje rezerwuje na poszukiwania Wielkich Stóp.

– Dlaczego akurat Wielkie Stopy? – pytam i oczekuję jakiejś osobistej opowieści o bliskim spotkaniu z ogromną małpą.

– A czemu nie? – odpowiada Bob, gryząc ostatnie nachos. A że nadal sceptycznie mu się przyglądam, dodaje wyzywająco: – A dlaczego nierozwiązane przypadki zaginionych osób?

– Bo ktoś musi je odnaleźć, a niestety, władze często ich nie szukają.

– Właśnie. – Bob promienieje. W jego miedzianej brodzie widać resztki sera. Przypomina nordyckiego boga.

– Jak znalazłaś się w tej grupie? – zwracam się do Luciany.

– Pracowałam wcześniej z Nemethem. Poszukiwaliśmy starszego mężczyzny, który zaginął w górach. Kiedy Nemeth zadzwonił,

przyjechałam.

– A ty? – pytam Boba.

– Marty skontaktował się ze mną parę lat temu i poprosił o informację. Od tamtego czasu współpracujemy.

– Wiecie o innych zaginionych osobach w tych okolicach?

– Tak. W sumie jest ich sześć.

Lisa Rowell twierdziła, że co najmniej pięć. Więc sześć brzmi wiarygodnie.

Luciana kiwa głową; najwyraźniej jest zorientowana w sytuacji.

– Jakie mamy szanse na powodzenie akcji? – pytam, nie zwracając się konkretnie do nikogo.

Odpowiada Luciana.

– Myślę, że coś znajdziemy. Albo raczej Daisy coś znajdzie. Powiedzieć ci pewną ciekawostkę dotyczącą poszukiwań prowadzonych na dużą skalę w górach?

– Jasne.

– Ochotnicy niemal zawsze odnajdują jakieś ciało. Ale nie to, którego szukają. Tak wiele jest w lasach ludzkich szczątków.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć.

Bob przygląda się nam obu z nadzieją.

– A więc... deser? – pyta.

ZANIM DOCIERAMY DO MOTELU, jest już dziewiąta. Zgodnie z przewidywaniami Lisy Rowell temperatura gwałtownie spadła i przyciskam mocno ramiona do piersi, by się rozgrzać. Słońce już zaszło. Nad nami gwiazdy lśnią jak rozsypane diamenty na granatowym niebie. Widok jest piękny, hipnotyzujący i uczy pokory.

Czuję ekscytację i niepokój, jak przed każdym nowym zadaniem. Zdenerwowanie. Lęk. Taką mam osobowość. Już jako dziecko nie mogłam usiedzieć spokojnie. Zawsze szukałam czegoś nowego, czegoś więcej, niż miałam przed sobą. Co przełożyło się na ponad dwadzieścia lat

nałogowego picia, zanim spotkałam Paula. To on nauczył mnie cierpliwości i akceptacji, której nie potrafiłam sobie okazać.

Teraz mam pracę, którą niewiele osób rozumie. Stojąc na parkingu, z Bobem z jednej strony i Lucianą z drugiej, myślę, że nigdy już nie spotkam takich bratnich dusz. Jedyna różnica między nami polega na tym, że dla nich jest to uboczna działalność, podczas gdy ja porzuciłam wszystko, co było dla mnie ważne, by być tutaj, z ludźmi, których wcześniej nie znałam, i szukać kogoś, kto nigdy nie wróci do domu żywy.

Jestem zmęczona. Nadpobudliwa. Chcę zapuścić się w las i odnaleźć szczątki Timothy'ego O'Daya, żeby jego matka mogła spokojnie umrzeć. Chcę wrócić jak najszybciej do Bostonu i położyć głowę na mocnym ramieniu detektywa Dana Lothama. I niech się dzieje, co chce. Upadnę, żeby mógł mnie złapać. Nasze ciała stopią się ze sobą. Będzie gładził moją skórę i sprawiał mi większą rozkosz niż ta, jaką odnalazłam kiedykolwiek w butelce.

Tyle że potem nastanie poranek.

Zawsze tak się dzieje.

I on będzie chciał nadal trzymać mnie w objęciach, bo jest tego typu człowiekiem. Lubi rozwiązywać zagadki i naprawiać popsute rzeczy.

Ale ja nie jestem zagadką i zdecydowanie nie wymagam naprawy.

Jestem po prostu... sobą.

Nemeth czeka na oświetlonym parkingu. Ma pod nogami dwa plecaki: żółty, ogromny, który należy do Josha, i mniejszy – mam nadzieję, że lżejszy – który, jak się domyślam, jest dla mnie.

– Jak się czuje Josh? – pyta go Luciana.

– Jest na detoksie. Pozostali już wrócili i szykują się na jutro.

Nemeth podnosi oba plecaki i wręcza mi je.

– Spakuj rzeczy. Wiesz, gdzie znaleźć wszystko, co potrzebne. Samochody będą tutaj o szóstej rano. Nie spóźnij się.

I tyle. Oddała się. Bob wraca do swojego pokoju. A ja idę z Lucianą. Daisy wita nas z widoczną radością.

Mam dziewięć godzin, by nauczyć się wszystkiego, czego nie wiem o spędzaniu tygodnia w leśnych ostępach.

Rozdział 6

LUCIANA CHCE IŚĆ PIERWSZA do łazienki.

– Ostatni gorący prysznic na cały tydzień – mówi, chwytając niewielką kosmetyczkę z przyborami toaletowymi. – Nie czekaj na mnie.

Nawet o tym nie myślałam, ale teraz ja też rozpaczliwie potrzebuję gorącego prysznicza. Siadam na podłodze z moimi bagażami po jednej stronie i dwoma plecakami po drugiej. Daisy wpatruje się tęsknie w zamknięte drzwi łazienki, po czym wzdycha ciężko i kładzie się obok mnie.

– Wiesz coś o sprzęcie do biwakowania? – pytam ją.

Macha ogonem, ale nie daje mi żadnej rady.

Zaczynam od opróżnienia plecaka Josha. Układam w stertę żywność, użyteczną odzież i sprzęt kempingowy. Dodaję do tego własną skromną kolekcję rzeczy i optymistycznie wciskam wszystko do mniejszego plecaka. Szybko okazuje się jednak, że nie mogę go zapiąć. Kto by się spodziewał, że kobieta, która potrafi zmieścić całe swoje życie w jednej walizce, będzie nagle miała zbyt duży bagaż?

Dokonuję drugiej próby ograniczenia się do niezbędnych rzeczy. Zamiast sześciu koszul pakuję cztery. Podobnie robię z resztą odzieży.

Zastanawiam się nadal nad wyborem spodni, gdy Luciana wyłania się z łazienki. Przeczesa jej grzebieniem mokre włosy, przyglądając się moim poczynaniom.

– To cała twoja odzież?

– Zabieram niewiele.

– Żadnych spodni trekkingowych, szybkoschnących koszul, podkoszulków pochłaniających wilgoć?

– Istnieją takie?

Wzdycha ciężko i lustruje mnie z góry na dół.

– Jesteś mniejsza ode mnie, ale niewiele.

Może niższa. Ale jeśli chodzi o figurę, kolumbijska piękność ma kształty, za którymi tęskniłam całe życie i nigdy nie zdołałam ich osiągnąć.

Podchodzi do swoich rzeczy ułożonych w stertę obok szafy.

– Po pierwsze, nie zwracaj sobie głowy džinsami – oznajmia. – Dżins jest zbyt sztywny, powoduje obtarcia.

– Obtarcia? – Przyglądam się nieufnie swoim džinsom. Nie miałam pojęcia, jakie kryją zagrożenia.

– Przymierz te. – Rzuca mi parę oliwkowych spodni. Są niewiarygodnie lekkie, sznurowane w pasie, mają mnóstwo kieszeni i zamki błyskawiczne na nogawkach. Po to, żeby móc zamienić je w szorty, uświadamiam sobie. Jestem już pod wrażeniem. To odzież zaprojektowana dla minimalistów.

Luciana rzuca mi dwa podkoszulki i zapinaną pod szyję niebieską koszulę. Są lżejsze i miększe niż którykolwiek z moich ciuchów, poza tym uszyte najwyraźniej z szybkoschnących materiałów. Dotykam ich z podziwem, gdy Luciana podchodzi do mojego plecaka i wyciąga wszystko, co zdołałam w nim upchnąć.

– Ale Nemeth zaaprobował te rzeczy – protestuję. – Przysięgam. Już je wszystkie przejrzelśmy!

Ignorując mnie całkowicie, Luciana kontynuuje oględziny.

– W porządku, Josh może i jest pijakiem, ale przynajmniej wiedział, co robi. Zauważ, że masz za dużo rzeczy tego samego rodzaju. Wodoodporne zapalniczki i zapalniczka na gaz, apteczka i zestaw plastrów, latarka na głowę i zwykła. Jest takie powiedzenie: „Licz na najlepsze, ale bądź przygotowana na najgorsze”.

– Jasne.

– Porozkładaj w różne miejsca rzeczy, które zabierasz. Włóż zapalniczki do plecaka, a zapalniczkę do kieszeni. W ten sposób, jeśli stracisz plecak, nadal będziesz mogła rozpać ogień.

– Nemeth radził, żebym miała nóż przy sobie. – Wyjmuję z pochwy taktyczną broń, by pokazać ją Lucianie.

– Cholera! Noszę zwykły nóż, przydatny w lesie, ale jest o połowę mniejszy i nie tak niebezpieczny. – Bierze go do ręki. Wyglądające groźnie ząbkowane ostrze lśni w świetle motelowego pokoju. – Uznałabym to za broń szturmową. Stanowiącą wyposażenie jednostek specjalnych.

– Czy to dobrze, że Josh ma coś takiego?

– Nie wiem. Chyba świadczy o tym, że traktuje noże bardzo serio.

Wyczuwam jednak w jej głosie lekkie zawahanie, które mnie niepokoi. W mojej pracy ważniejsze jest często nie to, co ludzie ci mówią, ale co przemilczają.

– Okej, wróćmy do podstawowej wiedzy na temat wypraw w góry. – Luciana skupia znów uwagę na stercie moich rzeczy. – Jeśli chcesz przetrwać, musisz pamiętać regułę trójek: można przeżyć trzy minuty bez powietrza, trzy godziny bez schronienia, trzy dni bez wody i trzy tygodnie bez jedzenia. Sama ustalasz priorytety.

Podchodzę do tego sceptycznie.

– Potrafię przeżyć dłużej niż trzy godziny bez schronienia.

– Zakładamy niesprzyjające warunki, na przykład zamieć śnieżną, gwałtowną ulewę albo strasznie wysokie temperatury. Hipertermia zabija szybciej, niż ci się wydaje.

Teraz pojęłam.

– Reguła trójek dotyczy zatem ustalania priorytetów – mówię. – Muszę zadbać przede wszystkim o to, by mieć czym oddychać. Potem o schronienie i wodę. I nie martwić się zanedo o jedzenie.

– Właśnie. Ta zapalniczka za dolara – Luciana podnosi ją – oznacza ogień. Pomoże zapewnić schronienie, dostarczając w nocy ciepła, i przegotowaną wodę do picia. Ten wspaniały, choć trochę przerażający nóż pozwoli zbudować schronienie i uzyskać podpałkę, żeby rozpalić ognisko. Już same te dwa przedmioty mogą bardzo pomóc w utrzymaniu cię przy życiu.

– A więc powinnam mieć je przy sobie.

– Widzisz, masz wrodzony talent. A teraz gwizdek.

– Mam gwizdek! – Jestem autentycznie podekscytowana. – Noszę go zawsze, gdy trafiam do niebezpiecznych dzielnic.

– Uważasz, że gwizdek to dobry sposób na samoobronę w mieście? Chcesz zginać?

Nie odpowiadam na to pytanie.

– Gwizdki są zbyt pękate, by trzymać je w kieszeniach spodni. Polecam coś takiego. – Luciana rzuca w moim kierunku plecioną bransoletkę w maskującym kolorze. Chwytam ją w locie, czując pod palcami jej splot.

– Widziałam już takie rzeczy. To nylonowa żyłka spleciona w modny gadżet. – Rozpinam plastikową klamerkę i odkrywam zaskakująco solidny jęczyzek ze stali nierdzewnej.

– Widzisz tę lekko ząbkowaną krawędź? – Luciana wskazuje na metalowy jęczyzek. – Może służyć jako niewielkie ostrze. A teraz dmuchnij w drugi koniec klamerki.

Spoglądam na nią zaskoczona, ale posłusznie wydymam wargi, by dmuchnąć. Z wnętrza plastikowej zapinki dobywa się cichy gwizd. Próbuję ponownie, z większą siłą, i słyszę w nagrodę głośniejszy dźwięk.

– To gwizdek!

– Można go nosić na nadgarstku, a w dodatku jest wyposażony w niewielkie ostrze i przydatną linkę. – Luciana promienieje z dumy.

Nie mam jej tego za złe. Ta bransoletka bardzo mi się podoba. Przypomina mi moje kłamry do włosów za pięć dolarów, które mają z jednej strony ząbkowane krawędzie, a wewnątrz poręczne narzędzia. Nie posunęłabym się do tego, by twierdzić, że ocalał mi życie w głuszy, ale przydały się jako wytrych przy paru włamaniach.

– A więc zapalniczka w kieszeni, nóż przy pasie, bransoletka z linki na nadgarstku – podsumowuje Luciana. – Na koniec ta mała podręczna latarka, którą możesz wsunąć do którejś kieszonki w nogawkach spodni. Nie powinnaś wędrować po lesie w ciemnościach, nie tylko dlatego, że pewnie byś się zabiła, ale też dlatego, że inne stworzenia uznałyby cię za pożywienie i odpowiednio potraktowały.

– Naprawdę sądzisz, że niedźwiedź grizzly przejąłby się migoczącym światłem latarki kieszonkowej?

– Mam nadzieję nigdy tego nie sprawdzać.

– Nosisz broń? – pytam zaciekawiona.

– Nie. Nie lubię broni i nie jestem pewna, czy zdobyłabym się na zastrzelenie żywej istoty, nawet szarżującego niedźwiedzia.

– A gdyby napadł Daisy?

– Wtedy zabiłabym go gołymi rękami i broń byłaby zbędna.

– Nie wątpię w to ani przez sekundę.

– Nemeth ma karabin – dodaje Luciana. – Odpowiada za nas jako przewodnik. Ja mam w zestawie środek do odstraszania niedźwiedzi. Naszą najbardziej użyteczną bronią będzie jednak wielkość ekipy. Dzikie zwierzęta są nieśmiałe. Nie zechcą atakować ośmiorga ludzi i psa. Po prostu nocą nie oddalaj się za bardzo od obozu. Wybierz najbliższy krzaczek, przykucnij, wysikaj się i wracaj.

– Nie mam w plecaku papieru toaletowego.

Luciana przewraca oczami.

– Serio, dziewczyno, pod koniec tego tygodnia nie poznasz samej siebie.

Podnoszę jeden z kilku rozrzuconych na dywanie przedmiotów, o których jeszcze nie wspomniała.

– Po co facetowi podpaski w plecaku?

– To połowy zestaw pierwszej pomocy. Idealny na powstrzymanie silnego krwawienia. Przyciska się go do rany i obandażowuje. Tampony też się nadają.

Pocieram bezwiednie stosunkowo nową bliznę na ramieniu, po czym zaczynam podnosić każdą z rzeczy i wkładać je z powrotem do plecaka.

W głębi pokoju Luciana robi to samo. Zauważam, że zwija każdą część garderoby, by upchnąć jak najwięcej. Biorę z niej przykład i tym razem, kiedy kończę, udaje mi się zapiąć plecak na zamek.

Dźwigam go z podłogi. Sporo waży, ale mniej niż plecak Josha.

Dam radę, mówię do siebie. Zapalniczki na gaz, wchłaniająca wilgoć odzież, reguła trójek. Nic, czemu bym nie podolała.

Potem pędzę do łazienki, by Luciana nie zauważyła paniki na mojej twarzy.

DZIESIĄTA TRZYDZIEŚCI. ZGASZONE ŚWIATŁA. Luciana i Daisy pogrążone już we śnie w jednym łóżku. A ja całkowicie przytomna w drugim.

Pies lekko pochrapuje. Rytmicznie i uspokajająco. Próbuję się na tym skoncentrować. Zastanawiam się jednak głównie nad tym, co by się stało, gdybym zadzwoniła teraz do Lothama. Dwie godziny różnicy czasu, co oznacza, że w Bostonie minęła już północ.

Zapewne śpi. Albo pracuje nad jakąś ważną sprawą. Tak czy inaczej, czy odebrałby telefon? Wiele razy sięgałam po tanią komórkę, by wystukać jego numer, a potem ją zamykałam i odkładałam na bok.

Wiele razy myślałam o nim i zmuszałam się, by iść dalej.

Teraz też powinnam to zrobić. Życ bieżącą chwilą. Zająć się Timothyem O'Dayem i zadaniem, którego się podjęłam. Spać. Jutro będzie ciężki dzień.

Ale nie zapadam w sen.

Rozbudzona wpatruję się w sufit, pragnąc czegoś, czego nie mogę mieć. Tęskniąc za człowiekiem, którego postanowiłam porzucić.

W końcu przewracam się na bok. Wyobrażam sobie Patrice O'Day wyczekującą powrotu syna do domu. Widzę oczami wyobraźni, jak na jej twarzy wygładzają się zmarszczki, gdy mąż wraca wreszcie ze szczątkami Tima. Jak jego koledzy oddychają z ulgą, pozbywając się ciężaru winy.

Ukochana osoba zostaje odnaleziona. Misja wykonana.

Dobrze, wmawiam sobie. To wystarczy.

I to kłamstwo pozwala mi przetrwać do rana.

Rozdział 7

NIKT SIĘ NIE ODZYWA, gdy rozbrzmiewa przenikliwy dźwięk budzika. Luciana natychmiast zrywa się na nogi, ubiera się i zajmuje psem. Ja jestem półprzytomna z niewyspania. W moim świecie piąta rano to pora, by się położyć, a nie wstawać.

Żadnych pogawędek, żadnego śniadania. Ubieramy się, bierzemy nasze rzeczy i w drogę. Po chwili jesteśmy na zewnątrz, gdzie czekają dwie białe furgonetki z uruchomionymi silnikami, a Nemeth stoi na środku parkingu jak kontroler lotów i kieruje część z nas w jedną stronę, a część w drugą. Trafiam do tego samego pojazdu co Luciana, Daisy, Bob i Nemeth. Martin i koledzy jego syna wsiadają do drugiego.

Jadą osobno, myślę, gdy słońce zaczyna wyłaniać się nad horyzont. Koledzy Tima z uczelni i jego ojciec stanowią jedną ekipę, my drugą. Powinnam się nad tym zastanowić, ale jest zbyt wczesna pora, mam zmacony umysł. Opieram głowę o chłodną szybę samochodu i przysmykam oczy.

Nagle furgonetka się zatrzymuje, otwierają się przesuwane drzwi i Nemeth wysiada.

– Zostawcie bagaże poza plecakami w samochodzie. Marge zaopiekuje się nimi przez resztę tygodnia.

Wtedy uświadamiam sobie, że siedząca za kierownicą starsza pani w maskującym uniformie to właścicielka restauracji. Nemeth kładzie jej delikatnie rękę na ramieniu, co w normalnych relacjach można by uznać za koleżeński gest, ale domyślam się, że w jego świecie powściągliwych zachowań jest to publiczna deklaracja zażyłości. Marge nawet na niego nie patrzy, tylko przygląda się nam taksującym chłodnym spojrzeniem.

Jestem niemal pewna, że są bratnimi duszami.

Dobry Boże, gdzie jest kawa?

Bob wysiada z furgonetki. Luciana i Daisy również. Wydają się wiedzieć, co robią, więc idę w ich ślady. Rzucam plecak na ziemię, a potem, nieco poniewczasie, wyciągam aerozol odstraszający owady. Pozostali też spryskują się obficie. Nawet Daisy zostaje popsikana bezpiecznym dla psów miętowym środkiem przeciw komarom. Potem wszyscy zakładają plecaki. Labrador w czerwonej kamizelce z wypukłymi kieszeniami i butelką wody pasuje do grupy.

Skoro pies daje sobie radę, myślę, to i ja mogę.

Oczywiście pies został o wiele lepiej przeszkolony.

Marge daje Nemethowi znak skinieniem głowy. To jakiś sygnał, że wszystko gotowe. Próbuje nadal pojąć, jak zdołała upchnąć bujne loki pod kapeluszem w kolorze khaki, gdy Nemeth odpowiada jej tym samym gestem. I tyle. Żadnego namiętnego pocałunku przed rozstaniem na tydzień, nawet cmoknięcia w policzek. Ona wraca do furgonetki, on podchodzi do nas.

Myślę, że to być może najbardziej romantyczna scena, jakiej kiedykolwiek byłam świadkiem, gdy Nemeth staje przede mną, przygląda się mojemu plecakowi i zaciska mocniej pasy. Skinąwszy głową, cofa się o krok.

– Dzisiaj mamy dotrzeć do docelowego obszaru – oznajmia. – Przez pierwszych dwanaście kilometrów będzie nie najgorzej, ale nie dajcie się zwieść. Dopiero potem zacznie się wspinaczka. Nie kłamie. Ostatnie półtora kilometra to piekło.

I tyle podnoszącej na duchu przemowy.

– Pamiętajcie, że powoli znaczy równomiernie, a równomiernie to szybko. Mamy przed sobą tydzień ogromnego wysiłku. Nie można się wygłupić pierwszego dnia. Luciana i Daisy – patrzy na psa i jego opiekunkę – wy nadajecie tempo. Z nas wszystkich Daisy ma najtrudniejsze zadanie. Musimy zapewnić jej wszystko, czego potrzebuje.

Zauważam, że czerwona kamizelka Daisy nie jest typową uprzężą, jaką noszą psy ratownicze podczas wykonywania misji. Ma to sens, skoro dzisiaj mamy tylko dotrzeć do obszaru poszukiwań. Węszenie to ciężka praca. Po co męczyć przedwcześnie najcenniejszego członka ekipy.

- Umawiamy się tak - kontynuuje Nemeth tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Kiedy mówię „stop”, stajecie. Kiedy mówię „pijemy”, pijecie. Gdy mówię „przerwa na posiłek”, jecie. Gównu mnie obchodzi, czy akurat macie na to ochotę. Stanowimy ekipę. Ja jestem przywódcą. Ma być tak, jak mówię.

Trochę przytomnieję i staję prosto. Cholera, ten facet jest dobry, i nie tylko dlatego, że ma przewieszony przez ramię karabin.

- Gdybyście mieli jakiegokolwiek problemy z maszerowaniem - przerywa na chwilę i powtarza: - jakiegokolwiek, macie mi to zgłaszać. Zatrzymamy się, poprawicie sobie but, zmienicie skarpetki, założycie plaster, co tylko będzie konieczne. Główną przyczyną nieudanych ekspedycji nie są niedźwiedzie grizzly ani upadki ze skał, ani złamane nogi, tylko odciski. Nie będzie żadnych odcisków. Jasne?

Posłusznie kiwamy głowami. Na Martinie i młodych mężczyznach jego słowa nie robią najwyraźniej zbyt dużego wrażenia, bo z pewnością słyszeli już ten wykład. Przeglądam w myślach każdy centymetr moich stóp i informuję je, że będą zdrowe i szczęśliwe, skoro Nemeth tak mówi. Chcę wierzyć, że wzbudza to ich podziw.

- Jeśli zaczną boleć was plecy albo ramiona, macie to zgłosić. Zatrzymamy się i osobiście poprawię wam plecak. - Nemeth wpatruje się we mnie. - Gdy wszystkim będzie wygodnie, ruszymy w dalszą drogę. Ale pamiętajcie: to potrwa siedem dni. Co dokucza wam teraz, jutro może was zabić. W tej wyprawie nikt nie ma zginąć.

Jestem o tym całkowicie przekonana. Cokolwiek ten człowiek powie, dołączam do ekipy. Może powinnam była przejść w młodszym wieku szkolenie wojskowe, bo prawdę mówiąc, czuję się trochę zakręcona. Wiem, że wkrótce go znienawidzę, bo od dawna mam problem z autorytetami. Ale w tym momencie spijam z jego ust każde słowo i czekam na więcej.

- Jeśli się zmęczycie, mówcie. Także jeśli zachce wam się pić. Albo jeśli z jakiegokolwiek powodu będziecie potrzebowali przerwy.

Zgodnie kiwamy głowami.

- I ostatnia zasada: zwracajcie uwagę na osobę przed wami. Zaczynamy na wytyczonej ścieżce, ale wkrótce dotrzemy na odludzie, gdzie droga jest źle oznakowana. Pod koniec nie będziemy szli w ogóle szlakiem, tylko wędrowali przez rozległe przestrzenie Popo Agie Wilderness. Jeśli nie byliście tu wcześniej albo nie jesteście naprawdę dobrzy w odnajdywaniu drogi na pustkowiu, nie odłączajcie się od grupy. Mamy zbyt wiele do zrobienia, by tracić czas z powodu czyjejś głupoty.

Znów patrzy na mnie. Mam ochotę pokazać mu język. Ale boję się, co mógłby mi potem zrobić.

Ponieważ nikt nie zadaje pytań, nie sprzeciwia mu się ani nie wdaje w dziecinne dyskusje, Nemeth kiwa głową i klaszcze w dłonie.

- Do roboty. Ruszajcie się.

Daje nam około sześćdziesięciu sekund, byśmy byli gotowi ze sprzętem, odzieżą i butami, a potem odwraca się bez słowa i rusza na szlak. Martin podąża tuż za nim.

Rozglądam się wokół. Ostatnie spojrzenie na cywilizację? Bob trąca mnie w ramię i uśmiecha się mobilizująco, jakby czytał w moich myślach. Daje mi znak, żebym szła przed nim. Potężny łowca Wielkich Stóp najwyraźniej chce zamykać pochód. Nie mam czasu się nad tym zastanawiać, bo pozostali członkowie ekipy szybko się oddalają, a ja mam świeżo w pamięci przestrogi Nemetha. Nie wiem, gdzie jestem ani jak się poruszać. Po ulicach miast owszem, wiem, ale nie między drzewami na górzystym terenie.

Przyspieszam kroku, by nie pozostać z tyłu. I tak oto zaczynamy wyprawę.

Timothy O'Day, gotowy czy nie, nadchodzimy.

JAK ODNAJDUJE SIĘ ZAGINIONĄ osobę?

Nie mam żadnego wykształcenia ani nawet jednolitego podejścia. Nie jestem policjantką i nie korzystam z laboratoriów kryminalistycznych, choć na ogół, zanim włączam się do sprawy, wszystkie istotne dowody są już zebrane, przeanalizowane i odrzucone jako bezużyteczne przez

lokalne władze. Nie jestem hakerką, więc nie zanurzam się w mrocznym oceanie internetu, by odkryć brudne tajemnice ofiary, które skłoniły ją do ucieczki do całkiem nowego życia. Szczerze mówiąc, nie spotkałam się jeszcze z sytuacją, by zaginiona osoba zaaranżowała swoje zniknięcie albo przepadła bez śladu z własnej woli.

Niektóre przypadki budziły pewne zainteresowanie policji, co oznaczało, że zbadano już oczywiste opcje, ale bez rezultatu. Czasem jednak, zwłaszcza w ubogich społecznościach, miejscowe władze nie fatygowały się nawet, by wszcząć śledztwo. Takie sytuacje najbardziej mnie irytują: przekreśla się czyjeś życie, nie zadawszy ani jednego pytania. Ale nawet wtedy, po upływie wielu miesięcy lub lat, ktoś zaczyna poszukiwania. Bliska osoba, zmartwiony przyjaciel, zaniepokojony sąsiad.

Na ogół angażując się w sprawę, sprawdzam najpierw, co przyniosło dotychczasowe śledztwo, dokładne lub pobieżne. Czasem naprowadza to na zupełnie nowy trop: chwileczkę, nikt nie zapytał o tego faceta, który zamieszkał u góry? Innym razem drapię się tylko w głowę, wiedząc, że nie będzie łatwo.

Co prowadzi mnie do drugiego kroku, który nie ma nic wspólnego z naukowym podejściem: pokazać się, pochodzić po okolicy, popytać, kogo się da, i nie wyznaczając konkretnego celu ani kierunku, po prostu zajrzeć pod kilka kamieni – może coś tam się znajdzie.

Policjanci powiedzą, że nie mają czasu szukać na chybił trafił. Krewni przyznają, że czują się często zbyt zażenowani.

W tym momencie dobrze jest być w mojej sytuacji. Ani szukanie na chybił trafił, ani zażenowanie nie jest dla mnie problemem. Pracuję zawsze obsesyjnie nad jedną sprawą, w przeciwieństwie do najbardziej nawet oddanego pracy detektywa, który ma ich równocześnie dziesiątki. Nic nie łączy mnie z zaginioną osobą, co oznacza, że mogę zadawać wszelkie pytania, nie licząc się z ograniczeniami.

Jak to wszystko się ma do tygodniowej ekspedycji, mającej na celu odnalezienie ludzkich szczątków? Borykam się z tym pytaniem, idąc lekko zdyszana po szlaku, zadowolona z tempa marszu, zachwycona rzeźkim górskim powietrzem i uśmiechnięta na widok Daisy, która cieszy się

szczerze wszystkim. Jestem tu, żeby pomóc. Obiecałam, że to zrobię. Ale jak?

Nie ma sąsiadów, którym mogłabym zadawać pytania, ulic, po których bym się włóczyła, ani motywów do przeanalizowania. Tim wyszedł w środku nocy, by wezwać pomoc dla przyjaciela. Szlachetny gest. To, co zdarzyło się potem, było koszmarem. I zważywszy na okoliczności, jest do przeszukania zbyt rozległy obszar, nie ma żadnych świadków, śladów ani poszlak.

Nemeth jest ekspertem od topografii. Ustali, gdzie Tim mógł zboczyć z trasy. Martin wie doskonale, jak jego syn radził sobie z rozwiązywaniem problemów, jakie mógł podjąć decyzje, gdy się zgubił.

Do czego, u diabła, ja mogę się przydać? Jako dodatkowa para oczu? Sama w to nie wierzę. Jeśli cokolwiek znajdziemy, to dzięki niezwykłemu nosowi Daisy, a nie naszemu mocno ograniczonemu wzrokowi.

Tyle że nie tylko ja jestem dość bezużytecznym członkiem tej ekipy. Drużbowie Tima, wnosząc z ich zeznań, nie mają pojęcia, co się stało, gdy Tim opuścił obóz. Scott, który swoim zniknięciem zapoczątkował ten łańcuch tragicznych wydarzeń, nie pamięta nawet, jak się zgubił. I żaden z nich nie był entuzjastą biwakowania – to była pasja Tima. Chcieli po prostu sprawić mu przyjemność.

I tak oto przemierzamy las, zatrzymując się, gdy Nemeth każe nam przystanąć, i spożywając na siłę proteinowe batony, gdy rozkazuje nam się pożywić. Fascynuje mnie to, jak ci trzej faceci – Scott, Neil i Miggy – unikają towarzystwa pozostałych.

Przedstawili się rano, zachowując dystans. Od tamtej pory nie słyszałam, by cokolwiek mówili, choć nasza ośmioosobowa ekipa podzieliła się szybko na małe grupki. Nemeth i Martin – dwaj przywódcy – idą na czele. Nemeth niesie karabin, lecz co jakiś czas przekazuje go Martinowi.

Trzej młodzi mężczyźni podążają rzędem za nimi. Mają opuszczone głowy i pochmurne twarze. Robią, co im się każe, niczego nie kwestionują. Czy wszyscy trzej brali każdego lata udział w tej beznadziejnej misji? Zastanawiam się, czy to nie te coroczne

poszukiwania doprowadziły czwartego członka ich grupy, Josha, do alkoholizmu. Albo poczucie winy z powodu tamtej nocy.

A może coś zupełnie innego?

Luciana i Daisy idą kawałek za młodymi mężczyznami. Luciana co jakiś czas spuszcza psa ze smyczy, ale przywołuje go natychmiast, gdy tylko ten zapuszcza się w las za wiewiórkami. Postępuje jak Nemeth – wymaga dyscypliny.

Podążam tuż za Lucianą i Daisy. Na razie wszystko jest w porządku. Trochę bołą mnie łydki i brakuje mi tchu, odkąd wyruszyliśmy, ale to nic strasznego. Oczywiście jest jeszcze wczesnie. Nie mam pojęcia, ile kilometrów przeszliśmy, i nie chcę tego wiedzieć. Jak każdy uzależniony człowiek ćwiczyłam przez dziesięć ostatnich lat posuwanie się do przodu małymi krokami. Nie zrezygnuję ze swojej jedynej konkurencyjnej przewagi.

Bob pilnuje tyłów. Gdy zatrzymujemy się na przekąski, konferuje z Nemethem i Martinem, co skłania mnie do przypuszczeń, że jest trzecim przywódcą grupy. Jako łowca Wielkich Stóp powinien znać się na chodzeniu po górach niemal tak dobrze jak dwaj pozostali. Zajmuje więc strategiczną pozycję na końcu kolumny – ma pilnować, by nikt nie został z tyłu.

Niewiele mówi, idąc powoli za mną, ale ma w sobie energię, która dodaje otuchy. Wydaje się, że spośród nas wszystkich tylko on i Daisy są w radosnym nastroju. Nemeth to skaut o orlim spojrzeniu, który nie spocznie ani przez chwilę. Martin jest napięty jak struna. Trzej koledzy z uczelni są zamknięci w sobie, Luciana działa w trybie pracy, mimo że na razie dała wolne swojemu psu, a ja tkwię w moim małym pieprzonym światku, co szczerze mówiąc, jest dla mnie normą.

Tworzymy więc bardzo interesującą grupę. Ubita ścieżka, przysypana tu i ówdzie igłami sosen, wije się wstęgą przez las między trawą i krzakami. Powietrze ma zapach rozgrzanej słońcem żywicy i lodowatych strumieni, z nutą woni aerozolu przeciw owadom, kremu z filtrem przeciwsłonecznym i ludzkiego potu. Czuję na twarzy zieloną, błękitną i brązową pieszczotę.

Czasem słycać brzęczenie owadów. Szept wiatru w wysokich sosnach. Trajkot wiewiórek niezadowolonych z nadejścia intruzów. Timothy O'Day kochał te lasy. Wybrał to miejsce, te góry, te szlaki, by uczcić z przyjaciółmi ostatnie dni kawalerskiego stanu.

Nagle do mojej świadomości dociera obecność czających się wokół głębszych, mroczniejszych cieni. Ustawiczny stukot butów, uderzających o ziemię, widok karabinu przewieszzonego przez ramię Nemetha, milczenie przyjaciół, którzy wyruszają raz jeszcze na poszukiwanie szczątków kolegi.

Co mogę dodać do tej ponurej stypy, będącej zarazem misją ratunkową?

Może w tym przypadku nie chodzi wcale o to, by zadawać odpowiednie pytania lub mieć wyczulone ucho na niewłaściwe odpowiedzi. Może po prostu wiem i uświadamiam sobie – jak mało kto – że w tej niemal niedostępnej głuszy największym zagrożeniem jest ośmioro ludzi, którzy właśnie się w nią zapuścili.

Rozdział 8

NASTĘPNY POSTÓJ ROBIMY NA niewielkiej polanie u szczytu wzgórza. Otacza nas las, nadal dość gęsty, by przesłaniać jakiegokolwiek widoki. Oznacza to, niestety, że nadal nie jesteśmy blisko tak zwanego Kanionu Diabła. Zważywszy, że nie minęło jeszcze południe, prawdopodobnie nie zaczęliśmy nawet drugiej – tej trudniejszej – części trasy, przed którą ostrzegął nas Nemeth. Powinnam się zatem przyzwyczajać, że to ożywiające napięcie mięśni nóg zmienia się powoli w palący ból.

Nemeth zauważył słusznie, że chodzenie po górach to nie to samo co spacerowanie po mieście. Ale ponieważ należę do osób, które prędzej umrą, niż przyznają, że ktoś inny ma rację, nadal jestem przekonana, że sobie poradzę. Choćby po to, by wkurzyć szefa.

Początkowo przystawaliśmy na krótko, żeby napić się ciepłej wody i zjeść batony, ale teraz Nemeth i Martin podchodzą do zwalonego drzewa, zdejmują plecaki i siadają. Czy to oznacza przerwę na lunch? Czy podczas wypraw w góry istnieje coś takiego?

Pozostali szybko biorą z nich przykład. Uczelniani koledzy przysiadają z jednej strony, Bob, Luciana i Daisy z drugiej. W pierwszym odruchu chcę podejść do tych trojga. Lubię ich, nie mówiąc już o tym, że stanowimy jakby osobną grupę. Podobieństwa się przyciągają.

Ale ja nigdzie nie przynależę. Kieruję się więc do miejsca, gdzie siedzą Martin i Nemeth. Stykają się niemal głowami, wpatrzeni w niezastąpioną mapę.

Nemeth pierwszy podnosi wzrok; lustruje błękitnymi oczami najpierw mnie, a potem las. Możliwe, że ten doświadczony przewodnik jest po części cyborgiem. Wcale bym się nie dziwiła, biorąc pod uwagę, że jestem przesiąknięta potem, podczas gdy na jego skórze widać tylko warstewkę wilgoci.

Znów skupia na mnie uwagę.

– Jak plecak? – pyta.

– W porządku. – Czuję się, jakbym dźwigała na ramionach dziesięcotonowy budynek, ale pewnie tak ma być. Pozbywszy się ciężaru, uświadamiam sobie, że mam przyklejoną do pleców koszulę. Nie jest to przyjemne uczucie.

– A buty?

Zerkam w dół.

– Wspaniale – rzucam. – Skarpety mam idealne.

– A kolana i krzyż?

Nie myślałam nawet o tych częściach ciała, ale teraz, gdy o nich wspominam, zdaję sobie sprawę, że jestem cała obolała.

– Czuję się fantastycznie! – odpowiadam wyzywająco, podsuwając się bliżej.

Nadal uważnie mi się przygląda, jakby dociekał, jaki mam problem. Dzieciom wolno podchodzić do dorosłych tylko wtedy, gdy czegoś potrzebują.

Martin nie pofatygował się nawet, by podnieść wzrok znad mapy. W jego świecie mogłabym nie istnieć. Czy jest aż tak obsesyjnie pochłonięty poszukiwaniami? Skoncentrowany? Zrozpaczony?

Czy chodzi po prostu o mnie?

– Zastanawiałam się, jak się czujesz – mówię.

Nemeth mruga, najwyraźniej zdumiony moim pytaniem. Martin w końcu spogląda na mnie, jakby dopiero zauważył moją obecność.

– Co masz na myśli? – pyta ostrożnie Nemeth.

– Czy jesteś zadowolony z tempa marszu?

– Trzymamy się planu.

– Warunki na szlaku są dobre – mówię, jakbym znała się na rzeczy. – Pogoda sprzyjająca, niebo przejrzyste, temperatura w sam raz.

– Owszem. – Nadal patrzy na mnie podejrzliwie.

– Żadnych skarg ani sprzeczek – dodaję.

– Żadnych.

Martin przechyla na bok głowę i wpatruje się we mnie, jakbym była kosmitką. Dlaczego ta baba wciąż gada?

Nie chodzi mi o nic konkretnego. Próbuję po prostu wciągnąć tych dwóch do rozmowy. Spędzam tak wiele czasu, działając poza moją strefą komfortu, że nie zawsze wiem, co robię. Nauczyłam się słuchać instynktu. Od Nemetha zależy nasze przetrwanie. Martin zorganizował tę wyprawę, ale nie chce z nami rozmawiać. Chcę poznać tych ludzi. To ma znaczenie, choć jeszcze nie wiem jakie.

Siadam naprzeciwko nich, jakby przysłali mi osobiste zaproszenie. Nic nie mówię. Byliście kiedyś na mityngu AA? Jesteśmy ekspertami w milczeniu. Nasze uzależnienie wymaga wypełniania luk w rozmowie, radzenia sobie z niezręcznymi momentami, sprawiania wrażenia, że należymy do grupy, podczas gdy większość z nas przez całe życie czuła się samotnie w zatłoczonym pomieszczeniu. To jeden z pierwszych problemów, które musimy pokonać. Nie wystarczy przestać pić. Musimy się zmienić, bo na razie jesteśmy pijakami.

Wyciągam z kieszeni na nogawce spodni kokosowo-migdałowy baton energetyczny, który żuję od rana. To nie jest pokarm dla ludzi. Zjadłabym z ochotą czekoladek z masłem orzechowym, których zapas zgromadził Josh, ale zważywszy na to, że mam za sobą dopiero cztery godziny siedmiodniowego marszu śmierci, muszę mieć chyba coś, za czym będę tęsknić.

Przeżuwam kawałek batona. Połykam. Przeżuwam.

Popijam wodą, bo szczerze mówiąc, bez względu na to, jak długo żuję, czuję zawsze w przetyku twardą grudę.

– Jak czują się pozostali? – pyta nieoczekiwanie Martin, zaskakując mnie.

– Pozostali? Luciana i Daisy wyglądają na całe i zdrowe. Bobowi najwyraźniej podoba się ta wyprawa. A co do chłopaków... Czy oni w ogóle się odzywają?

Martin z troską na twarzy rozgląda się po polanie.

– Mają poczucie winy – mówi po chwili. – Z powodu tego, co się stało.

– A ty?

– Mój syn robił to, co kochał. Zaginał, zajmując się tym, co sprawiało mu największą przyjemność.

Zwróciłam uwagę na to, że nie użył słowa „zaginał”.

– Wiesz, jak zetknąłem się z Bobem i Północnoamerykańskim Stowarzyszeniem Poszukiwaczy Wielkich Stóp?

Kręcę głową.

– Przeczytałem o przypadku, którym się zajmowali. Młody mężczyzna zaginał w górach w stanie Waszyngton. Łowcy Wielkich Stóp penetrują głównie ten obszar. Znają dobrze szlaki, więc zgodzili się pomóc. Po latach nadal przeczesują te lasy. Jeden z członków tego stowarzyszenia powiedział w wywiadzie, że nie wiedzą, co stało się z tym młodym człowiekiem, ale być może zaopiekowała się nim rodzina Wielkiej Stopy i szczęśliwie z nimi żyje. Jestem z zawodu cieślą. Człowiek, który pracuje własnymi rękami, wierzy w to, co może poczuć i czego może dotknąć. Ale te słowa...

Patrzy na mnie przez chwilę, po czym mówi dalej:

– Kiedy traci się dziecko, gdy naprawdę się je traci i nie ma się pojęcia, gdzie jest, co się z nim stało, jak mogły wyglądać jego ostatnie chwile, potrzebuje się jakiejś nadziei, by przetrwać dzień, zanim nocą znów dopadnie człowieka strach. Pięć lat temu nawet nie zaświtała mi w głowie myśl o Wielkiej Stopie. Teraz chcę móc w coś wierzyć.

– Jaki był Tim w dzieciństwie?

Martin uśmiecha się niechętnie, jakby trudno mu było wracać nawet do miłych wspomnień.

– Należał do tych niesfornych dzieciaków, które wolą biec, zamiast iść, skakać po poduszkach, zamiast siedzieć na kanapie, krzyczeć, zamiast normalnie mówić. Doprowadzał matkę do szaleństwa. Miał niespożyte pokłady energii. Odkąd otworzył oczy, był żywiołem, z którym należało się liczyć. Dlatego zabrałem go po raz pierwszy na biwak. Już kiedy zaczął chodzić do przedszkola, sprawiał kłopoty: nie potrafił spokojnie usiedzieć. W szkole miał powtarzać rok. Ale Patrice i ja wiedzieliśmy, że jest bystry. Po prostu potrzebował ruchu.

Martin wzrusza ramionami.

– Popytałem ludzi i kilku przyjaciół zasugerowało, żeby zabrać go na biwak. „Wywieź chłopaka w góry. Taka wycieczka dobrze mu zrobi”. Poza tym dla wielu z nas... – Martin milknie, patrzy na wysokie drzewa i bezkresne morze zieleni – to jest nasze miejsce.

Zazdroszczę mu. Ja po czterdziestu latach jeszcze swojego nie znalazłam.

– Nie mieliśmy dużo pieniędzy. Patrice wróciła właśnie do pracy jako recepcjonistka w salonie piękności. Ja pracuję na własny rachunek. Ale dwadzieścia pięć lat temu nie było mikrowłókien ani wypasionych drogich namiotów. Pożyczało się sprzęt i jechało w góry z puszką fasoli w sosie pomidorowym i z frankfurterkami. I tyle. Człowiek dobrze się bawił. Wyjeżdżał w plener i śmiał się beztrudnie z synem. To właśnie robiliśmy, Tim i ja. Wędrowaliśmy do któregoś z kanionów w pobliżu domu, włóczyliśmy się po nim do utraty tchu przez cały dzień, a nocą niemal umieraliśmy z zimna. I, do cholery, powtórzyłbym każdą sekundę tamtych wypraw. Timmy je uwielbiał. Nikt na niego nie wrzeszczał, żeby zwolnił, nie pouczał go, że zachowuje się za głośno, ani nie kazał mu być kimś innym, niż był. W tamten weekend promieniał. To zapamiętałem. Mój syn z rozwianymi włosami i rozognionymi ciemnymi oczami uśmiechał się. Od ucha do ucha. Przez całe dwa dni. Nigdy nie był równie szczęśliwy. I tak złapaliśmy bakcyła. Uciekaliśmy w góry, kiedy tylko się dało. Patrice miała trochę czasu dla siebie. A jej dwaj szaleńcy, jak o nas mówiła, mogli się wyszumieć. Później, gdy zdiagnozowano u niej raka... zabrałem Tima na biwak, by przekazać mu tę wiadomość. Jego matka nie pojechała z nami, ale uznaliśmy oboje, że tak będzie lepiej. Tim mógł wyc z rozpacz do księżyca. A ja razem z nim. Bo los był dla nas niesprawiedliwy. Rak zawsze jest niesprawiedliwy. Wtedy jeszcze tego nie wiedzieliśmy. Nie pojmovaliśmy. To były stare, dobre dni. Gdy toczyliśmy tylko jedną walkę. Ale wkrótce...

Martin milknie. Nie musi kontynuować. Wszystko rozumiem. Wkrótce nie tylko borykał się z nieuleczalną chorobą żony, ale też zaginął jego syn. A niedługo, za parę miesięcy, będzie jedynym żyjącym członkiem rodziny.

Mam łzy w oczach. Spostrzegam, nawet jeśli Martin tego nie zauważa, że reszta grupy uważnie się przysłuchuje.

Słyszemy jakiś hałas. Scott, drużba Tima, który zniknął pierwszy tamtej nocy, podnosi się nagle.

– Muszę się odlać – mruczy, po czym odwraca się i idzie do lasu.

Dwaj pozostali, Miggy i Neil, wymieniają spojrzenia. Obaj wstają i podążają za kolegą, bo niewątpliwie do sikania w lesie potrzeba trzech facetów.

Nemeth mi się przygląda. Jak śmiej zaburzać kruchą równowagę w jego ekipie! Ma rację, a równocześnie się myli. W tego typu akcjach poszukiwawczych chodzi o dużo więcej niż odnalezienie szczątków. Chodzi o zamknięcie sprawy.

Czasem osiąga się to, odkrywając w końcu ciało. Czasem wystarczy sama wyprawa.

Wstaję i podchodzę dostatecznie blisko, żeby dotknąć dłoni Martina, którą przytrzymuje mapę. Wzdryga się, najwyraźniej tym zaskoczony.

Pod wieloma względami nie umiem się pozbierać. Nie śpiam po nocach. Z trudem wytrzymuję godzinę, nie marząc o drinku. Nie wiem, jak żyć, choć inni to potrafią. Ale rozumiem, czym jest rozpacz. Ból przeszywający do szpiku kości, rozdzierający duszę gniew.

– Dziękuję, że opowiedziałeś mi o Timie – mówię cicho. – Zrobię wszystko, by sprowadzić go w tym tygodniu do domu. Ale jego historia będzie towarzyszyła mi już zawsze.

Podnosi raptownie wzrok. Dostrzegam natychmiast dziki ból w jego oczach. A on w moich.

Cofam rękę. Martin składa mapę.

I jak rozbitkowie na całym świecie zaliczamy kolejny dzień.

Rozdział 9

- **NIECH TO SZLAG**, niech to szlag, niech to szlag! – powtarzam. A potem dla odmiany: – Niech to cholera!

Pieprzony las. Pieprzony plecak. Pieprzony Nemeth, który zdecydowanie jest cyborgiem. Druga część trasy będzie trudniejsza? Serio?

Ciężko dyszę. Zataczam się z wysiłku. Krok do przodu. Wdech. Krok do przodu. Wydech. Pot ścieka mi po twarzy. Oczy pieką od toksycznej mieszanki kremu z filtrem przeciwsłonecznym, aerozolu przeciw owadom i soli.

Nie ma pięknej ścieżki wijącej się wstęgą przez zielony las. Nie ma płaskiego terenu. Nie widać końca drogi. Tylko ziemia, kamienie i sosny. Czasem skręcamy lekko w prawo albo w lewo, by podążać dalej przez piekło. Na stromych skalnych półkach nie ma żadnych ścieżek. Wspinamy się jak małpy, chwytając się rachitycznych drzew i modląc się, by nie spaść.

Nie znam się na florze i faunie, ale na razie w lesie są wyłącznie drzewa iglaste. Sosny, świerki, jodły. Jakby otaczał mnie pejzaż Bożego Narodzenia. Nie znoszę, kurwa, Bożego Narodzenia.

Nemeth i Martin zniknęli mi z oczu, pozostali tylko Scott, Neil i Miggy, którzy dyszą ciężko, posuwając się naprzód. Nawet Daisy trzyma się blisko. Żadnych szaleńczych wypadów do lasu. Kroczy łapa za łapą, a Luciana podąża powoli za nią.

– Wyprostuj się! – mruczy za moimi plecami Bob.

– Jestem wyprostowana!

– Garbisz się. Uciskasz przeponę i ograniczasz dopływ tlenu. Mógłbym wziąć twój plecak...

– Dotknij mnie, to cię, kurwa, zabiję!

- Radzę ci trzymać dłonie na biodrach, żeby zwiększyć pojemność płuc. Albo swobodnie poruszać rękami do przodu i do tyłu, synchronizując ich ruchy z ruchami nóg.

Warczę. Zgrzytam zębami. Prycham. A potem niechętnie rozluźniam ramiona.

To działa. I pozwala mi skoncentrować się na czymś innym niż obolałe łydki i przyspieszony puls. Dam radę.

Zostają jeszcze bardziej z tyłu.

- Możesz iść naprzód - mruczę do Boba, czując się całkowicie upokorzona.

- Tu jest mi dobrze.

- Nie znoszę litości.

- Więc przestań być taka żałosna.

- Mam nadzieję, że Wielka Stopa kopnie cię w dupę.

- Byłoby ciekawie. Nagraj to.

Próbuję znów warczeć, ale brzmi to bardziej jak jęk. To żadna frajda obrażać kogoś, kto nie daje się obrazić.

Przed nami jakieś zamieszanie. Ktoś zszedł ze ścieżki, a Luciana i Daisy omijają go w milczeniu.

To Miggy, jeden z trzech kolegów Tima z uczelni. Odłączył się od grupy, żeby stanąć z boku, i zgięty wpół, z trudem łapie oddech. Krótkie ciemne włosy ma przyklejone do czoła, a koszulę khaki całkowicie przesiąkniętą potem. Wygląda tak, jak ja się czuję, co - zważywszy na to, że jest dużo młodszy i dobrze zbudowany - poprawia mi trochę samoocenę.

Podnosi wzrok, gdy trzymając dłonie na biodrach, zbliżamy się do niego.

- Idźcie... dalej - wydusza.

- Pieprzyć to... - wysapuję, przystając obok niego. Bob też się zatrzymuje. W porównaniu ze mną i Miggym brodaty łowca Wielkich Stóp wydaje się całkowicie wypoczęty. Wyobrażam sobie, jak zarzuca sobie

Miggy'ego na jedno potężne ramię, a mnie na drugie i niesie nas przez resztę drogi. Naprawdę bym tego chciała.

– Napijcie się wody – proponuje Bob. – Małymi łykami, aż uspokoi się wam tętno. Jeśli zrobicie to szybko, zwymiotujecie i jeszcze bardziej się odwodnicicie.

– Tak myślisz? – burczę.

Miggy kiwa głową ze znużeniem. Nie może wyjąć stalowej manierki. Pomagam mu. W rewanżu pomaga mi wydobyć moją.

Luciana i Daisy zniknęły już z pola widzenia, pozostawiając naszą trójkę w tyle. Najlepsze ogniwa. A przynajmniej dwoje z nas.

Choć Miggy wygląda okropnie, ma zaczerwienioną twarz i mokrą koszulę, zaczyna oddychać spokojniej. Zastanawiam się, czy pije równie dużo jak jego kumpel Josh. Czy jest po prostu zwykłym śmiertelnikiem nieprzyzwyczajonym do pięcia się kilometrami po zboczu.

Wdech. Wydech. Łyk wody. Stopniowo przestaje mi dudnić w uszach, ale jest mi nadal gorąco, czuję się fizycznie wyczerpana i niewiarygodnie roztrzęsiona. Moje stopy... Nie wiedziałam, że mogą tak boleć, mimo że nie mam odcisków. Nie wiem, skąd wezmę siły, by ruszyć w dalszą drogę.

Miggy wręcza mi swoją ciężką manierkę. Wsadzam mu ją z powrotem do bocznej kieszeni plecaka. Odwzajemnia mi się tym samym i patrzy na stromą kamienistą ścieżkę, pnącą się bezlitośnie przez nagrany słońcem suchy las. Poszła już tamtędy pozostała część naszej ekipy. A teraz musimy pójść my.

– Chciałem pograć w golfa – mruczy Miggy. – W tamten weekend. Optowałem za golfem. Dlaczego, do cholery, nie poszliśmy po prostu pograć w golfa? – A potem dodaje niemal z wściekłością: – Nienawidzę tych przeklętych gór.

W tym momencie pojmuję w końcu, dlaczego odłączył się od przyjaciół. Na jego twarzy dostrzegam coś więcej niż kropelki potu.

– Ja też nienawidzę tych przeklętych gór – mówię po chwili.

Miggy wydaje z siebie coś w rodzaju śmiechu.

Ruszamy dalej.

ZANIM DOCIERAMY NA SZCZYT niekończącego się zbrocza, wszyscy jesteśmy pogrążeni w myślach. Mam w głowie karuzelę wspomnień.

Tańczę w jaskrawym świetle, wirując, wirując, wirując, aż widok zatłoczonego baru rozmywa się w blasku neonu i kakofonii dzikich śmiechów, ale nie przejmuję się tym, bo to nie moje ciało i nie moje życie i dopóki wiruję, nie czuję bólu.

Wspominam, jak po raz pierwszy ocknęłam się w kałuży wymiocin i nie wiedziałam, gdzie jestem.

Jak po raz pierwszy obudziłam się w czyimś łóżku i nie miałam pojęcia, jak się tam znalazłam.

Jak po raz pierwszy zbudziłam się w areszcie hrabstwa i pamiętałam dokładnie, jak tam trafiłam, a mimo to pragnęłam tylko kolejnego drinka.

Przypominam sobie psa Shaggy'ego, sympatycznego wielkiego kundla mojej dwunastoletniej przyjaciółki, który włóczył się po okolicy, merdając przyjaźnie ogonem, aż pewnego dnia usłyszałam pisk opon i straszliwy odgłos uderzenia i ojciec powiedział, żebym nie wyglądała przez okno. Poszłam do swojego pokoju i zamknęłam się w szafie, bo nie chciałam wiedzieć. Później, gdy Sophie przysłała do mnie, wykraǳłam dla nas z lodówki sześciopak piwa. Piłyśmy bez słowa jedno po drugim, a ojciec musiał zdawać sobie sprawę, co zrobiliśmy, gdy zobaczył na podłodze mojego pokoju dwie przyglądające mu się błędnym wzrokiem półprzytomne dwunastolatki, ale nic nie powiedział. Byłam mu za to ogromnie wdzięczna.

Wspominam moment, gdy poznałam Paula.

I ostatniego drinka, którego wypiliśmy.

Wspominam bicie serca detektywa Lothama, spokojne i miarowe, a potem coraz szybsze, gdy przyłgnęłam do niego w zeszłym roku po tym, jak zakończyłam – po raz pierwszy z powodzeniem – sprawę w miejscu, w którym czułam się prawie jak w domu.

Nie mam pojęcia, dlaczego nachodzą mnie akurat te wspomnienia. Dobre, smutne, nostalgiczne, upokarzające. Wiem tylko, że muszę skupić się na czymkolwiek, by zapomnieć o obolałym ciele.

Gdy docieramy na miejsce, pozostali zajmują już pozycje przy rwącym szerokim strumieniu; zdjęli plecaki i rozciągnęli się na ziemi. Nemeth i Martin są jak zwykle twardzi. Podobnie jak wszyscy mają przesiąknięte potem koszule i włosy przyklejone do czoła, ale w przeciwieństwie do Scotta i Neila, którzy opadli na ziemię i najwyraźniej nie zamierzają już się podnieść, ci dwaj wydają się gotowi pokonać kolejnych dwadzieścia siedem kilometrów. Luciana trzyma się z boku, zbierając siły. Daisy leży u jej stóp. Na nasz widok unosi łeb i macha ogonem, ale nie próbuje wstać. Doskonale ją rozumiem.

Jesteśmy teraz na otwartej przestrzeni. Otaczają nas rozległe łąki, zbrązowiałe od słonecznych promieni późnego lata i zabarwione białymi, żółtymi i purpurowymi polnymi kwiatami. Powietrze jest na tej wysokości bardziej rześkie; zwiastuje bliskość pokrytych lodem szczytów, a nawet pierwsze oznaki zimy. Wokół rozciągają się zielone, błękitne i brązowe pasma gór, niektóre niskie, inne oszałamiająco wysokie.

Krajobraz jest zachwycający. To tego typu widoki przyciągały pionierów, którzy porzucali znajome bezpieczne miejsca, ryzykując wyprawy w nieznanne. Byłabym znakomitą odkrywczynią, zakładając, że nie padłabym po drodze z wyczerpania.

Dopiero po paru próbach udaje mi się rozpiąć klamry plecaka na piersi i w talii. Mam odrętwiałe i opuchnięte palce. Staram się zrzucić plecak i prawie syczę, czując ból w ramionach. Szybko zaciskam usta, bo nie chcę zdradzić, jak bardzo jestem obolała.

Sądząc z wyrazu twarzy Nemetha, ani przez sekundę nie daje się zwieść. Miggy, który jest obok mnie, zrzuca w końcu plecak na ziemię. Bez słowa idzie nad strumień, przykłęka i zanurza głowę w wodzie.

Natychmiast biorę z niego przykład.

Kontakt z wodą powoduje szok. Nie jest po prostu zimna, lecz lodowata. Krzepi, odurza, idealnie odświeża i sprawia rozdzierający ból. Piję ją haustami. Omywa mi twarz i szyję, aż czuję niemal ból w skroniach.

Kiedy siadam i odrzucam do tyłu głowę, długi mokry koński ogon smaga mnie między łopatkami i wzbudza dreszcze na rozgrzanych

plecach. Przeżywam niemal orgazm na oczach widowni.

Obok mnie Miggy ściąga z szyi błękitną chustę, moczy ją w wodzie i ociera sobie twarz, kark i nagie ramiona. Na koniec zawiązuje ją z powrotem wokół szyi, która przypomina kolumnę z brązu.

Na mojej twarzy widać z pewnością, jak bardzo mu zazdroścę, bo po chwili Bob klęka przy mnie i pyta: „Chcesz?”, podając mi złożoną starannie pomarańczową chustę.

– Ostatni raz, gdy czegoś tak bardzo pragnęłam, chodziło o butelkę taniej wódki.

Bob uśmiecha się.

– Weź ją, jest twoja.

Naśladowuję w najdrobniejszych szczegółach ablucje Miggy’ego. Może jestem głupia, ale przynajmniej szybko się uczę.

– Masz wodę? – pyta mnie Bob.

– Potrzebujesz?

– Nie. Ile ci zostało? To dobre miejsce, żeby uzupełnić zapas.

Powinam wiedzieć, o co mu chodzi, ale fizyczne wyczerpanie ograniczyło moją zdolność rozumienia języka angielskiego.

Bob odpina od plecaka dwie duże manierki. Potem wyciąga coś, co wygląda jak pusty bukłak z podłużną plastikową głowicą. Urządzenie do filtrowania wody. Mam w plecaku takie samo.

Widzę, jak napełnia je wodą ze strumienia, a potem, zakręciwszy głowicę, odwraca je do góry dnem i wyciska jego zawartość przez filtr węglowy do manierki. Teraz wszystko rozumiem. Zdecydowanie powinam napełnić obie moje manierki. Ale to oznacza, że muszę wstać i ruszyć się z miejsca.

Obiecałam, że nie będę dla nich ciężarem. Obiecałam, że nie będę opóźniać marszu. Przygryzając dolną wargę, podnoszę się z bólem. Miggy porusza się niewiele lepiej. Mam wrażenie, że Scott i Neil również nie mieliby nic przeciwko temu, by pochowano ich tam, gdzie leżą. Można myśleć, że jest się aktywnym i sprawnym, ale nie w porównaniu z Nemethem.

Kiedy się odwracam, stoi obok mnie. Staram się nie wzdrygnąć ani nie zarumienić w poczuciu winy. Wręcza mi manierki i urządzenie do filtrowania wody z mojego plecaka.

– Zostało jeszcze półtora kilometra – oznajmia. – Będziemy dzisiaj nocowali niedaleko jeziora, do którego wpada strumień. Będziesz tam mogła wymoczyć nogi. To pomoże.

Kiwam głową.

– Dziś jest najtrudniejszy dzień. Kiedy dotrzemy do obszaru docelowego i zaczniemy poszukiwania, będziemy musieli zwolnić i zwracać na wszystko uwagę, nie mówiąc już o przestrzeganiu przerw, których potrzebuje Daisy.

Nigdy nie kochałam bardziej żadnego psa.

Nemeth oddała się, by pomówić z resztą grupy. Być może jest dupkiem, ale także doświadczonym przewodnikiem, umiejącym właściwie oceniać ludzi, z którymi ma do czynienia. Martin pomaszerowałby na koniec świata, nawet się nie zatrzymując, by sprowadzić syna do domu. Bob poszedłby za nim, bo ma równie wielkie serce jak posturę.

Ale dla kolegów Tima, dla mnie, a nawet dla Luciany ten poziom wysiłku wykracza poza nasze możliwości. Nemeth nie może pozwolić, by już pierwszego dnia ktoś z nas nie wytrzymał.

– Dziesięć minut – oznajmia. – Potem ruszamy. Dobra wiadomość jest taka, że zostało jeszcze sporo dnia, więc na ostatniej prostej nie musicie się spieszyć. Gdy dotrzemy na miejsce, rozbijemy obóz, zjemy gorący posiłek, a potem Marty i Luciana zapoznają nas z planem na jutro.

Wszyscy kiwamy głowami. Nikt się nie odzywa, ale każdy uważnie słucha.

I nagle w oddali rozlega się dziwny, przeraźliwy krzyk, który jeży mi włosy na karku. Sięgam ręką do ząbkowanego noża, nie wiedząc, czy ruszać do walki, czy uciekać, gdy krzyk przybiera na sile.

– Jakieś pytania? – rzuca Nemeth.

– Co to jest, do cholery? – pyta z przerażeniem w oczach Scott.

– Po prostu jakieś zwierzę.

Drugi krzyk rozbrzmiewa niepokojącym echem. Daisy nadstawia uszu, napinając mięśnie. Ja ściskam rękojeść noża.

Nemeth pozostaje niewzruszony.

– W porządku. Przerwa skończona. Ruszamy.

To nie był dziesięciminutowy postój, jak nam obiecał. Wzbudza to moją czujność. Zauważam, że Nemeth i Martin wymieniają spojrzenia, a Bob jest spięty jak nigdy dotąd.

Trzeci krzyk. Przenikliwy. Narastający. A potem martwa cisza. Jakby gardło istoty, która go wydawała, zostało przecięte ostrzem noża.

Daisy skomle, tuląc się do opiekunki.

Nasi dwaj przywódcy wymieniają kolejne spojrzenia, ale nic nie mówią.

Nemeth zakłada na ramię karabin i zajmuje pozycję na przedzie. Bob przygotowuje się do tego, by zamykać pochód.

Okłamują nas. Dzikie zwierzęta, akurat! Ale dlaczego to robią? Co przed nami ukrywają?

Przewodnik przeskakuje z kamienia na kamień przez szeroki strumień i znika w gąszczu drzew. Za nim podąża Martin, a potem pozostali.

Ściskam w ręce nóż i niechętnie ruszam za nimi.

Rozdział 10

KIEDY MIAŁAM DZIESIĘĆ LAT, biwakowanie stało się moją obsesją. Nie pamiętam dlaczego. Zapewne dlatego, że dzieci w klasie opowiadały o pełnych przygód rodzinnych wyprawach w góry i zazdrościłam im tego.

Zadręczałam bezlitośnie rodziców. Mama odpowiadała stanowczo: „Wiesz, że nie mam czasu gdzieś jechać, a gdybym nawet miała, z pewnością nie chciałabym sypiać na ziemi”.

Ojciec, zawsze ugodowy, nigdy nie powiedział „nie”, ale nie mówił również „tak”. I w ten sposób kręciliśmy się w kółko, ja przekonana, że nie przeżyję ani jednego dnia więcej, nie śpiąc w namiocie, a rodzice pewni, że w końcu z tego wyrosnę.

Ojciec stracił niedawno pracę. Redukcja, oznajmił, otwierając kolejne piwo. Pozostał bezrobotny przez wiele dni, a potem tygodni i spędzał większość czasu z piwem na kanapie, podczas gdy mama pracowała na dwóch etatach i co wieczór wracała późno z ustami zaciśniętymi z wściekłości. Rozsierzona sprzątała kuchnię, robiła pranie, zbierała puste puszki. Nigdy nie powiedziała ani słowa, ale ojciec, przyglądając się jej zamroczonym wzrokiem, mówił za nich oboje.

– Masz rację. Całkowitą. Powiniennem znaleźć pracę. Zejść z tej cholernej kanapy. Jutro, kochanie. Obiecuję. Jutro.

Potem otwierał kolejne piwo i wracał do swojego błęgiego stanu.

Pewnego popołudnia postanowiłam posprzątać w domu. Wyszorowałam parapety, wypucowałam łazienkę, odkurzyłam podłogi. Czy chciałam ochronić ojca? Ocalić matkę? Czy dziecko potrafi odpowiedzieć na to pytanie?

Mama wróciła do domu późno, przygarbiona z wyczerpania. Rzuciła zmęczonym wzrokiem na nieskazitelnie czystą kuchnię, a potem na mnie,

siedzącą cierpliwie przy stole, choć była już prawie północ. Myślałam, że uśmiechnie się z wdzięcznością. Wyściska mnie. A może zacznie śpiewać?

A ona powiedziała tylko:

– Na Boga, Frankie, ucz się przynajmniej na moich błędach.

I poszła do sypialni.

Potem usłyszałam, jak się kłóć.

– Mówię serio, Ron. Jeśli przez tydzień nic się nie zmieni, wyjeżdżam.

I zabieram ze sobą Frankie. Już nigdy nas nie zobaczysz.

Później słyszałam, jak ojciec płacze.

Gdy następnego popołudnia wróciłam do domu ze szkoły, ojciec siedział wyprostowany na kanapie, zaciskając dłonie, jakby toczył ze sobą jakąś wewnętrzną walkę. Miał dreszcze. Napiął w skupieniu twarz, aż drżenie ustało. Ale ręce nadal go zdradzały.

W końcu zauważył, że stoję w drzwiach.

– Już wróciłaś? Dzięki Bogu!

Zaczęła go rozsadzać energia. Przygotował mi coś do jedzenia, rozpakował tornister, zainteresował się moimi podręcznikami. Na pewno masz lekcje do odrobienia, prawda? Zrobmy to razem!

Nie miałam. Ale znalazłam zeszyt z zadaniami z matematyki i położyłam go na stole. Rozwiązaliśmy je wspólnie, najpierw lekko chichocząc, a potem śmiejąc się histerycznie, bo byliśmy w tym oboje beznadziejni. Jeszcze wiele tygodni później się z tego śmialiśmy.

Mama wróciła do domu na kolację. Przyniosła mrożoną pizzę, a ojciec ją rozpakował i włożył do piekarnika.

Tej nocy nie było kłótni. W domu panowała taka cisza, że nie mogłam zasnąć ze strachu przed nieznanym.

Następnego popołudnia ojciec opadł znów na kanapę, spocony i wstrząsany dreszczami. Ocierałam mu czoło mokrym ręcznikiem i przynosiłam koce.

W końcu zjawiała się mama. Spodziewałam się krzyków, wyrzutów, ataku wściekłości. Ale ku mojemu zdziwieniu – a pewnie i ojca – usiadła przy nim i zaczęła masować mu plecy.

- Taka jestem z ciebie dumna - mruknęła. - Tęskniłam za tobą, Ronnie.

I szepnęła coś, czego już nie słyszałam.

Kilka dni później ojciec przestał się pocić i wymiotować. Odzyskał zdrową cerę. Powrócił do pionowej pozycji. Gdy wracałam ze szkoły, dostawałam zawsze coś do jedzenia. Matka miała wysprzątane mieszkanie i wieczorny posiłek. W domu zapanowały na stałe cisza i spokój. Było to wręcz niewiarygodne. Nie mogłam pojąć, jak ludzie potrafią żyć na co dzień w takiej ciszy i spokoju.

Któregoś dnia ojciec powitał mnie z szerokim uśmiechem na twarzy. Niespodzianka! Jedziemy we dwoje na biwak! Tak naprawdę spędzimy noc w pożyczonym namiocie w ogrodzie, ale to prawie to samo, prawda? Skakałam po domu z radości. Tak, tak, tak!

Mama uśmiechnęła się, dzielając nasz entuzjazm.

Przygotowywaliśmy się przez cały sobotni poranek. Musieliśmy przyszykować wszystko, co było potrzebne do zrobienia opiekanych pianek z krakersami i czekoladą, hot dogów i fasoli w sosie pomidorowym. Uważałam, że powinniśmy zdecydowanie rozpalić ognisko. Ojciec uznał, że stanowczo nie powinniśmy tego robić. Opowiedział mi jakąś bajeczkę o mitycznych leśnych duszkach, które zabiorą nasze jedzenie i zwrócą je nam magicznie przyrządzone. Poczulałam się urażona. Co on sobie wyobraża? Sądzi, że mam wciąż pięć lat?

Miałś tyle całkiem niedawno, powiedział z przekąsem. A chwilę wcześniej byłaś niemowlęciem. Potem potar mosił mi włosy.

Późnym popołudniem wynieśliśmy wszystko do ogrodu.

Ojciec próbował rozłożyć pożyczony namiot. Nie obyło się bez przekleństw i złorzeczeń. Przyniosłam z domu sterty koców i poduszek, bo nie mieliśmy śpiworów, z czego ojciec dopiero teraz zdał sobie sprawę.

Przygotowania trwały znacznie dłużej, niż się spodziewaliśmy, i na twarzy ojca widać było coraz mniej ekscytacji, a coraz więcej zmęczenia. Ale wreszcie, gdy zaczęło już zachodzić słońce, postawił namiot, a ja

przyniosłam całą pościel i wszystkie koce, jakie mieliśmy. Miałam zorganizować dla nas spanie, a ojciec zamówić kolację u leśnych duszków.

Nie było go bardzo długo. Kiedy ojciec w końcu się pojawił, niosąc tacę z kiełbaskami i fasolą w sosie pomidorowym, uśmiechał się promiennie. Był z siebie taki zadowolony. Taki szczęśliwy. Tak bardzo szczęśliwy.

Nagle zrozumiałam, dlaczego był w kuchni tak długo. Jego uśmiech zgasł. Otworzył usta, jakby chciał powiedzieć: „Nie! Mylisz się! Nie zrobiłbym czegoś takiego!”

Ale nic nie powiedział. Zacisnął usta i postawił tacę. Siedzieliśmy na ziemi i jedliśmy rękami, maczając kiełbaski w fasoli w sosie pomidorowym i robiąc dużo bałaganu. Chciałam chichotać na widok fasolki na koszuli ojca i ketchupu rozmazanego na jego policzku. Chciałam mu przypomnieć, jak robiliśmy zadania z matematyki, żeby tarzał się ze śmiechu, a ja razem z nim, i byłibyśmy oboje tak bardzo szczęśliwi.

Chciałam, żeby naprawdę tak było.

Ale zamiast ojca miałam przed sobą pijaka, który za szybko mówił. Przywoływał wspomnienia z dzieciństwa i jakieś przypadkowe fakty... och, zaczekaj, spójrz na kolor nieba! Zawsze uwielbiałem zapach trawy, nie ma to jak spać pod gołym niebem, powinniśmy to powtórzyć... Chwileczkę, zrobmy to teraz... Hej, dlaczego nigdy wcześniej nie pojechaliliśmy na biwak? W przyszłym tygodniu jedziemy do Yosemite!

Ojciec odniósł do domu naczynia, a potem wrócił chwiejnym krokiem. Chwycił się namiotu, by utrzymać równowagę, i zwałił się na ziemię, pociągając go za sobą. Nieważne. To jak opowieści o duchach!

Gdy zjawiała się mama, znosiłam koce z namiotu do domu, by przykryć nimi półprzytomnego ojca leżącego na kanapie. Ponownie zostałyśmy same. Mama, nie zdjawszy nawet płaszcza i przyciskając do piersi torebkę, wpatrywała się w jego nieruchomą postać. Nie potrafiłam odczytać, co wyraża jej twarz. Wściekłość? Rezygnację? Ulgę, że nasz dom powrócił wreszcie do normalności?

Powiedziałam jej, że jestem zmęczona i idę się położyć. Potem, przyciskając do piersi poduszkę, odwróciłam się do niej bokiem, gdy

przechodziła obok. Nie chciałam, żeby zobaczyła opróżnioną do połowy butelkę bourbona, którą trzymałam za plecami.

Później w zaciszu mojego pokoju siedziałam na podłodze obok łóżka, przyglądając się drogocennej butelce ojca. Odkręciłam czarną zakrętkę. Powąchałam bursztynowy płyn, skropiłam nim sobie dłoń i zlizywałam go z palców. Chciałam posmakować tego, co pił ojciec. Chciałam poczuć to, co czuł on. Chciałam zrozumieć, na czym polega moc tego magicznego eliksiru, który kochał bardziej niż cokolwiek innego na świecie.

Bardziej nawet niż mnie.

Wtarłam sobie trochę bourbona w wargę. Wylewałam go coraz więcej na dłoń i zlizywałam, popijałam małymi łykami z nakrętki. Czułam, jak w moich żyłach rozchodzi się powoli ciepło. Potem wdychałam zapach alkoholu, aż przybrał postać ojca, który był obok mnie i uśmiechał się szeroko.

Biwakujemy w ogrodzie. Noc jest zimna, ale dzięki stercie koców, które przyniosłam, w namiocie jest przytulnie. Ojciec mówi, że to najlepsza przygoda, jaką miał w życiu... i spójrz tylko na tę spadającą gwiazdę... a, i zna jeszcze jedną opowieść o duchach. Rozmawiamy, śmiejemy się i opychamy piankami wprost z torebki, bo nie pozwala mi rozpaścić ogniska, żeby je przypiec. Potem podjadamy pianki z kawałkami ciemnej czekolady i połamanymi krakersami. Smakują tak dobrze, że postanawiamy nigdy już nie opiekować pianek. Zasypiamy, wciąż się śmiejąc.

Tata i ja.

Na biwaku, którego nie było. Podobnie jak bliskich relacji między nami.

Nigdy więcej nie biwakowałam. Ojciec czasem trzeźwiał. Ale częściej ponosił porażkę. Takie życie.

Mama? Pracowała, cierpiała i wściekała się. Najpierw na niego. Potem na mnie.

Aż do dnia, gdy skończyłam szkołę. Niczego nie pamiętam, bo byłam tak nawalona, że nawet ojciec spojrział na mnie z politowaniem, gdy

przywlokłam się do domu o czwartej nad ranem. Wkrótce potem wyjechałam, żeby imprezować w blasku świateł Los Angeles.

Aż pewnego dnia, setki kilometrów dalej, jakiś kierowca przekroczył środkową linię na szosie, zderzył się z jadącym z naprzeciwka samochodem i moi rodzice zginęli.

Odebrałam telefon, stojąc przed barem i zatykając jedno ucho palcem, żeby nie przeszkadzał mi hałas, gdy słuchałam słów ciotki. Chyba skinęłam głową. A potem weszłam z powrotem do środka i zajęłam się swoimi sprawami.

Jako dorosła osoba nigdy nie spotkałam się z rodzicami na trzeźwo. Nie pokazałam ojcu, że jego chorobę można zwalczyć. Nie udowodniłam matce, że odziedziczyłam po niej więcej, niż sądziła. Ciężko pracuję, znam się na swojej robocie i potrafię zmieniać świat.

Wiedziała, że kocham ojca. Umarła, zanim zdążyłam jej powiedzieć, że ją też kochałam. Że ją podziwiałam. Że ojciec mógł być moim ulubionym towarzyszem zabaw, ale ona była moją bohaterką i nigdy bym się nie pozbierała, gdyby nie dała mi przykładu, jak być silną.

Niedokończona sprawa. Życie człowieka uzależnionego jest pełne takich sytuacji. Zdarzeń, do których mogło lub powinno było dojść, ale już nie dojdzie.

Pomaga mi to w kontaktach z rodzinami, które wspieram. Umożliwia zrozumienie, dlaczego Martin prowadzi nas, zmuszając do podążania mozolnie krok za krokiem, coraz głębiej w góry.

Aż w końcu docieramy do miejsca zwanego Kanionem Diabła i przystajemy na chwiejnych nogach. Połowa grupy nadal trzyma się w pionie, ale druga połowa opada ciężko na ziemię.

– To tutaj – oznajmia Nemeth, wskazując polanę obok dużego błękitnego jeziora. – Przez następnych sześć dni to będzie nasz dom. Witajcie w obozowisku.

Myślę o ojcu, ogrodzie i biwaku, którego nigdy nie było, i staram się usilnie ukryć łyzy zmęczenia spływające mi po policzkach, gdy w końcu zrzucam z ramion plecak. Nie tylko ja jestem bez sił. Neil, Scott i Miggy wydają się równie wykończeni.

- Jest pan cholernym dupkiem! - wybucha nagle Miggy, wskazując palcem Martina. - Czy już nie dość zrujnował nam pan życie? Wie pan, że też kochaliśmy Tima. Niczego pan nie zmieni, do cholery, próbując co roku nas zabić! - Rzuca plecak na ziemię i stąpając ciężko, wchodzi między drzewa.

I w ten sposób dowiaduję się, że to nie koniec naszej katorgi, ale dopiero początek.

Rozdział 11

KANION DIABŁA WYDAJE SIĘ rozległym płaskim obszarem, który rozciąga się... w nieskończoność. Znajdujące się przed nami jezioro otaczają imponujące szarobrazowe klify, a w oddali góry zabarwione czerwonozielonymi pasemkami. Bliżej widać ciemne łąty lasów, przeplatane łąkami ze spaloną słońcem trawą i piaszczystymi nizinami.

Rozumiem przynajmniej częściowo powód wściekłości Miggy'ego. Po całym dniu wyczerpującego marszu mam obolałe stopy, zeszywniałe ramiona i nie jestem pewna, gdzie kończy się ból, a zaczynam ja. Twarda ziemia i lodowate jezioro? Chcę miękkiego łóżka i kąpieli z bąbelkami. Nawet Daisy legła na ziemi i sapie z wysiłku. Zastanawiam się, jak często przyjaciele Tima chodzą po górach. Czy jest to dla nich tylko coroczna tortura, jak twierdzi Miggy.

Obserwuję reakcję Martina na ten wybuch złości, ale gdy rozpakowuje plecak, wyraz jego twarzy pozostaje nieprzenikniony.

Nemeth zaczyna wszystkim zarządzać. Tu ognisko, tam latryna. Pierwsze skupisko namiotów tutaj, drugie tam, trzecie dalej. Jako dwie kobiety Luciana i ja mamy przydzielony niewielki kawałek gruntu. Koledzy Tima tworzą jedną trzyosobową grupę, a nasi nieustraszeni przywódcy – drugą.

Nie wiem, co robić dalej. Nie mam pojęcia, jak się rozbija namiot i zakłada obóz. Nie udało mi się spędzić nawet jednej nocy na biwaku w ogrodzie, więc jak, do cholery, mogę sobie teraz poradzić? Wszyscy rozładowują ekwipunek, więc biorę z nich przykład. Luciana rozłożyła już namiot na ziemi. Gdy ją obserwuję, przepelnia mnie strach, by nie popełnić błędu i nie zbłąźnić się. Jak to się dzieje, że opuszczamy szkołę, ale szkoła nigdy nie opuszcza nas?

U mojego boku zjawia się Bob. Jak na tak rośłego faceta, porusza się zaskakująco cicho. Patrzy na mój nierozpakowany jeszcze namiot, a potem na mnie.

– Zaczynj zbierać drewno na ognisko, a ja ci go rozłożę – proponuje.

Nigdy nie byłam nikomu tak wdzięczna.

Chodzę wokół powstającego obozu, zbierając większe patyki i uschnięte gałęzie, bo na tym etapie wyprawy padłabym, gdybym przestała się poruszać, a nie mogę sobie na to pozwolić. Zapuszczam się dalej, przeczesuję najbliższe skupisko sosen, aż w końcu wpadam na Miggy’ego. Siedzi na brzegu ogromnego jeziora, ukryty w falującej trawie, i wpatruje się w przestrzeń.

Spoglądam w kierunku obozowiska, ale między drzewami prawie nie widać krzątających się tam ludzi. Odkładam na bok naręczce suchych gałęzi i siadam obok Miggy’ego.

Milczę. W dzisiejszych czasach wszyscy za dużo mówimy i za mało słuchamy. Słuchanie stało się zapomnianą sztuką, której światu boleśnie brakuje.

– Przepraszam – rzuca Miggy. Podnosi kamyk i ciska go do jeziora. Kamyk wpada do wody z cichym pluskiem.

– Jak się czujesz? – pytam.

– Koszmarnie. Pracuję uczciwie dzień po dniu, bo tak trzeba, a potem raz w roku jestem zmuszany do wyjścia w góry, bo mój najlepszy przyjaciel, który zaginął pięć lat temu, uwielbiał to robić, a jego ojciec nienawidzi nas wszystkich po tym, co się stało.

– Nie chodzisz sam po górach?

– Jak ty właściwie masz na imię? Frankie?

– Tak.

– Uwierz mi, Frankie, gdybym miał wybór, nigdy więcej nie postawiłbym stopy na szlaku. Josh, Neil i Scotty również. Zbyt wiele straciliśmy tamtej nocy. Coroczne marsze śmierci Martina niczego nie naprawią. Są dla nas jedynie torturą.

– Czy to dlatego Josh tyle pije?

– Być może. Musiałabyś jego zapytać.

– Wszyscy czterej pozostajecie ze sobą w kontakcie?

Miggy podnosi kolejny kamyk. RzUCA go poziomo i patrzy, jak podskakuje trzy razy na powierzchni wody.

– Oni byli dla mnie jak bracia – oznajmia cicho. – Myślałem, że nic nas nie rozdzieli.

Rozumiem, co mówi. Albo raczej czego nie mówi. Wspólna trauma może ludzi łączyć, ale częściej dzieli. Poczucie winy. Ból. Potrzeba wyjścia z impasu. Dręcząca świadomość, że chce się zapomnieć. Pięciu mężczyzn poszło w góry. Jeden zaginął. A pozostali czterej... są inni, niż byli. Takie jest życie.

– Nadal mieszkacie względnie blisko siebie?

Miggy kiwa głową.

– W Beaverton jest sporo dużych firm elektronicznych. Scotty, Neil i ja pracujemy w tej branży. Josh pracuje jako technolog, ale jego fabryka znajduje się w pobliżu. W tym mieście na każdym kroku wpadasz na inżyniera.

– Ale nie spotykacie się w barze po pracy, nie grywacie co tydzień w kosza, nie organizujecie jubileuszowych zjazdów?

– Próbowaliśmy się spotykać, kiedy wróciliśmy z gór. Ale... nic już nie było takie samo. Nikt nie wiedział, co powiedzieć. Jak się zachowywać. Czy mamy siedzieć i rozmawiać o Timie? Udawać, że nic się nie stało? Nie mogliśmy sobie z tym poradzić. Josh pierwszy nie wytrzymał. Przestał przychodzić na spotkania, odpowiadać na telefony. Gdy rok później Marty skontaktował się z nami w sprawie wznowienia poszukiwań, byłem zdziwiony, że Josh się pojawił. Zobaczyliśmy go po raz pierwszy od wielu miesięcy. Był przygnębiony, ale jak mogliśmy mu pomóc? Potem zaczął jeszcze bardziej trzymać się na uboczu. Słyszałem pogłoski, że prowadził samochód po pijanemu. Że miał problemy w pracy. Myślałem, żeby do niego zadzwonić, ale jakoś nie mogłem się na to zdobyć. Dwa dni temu zobaczyłem go po raz pierwszy od roku. Wystarczy na niego spojrzeć... Cholera. Zawiedliśmy go. Znowu.

Rzuca w wodę kolejny kamyk, potem drugi, trzeci i czwarty, całą serię. Nie puszcza kaczek, wyładowuje tylko złość.

– Jesteśmy tu, bo Marty ma nas w garści i dobrze o tym wie – odzywa się w końcu. – Ale nawet zakładając, że znajdziemy jutro szczątki Tima... czy to cokolwiek zmieni? Czy Josh przestanie pić? Czy Marty zacznie wreszcie nienawidzić nas mniej, niż nienawidzimy sami siebie?

Patrzy na mnie, ale nie odpowiadam, bo wiem już, że nie potrzebuje, bym cokolwiek mówiła. Tego rodzaju poszukiwania to coś bardzo osobistego. Dla niektórych znalezienie odpowiedzi oznacza zamknięcie sprawy. Inni, dowiadując się w końcu, co przydarzyło się ich bliskim, mają jeszcze gorsze koszmary.

Miggy wpatruje się w zmarszczki na tafli jeziora.

– Byłem przerażony tamtej nocy – oznajmia nieoczekiwanie.

– Z powodu zniknięcia Scotta?

Kręci głową.

– Przez te krzyki i hałasy, i... – Przerywa.

Czekam.

Bierze do ręki jeszcze trzy kamyki i ciska je w wodę.

– Byliśmy tak cholernie pijani. Chwilami nie mam nawet pewności, co się wydarzyło. Czy to było złe wspomnienie, fragment koszmaru, czy wywołana przez alkohol halucynacja? Poszliśmy w góry. Rozbiliśmy obóz. Było ognisko, kolacja, piwo. A potem... wszystko się spaprało. Krzyki, wrzaski, odgłosy z lasu. Scott znika, a Josh... Josh jest bardzo zdenerwowany. I niby wiem dlaczego, ale tak naprawdę nie wiem. To jak zamazany obraz na filmowej kliszy i im dłużej się w niego wpatruję, tym bardziej staje się niewyraźny.

– Kiedy myślisz o tamtej nocy, co natychmiast przychodzi ci do głowy? Co czujesz?

– Przerażenie.

– Co chcesz zrobić?

– Uciec stąd. Zwiąć w cholerę z tych gór. I nie oglądać się za siebie.

– A pozostali? Josh, Neil i Scott?

– Josh o tym nie mówi. Neil i Scott wyznają zasadę, że przeszłości nie da się zmienić. Starają się normalnie żyć. – Miggy milknie i uśmiecha się z jakiegoś powodu. – Przynajmniej w miarę.

– Jak poznałeś Tima? – zmieniam temat.

– Na pierwszym roku studiów. Czekaliśmy pod gabinetem wykładowcy, zaczęliśmy rozmawiać i okazało się, że obaj studiujemy inżynierię. Josh mieszkał ze mną w pokoju, a Tim z Neilem i Scottem. Zaczęliśmy spędzać ze sobą czas, mieliśmy razem wiele zajęć. Potem wynajęliśmy wspólnie mieszkanie. A po studiach wszyscy zamieszkaliśmy w Beaverton. „Mieście ziomali”, jak nazywał je Tim. W piątkowy wieczór piwo, w sobotę totalny zamęt, w niedzielę dochodzenie do siebie. Boże, to były czasy!

– I co się stało?

– Jak to w życiu. – Miggy wzrusza ramionami. – Awanse, coraz bardziej wymagająca praca, niezobowiązujące randki, które prowadzą do trwałych związków. Młodym i głupim jest się tylko przez jakiś czas, choć z pewnością wykorzystaliśmy go na maksa.

– Jeden z was przedstawił Tima jego przyszłej narzeczonej, tak?

– Neil. Pracował z Latishą. Zajmowała się marketingiem.

– Spotykacie się z nią jeszcze?

– Widywaliśmy się przez pierwszy rok. Ale nie jest łatwo, gdy ludzi łączy tylko to, co wspólnie stracili. Nie miała do nas pretensji. W przeciwieństwie do Marty'ego. Jej zdaniem, jeśli Tim musiał... rozstać się z życiem... dobrze, że umarł w górach, robiąc to, co kochał najbardziej.

– Dlaczego jej tu nie ma? Czytałam, że potrafi się wspinać.

– Jest w ciąży.

– Poznała kogoś? To dobrze.

– Chcesz powiedzieć: „Dobrze dla niej i dla Scotta”.

Mrugam kilkakrotnie.

– To znaczy...

– Pobrali się w marcu. Wzięli skromny ślub. Nie było na nim rodziców Tima. Ani żadnego z nas.

– Co sądzisz o...

– Nic.

– A Josh i Neil? Z pewnością mają jakieś zdanie na temat tego, że jeden z przyjaciół Tima ożenił się z jego byłą narzeczoną.

– Powinnaś spytać ich.

Widzę już jednak odpowiedź na twarzy Miggy'ego. Związek Scotta i Latishy nie jest szczęśliwym wydarzeniem dla pozostałych trzech przyjaciół ze studiów. Oznacza jeszcze większe napięcie w naszym zespole, który tak naprawdę nie jest zespołem.

– Co jest twoim celem w tym tygodniu? – pytam.

– Poza znalezieniem szczątków Tima i sprowadzeniem ich od domu?

– Chcesz tego?

Miggy wydaje się szczerze zaskoczony.

– A nie powinienem?

– Nie o to chodzi. Możesz chcieć czegokolwiek. Jesteśmy tutaj sami, a ja nikomu nic nie powiem.

Milczy tak długo, że nie jestem pewna, czy w ogóle mi odpowie. W końcu mówi:

– Nie chcę nigdy więcej chodzić po tych górach. Nie chcę budzić się z krzykiem w środku nocy. Chcę przestać myśleć o przyjacielu i załamywać się w poczuciu winy. Chcę... poczuć się znów człowiekiem. – Patrzy na mnie. – Czy to w ogóle możliwe? – pyta po chwili. – Jeśli odniesiemy w tym tygodniu sukces, czy w końcu odzyskam spokój?

– Niektórym ludziom się to udaje.

– Innymi słowy, mam cholernego pecha.

Uśmiecham się, a potem mówię najłagodniej, jak potrafię:

– Jak wynika z mojego doświadczenia, już nigdy nie będziesz czuł się tak jak dawniej. Ale może w końcu odkryjesz, że w nowej normalności nie wszystko jest takie złe. Pewnego dnia możesz nawet polubić swoje nowe życie. Wtedy będziesz wiedział, że odżyłeś, nawet jeśli wcześniej nie będziesz sobie z tego zdawał sprawy.

Znów wrzuca ze złością kamyk do wody.

– Gdyby to było takie proste.

– Nie jest aż tak skomplikowane.

– Nie wkurwiał mnie – rzuca.

Uśmiecham się szeroko, bo doskonale go rozumiem. Siedzimy w milczeniu jeszcze przez chwilę, po czym Miggy wstaje i otrzepuje z kurzu tyłek.

– Powinniśmy wracać. Zanim Nemeth zacznie nas szukać.

– Lubisz go?

– Nie. Nie lubię żadnego z nich. Ale chyba właśnie ustaliliśmy, że siebie też za bardzo nie lubię. Może przywiążę się do Daisy. Jeśli chodzi o pozostałych, odliczam dni, kiedy wrócimy do cywilizacji.

– A ja lubię Boba – wyznaję, również wstając. – Wydaje się naprawdę pogodny.

– Więc jesteś idiotką.

Zbija mnie z tropu.

– Słucham?

– Czy to nie ty powinnaś zadawać pytania? Dlaczego Bob? Dlaczego łowca Wielkich Stóp?

– Może dlatego, że Stowarzyszenie Poszukiwaczy Wielkich Stóp ma jedną z najlepszych baz danych na temat osób zaginionych w amerykańskich górach?

– A ile im za to płać?

– Co? To hobbyści, pasjonaci pracujący po godzinach...

– Powiedzmy, pięć tysięcy dolarów.

Jestem całkowicie zdezorientowana.

– Bob dostał pięć tysięcy dolarów?

– Od Marty'ego. Widziałem czek.

– Ale... za co?

– O ile dobrze usłyszałem, ma zadbać, żebyśmy wyszli stąd żywi. A przynajmniej Marty.

– Ale... Ja... – Marszczę czoło, nie bardzo rozumiejąc sens jego słów. Martin zapłacił Bobowi, by go chronił? Przed czym?

Miggy podąża za moim tokiem myślenia.

- Właśnie - mówi. - Nadal jesteś zadowolona, że dołączyłaś do naszej wesołej paczki?

Podnosi z ziemi naręcze suchych gałęzi i wraca do obozu. Ruszam za nim chwilę później i idę dużo wolniej.

Obsesja Martina, poczucie winy Miggy'ego, czek dla Boba Wielkiej Stopy... Miesza mi się w głowie od tych informacji. I choć staram się usilnie to zrozumieć, nie widzę w tym żadnego sensu.

Kończy się pierwszy dzień. Już się denerwuję, co będzie dalej.

Rozdział 12

OBOZOWISKO POWSTAJE SZYBCIEJ, NIŻ mogłam sobie wyobrazić. Gdy wracamy z Miggym, namioty stoją już w trzech grupach wokół polany, a krąg kamieni na środku wyznacza miejsce na ognisko. Zrzucam tam drewno i Miggy robi to samo. Ustawia od razu w stertę chrust na podpałkę. Najwyraźniej się na tym zna.

Widzę, że Neil i Scott dźwigają z lasu ogromny kawał pnia. Kładą go przy ognisku, jakby to była kanapa, po czym znikają bez słowa, żeby przynieść następny.

Podchodzę do mojego namiotu, który Bob ustawił obok niewielkiego błękitnego namiotu Luciany. Daisy leży rozciągnięta na ziemi. Pozdrawia mnie machaniem ogona.

– Jesteś zmęczona, mała? – pytam i przystaję na chwilę, by podrapać ją za uszami. Ziewa ukontentowana. Jest najwyraźniej wyczerpana długim dniem, ale ma dobry nastrój.

Luciana wychyla głowę z namiotu.

– Przyszłaś w samą porę.

– Dlaczego?

– Trzeba przynieść wodę. – Pokazuje mi kilka rozkładanych pojemników. – Zgłosiłam nas na ochotnika. – Rzuca mi konspiracyjne spojrzeń. – Zabierz czystą odzież i chodź ze mną.

Nie zamierzam się sprzeczać. Wyciągam z plecaka koszulkę z długimi rękawami i czarne spodnie do jogi. Zaczyna się już ochładzać, zmierzch zapada szybko. Przypominam sobie słowa Lisy Rowell o zimnych nocach o tej porze roku. Spocona po upalnym dniu, myślę o nich z przyjemnością.

Luciana prowadzi mnie poza obozowisko, trzymając pod pachą swoje rzeczy na zmianę. Nie mam ochoty nigdzie iść. Kuśtykam z powodu bólu

stóp i mam obolałe całe ciało. Nie trzeba być doświadczonym w wędrowaniu po górach, by wiedzieć, że jutro będę się czuła jeszcze gorzej, zwłaszcza po nocy przespanej na ziemi. Zaciskam więc zęby i milczę, gdy Luciana przedziera się między drzewami na brzeg jeziora, gdzie nikt nas już nie widzi.

Rzuca na ziemię ubrania i rozkłada brezentowe pojemniki. Wręcza mi dwa i jestem pod wrażeniem ich konstrukcji. Górę i dół pojemnika tworzą metalowe pierścienie, między którymi jest składana harmonijka z wodoszczelnego materiału. Metalowe są również uchwyty. Całkiem to sprytne.

Napełniamy wszystkie pojemniki. Kilkanaście litrów wody dla obozowiska – domyślam się, że do przegotowania, żeby mieć ją do picia i przyrządzania posiłków. Jestem tak spragniona i głodna, że uznaję to za dobry pomysł.

Gdy kończymy, Luciana podnosi triumfalnie niewielki przedmiot, którego nie rozpoznaję w nikłym świetle.

– Mydło – oznajmia i natychmiast zaczyna się rozbierać.

Nie musi mnie do tego namawiać. Zważywszy, że wiele razy w życiu budziłam się naga w łózkach obcych facetów, nie będę teraz przejmowała się skromnością.

Woda jest lodowata. Nemeth powiedział, że do jeziora wpada strumień. Domyślam się, że musi wypływać wprost z lodowca. Wzdrygam się i tłumię okrzyk bólu. Ale warto pocierpieć, by zmyć ze spoconej skóry warstwy kurzu i brudu. Nigdy dotąd nie czułam takiego swędzenia ani tak paskudnie nie cuchnęłam.

Luciana nurkuje w wodzie i wynurza się z gracją foki, odrzucając do tyłu długie czarne włosy. Namydla je wprawnymi ruchami, a potem twarz i całe ciało. Informuje mnie, że to naturalne mydło, nieszkodliwe dla wody w jeziorze, ale się nie pieni, więc nie należy się zniechęcać brakiem bąbelków.

Obie szybko się opłukujemy, wracamy na brzeg i wkładamy czystą odzież na mokre jeszcze ciała. Luciana robi szybką przepierkę brudnych

rzeczy, więc biorę z niej przykład. Po raz pierwszy zaczynam pojmować, jak mało mam ubrań, skoro codziennie będziemy się tak pocić.

– Możemy powiesić ciuchy przy ognisku, żeby wyschły – odzywa się Luciana. – Nie jest to idealne rozwiązanie, ale za kilka dni będą pachniały lepiej niż inne.

– Dziękuję – mówię szczerze. Nie mam przyjaciół, więc tym bardziej cenię ludzi, którzy są dla mnie mili.

Wracamy do obozu, gdzie Miggy rozpałił już ognisko. Zrobił stanowisko do gotowania, wieszając nad ogniem garnek ze stali nierdzewnej. Wlana do niego przez Lucianę woda po chwili jest gorąca. W brzuchu burczy mi z głodu.

– Właśnie – rzuca Luciana. – Zauważyłaś, ile kalorii mają nasze racje żywnościowe? Zwykle kilka tysięcy na porcję. W normalnym życiu to nieprawdopodobnie dużo. Ale po całym dniu wędrówki to fantastyczne. Uwierz mi, że liofilizowany strogonow będzie najlepszą potrawą, jaką w życiu jadłaś.

Kolejne hałasy zwiastują, że Scott i Neil wrócili. Tym razem pień, który niosą, jest mniejszy, ale nadaje się do siedzenia. Bob niesie jeszcze jeden, zarzucony na ramię, pogwizdując beztrosko, i rzuca go obok tych, które przydzwigało tamtych dwóch. Kiwają głowami, widząc, o ile jest od nich silniejszy. I tak oto mamy salon na wolnym powietrzu, z miejscami przy kominku.

Nemeth i Martin przynoszą swoje racje żywnościowe. Pozostali szybko robią to samo. Gotujemy wodę, szykujemy jedzenie i gdy zapada zmierzch, zaczyna się regularna uczta. Siedzimy na kłodach, machając niewielkimi łyżkowidelcami i zachwalając perfekcyjny smak lasagne z proszku. Luciana nie kłamała: mój wyjęty z foliowej torebki makaron z serem jest najlepszą potrawą, jaką kiedykolwiek jadłam. Zastanawiam się, czy nie zjeść drugiej porcji, ale uznaję, że powinnam przystopować.

Daisy pałaszuje swoją kolację, a potem siada przy ognisku z wywieszonym językiem.

Rozmowa jest swobodna, chwilami się ze sobą przekomarzamy. Czujemy się w tym momencie solidarną grupą. Ośmioro ludzi

relaksujących się po wyczerpującym długim dniu. Niebo rozciąga się nad naszymi głowami, zabarwione różowymi, a potem, kiedy słońce opada za horyzont, czerwonymi smugami.

Zastanawiam się, czy dzieciaki z mojej klasy czuły to samo, wyjeżdżając na biwak: tę mieszankę zachwytu i ciekawości, lęku i podniecenia.

Myślę o ojcu i napięciu na jego twarzy, gdy próbował rozłożyć pożyczony namiot. Co pamięta się najbardziej: chwile, gdy rodzice naprawdę się starali, czy te, kiedy zdecydowanie zawodzili? Nigdy nie znalazłam na to odpowiedzi.

Siedząc tutaj, skupiam się na tym, co dobre. Na tym, że ta chwila jest piękna i idealna, a ja mam dość rozsądku, by doceniać wszystkie inne, które ją poprzedziły, nawet mniej piękne i idealne, bo przywiodły mnie do tego miejsca.

Dar wdzięczności, jak mówią Anonimowi Alkoholicy. Potrzebowałam dużo czasu, by go odnaleźć, i nadal nie zawsze o nim pamiętam, ale od czasu do czasu rozumiem już niemal, na czym polega. Majestat tych gór. Pogodne milczenie mojego przyjaciela Stoneya, gdy wyciera ładę w barze. Perfekcyjny smak jedzonego na ulicy hot doga.

Może niewiele posiadam, ale na swój sposób jestem kolekcjonerką.

Kończę makaron z serem, wyskrobując z żalem jego resztki z foliowej torebki. Nemeth przyniósł szczelny duży worek na śmieci. Zapakujemy do niego wszystko, czego nie zjemy, wyniesiemy go poza obozowisko i przywiążemy gdzieś wysoko. Nemeth wyjaśnia, że chodzi o to, by nie zwabiać niedźwiedzi. Po raz pierwszy tego dnia wydaje się zrelaksowany. Miałam wcześniej rację: jest jakby wyciosany z tych gór, wkomponowuje się w otoczenie jak odległe klify, smukłe sosny, wyniosłe szczyty. Należy do tego świata, podczas gdy pozostali z grupy są tu jedynie gośćmi, myślę.

Spodziewam się, że to właśnie Nemeth popsuje nam atmosferę. Ale robi to Martin.

W zapadającym szybko zmierzchu wyciąga swoją niezastąpioną mapę i rozkłada ją.

– No dobrze. Usiądźcie wkoło. Oto nasz plan na najbliższych pięć dni.

MARTIN PODZIELIŁ KANION DIABŁA na kwadranty. Nie jestem ekspertem, ale nawet ja zdaję sobie sprawę, że w ciągu paru dni nie jesteśmy w stanie przeczesać tego terenu. Dlatego każdemu kwadrantowi przypisał określoną wartość. Jak to wcześniej powiedział Nemeth? Chodzi o prawdopodobieństwo natrafienia na ślad... czy coś w tym rodzaju.

– Musimy oszczędzać Daisy, bo czeka ją najtrudniejsze zadanie – wyjaśnia Martin. – Może prowadzić poszukiwania tylko przez trzy kwadransy, a potem wymaga piętnastu minut przerwy, zanim będzie kontynuować. Zważywszy na to, musimy działać jako ekipa zwiadowcza, wskazując jej możliwie dokładnie miejsca, na których ma się skoncentrować.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat znalazłam więcej zwłok, niżbym chciała, ale nigdy nie poszukiwałam szkieletu. Biorąc pod uwagę suchy klimat i wpływ lat, po Timothy O'Dayu pozostała zapewne kupka kości, rozwleczonej przez padlinożerców. Szczerze mówiąc, różniłyby się niewiele od chrustu, który zbierałam na ognisko. Smutne świadectwo tego, czym w końcu się stajemy.

– Wiemy, że gdy Tim opuścił obóz, zostawił namiot, śpiwór i żywność, ale miał ze sobą cały pozostały sprzęt – kontynuuje Martin. – W ciągu ostatnich paru lat przeszukaliśmy miejsca, gdzie mógł zboczyć z trasy, skręcając na przykład w lewo zamiast w prawo. Zakładaliśmy, że ktoś tak doświadczony jak mój syn, kiedy zdałby sobie sprawę, że się zgubił, zastosowałby podstawowe techniki przetrwania. Przede wszystkim poszukałby schronienia.

Zawsze sądziłam, że najważniejsza jest woda, ale zgodnie z regułą trójek Luciany należy najpierw zadbać o schronienie.

– Zaczniemy zatem od tych czterech kwadrantów, które obejmują kilka jaskiń w głębi kanionu. Każda z nich nadawałaby się na kryjówkę. Potrzebujemy dwóch godzin marszu, by tam dotrzeć. Chcę, żeby po drodze wszyscy uważnie się rozglądali. Pamiętajcie, że szukamy nie tylko Tima, ale też wszelkich śladów, które mógł pozostawić. Miał granatowy plecak i ciemnozieloną kurtkę. Nosił ze sobą kilka par spodni khaki, koszulki z długimi rękawami i flanelowe koszule: czerwoną, zieloną

i szarą. Wypatrujcie kolorowych strzępków materiału, czegokolwiek niezwykłego. Na tym terenie mało kto się pojawia. Jeśli zauważycie odciski butów, ślady obecności człowieka, dajcie znać.

Martin przerywa, a my posłusznie kiwamy głowami.

– Tim wiedział również – ciągnie po chwili – jak ważne jest pozostawianie tropów. Szukajcie kawałków sznurka przywiązanych do gałęzi. Może skrawków tkaniny albo fragmentów taśmy izolacyjnej. Prawdopodobnie chciał zaznaczyć, z jakiego kierunku przyszedł, by samemu nie stracić orientacji i pomóc w poszukiwaniach. Zwracajcie na to uwagę. Wprawdzie zamierzamy spenetrować jaskinie jako naturalne kryjówki, ale Tim potrafił sam zbudować sobie schronienie. Miał w plecaku brezent i liny, więc mógł postawić prowizoryczny namiot albo sklecić szałas z gałęzi. Najlepszy sposób, by coś takiego zauważyć, to wypatrywać prostych linii i regularnych kształtów. W naturze rzadko występują. Jeśli coś zwróci waszą uwagę, zatrzymajcie się i przyjrzyjcie się dokładniej. Często nasze oczy dostrzegają jakiś szczegół, zanim umysł przeanalizuje w pełni obraz.

Podnoszę rękę.

Martin patrzy na mnie, jakby nieco rozdrażniony.

– O co chodzi?

– Jak to wpłynie na Daisy? Jeśli zapędzimy się za bardzo do przodu, czy to nie utrudni jej węszenia?

– Gdybyśmy szukali żywej osoby, wtedy owszem, Daisy musiałaby iść na czele, a pozostali od zawietrznej – odpowiada na moje pytanie Luciana.

– Ale poszukiwanie szczątków to szczególna sprawa. Daisy próbuje wyczuć nie zapach człowieka, tylko odór rozkładu. Uwierzcie mi, że nie pomyli tych woni.

– Nawet w przypadku kości? Przecież... – Scott milknie, uświadamiając sobie z pewnym zażenowaniem, że wypowiada głośno oczywistą prawdę.

– Ile zostaje z rozkładających się zwłok po pięciu latach?

– Wiek szczątków nie ma znaczenia – wyjaśnia Luciana. – Psy odnajdują czasem stuletnie kości. I nie myślą kości zwierzęcych z ludzkimi.

To przykuwa moją uwagę.

– Stuletnie kości muszą być niemal skamieniałe. Jaką organiczną materię może w nich zwietrzyć pies?

– Nie wiemy. – Luciana wzrusza ramionami. – Zmysł węchu psa jest dziesięć do stu tysięcy razy lepszy niż nasz. To jeden z powodów, dla których mój zespół nie używa do szkolenia syntetycznych zapachów zwłok. Wierz mi, można kupić całe ich zestawy: zapach nieboszczyka, topielca... Mają określony skład chemiczny, profil spektrometryczny... pełno tam naukowych bzdur. Ale w sumie nikt nie wie na pewno, co wywołuje reakcję psa. Czy na stuletnich kościach nadal pozostaje zapach zwłok? Z pewnością nie potrafimy go wykryć. Naszym materiałem szkoleniowym są ludzkie zęby. Można je łatwo zdobyć i legalnie przechowywać, poza tym są o wiele mniej odrażające niż na przykład piszczele. Nie wydaje mi się, by stare zęby szczególnie ulegały rozkładowi, zwłaszcza gdy zakopujemy je milion razy. Ale nasze psy zawsze je odnajdują. Gdy dotrzemy do wyznaczonego obszaru poszukiwań, będziecie musieli zaczekać, aż określę kierunek wiatru i ustalę, gdzie Daisy ma zacząć węszyć. Wszystko, co wykrywa, wyczuwa w powietrzu. Miejmy nadzieję, że rozpozna poszukiwany zapach. Wtedy podąży za nim do jego źródła. Sprawę komplikuje to, że będzie chciała iść po linii prostej, bez względu na ukształtowanie terenu. Musimy wtedy znaleźć dla niej odpowiednią drogę. Jeśli napotka strome zbocze albo trudne do przebycia zarośla, pomożemy jej ominąć tę przeszkodę i odzyskać trop po drugiej stronie. Może to zająć trochę czasu. Ale Daisy jest dobra. Jeśli zadbamy, by trop był blisko, nie zawiedzie nas.

Przyglądam się mapie Martina, odwróconej tak, że od mojej strony jest północ. Kanion Diabła jest bardzo długi i szeroki. Nie będą to łatwe poszukiwania, zwłaszcza że na spenetrowanie możliwie największego obszaru mamy tylko pięć dni. Domyślam się, że ograniczenie czasu wynika z dbałości o kondycję Daisy. Pracujące psy także potrzebują wolnego dnia. Ale w sumie, patrząc na mapę i biorąc pod uwagę wielkość naszej grupy, mam coraz silniejsze wrażenie, że ta wyprawa jest beznadziejnym przedsięwzięciem.

Zastanawiam się, czy Miggy nie ma racji: czy Martin jest naprawdę przekonany, że może odnaleźć szczątki syna, czy potrzebuje po prostu wymówki, by dręczyć rok po roku niesfornych przyjaciół Tima?

- CZEMU AKURAT KANION Diabła? – pytam Martina. – Jest chyba dość daleko od ostatniego znanego miejsca pobytu Tima?

- To strzał w ciemno – przyznaje.

Czekam, bo to nie jest odpowiedź na moje pytanie. Martin stuka w końcu palcem w mapę i wytycza linię od obozowiska sprzed pięciu lat do miejsca, w którym się znajdujemy.

- Przyjmujemy robocze założenie, że Tim się zgubił, stracił orientację w terenie.

Kiwam głową, bo rozumiem jego tok myślenia. Gdyby Tim stracił życie bliżej obozowiska, ktoś znalazłby już do teraz jego szczątki.

- Przez pierwsze lata skupialiśmy się na tym, któredy mógł pójść, jeśli zablądził. Gdyby poszedł na zachód, zamiast skręcić na wschód na tym rozwidleniu, dotarłby do tego szlaku, a potem do tamtego i tak dalej, i tak dalej. Albo gdyby udał się na północ, znalazłby się nad tą rzeką i podążyłby wzdłuż niej do przeprawy prowadzącej na łąkę.

Ponownie kiwam głową.

- Wszystkie te opcje zakładają, że Tim poruszał się wytyczonymi szlakami. To najbezpieczniejszy sposób postępowania dla kogoś, kto zgubił się w lesie. Tyle że... – Martin przerywa.

- ...nie odnaleźliście go – kończę za niego.

- Co daje mi do myślenia. A może poległ na instynkcie? Może coś skusiło go, żeby porzucić wyglądający łatwiej szlak i wybrać inną drogę? Spójrz tutaj. – Martin przesuwa palcem po mapie. – Jeśli Tim przeoczył w ciemnościach miejsce, w którym powinien skręcić, to poszedł na północ zamiast na południe. Dotarłby w ten sposób do gęsto zalesionego wąwozu. Nemeth i ja byliśmy tam w zeszłym roku. Cholernie trudna trasa. Wąsko, dużo drzew. Tim byłby wyczerpany, zdezorientowany i chciałby rozpaczliwie określić swoją pozycję. Co prowadzi nas tutaj. Do prześwitu

między drzewami. Gdzie sprawny i przedsiębiorczy młody człowiek mógłby ulec pokusie, by zejść ze szlaku i wspiać się po zboczu, żeby znaleźć się wyżej. Może sądził, że dotarłszy na szczyt, złapie zasięg w telefonie albo rozejrzy się po okolicy.

– Nemeth twierdzi, że komórki są w tych górach bezużyteczne.

– Nie działają nawet telefony satelitarne. Ale nie można mieć do chłopaka pretensji, że próbował. A więc – Martin powraca do mapy – schodzi ze szlaku i wspina się po zboczu wąwozu. Jeśli posuwałby się nadal na północ, dotarłby do tego kanionu. Zabrałoby mu to większość dnia, ale kiedy by tutaj trafił, zobaczyłby nizinę i jezioro i miałby szansę znaleźć naturalne schronienie. Schronienie, wodę i żywność. – Martin wylicza to na palcach. – Tim był bystry. Zorientowałby się natychmiast, że ten kanion daje mu największe szanse na przetrwanie.

– Masz nadzieję, że znalazł tutaj schronienie – odzywam się z wahaniem. Czyżby sądził, że jego syn może jeszcze żyć? Że przeżył samotnie tych pięć lat?

– Nie przetrwałby zimy – mówi cicho Martin, jakby czytał w moich myślach. – Nie miał odpowiedniego wyposażenia. To wysokie góry i surowy klimat.

Kiwam głową z poczuciem winy, że poruszyłam ten temat. Martin prostuje się i składa mapę.

– Szukamy już bardzo długo – mruczy. – Czy ten kolejny tydzień w magiczny sposób coś zmieni? Mam nadzieję, że względu na żonę.

Idzie do swojego namiotu, a pozostali nadal siedzą skuleni przy ognisku, by się rozgrzać.

Nikt się nie odzywa. Wyczerpani, z pełnymi żołądkami, jesteśmy wszyscy jak w śpiączce. Przenoszę się z kłody na ziemię, żeby móc wyciągnąć zmęczone nogi, i wpatruję się w nocne niebo. Księżyc, prawdopodobnie w trzeciej kwadrze, lśni jak pękata dynia. Są też gwiazdy. Nieskończenie wiele. Spędzając ostatnie półtora roku w dużych miastach, zapomniałam już niemal, jak wyglądają.

Te same gwiazdy rozsiane są na niebie nad rezerwatem, gdzie odkryłam na dnie jeziora ciało Lani Whitehorse. I nad farmą, na której

znalazłam w bagażniku zardzewiałego wraku samochodu małego Johnny'ego. I nad meliną, gdzie zlokalizowałam pierwszą poszukiwaną osobę, smutną młodą kobietę, której chłopak wolał strzelić jej w głowę, niż pozwolić odejść.

Zastanawiam się, czy Timothy O'Day dotarł przed pięciu laty aż tutaj. Czy był wdzięczny losowi, że trafił do tego rajcu, i sądził, że w końcu mu się poszczęściło? Czy spoglądał co noc na to niebo i myślał o narzeczonej, czekającej na niego w domu, i rodzicach, którzy musieli tracić zmysły z niepokoju? Czy dzielił sekretne nadzieje i ukryte lęki z tymi migającymi w oddali światłkami, powierzając im siebie, samotnego człowieka szukającego pociechy?

W końcu wszyscy po kolei odbywają dyskretną wycieczkę do lasu, a potem znikają w namiotach.

Podnoszę się zaraz po Lucianie. Daisy dźwiga się powoli z ziemi. Idę za nimi do naszej części obozowiska. Moja koszula z długimi rękawami jest wystarczająco wygodna, więc nie fatyguję się, żeby ją zmienić. Wsuwam się do jednoosobowego namiotu o rozmiarach przytulnej dziupli. Zapinam się w śpiworze. Srebrna podpinka kumuluje ciepło mojego ciała, aż staje się sama dla siebie piecykiem konwekcyjnym.

Słyszę przyciszone głosy kolegów Tima, którzy nadal siedzą przy ognisku. Wśród drzew rozlegają się echem jakieś odległe dźwięki, a bliżej jeziora żaby nucą leśną kołysankę...

ZRYWAM SIĘ ZE SNU, spanikowana i zdezorientowana. Serce wali mi w piersi.

I słyszę po raz drugi czyjś krzyk.

Rozdział 13

SZARPIĘ SIĘ Z ZAMKIEM błyskawicznym w namiocie, aż w końcu wydostaję się na zewnątrz i dostrzegam kilka rzeczy jednocześnie. Po ognisku pozostał tylko żar, a w obozie panuje chaos. Wszyscy wyskakują z namiotów, rozglądają się bezładnie i próbują zidentyfikować niewidoczne zagrożenie.

I znów ten krzyk. Zdecydowanie ludzki głos. Głos mężczyzny.

Obok mnie wyłania się Luciana, trzymając za obrozę spiętą Daisy. Ma bladą twarz, a pies jest wyraźnie podenerwowany.

Nemeth wychodzi naprzód z karabinem w ręce.

– Wszyscy mają zostać na miejscach.

Ale nasza grupa, która tak naprawdę nie jest grupą, już się rozproszyła. Bob znika między drzewami, koledzy Tima chwytają latarki i także biegną w las. Ja jedną ręką wciągam na nogi buty, a drugą szukam gorączkowo jakiegoś źródła światła. Znajduję latarkę czołową. Wystarczy.

– Bądź ostrożna – ostrzega mnie Luciana.

Zaciąga Daisy z powrotem do namiotu i zasuwa od środka zamek. Rozumiem, że nie chce, by pies biegał nocą po lesie. Też nie powinnam tego robić. Nie mam broni, doświadczenia ani odpowiedniego przeszkolenia.

Ale nigdy nie potrafiłam siedzieć beczynnym. Nawet jeśli to, co robię, jest szalone, głupie i nieprzemysłane, nie mogę oprzeć się pokusie. Nie ma sensu tracić czasu na walkę z impulsami.

W kanionie trudno się zorientować, skąd dochodzi dźwięk. Sądziłam, że ostatni krzyk dobiegł od strony sosen, bo tam skierowała się większość grupy. Ale nagle słyszę coś za sobą. Nie krzyk. Wyraźny trzask. Jakby odgłos łamania gałęzi. Albo ludzkiej kości.

Ruszam w tym kierunku, ku wielkiej nieznannej po drugiej stronie obozu. Czołowa latarka rzuca drgające światło, gdy rozglądam się nerwowo na boki. Niemal natychmiast zaczynam żałować, że nie wzięłam kieszonkowej. Promień światła wydobywa z mroku tylko chaotyczny obraz traw, fragmentów konarów, zarysów skał. Potykam się o wszystko, czego nie widzę pod stopami.

Prę do przodu, wyęzając słuch.

Słyszę czyjś oddech. Ciężki, głęboki. Odwracam głowę. Dochodzi z prawej strony, znad jeziora. Idąc tam, zdieram sobie skórę z łydki i niemal padam na twarz, gdy zahaczam lewą nogą o korzeń drzewa.

Czy wśród połyskującej złociście suchej trawy widać jakiś cień? Zwalniam i poruszam się teraz ostrożniej. Czy to człowiek, czy zwierzę? A tak czy inaczej, co powinnam zrobić?

Powinnam zabrać gwizdek albo gaz pieprzowy przeciwko niedźwiedzim. Nemeth ma rację: mój czar nie na wiele mi się przyda w tej głuszy.

Staram się poruszać bezgłośnie. Może to głupia przezorność, zważywszy, że światło latarki zdradza każdy mój ruch.

Dostrzegam przyczajoną postać. Człowiek na czworakach? Niedźwiedź? Mały Wielka Stopa? Słyszę cichy jęk. A potem szybszy, paniczny oddech. Odgłosy zdenerwowania.

Zbliżam się jeszcze bardziej i widzę w świetle latarki postać w niebieskiej flanelowej koszuli, z potarganymi brązowymi włosami.

– Scott?! – wołam.

Odwraca się. Wyciąga rękę, by osłonić oczy przed światłem. I wtedy zauważam krew.

Biorę go pod rękę i odprowadzam do obozu. Może iść, ale bełkocze coś niezrozumiale. Nie przerywam mu, bo muszę patrzeć pod nogi. Jego ramię jest silne i ciepłe. Wspieram się na nim, gdy – krok po kroku – brniemy razem w ciemnościach.

Dotarłszy na miejsce, sadzam go na jednej z kłód przy ognisku. Las, który nas otacza, wypełniają hałasy, trzaski, okrzyki, przekleństwa.

Pozostali nadal prowadzą poszukiwania.

Podaję Scottowi manierkę z przegotowaną wodą do picia, a potem wyjmuję gwizdek, który był w plecaku Josha, i dmucham w niego trzy razy.

Luciana zjawia się natychmiast.

– To był Scott – informuję ją. – Sprowadziłam go do obozu, ale jest ranny.

Nurkuje do namiotu i wraca z apteczką w towarzystwie Daisy. Wokół nas zaczyna się robić głośno, gdy w odpowiedzi na sygnał alarmowy wszyscy pędzą do obozu.

Nemeth dociera pierwszy. Ma włączoną latarkę czołówkę, więc nie widzę jego twarzy, ale zauważam, że trzyma w obu rękach karabin i przyjmuje bojową postawę.

– Scott! – krzyczę. – Jest przy ognisku. Luciana go opatruje. Wyłącz to światło!

Robi to poniewczasie i podąża w kierunku żarzącego się ogniska. Pozostali wyłaniają się spomiędzy drzew. Miggy, Neil, a wkrótce potem Martin. Nadal nie widać Boba, lecz biorąc pod uwagę jego posturę i prędkość poruszania się, zapuścił się zapewne najdalej.

Wszyscy ciężko dyszą i ich ubrania są w nieładzie.

Nemeth przejmuje dowodzenie.

– Rozpalcie ognisko! – rozkazuje.

Miggy zaczyna podsycać płomienie.

– Przynieście wodę!

Ruszam do akcji i napełniam garnek.

– Potrzebuję światła! – woła Nemeth.

Neil unosi posłusznie latarkę, kieruje ją na Scotta i oświetla jego zakrwawioną twarz i podartą koszulę.

– Widziałem go – bełkocze natychmiast Scott. – Widziałem go.

– Kogo? – pyta Martin, podchodząc bliżej.

– Tima. Przysięgam! Na skraju lasu. Był tam, w swojej zielonej kurtce. Widziałem go wyraźnie.

Dostrzegam w blasku ogniska skurcz na twarzy Martina.

– Mylisz się – rzuca. – Tim nie żyje.

Nigdy dotąd nie słyszałam, by to mówił. Nie jestem pewna, ile go to kosztuje. Nie dzieli się swoimi emocjami. A jednak w jego zaciśniętych szczękach i napiętych ramionach jest coś wymownego. Wyczuwam, że w świetle Martina to zwykle stwierdzenie wyznacza pewną dramatyczną granicę. Cokolwiek dobrego wydarzyło się w jego życiu, ma to już za sobą.

Nikt z nas się nie porusza.

– Widziałem go! – powtarza z uporem Scott.

– Jak to się stało? – pyta Nemeth.

– Musiałem pójść się wysikać. Gdy tylko wypełzłem z namiotu, zobaczyłem go, tuż przed sobą. Obserwował nas.

– Jak go zobaczyłeś?

– Co masz na myśli? Stał tam. Widziałem go wyraźnie. Mówię ci.

– W świetle latarki? – dopytuje się Nemeth.

– Nie miałem... Nie mam... – Scott spogląda w dół, chyba dopiero teraz zdając sobie sprawę, że nie ma latarki. Ani innego źródła światła.

Luciana ociera mu twarz wilgotną chustką. Jego policzki są zadrapane i mokre od łez, czoło pokaleczone. Można było się spodziewać takiego wyglądu po kimś, kto nocą biegł na oślep przez las, ocierając się po drodze o każdą gałąź.

– Zdejmij koszulę – nakazuje mu Luciana.

Scott ściąga ją przez głowę, sycząc głośno. Na piersi ma dwie długie głębokie rany. Krzywi się, gdy Luciana dotyka brzegów jednej z nich.

Miggy odwraca gwałtownie wzrok. Zastanawiam się, czy z przerażenia, czy z poczucia winy.

– To ci się przyśniło, stary – mruczy cicho Neil. – Wstałeś, żeby się wysikać, i zobaczyłeś to, co chciałeś zobaczyć. Co wszyscy chcemy zobaczyć.

Scott patrzy na przyjaciela, tracąc pewność siebie.

– Ale przysięgam...

– Nie miałaś latarki. Jak mogłeś zobaczyć go z tej odległości? – Neil wskazuje granice obozowiska, gdzie panuje nieprzenikniona ciemność.

– To wydawało się takie realne – mówi w końcu Scott.

W garnku zaczęła gotować się woda. Luciana czeka jeszcze chwilę, by ostygła, a potem zanurza w niej chustkę i dalej przemywa Scottowi rany. Trzeba mu przyznać, że nie wzdryga się, gdy kobieta zaczyna usuwać brud i kurz ze skaleczeń na jego piersi.

– Czy zdarzało ci się lunatykować? – odzywam się.

Spogląda na mnie.

– Czasami.

– Zwłaszcza gdy jesteś zestresowany? Albo w obcym miejscu?

– Tak.

– Czy to właśnie zdarzyło się pięć lat temu?

– Być może. Miewałem takie epizody od dzieciństwa. Zastanawiałem się, czy tamtej nocy... czy byłem aż tak pijany, czy lunatykowałem. Może dlatego nie słyszałem, jak mnie wołano? Ale potem... było jeszcze gorzej.

– Po zniknięciu Tima?

Scott nie patrzy na mnie.

– Po ślubie.

Neil odchrząkuje, by zwrócić na siebie uwagę.

– Lunatykowanie z poczucia winy – mówi.

Scott nie odpowiada. Po tamtej wyprawie w góry pozostało wiele wzajemnych oskarżeń, ale patrząc teraz na grupę przyjaciół, widzę wyraźnie, że Scott dźwiga dodatkowy ciężar. Gdyby wtedy nie zniknął, gdyby Tim nie wyruszył po pomoc...

Gdyby Scott nie ożenił się z byłą narzeczoną najlepszego przyjaciela? To, co zrobił wtedy i teraz, poróżniło go z kolegami. Míggý miał rację. Nie są już braćmi. Są jak ranni, którzy chodząc, pogarszają tylko swój stan.

– Dlaczego krzyczałeś? – pytam.

– Ja? Nie krzyczałem.

– Może kiedy zraniłeś się w pierś – wtrąca spokojnym głosem Luciana.

– Byłoby to uzasadnione.

– Nie przypominam sobie, żebym krzyczał – oznajmia niepewnie Scott. Mam kolejne pytanie.

– Skoro pobiegłeś do lasu... z powodu tego, co zobaczyłeś... to jak znalazłeś się na drugim końcu obozu?

– Nie mam pojęcia. Zobaczyłem Tima. Pamiętam, że go widziałem. A potem... nie jestem pewien, co się stało. Może to był tylko koszmar.

Słyszając kolejny hałas, czujemy dławiący strach. Mamy nerwy napięte do granic. Nemeth natychmiast unosi broń.

Do obozu wkracza Bob. Jest w butach, które nie są zawiązane, a spod rozpiętej koszuli widać tors, równie zarosnięty rudymi włosami jak jego twarz. Na czole ma strużkę krwi, ale najwyraźniej się tym nie przejmując. Wyłącza latarkę i pyta:

– Co stało się z naszymi zapasami żywności?

LUCIANA, MIGGY I NEIL zostają ze Scottem, by opatrzeć do końca jego rany. Luciana stwierdza, że nie trzeba zakładać szwów. Ale skaleczenia muszą zostać dokładnie zdezynfekowane, zanim się je zaklei.

Bywałam w miejscach, gdzie klej Superglue był jedynym środkiem, na jaki ludzie mogli sobie pozwolić, by zasklepić ranę. Nie jestem jednak pewna, czy chcę się przyglądać, jak komuś opatruje się w ten sposób rozcięcie na torsie.

Idę więc z Nemethem, Martinem i Bobem poza obozowisko, do miejsca, gdzie Nemeth zawiesił żywność i odpadki w trzech zapachoszczelnych czarnych workach na śmieci. Dwa spośród nich wyglądają jak rozbebeszone piñaty, a ich zawartość jest rozrzucana po ziemi.

Nemeth trzyma w pogotowiu karabin, przykucając, by przyjrzeć się rozwleczonym między drzewami racjom żywnościowym. Włączam latarkę czołową, by oświetlić okolicę.

Worki wisiały na linach jakieś dwa i pół metra nad ziemią. Liny są nienaruszone i nadal przywiązane do gałęzi. Zniszczone zostały tylko worki z żywnością. Plastik jest pocięty na paski.

– Sądziłam, że niedźwiedzie nie mogą się do nich dostać – mówię.

Nemeth patrzy na mnie, ale nie odpowiada. Idzie pochyłony do miejsca, gdzie jest najwięcej rozrzuconego prowiantu.

– Nic nie zabezpiecza w stu procentach żywności przed niedźwiedziami – mówi w końcu Bob.

– Po co więc zawieszać wszystko na drzewach? – pytam. – Czy niedźwiedzie nie potrafią się wspinać?

– To nie jedyne dzikie zwierzęta, które próbujemy odstraszyć.

Spoglądam dwa i pół metra w górę.

– To musiał być duży niedźwiedź – kwituję.

Bob wzrusza ramionami, jakby nie zrobiło to na nim szczególnego wrażenia. Może w porównaniu z Wielką Stopą dwa i pół metra to nie tak wiele. Albo w porównaniu z jego posturą. Zaczynam się zastanawiać, czy mogę polegać na plastikowym gwizdku.

Bob odwiązuje linę i ściąga ocalały worek, by do niego zajrzeć.

– Karma dla psa – oznajmia. – Przynajmniej Daisy nadal ma co jeść.

– Musimy zebrać, co się da – oświadcza Martin, wskazując na rozrzucone porcje. – Zrobić inwentaryzację.

– W moim namiocie są zapasowe worki – mówi Nemeth i patrzy na Boba. – Przynies parę.

Bob oddala się. Ja zostaję i oświetlam czołówką, co tylko mogę. Po trzech czy czterech krokach uświadamiam sobie nagle, czego tu brakuje. Nemeth zapewne już to zauważył.

– Nie ma odcisków łap.

Żeby się upewnić, uderzam czubkiem buta w ziemię. Jest twarda i sucha, ale moje wysiłki przynoszą rezultat. W glebie zostaje zagłębienie.

Sytuacja jest potwornie zagmatwana. Bestia, która to zrobiła, musiała zostawić jakieś ślady. Nie widzę jednak żadnych odcisków na ziemi ani świeżych zadrapań na sośnie.

Nemeth i Martin wymieniają spojrzenia.

Bob wraca z zapasowymi workami. Zbieramy po kolei ocalałe racje żywnościowe. Nie potrzebuję dokładnych obliczeń, by wiedzieć, że jest

ich o wiele mniej, niż mieliśmy na początku. Osiem osób, dwie porcje dziennie... Za mało na cały tydzień. Wystarczy w najlepszym razie na kilka dni.

– Nie ma odcisków łap – szepczę do Boba, gdy przykucamy obok siebie na ziemi. – Jakie zwierzę nie zostawia śladów?

– Takie, które niewiele waży. Albo... – spogląda w górę na korony drzew – takie, które lata.

– I przyleciało z własną torbą na zakupy, żeby zabrać kilkadziesiąt porcji jedzenia?

Nie znajduje na to odpowiedzi, ale sprawia wrażenie, jakby poważnie się nad tym zastanawiał.

Zbieramy ostatnich kilka racji żywnościowych i podnosimy się z ziemi. Martin i Nemeth szepczą coś między sobą, lecz kiedy się zbliżamy, milkną.

– Bylibyśmy wdzięczni, gdybyście nie mówili nic pozostałym – oznajmia Martin.

– O tym, że straciliśmy połowę zapasów żywności i musimy odwołać wyprawę? – odpowiadam.

– To była długa noc. Nie ma powodu do paniki.

– Jeszcze większej paniki. – Nigdy nie lubiłam, jak ktoś mnie uciszał. – Najpierw Scott, teraz to. To już jest powód do większej paniki.

– Rano przeanalizujemy sytuację. – Martin mówi pojednawczym tonem, ale Nemeth wygląda na mniej przekonanego. – Rano wszystko wygląda lepiej.

– Co to jest, podstawowy kurs zarządzania kryzysowego? – irytuję się.

Bob kładzie mi rękę na ramieniu.

– Teraz nie możemy nic zrobić – odzywa się spokojnie. – Najbezpieczniej będzie pozostać w obozie. I rano się przegrupować.

Patrzę na niego wilkiem. W sumie zgadza się z Martinem, więc chcę zaprotestować dla zasady. Tyle że przy jego argumentacji decyzja wydaje się bardziej sensowna. Jak dowodzi przypadek Scotta i rozdarte worki z żywnością, góry to nie miejsce na włóczenie się po nocy.

- W porządku - rzucam. - Ale musimy zrobić zebranie.

- O świcie - zgadza się Martin.

Po czym on, Nemeth i Bob wymieniają spojrzenia. Udało im się spacyfikować rozhisteryzowaną babę?

Nie podoba mi się to. Gdy wracamy do płonącego ogniska, zastanawiam się coraz poważniej nad tym, w co się wpakowałam.

Rozdział 14

ŚWIT NASTAJE ZA SZYBKO i jest zbyt jasny. Hałasy na zewnątrz przywracają mnie na siłę do przytomności. Walczę ze snem, przyzwyczajona przez całe życie do tego, że późno kładę się spać, a potem przesypiam pół dnia, więc pora śpiewu ptaków jest dla mnie skandalicznie wczesna.

Słyszę szczeknięcie, a potem kilka kolejnych. Podnoszę się i siadam. Przeczesuję ręką splecione włosy i pocieram czoło. Dudni mi w głowie. Zaszło mi w ustach. Nie czułam się tak fatalnie od czasu, gdy dużo piłam, więc sięgam odruchowo po butelkę wódki, by złagodzić ból. Pamięć mięśni to koszmarna rzecz.

Pełzną do wyjścia, rozpinam zamek i spoglądam zamglonym wzrokiem na zewnątrz. Świeci słońce, niebo jest błękitne, ptaki świergoczą.

Niech to szlag! Chcę znów się położyć i przespać następnych sześć dni. I potrzebuję advilu. Sprzedałabym duszę za dwie tabletki tego wydawanego bez recepty środka przeciwbólowego. Wiedziałam, że będę dziś cierpieć, ale to...

Pojawia się Daisy. Macha ogonem i szczeka.

– Zdaje się, że lubisz wcześniej wstawać – mruczę do niej.

Znowu macha ogonem i liże mnie po policzku, bo ma łeb na wysokości mojej twarzy. Jej oddech cuchnie chyba mniej niż mój.

Po chwili uderza mnie kolejny zapach, intensywny i upajający. Natychmiast wychodzę z namiotu. Kawa. Dzięki Bogu, gorąca kawa. Może jednak stanę na nogi.

Chyba zbudziłam się ostatnia, ale nie tylko ja cierpię. Scott, Neil i Miggy, którzy zajęli miejsca na najdłuższej kłodzie, ściskają w dłoniach stalowe termosy z gorącą kawą i wpatrują się beznamiętnie w tańczące płomienie. Mają potargane włosy, zmięte ubrania i opuszczone ramiona.

Scott zdjął podartą koszulę i włożył inną, ale nadal ma plamy krwi na dresowych spodniach. Nikt nie zwraca na to uwagi.

Nemeth krząta się przy ognisku. Gdy podchodzę, podaje mi puszkę z kawą rozpuszczalną i porcję płatków owsianych. Zaczynam od kawy: wsypuję ją do stalowej manierki i zalewam wrzącą wodą. Chyba przyzwyczajam się do obozowej kuchni i do wykwintnego korzystania z jednego kubka i jednego łyżkowidelca.

Martin kręci się przed swoim namiotem. Wygląda na to, że robi porządki, choć pozostaje dla mnie zagadką, co tam jest do sprzątania. Podejrzewam, że po prostu próbuje się czymś zająć, okiełznać emocje. Znam tę metodę.

Siadam obok Luciany, która wygląda zachwycająco nawet o tej niehumanicznej porze. Ma lśniąca śniadą skórę, połyskujące czarne włosy, oczy z gęstymi rzęsami.

– *Don't hate me 'cause I'm beautiful* – zaczyna śpiewać, jakby czytała w moich myślach, i posyła mi zawadiacki uśmiech.

Nie mogę powstrzymać się od śmiechu, który zaraz zamienia się w grymas.

Bob siada na ziemi naprzeciwko nas. Podnosi kubek na powitanie. Odwzajemniam ten gest, po czym wypijam pierwszy łyk gorącej, gorzkiej kawy, parząc się w język. Mimo bólu bardzo mi smakuje.

Luciana wyciąga do mnie rękę. Dopiero po chwili dostrzegam na jej dłoni dwie białe tabletki.

– Chcesz ibuprofen?

– Stówa za obie czy za każdą tabletkę?

– Odbiorę w naturze.

– Zgoda.

Popijam tabletki gorącą kawą, parząc sobie przełyk. Nie zważam na to.

– Jak się czujesz? – pyta Luciana.

– Lepiej o tym nie myśleć.

– Słusznie. Daisy i ja sporo podróżujemy, ale cały dzień ciężkiego marszu to nie to samo. Zdecydowanie inne doświadczenie niż

poszukiwanie ofiar katastrof.

Daisy podchodzi do Boba i obwąchuje rudowłosego olbrzyma ze wszystkich stron, po czym siada i wpatruje się w niego z nieukrywaną nadzieją.

– Psy nie jadają owsianki – informuje ją Bob, przyciskając mocniej do piersi kubek ze śniadaniem.

Daisy najwyraźniej się z nim nie zgadza.

– Szybko odzyskała siły – zauważam, wskazując na nią.

– Zawsze tak jest. Stąd jej imię. Nigdy nie widziałam, by coś tego psa wykończyło.

Labrador znów macha ogonem do Boba, a ten wsuwa z uporem do ust kilka łyżek owsianki.

Zastanawiam się, czy on albo Martin i Nemeth przekazali już grupie wiadomość, że straciliśmy zapasy żywności. Sądząc po zaspanych twarzach obecnych, bardzo w to wątpię. Wydają się zbyt spokojni jak na ludzi, którym grozi nieuchronna katastrofa.

Scott drapie się bezwiednie po torsie.

– Jak się czujesz?! – wołam do niego.

– Przeżyję. – Jest przygnębiony i markotny, podobnie jak Miggy i Neil.

Zastanawiam się, czy wszyscy trzej zdołali wczoraj powtórnie zasnąć, czy też leżeli i rozmyślali o tamtej nocy sprzed pięciu lat. Gdy zaginał Scott. A potem nic już nie było takie samo.

Czy poczują ulgę, kiedy się dowiedzą, że ich wyprawa musi zostać przerwana? A może na tym etapie zechcą po prostu iść dalej, aż odnajdą w końcu szczątki Tima i będą mogli powrócić do normalnego życia? Wiem, za czym głosowałby Miggy. Co do Neila, nie mam pojęcia. A Scott? Zakładając, że natrafimy na szczątki Tima i Scott zobaczy wreszcie zbiegające kości przyjaciela...

Jakim cudem zdoła potem kontynuować życie z byłą narzeczoną Tima?

Znów drapie się po torsie i wpatruje w ogień.

Kończę kawę i zabieram się do śniadania. Dziś są to płatki owsiane z migdałami i cukrem trzcinowym, który dostarcza dodatkowej energii.

Muszę przyznać, że przy tym poziomie fizycznego wysiłku wszystko wyśmienicie smakuje. Mam już ochotę na drugą i trzecią porcję, na co nie ma szans, zważywszy na wydarzenia minionej nocy.

Rzucam okiem na Martina, który nadal nas unika, a potem wbijam wzrok w Nemetha. Najwyraźniej wie, czego od niego chcę, bo odchrząkuje i podnosi się z miejsca.

– Coś się wydarzyło – zaczyna.

Wszyscy mu się przyglądają. Martin przestaje w końcu krzątać się przy namiocie.

– Minionej nocy – ciągnie Nemeth – jakieś zwierzę dobrało się do naszych zapasów żywności i rozerwało dwa worki. Pokarm Daisy ocalał. My straciliśmy kilkadziesiąt porcji jedzenia.

– Co?! – Neil wstaje z ziemi. – Jakieś zwierzę pozbawiło nas żarcia? Myślałem, że te worki przed tym zabezpieczają.

– Ważne, że nie weszło do obozu...

– Sądzisz, że to był niedźwiedź? – Miggy również podnosi się z ziemi.

Nemeth zaciska szczęki.

– Nic nam nie grozi. Udało nam się odzyskać większość zapasów.

– To znaczy ile? – odzywa się znowu Neil.

Muszę przyznać, że bawi mnie to przedstawienie.

– Kilkadziesiąt...

– Jest nas ośmioro. – Miggy robi te same wyliczenia co ja minionej nocy. – Potrzebujemy co najmniej szesnastu porcji dziennie. A więc z tego, co mówisz, mamy jedzenia na ile? Na dwa dni?

– Na trzy. Cztery, jeśli będziemy ostrożni.

– Ostrożni? Co to, kurwa, znaczy? Zeszłej nocy byliśmy chyba ostrożni, a jednak Scott ma poharataną pierś, a ty pozbawiłeś nas połowy żywności.

Nemethowi najwyraźniej się to nie podoba. Otwiera usta, by zaprotestować, lecz do rozmowy włącza się Martin.

– Przestańcie – mówi stanowczym tonem.

Nemeth, Neil i Miggy milkną, a Scott podnosi w końcu wzrok znad ogniska.

– Policzyłem racje żywnościowe – informuje nas Martin. – Wystarczy na cztery dni. To może wymagać skrócenia wyprawy, ale nie zmienia bieżących planów. – Martin zwraca się do Scotta: – Możesz nadal iść?

– Tak, proszę pana.

– Więc nie ma o czym dyskutować. Skończcie jeść i ubierzcie się. Wyruszamy za trzydzieści minut.

Martin wraca do namiotu, a po pełnej napięcia chwili Nemeth idzie w jego ślady.

– Cóż, to było interesujące – mruczy siedząca przy mnie Luciana.

– Nawet bardzo – przyznaję.

Koledzy Tima już szykują się do drogi. Mogą nie lubić Martina, może nawet go nienawidzą, ale najwyraźniej czują się w obowiązku go słuchać.

Kończę owsiankę i dopijam kawę. Boli mnie wszystko. Dobija mnie myśl, że muszę znów wkładać stopy w buty. Martin powiedział wczoraj, że do jaskiń pozostały dwie godziny marszu. Nie mam pojęcia, jak tam dojdę, skoro ledwo dowlekam się do namiotu.

– Dziękuję za ten piękny poranek – mruczę, przypominając sobie spotkania AA. – Dziękuję za słońce i moją nową przyjaciółkę Daisy, i możliwość udziału we wspaniałej wyprawie. Dziękuję za to, że dziś nie piłam.

Odczekuję chwilę. Odprężam się. Koncentruję myśli.

Potem ubieram się w wilgotne jeszcze rzeczy, które miałam na sobie wczoraj, przytwierdzam do pasa komandoski nóż i szykuję się do kolejnej długiej wędrówki przez góry.

LUCIANA POMAGA MI PRZEPAKOWAĆ plecak, bym miała w nim zaopatrzenie na jednodniową wycieczkę, a nie tygodniową ekspedycję. Napęlam wodą manierki i upycham przekąski – odkryłam poniewczasie, że nie wyjęłam z plecaka Josha zapasów czekoladek z masłem orzechowym i batonów proteinowych. Zważywszy na los, jaki spotkał worki z żywnością, cieszę się, że zatrzymałam je dla siebie. Choć zmienię być może zdanie, jeśli zobaczę nocą w namiocie niedźwiedzia grizzly.

Nemeth i Martin kończą przygotowania do wymarszu. Żywność zabezpieczona, ognisko zgaszone, namioty zapięte dokładnie na zamki błyskawiczne. Ruszamy w drogę.

Zaczynamy tak jak wczoraj rano, czyli zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu, a wydaje się, jakby to było w innym życiu. Nemeth prowadzi, z karabinem na ramieniu. Martin idzie tuż za nim. Potem pozostali mężczyźni, krzywiący się przy każdym kroku. Za nimi podążają Luciana i Daisy. Pies ma teraz na sobie czarną kamizelkę i truchta radośnie. Najwyraźniej wie, że czeka go praca, i jest podekscytowany.

Kuśtykam za nimi, ciesząc się, że mam teraz znacznie lżejszy plecak, i przekonując siebie, że obolałe sztywne mięśnie lada chwila się rozluźnią. Jeszcze tylko krok. I następny. I następny.

Bob zamyka pochód. Jego długie nogi pokonują bez wysiłku górski szlak. Zwalniam, by zwiększyć nieco dystans dzielący nas od Luciany.

– Wszystko w porządku? – pyta, gdy zostajemy z tyłu.

– Od jak dawna należysz do Północnoamerykańskiego Stowarzyszenia Poszukiwaczy Wielkich Stóp? – pytam.

– Od dziesięciu lat... zaraz, może od dwunastu. W każdym razie już dość długo.

– Czy to organizacja dla wolontariuszy?

– Mamy wybrany zarząd. Zważywszy na to, że jest nas dużo, większość zebrań odbywa się online. Ale lokalni członkowie spotykają się często na grupowych wyprawach podczas poszukiwań w określonym terenie.

– Pomagacie odnajdywać ludzi zaginionych w górach?

– Oczywiście. Większość z nas spędza mnóstwo czasu w terenie. Jeśli tylko możemy w czymś pomóc...

– Dostajecie za to pieniądze?

Śmieje się.

– Chciałbym. Jestem obecnie sekretarzem stowarzyszenia. Wierz mi, robię to z zamiłowania, nie dla pieniędzy.

– Dlaczego więc Martin wypisał ci czek na pięć tysięcy dolarów? – Odwracam się, by zobaczyć wyraz jego twarzy. Jego złocistoruda broda jest

wystarczająco gęsta albo Bob potrafi zachować w stresie na tyle zimną krew, że nie daje po sobie nic poznać.

– Ja nie dostałem od niego żadnych pieniędzy. – Milknie, by wyraźnie to podkreślić. – Wypisał czek dla stowarzyszenia. Jako wyraz wdzięczności za pomoc, jakiej udzieliliśmy mu w poszukiwaniach w ciągu ostatnich kilku lat.

– Pięć tysięcy dolarów to hojny wyraz wdzięczności.

– O to pytaj Marty'ego, nie mnie.

Wyczuwam w jego głosie nutę napięcia. Szorstkość, która nie pasuje do jego luzu. Najwyraźniej temat jest dla niego drażliwy. Dlaczego, skoro czek był tylko formą podziękowania dla jego organizacji?

Nie znam Boba dobrze. Jesteśmy znajomymi z internetu, wirtualnymi towarzyszami broni, którzy poszukują tego, czego nie znaleźli inni. Ale potrafię wyczuć kłamstwo i wiem, że Bob mnie okłamuje.

– Naprawdę wierzysz, że w tych górach żyją Wielkie Stopy? – pytam po chwili, gdy okrążamy końcówkę jeziora, by przejść na jego drugą stronę, w kierunku jaskiń.

– Byłaby to miła niespodzianka, ale uważam, że ich naturalnym środowiskiem są północno-zachodnie obszary nad Pacyfikiem.

– Ale jesteś tutaj, i to nie tylko ze względu na Martina i jego syna. Chodzi o inne zaginione osoby? – zastanawiam się głośno. – O dodatkowe punkty na twojej mapie?

– Polowanie na mityczną bestię przypomina poszukiwanie kogoś, kto zaginął: szukasz nie tylko tej osoby, lecz także wszelkich śladów, jakie pozostawiła. Jeśli natrafia się w głuszy na coś nietypowego, może to stanowić wskazówkę, że żyją tam jakieś nieznanne istoty.

– Myślisz, że Wielkie Stopy stanowią zagrożenie dla ludzi? Że to przez nie zaginęło tych pozostałych sześć osób?

– Sądzę, że gdyby były to jedynie gigantyczne dwunożne małpy, zostałyby już zlokalizowane, bo atakowałyby miejscową ludność. Ale tego nie robią. Co oznacza, że mówimy o istotach, które są nie tylko inteligentne, ale też wystarczająco sprytnie, by uniknąć zdemaskowania. –

Bob wzrusza ramionami. – Możesz mnie uznać za romantyka, ale skoro dotychczas nie robiły nam krzywdy, to jestem skłonny wierzyć, że chcą żyć z nami w zgodzie.

– Więc po co szukać tych osób zaginionych w górach?

– Co byś zrobiła, gdybyś zobaczyła przed sobą w lesie ogromną włochatą bestię?

– Zsikałabym się w majtki. Żałowałabym, że nie zjadłam ostatniego kawałka czekolady. – Domyślam się, o co mu chodzi. – Rzuciłabym się do ucieczki.

– I zleciałabyś w przepaść, wpadła na jakiś głaz albo kompletnie zgubiła się w lesie.

– A więc ludzie giną w górach, ale nie dlatego, że Wielkie Stopy mają wobec nich złe zamiary? – Unoszę brew z powątpiewaniem.

– Nigdy nie wiadomo.

Mam tego dość. Zatrzymuję się nagle, Bob również.

– Nie znam się na Wielkich Stopach, ale okłamujesz mnie, Bob. Dlaczego to robisz?

– Jestem tu, by pomóc Marty'emu.

– Za pięć tysięcy dolarów?

– Ja nie...

– Owszem. Ktoś to widział. Czek był na twoje nazwisko. Przyznaj się.

– Kto ci powiedział?

Uśmiecham się. Właśnie udowodnił, że mam rację.

– Co stało się w nocy? – pytam wprost. – Te worki z żywnością. Wydawały się rozdarte pazurami, ale jakie zwierzę nie zostawia śladów? Znam tylko jedną istotę wystarczająco sprytną, by je po sobie zatrzeć, i należy ona do gatunku homo sapiens.

– Sądzisz, że zrobił to ktoś z naszej ekipy. Zniszczył zapasy. Po co?

– Nie wiem. Dlatego cię pytam.

– Nie dotykałem tych worków. Nie zrobiłbym czegoś takiego.

Przez chwilę brzmi tak szczerze, że chcę mu wierzyć. Jest tym Bobem, za którego go uważałam, co zakrawa na żart, ponieważ poznałam go

osobiście zaledwie czterdzieści osiem godzin temu. Może podejrzenia Miggy'ego są słuszne i Bob udaje jedynie sympatycznego olbrzyma, by uspić naszą czujność do czasu, aż ujawni swoje prawdziwe, diaboliczne zamiary? Ale jakie?

– Nie tylko ja wychodziłem tej nocy – przypomina mi Bob. – Wszyscy pobiegli do lasu, żeby zobaczyć, co się dzieje, a to znaczy, że worki nie były pilnowane przez dobrych dwadzieścia, trzydzieści minut. Każdy z nas mógł bez problemu wrócić i je rozciąć.

– Luciana została w obozie. Widziałam, że zamknęła się z Daisy w namiocie. Nie chciała, żeby psu coś się stało.

Bob mówi na głos to, o czym już zdążyłam pomyśleć.

– Karmy psa nie ruszono.

– Co zyskałaby Luciana, niszcząc nasze zapasy żywności? Ona też musi jeść.

– A co ja bym zyskała? Również muszę jeść. Nawet więcej niż pozostali.

– Klepie się z zażenowaniem po wielkim brzuchu.

Znów sprawia wrażenie przerośniętego szczeniaka. Te słodkie niebieskie oczy, błagalne spojrzenie. Nie kupuję tego. Ale i nie potrafię odrzucić. Czy za dużo chodziłam wczoraj po górach, a może za mało spałam w nocy? Bo zawodzi mnie instynkt. Zdolność błyskawicznego oceniania ludzi to jedna z moich niewielu życiowych umiejętności. Ale teraz mam zamglone myśli i zamęt w głowie.

Pocieram skronie, żeby w moim umyśle wykluła się jakaś wiarygodna historia. Nic z tego. Zanurzam się coraz głębiej w dzicz, tracąc wszelki kontakt z zewnętrznym światem, i nie mam pojęcia, kim naprawdę są ci ludzie i jakie mogą mieć zamiary.

Od dawna nie czułam się tak zagrożona.

– Wiesz, czego potrzeba, by przez całe życie poszukiwać Wielkich Stóp? – pyta nagle Bob.

Patrzę na niego.

– Wiary – wyjaśnia. – Ogromnych pokładów wiary. Nie mam pojęcia, co wydarzyło się w nocy, jak Scott został ranny i jak zniszczono zapasy

jedzenia. Ale to nie ja stanowią tutaj problem.

Uśmiecham się. Chcę mu wierzyć, choćby po to, by móc lepiej spać. Ale zauważam w jego słowach przede wszystkim to, że nie wspomina o czeku, który wypisał mu Martin. Jeszcze jeden dowód, że otrzymał zapłatę i ukrywa to.

Dlaczego?

W góry wychodzi osiem osób. Zrozpaczony ojciec, trzech przyjaciele jego syna, górski przewodnik i trzech półprofesjonalnych poszukiwaczy. Na pozór ma to sens. Dlaczego więc mam przeczucie, że nie wszyscy wrócimy?

Przed nami coś się dzieje. Pojawia się Neil. Właśnie z nim miałam nadzieję teraz porozmawiać.

– Wszystko u was w porządku?! – woła z daleka.

– Poprawiamy tylko plecaki – odpowiada Bob, by wyjaśnić powód naszej opieszłości. Nie patrzy na mnie ani ja na niego.

– Więc pospieszcie się. Coś znaleźliśmy. Tuż przed nami.

Rozdział 15

JAKIEŚ SZEŚĆ METRÓW OD głównego szlaku odkryli prowizoryczny obóz. Martin zauważył go pierwszy, choć nie mam pojęcia jak. To prymitywny jednoosobowy szałas z sosnowych gałęzi. Dwa metry dalej widać zwęglone resztki ogniska.

– Jeśli ognisko jest blisko wejścia do szałas, ogrzewa jego wnętrze – mówi cicho Martin jakby sam do siebie. – Niby to nic takiego, ale można w nim wtedy utrzymać temperaturę powyżej dziesięciu stopni, bez względu na warunki. Nauczyłem tego Tima. Przez jakiś czas ćwiczył to w ogrodzie, a potem uczył kolegów na boisku szkolnym. Dzieciaki uwielbiają budować forty.

Wyczuwam w jego głosie szczególny ton. To człowiek, który widzi równocześnie i terażniejszość, i przeszłość. Ojciec, który czuje się zarazem dumny i rozczarowany.

W obozowisku jest mało miejsca dla ośmiu osób, więc wszyscy stoją z boku, by Martin mógł tam wejść.

– Myślisz, że zbudował to Tim? – zwracam się cicho do Nemetha.

Nie odpowiada od razu, przeczesuje wzrokiem okolicę.

– Możliwe – przyznaje w końcu. – Ale ten szałas może pochodzić sprzed pięciu lat albo sprzed paru miesięcy. – Marszczy czoło, przyglądając się konstrukcji z gałęzi. – Wątpię, czy to dzieło Tima. Myślę, że ma co najmniej rok. Ale ile więcej, trudno powiedzieć.

– Dlaczego co najmniej rok?

Martin obchodzi szałas. Zatrzymuje się co chwilę i dotyka sosnowych igieł na jego zadaszeniu i uciętych końcówek ułożonych gęsto gałęzi. Nemeth obserwuje to miejsce, ale Martin je czuje.

– Spójrz na ziemię. Na tę cienką warstwę ściółki. Ktoś, kto zbudował ten szałas, musiał zrobić tu niezły bałagan. Powinniśmy widzieć zrytą

glebę, odciski stóp osoby siedzącej przy ognisku. Niczego takiego nie ma. To miejsce wygląda jak...

– Wymarłe miasto? – wtrącam. – Opuszczone, i to bardzo dawno temu?

– Właśnie. – Nemeth przykuca i przygląda się otoczeniu z nowej perspektywy. – Poza tym spodziewałbym się, że po pięciu latach szłaś się rozsypie, gałęzie się rozleca. Ten jest w całkiem dobrym stanie jak na tak prowizoryczną konstrukcję.

– Sądziłam, że wy, znawcy gór, potraficie, wachając ziemię i liżąc szyszki, określić bezbłędnie, kto przebywał w danym miejscu, kiedy i o której godzinie, a nawet co lubił jeść i spod jakiego był znaku zodiaku.

Nemeth przygląda mi się.

– Wiem, że ty jesteś spod znaku Panny. Czy to coś daje?

– Skąd to wiesz?

– Bo jesteś wrzodem na mojej dupie. Uparta, krytyczna, przemądrzała...

– Dobrze już, dobrze. Powiedzmy, że mamy remis.

Martin przeszedł od szałas do ogniska. Podnosi zwęglony kawałek drewna i obraca go w rękach.

Zauważam, że Luciana i Daisy obchodzą obozowisko szerszym łukiem – na ile mogą, zważywszy na to, że jesteśmy w gęstwinie na poły uschniętych rozłożystych sosen. Bob idzie za nimi. Neil, Scott i Miggy stoją z boku, robiąc to, co wychodzi im najlepiej, czyli nic.

– Po co budować szałas tak daleko od szlaku? – pytam.

– Na ogół szuka się sprzyjających warunków naturalnych – odpowiada Nemeth. – Na przykład kilku zwalonych drzew, które utworzą szkielet konstrukcji, tego rodzaju rzeczy. Ale żeby zejść ze szlaku i zapuścić się tak głęboko w las... – Ogląda się za siebie. Ścieżka jest stąd prawie niewidoczna zza pni drzew. Nemeth ma zafrasowaną minę. – Nie wiem – rzuca w końcu.

Przypominam sobie krzyki, które słyszeliśmy wczoraj na trasie. Zdaniem Nemetha wydawało je zwierzę, ale nie była to żadna miła czworonożna istota, jaką znam. Zastanawiam się, czy osoba, która tu

biwakowała, również słyszała te krzyki i czuła potrzebę znalezienia mniej wyeksponowanej kryjówki.

Nemeth wstaje i otrzępuje z kurzu spodnie, po czym zwraca się do wszystkich:

– Kanion Diabła jest trudno dostępny dla przeciętnego turysty, mimo to wiele osób tu dociera. Może znajdziemy jakiś sprzęt należący do Tima albo do kogoś, kto tu przebywał. W przeciwnym razie mamy jedynie dowód, że jakiś człowiek biwakował tutaj co najmniej rok temu.

– Tim to zbudował – odzywa się Martin.

Wszyscy na niego patrzymy.

– Te gałęzie nie zostały ułamane. Ich końcówki są ucięte dokładnie pod kątem czterdziestu pięciu stopni, jak przystało na inżyniera. Zobaczcie, jak ułożone są kamienie wokół ogniska. Mają taką samą wielkość i identyczny kształt. Nie było potrzeby tak ich dobierać. To wymaga dodatkowego wysiłku. Ale Tim lubił, żeby wszystko było jednolite, przyjemne dla oka. Był synem cieśli.

Nie rozumiem, ale im więcej dowiaduję się o Timie, tym bardziej żałuję, że nie miałam okazji go poznać. Moje życie jest pełne duchów. Wizerunków i historii ludzi, których nie znałam i w większości przypadków nigdy nie poznam. Prześladują mnie. A jednak wciąż na nowo kolekcjonuję wspomnienia, które nie są naprawdę moje, i przyciskam je mocno do piersi. Czy kiedy gromadzi się tragedie innych, łatwiej jest znosić własne?

Nadal czekam, by się tego dowiedzieć.

– Możemy zacząć poszukiwania od tego miejsca – odzywa się cicho Luciana. Stoi z Daisy na baczność sześć metrów dalej, trzymając w ręce niewielki pojemnik przypominający dezodorant. Widziałam już wcześniej coś takiego. Wydmuchuje się w powietrze pomarańczowy proszek i patrzy, jak się unosi, by określić kierunek wiatru.

Martin wpatruje się w Lucianę bardzo długo. Jego twarz znów jest napięta. Znowu widzi rzeczy, które tylko on potrafi dostrzec.

Trzej przyjaciele Tima poruszają się niespokojnie. Bob poprawia plecak. Wszyscy wyczekujemy.

Martin nadal nie odpowiada.

Czy teraz, gdy już tu dotarliśmy i nadeszła ta chwila, naprawdę chce kontynuować? Znaleźć kości syna? Dowiedzieć się raz na zawsze, co mu się przydarzyło, choć zdaje sobie sprawę, że już nigdy tego nie zapomni?

Zamknięcie sprawy to taka ryzykowna rzecz.

Przenika go dreszcz. Odwraca się do Luciany i mówi:

– Tak.

– **POSZUKIWANIA UDAJĄ SIĘ** najlepiej w trzyosobowej ekipie. Potrzebny jest pies, jego opiekun i pomocnik. – Luciana przygląda się nam wyczekująco.

Martin natychmiast podnosi rękę.

– Zgłaszam się.

Luciana wpatruje się w niego przez chwilę, najwyraźniej się zastanawiając. W końcu oznajmia stanowczo:

– Nie.

Martin mruga z niedowierzaniem. Po raz pierwszy słyszałam, by ktoś mu się sprzeciwił. Nie jest do tego przyzwyczajony.

– Zaraz, do cholery...

– Wiesz chociaż, co robi pomocnik?

Patrzy na nią wilkiem.

– Nie wiem – przyznaje.

– Ustala trasę za pomocą kompasu i odpowiada za komunikację z resztą grupy, byśmy nie wchodzili sobie wzajemnie w drogę ani nie dublowali swoich działań. Masz ochotę śledzić mapę i kompas czy wolisz wypatrywać śladów Tima?

Martin znów rzuca jej gniewne spojrzenie. Nie musi nic mówić. I tak znamy jego odpowiedź. Ale Luciana na nią czeka. Jest ekspertką w tym, co robi, i od razu ustala swoją dominującą pozycję. Mam ochotę bić jej brawo, ale obawiam się, że może to być w złym guście.

– W porządku – cedzi przez zęby Martin, taktowny do końca.

– Znam się na kompasie – odzywa się Bob.

Luciana odpowiada mu skinieniem głowy.

– Doskonale. Będziesz pomocnikiem. A więc bierzemy się do pracy. – Na słowo „praca” Daisy się ożywia i opiekunka poklepuje ją po łbie. – Tak, praca, praca – powtarza czule. – Szykujemy się do pracy.

Teraz Daisy wibruje już z emocji.

– Ważne, żeby się nakręciła. Im bardziej jest zaangażowana, tym lepiej sobie poradzi – informuje nas Luciana. – Zresztą niewiele jej trzeba. Naprawdę uwielbia takie poszukiwania. A więc Daisy jest naszym tropicielem, Bob rejestratorem, co czyni ze mnie nawigatora. Większość z was ma prawdopodobnie jakieś prawdziwe hobby. Ja obserwuję mgłę, która unosi się nad wodą lub przesuwana nad kanionem, albo dym z grilla w ogrodzie. Smużka zapachu zachowuje się dokładnie w ten sam sposób, gdy dryfuje z prądem powietrza. Szybkuje w górę przy wzroście temperatury albo na otwartej przestrzeni. Zatrzymują ją przeszkody, takie jak płoty, łańcuchy górskie, ściany skalne. W chłodne poranki trzeba szukać tropu z wiatrem w dole wąwozu. W upalne popołudnia chce się być na jego szczycie.

Luciana przerywa i po chwili kontynuuje:

– Mamy obecnie neutralne warunki. Nie jest za gorąco ani za zimno. Co znaczy, że każę Daisy tropić z wiatrem – podnosi pojemnik z proszkiem – i będę obserwowała topografię. Możecie mi w tym pomagać. Jakież zwalone drzewo, strome zbocze... Szukajcie jakiegokolwiek miejsca, gdzie może gromadzić się mgła. Tam Daisy ma największe szanse na złapanie tropu. I jeszcze coś: nie wchodźcie jej w drogę. Macie trzymać się za nami, jak obrońcy na boisku piłkarskim, i być naszymi dodatkowymi oczami. Daisy będzie poszukiwała ludzkich szczątków, co oznacza, że ominie wszystko inne: porzucony plecak, skrawek tkaniny, kawałek sznurka i tak dalej. Prawdę mówiąc, może być nawet metr od kości, ale jeśli będą choć odrobinę po zawietrznej, nie zauważy ich. Będzie skoncentrowana na tym, co może wywęszyć. My musimy skupić się na wszystkim, co zdołamy zobaczyć.

Kiwamy posłusznie głowami.

– Proponuję podzielić się na trzy dwuosobowe grupy. Częściowo ze względów bezpieczeństwa. Nie chcemy, żeby ktoś wpatrywał się w ziemię

tak intensywnie, że zgubi drogę i spadnie w przepaść. Może uważacie, że przynudzam, ale wiercie mi, to się zdarza.

– Zdarza się – przyznaje Nemeth.

– Daisy, jesteś gotowa do pracy? – pyta Luciana.

Pies znów zaczyna skakać z radości. Jest gotowy. Wszystko w nim krzyczy: praca, praca, praca!

– A więc za chwilę wydam Daisy polecenie, by zaczęła szukać. Pomyślcie, że zwariowałam, ale to taki nasz żart. Zaraz potem zacznie biegać w kółko, żeby złapać trop. Bądźcie przygotowani i zejdźcie jej z drogi. Wkrótce się opanuje i zacznie działać bardziej metodycznie. Damy jej dwie godziny, takie są standardowe procedury. Jeśli w tym czasie niczego nie odkryje, powinniśmy zapewne pójść dalej. – Luciana spogląda na Martina. – To miejsce nadaje się tylko na tymczasowe schronienie, w przeciwieństwie do jaskiń, gdzie można zatrzymać się na dłużej.

Martin kiwa głową. Wydaje się udobruchany, że jego plan zyskał poparcie.

– Jakies pytania? – zwraca się do nas Luciana.

Kręcimy głowami.

– Dobierzcie się w pary.

Domyślam się, że Martin i Nemeth będą razem jako istoty doskonalsze od nas. Pozostają zatem cztery osoby: ja, Neil, Scott i Miggy. Szukałam okazji, żeby porozmawiać z Neilem, więc automatycznie zwracam się ku niemu. Ale on i Miggy zwarli już szeregi. I to w mało subtelny sposób. Wyraźnie odsunęli się od Scotta, zostawiając go samego. Widzę skurcz na jego twarzy. A potem wzruszenie ramion, gdy godzi się ze swoim losem.

Dzięki wydarzeniom sprzed pięciu lat zdobył żonę, ale najwyraźniej drogo go to kosztowało. Zastanawiam się, czy czasem uważa, że zapłacił zbyt wysoką cenę.

Podchodzę do niego, wyciągając rękę, by potwierdzić nasze partnerstwo, i mówię:

– Mądrze wybrałaś, przyjacielu. Mam sekretne zapasy słodczy Josha.

Posyła mi pełen wdzięczności uśmiech, a Miggy krzyczy:

– Zapasy słodczy?!

– Kto pierwszy pomoże Daisy znaleźć trop, dostanie czekoladkę z masłem orzechowym.

Nemeth i Martin przewracają oczami, jakby chcieli powiedzieć: „Dzieciaki!”. Ale Lucianie i Bobowi zdecydowanie się to podoba. Jestem pewna, że Daisy otrzyma niejedną nagrodę od Luciany, dobrze więc, gdy ludzie także mają czego oczekiwać.

Luciana wydobywa mapę, przegląda ją szybko, a potem wręcza Bobowi, który ma już w ręce kompas, a za uchem ołówek. Opiekunka Daisy wyciąga aerosol i rozpyla chmurę pomarańczowego proszku. Patrzymy wszyscy, jak unosi się spiralnie w przestrzeni, i zdaję sobie sprawę, że Luciana ma rację: w ruchu powietrza jest coś niewiarygodnie fascynującego.

Podchodzi bliżej do szlaku i rozpyla kolejną porcję proszku. Zmienia nieco pozycję, by leciał dokładnie w jej stronę.

– Kierunek wiatru? – pyta Boba.

– Wieje z północnego zachodu.

– Masz na mapie nasz punkt startowy?

– Zaznaczony krzyżykiem.

– W porządku. Za mną. Rozciągnąć szyk. Sprawdźcie swoje pozycje. Gotowi?

Twarz Martina tężeje, a stojący przy mnie Scott drży tak mocno, że chwytam go za rękę. Jedynie Daisy wydaje się zadowolona. Patrzy w skupieniu na twarz opiekunki, spięta, z uszami zwróconymi do przodu.

– Czas zabrać się do pracy – oznajmia Luciana gorliwej pupilce, po czym zwraca się do nas: – Komenda stosowana przy poszukiwaniu zwłok może stanowić problem. Polecenia „szukaj, wytrop, znajdź” są zbyt ogólnikowe. Słowa „ciało” lub „martwy człowiek” brzmią dość makabrycznie. Jedna z moich koleżanek zaproponowała coś innego: określenie, którego jej córka używała podczas menstruacji, bo zużyte tampony są także wykorzystywane do szkolenia. Skoro więc już was

wszystkich wystraszyłam, jesteś gotowa, Daisy? Czas popracować. Znajdź Frederickę!

Jesteśmy totalnie zaskoczeni.

Daisy gna przed siebie i tak oto zaczynamy poszukiwania ludzkich szczątków.

Rozdział 16

ZGODNIE Z PRZEWIDYWANIAMI LUCIANY Daisy jest wszędzie. Węszy, biegnie, znowu węszy. Scott i ja musimy odskoczyć na bok, gdy pędzi w naszą stronę. Potem Neil i Miggy muszą zejść jej z drogi. Jesteśmy tak skoncentrowani na eksplodującej energii i aktywności psa, że szybko zapominamy o własnych zadaniach.

– Patrzeć uważnie! – rzuca Luciana i z opóźnieniem stosujemy się do jej polecenia. Jeszcze nie ruszyła się z miejsca, śledzi tylko psa spojrzeniem. Bob z mapą i kompasem równie gorliwie jak Daisy poszukuje tropu.

Scott i ja cofamy się, próbując pozostawić więcej przestrzeni między nami i szalonym psem.

– Szukamy naturalnych przeszkód – mruczę. – Miejsc, w których przechowałby się zapach.

To pobudza Scotta do działania i zaczynamy poruszać się w zgodnym rytmie. Neil i Miggy wrócili do głównego szlaku, więc idziemy w przeciwnym kierunku, obserwując teren. Próbuję wyobrazić sobie, że jestem unoszącym się w powietrzu zapachem. Dokąd bym poszybowała? Gdzie bym się zatrzymała? Ale na tym płaskim terenie, z mnóstwem częściowo uschniętych rachitycznych sosen, nie potrafię znaleźć odpowiedniego miejsca. Zaczynam szukać pojedynczych barwnych plam – na przykład skrawka materiału, jak sugerowała Luciana. Widzę głównie stonowane kolory. Rudawą ziemię. Srebrnoszare pnie drzew. Niewielkie łąty zielonych porostów. Las ma tu intensywny zapach ilastej gleby. Nie jest rześki, jak w naszym obozowisku, lecz bardziej ziemisty. Zastanawiam się, jak odbiera go Daisy, której nos jest co najmniej dziesięć tysięcy razy wrażliwszy od mojego.

Scott oddalił się ode mnie i tak intensywnie wpatruje się w ziemię, że zahacza paskiem plecaka o złamaną gałąź i jest przez chwilę uwięziony. Spieszę mu z pomocą.

– Wszystko w porządku? – pytam.

– Jasne – odpowiada tonem, który wskazuje, że wcale tak nie jest.

Pozostali znacznie nas wyprzedzili. Raczej ich słyszymy, niż widzimy. Poluzowuję pasek plecaka, wydaję bez słowa manierkę wody z bocznej kieszeni i wręczam ją Scottowi. Może tego nie wie, ale strasznie się poci.

– Jak rany na piersi?

– Przeżyję. – Pociera z zażenowaniem pierś.

– Masz wypięki. Na pewno dobrze się czujesz?

Odkręca manierkę, wypija kilka łyków wody i zakręca ją.

– Nie czuję się dobrze – przyznaje.

– Z powodu ran czy wyrzutów sumienia?

Uśmiecha się.

– Sam chciałbym wiedzieć.

– Jeśli chcesz wrócić do obozu, pójdę z tobą. Nie ma problemu.

Kręci głową.

– Nie mogę – mówi cicho i chyba go rozumiem.

– Więc jak do tego podejmiemy? Chcesz śledzić nasze położenie czy wypatrywać śladów czyjejs obecności?

– To znaczy patrzeć na mapę czy szukać szczątków przyjaciela?

– To nie będzie łatwe.

– Nie będzie. – Scott odwraca głowę i spogląda na opustoszały las. – Marty chce jedynie odzyskać szczątki Tima – mruczy. – Setki razy próbowałem to sobie wyobrazić. Jak on może teraz wyglądać. Zmumifikowany szkielet w ubraniu Tima? Sterta kości z czaszką? Kosmyk ciemnych włosów? Nie starcza mi wyobraźni. Mogę zapytać, ilu martwych ludzi odnalazłaś?

– Zbyt wielu.

– Czy to jest okropne?

– Tak. Ale nie na tyle, żebym zaprzestała poszukiwań.

- Tylko że ty nie znałaś tych ludzi. Nie było w tym nic osobistego. Natomiast dla bliskich tych osób...

- A jednak pojawiaasz się tutaj co roku.

Śmieje się gorzko.

- Poznałaś Marty'ego.

- Miggy powiedział to samo.

Scott milczy. Znów dostrzegam skurcz na jego twarzy. Nie wznowiliśmy poszukiwań. Powinniśmy, ale nie nalegam. On chce mówić. Potrzebuje tego. A ja chcę słuchać.

- Obwiniają mnie – szepcze.

- A ty siebie?

- Też.

- Dlaczego? Po prostu lunatykujesz. Przecież nie chciałeś zgubić się w lesie w środku nocy. Ani nie chodziło ci o to, żeby Tim wyruszył po pomoc i zaginał.

Tak długo nie odpowiada, że jest to jakąś odpowiedzią. Poczucie winy wygrywa z logiką. Zawsze tak jest.

Daję mu jeszcze chwilę, po czym ruszam.

- Opowiedz mi o Timie – proszę, obserwując zwalony pień. Przyglądam się niskim zaroślom. To miejsce, z cherlawymi drzewami i jałową ziemią, wygląda jak nawiedzone. Czuję zdenerwowanie, gdy próbuję skupić wzrok, wypatrując wokół barw i kształtów.

- Tim to taki typ faceta – odzywa się w końcu Scott.

Jego głos brzmi szorstko. Najwyraźniej, gdy ja się rozglądałam, on rozmyślał.

- Uśmiechnięty, radosny, dusza towarzystwa – kontynuuje. - Ludzie zwracali na niego uwagę, dziewczyny chciały z nim sypiać, a mężczyźni pragnęli być tacy jak on. Nazywaliśmy go Świętym Timothyem. Bo za każdym razem, gdy wchodził do pokoju, otwierały się niebiosa i śpiewały anielskie chóry. Ten przydomek go wkurzał, ale nie mógł zaprzeczyć, że tak działa na ludzi. Miał charyzmę. Wiedział, gdzie jest i dokąd zmierza. A ten jego apetyt na życie! Facet, który wyglądał tak jak on i był tak

inteligentny, mógł być aroganckim dupkiem. Ale Tim nie chciał zaważadnac swiatem. Chcial go dozwiaadczac. Sprubowac wszystkiego. Zdac celujaco egzamin. Wpac na impreze. Wybrae sie w gory na weekend. On proponowal, my mu towarzyszyliemy. Byliemy tym tak podeksytowani.

– Jak w tej ksiazce *Dudeville*? – zauwazam.

Smieje sie. Ja tez

– Miggy ci powiedzial? To byly piekne dni.

Ale nasz smiech zaraz cichnie i na twarzy Scotta pojawia sie bolesny skurcz. Bo tamte dni nie potrwaly dlugo i juz nigdy sie nie powtorza.

– Moja rodzina mieszka w Connecticut – mowi. – Nie bylo sensu, zebym wracal taki kawal drogi na Wschodnie Wybrzeze podczas krrotszych ferii na uczelni, wiec jezdzielam do Tima. Spedzałem z jego rodzina Święto Dziękczynienia, trzydniowe weekendy. Patrice i Martin zawsze serdecznie mnie witali jako przyjaciela syna. Tim był bardzo blisko z ojcem, ale to jego matka stanowila centrum ich swiata. Obaj ja uwielbiali. Tim przynosil jej kwiaty, podsuwal krzeslo, gdy siadala przy stole. Martin zawsze ja adorowal, proponowal dokladke przy jedzeniu, podawal jej ulubiony sweter. Byli pierwsza znana mi rodzina, ktorej czlonkowie naprawde sie lubili. Szokowalo mnie to, podobnie jak aura, jaka roztaczal Tim. Byl idealem, bo mial idealna rodzine.

– Rozumiem, ze u ciebie w Connecticut jest inaczej?

– Moi rodzice rozwiedli sie, kiedy mialem piec lat. Mam siostrę, dwie siostry przyrodnie i przyrodniego brata. Wiele roznych domow. Wakacje w roznych miejscach. Dawno juz sie w tym pogubilem.

Wydaje mi sie, ze dostrzegam cos koło pnia drzewa. Pochyłam sie, rzucajac przez ramie:

– Podobno mozna ci pogratulowac.

– Masz na mysli slub? Czy to, ze Latisha jest w ciazy? – Przerwywa na chwile, po czym pyta: – Kto ci powiedzial?

– Czy to wazne?

Gdy przypatruje sie dokladniej, to, co zauwazyłam, okazuje sie tylko kępką mchu. Prostuje sie, rozgladam i zdaje sobie sprawe, ze jesteemy

teraz naprawdę sami. Odosobnieni i zagubieni w środku lasu, jak w jakimś horrorze. Nie. Nie podoba mi się to. Kieruję się na prawo w nadziei, że dotrzemy w ten sposób do pozostałych.

– Miggy i Neil są po prostu zazdrośni – mówi Scott, podążając za mną.

– O ciebie i Latiszę? – A to ciekawe.

– Gdybyś ją poznała, zrozumiałabyś. Ten jej uśmiech... Wystarczy spojrzeć, a już się pragnie, by uśmiechnęła się ponownie, żeby widzieć, jak promienieje. Pracowała jako wolontariuszka na oddziale onkologicznym dla dzieci. Nie trzeba dodawać, że była ich ulubienicą. Jest wielkoduszna, ciepła, szczerą. A poza tym zdolna, bystra i cudowna.

– Od jak dawna się w niej kochasz?

– Od chwili, gdy Neil przyprował ją do nas.

– Ale ona poczuła sympatię do Tima?

– Jak wszystkie dziewczyny.

– I nie przeszkadzało ci to?

– Pogodziłem się z tym. Życzyłem im szczęścia. Naprawdę.

– A inni?

Scott nie odpowiada od razu, co oczywiście daje mi do myślenia.

– Tim miał w sobie coś takiego – odzywa się w końcu. – Był dobrym, wspaniałym facetem. Ale potrafił też być strasznym dupkiem.

– Dzięki Bogu. Jako Święty Timothy trochę mnie przerażał.

– To jeden z punktów widzenia. Tim zawsze dostawał wszystko, czego chciał. Ale potrafił pożądać tego, co do niego nie należało.

– Na przykład Latiszę? – Zerkam na jego twarz. – Do kogo wcześniej należała?

Scott nie chwyta jednak przynęty.

– To osobna historia. Był koniec ostatniego roku studiów, wszyscy rozpaczliwie szukaliśmy pracy. Uniwersytet Stanu Oregon ma program współpracy z różnymi firmami. Często, jeśli wszystko się dobrze układa, proponują potem stażystom stałe zatrudnienie. Mnie i Josha to urządało. Ale Timowi nie podobały się miejsca, w których pracował. A Miggy jak zwykle nie mógł się zdecydować. Odpowiadała mu firma, z którą był

ostatnio związany, i widział tam siebie. Znalazł jednak ekscytującą ofertę pracy dla inżyniera w start-upie, więc może tym powinien się zainteresować? I tak w kółko. A zegar tyka. Ze start-upu nie ma żadnych informacji, więc w końcu decyduje się zatrudnić w tej drugiej firmie. Tydzień później dowiaduje się od kolegi, że start-up próbował się z nim skontaktować w sprawie rozmowy kwalifikacyjnej. Zadzwonili dzień po tym, jak podpisał umowę o pracę z tą drugą firmą. Ale nie miał o tym pojęcia. Telefon odebrał Tim. I poszedł na rozmowę zamiast niego.

– Zaraz, Tim próbował ubiegać się o tę pracę? W wymarzonej firmie Miggy’ego?

– Na szczęście jej nie dostał, ale nie był to dobry czas na mieszkanie z nim. Tim miał swoje zdanie na temat tego, co zrobił: nie powiedział przyjacielowi o rozmowie kwalifikacyjnej. Ale Miggy miał już inną pracę. Więc nic się nie stało, prawda?

– Co myślał o tym Miggy?

– To samo co każdy z nas. Że Tim postąpił podle. Ale... Tim to Tim, a Miggy już wcześniej podjął decyzję. Może był zbyt surowy. Może powinien dać sobie spokój, przyjąć ośmiopak piwa i zagrać z Timem w kosza. Wszyscy przez to przechodziliśmy. Człowiek jest wściekły. Tim okazał się skurwielem i mieliśmy prawo być wkurzeni. Ale jakoś... – Scott wzrusza ramionami. – Nawet kiedy go nienawidziliśmy, wybaczyliśmy mu. Chwilami okazywał się dupkiem, ale był też kolegą, który na każdy weekend zabierał cię do domu i nigdy nie czułeś się tam obco. Jak można było się na niego gniewać?

Słyszymy głosy. Wreszcie! Oddycham z ulgą. Poszukiwania idą nam fatalnie. Niczego nie znaleźliśmy. A jednak nasza rozmowa była pouczająca i w sumie nie zmarnowaliśmy czasu.

Próbuję jeszcze raz uzyskać odpowiedź, której Scott dotąd nie udzielił.

– Tim kochał Latishę. Spotykali się i w końcu się z nią zaręczył. Ale to nie on był jej pierwszym chłopakiem. Więc komu ją odebrał? Tobie? Joshowi? Neilowi?

– Kochałem się w Latishy – odpowiada ostrożnie Scott. – Walczyłem z tym, ale bezskutecznie. Jak widzisz, nie jestem zbyt subtelnym facetem.

Tim mógł sobie odpuścić, dostrzec to, że się nią interesuję, dać mi szansę. Ale to nie było w jego stylu. Gdy zdecydował, że chce ją mieć... No cóż, wiesz, jak to wyglądało. Uważałem, że to przez niego mam złamane serce. Ale w pewnym momencie... Myślę, że Latisha jest najbardziej niezwykle osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem. A w tamtych czasach widziałem, że ona myśli to samo o Timie, ilekroć na niego patrzyła.

– Pogodziłeś się z tym. Byłeś nawet gotowy stać obok niego podczas ślubu.

– Nigdy nie próbowałem niszczyć ich związku. I nie starałem się o jej rękę, gdy Tim zaginął. Josh, Neil i Miggy nie chcieli o nim rozmawiać. Po zaginięciu Tima... byliśmy już innymi ludźmi. Wszyscy. A Latisha i ja... Coś między nami zaiskrzyło. Najpierw dzieliliśmy żalobę i wspominaliśmy wspólnie Tima. Potem staliśmy się przyjaciółmi, którzy pomagają sobie wzajemnie w trudnym czasie. A później... Kochamy się. Dobrze nam razem. Teraz zakładamy rodzinę. Chciałbym, żeby koledzy to zaakceptowali, ale jeśli nie, to pieprzę ich.

– Jak na ironię nie mieliby zastrzeżeń, gdyby to Tim żenił się z twoją byłą narzeczoną.

Scott śmieje się gorzko.

– Właśnie. Przynajmniej Patrice mnie rozumie.

– Mama Tima? – pytam zaskoczona.

– Patrice od ponad piętnastu lat walczy z rakiem. Miała dużo czasu na rozmyślanie o śmierci. Stała się o wiele bardziej praktyczna w tych sprawach. Śmierć się zdarza, a życie toczy się dalej. Przysłała nam kartkę na ślub ze swoim błogosławieństwem. Napisała, że od dawna uważała mnie za drugiego syna, że kocha nas oboje i czuje się szczęśliwa, że z tak tragicznego zdarzenia wyniknęło coś dobrego. Wyraziła nadzieję, że pewnego dnia zobaczy nasze dzieci. Choć wątpię, żeby to się zdarzyło. Gdy ostatnio odwiedziliśmy ją z Latishą, przypominała chodzący szkielet. Najpierw Tim, teraz ona... Cholera. Oni byli również moją rodziną. Do diabła, lubię ich bardziej niż własnych krewnych.

Scott nie może już mówić. Ścisną grzbiet nosa i ociera oczy. Dotarliśmy już niemal do pozostałych. Przystaję, by doszedł do siebie.

– To wszystko jest takie gówniane – szepcze. – To, jak patrzą na mnie Josh, Neil i Miggy. Nienawiść Marty’ego... Wiem, że odnalezienie Tima niczego w magiczny sposób nie zmieni, ale przynajmniej sprawa wreszcie się skończy. Będziemy mogli pochować jego kości. I pewnego dnia Latisha i ja zabierzemy nasze dzieci na grób Tima i opowiemy im o tym naprawdę wspaniałym facecie, którego oboje kochaliśmy. Będziemy go wspominać. Zachowamy pamięć o nim. Tego właśnie chce Patrice. Wie, że jej mąż jest zbyt wkurzony, by pamiętać. Więc to my jesteśmy strażnikami tej pochodni. Może to trochę pokręcone, że ma ją nieść była narzeczona Tima, która wyszła za jego przyjaciela, ale nikt inny się do tego nie kwapi.

– Najlepsze życzenia dla was obojga – mówię szczerze. Bo wiem, co to znaczy kochać kogoś tak bardzo, że jeszcze po latach odczuwa się boleśnie jego stratę. A jedyną osobą, z którą mogę dzielić żalobę, jest wdowa po tym człowieku. Kobieta, którą Paul kochał i która kochała jego. Scott ma rację: cierpienie prowadzi do dziwnych sojuszy.

– Chcę, żeby to się skończyło – oznajmia Scott, raz jeszcze ocierając załamioną twarz. – Żeby Daisy się wykazała. Żebyśmy wszyscy wykonali zadanie. A potem chcę wrócić do domu, do żony i dziecka, i nigdy więcej nie myśleć o tych cholernych górach.

– Brzmi dobrze.

Pociąga nosem i kiwa głową.

– W porządku – rzuca. – Weźmy się do roboty.

Słyszemy głosy. Reszta ekipy jest tuż za ścianą drzew. Scott zmierza w ich kierunku.

W ostatniej chwili chwytam go za ramię.

– Jeszcze jedno pytanie. Czy wiesz coś na temat Boba, łowcy Wielkich Stóp?

– Poznałem go zaledwie dwa dni temu. Dlaczego pytasz?

– A znasz Lucianę i Daisy?

– Też dopiero je spotkałem. Luciana jest chyba znajomą Marty’ego. On nie zaniecha poszukiwań. Nigdy.

Puszczam jego ramię, ale teraz to on mnie zatrzymuje.

- Chwileczkę, czy to ma coś wspólnego z naszymi uszczuplonymi zapasami żywności? – pyta.

- Właśnie próbuję to ustalić.

- Myślałem, że zrobiło to jakieś zwierzę.

- Właśnie próbuję to ustalić – powtarzam.

Scott wpatruje się we mnie.

- Co się za tym kryje?

- Nie mam pojęcia. Ale jeśli rozwiążę tę zagadkę, dowiesz się pierwszy.

Mruga, ale ja naprawdę nie znam odpowiedzi. Wzruszam ramionami. Wciąż mi się przygląda, więc powtarzam ten gest. Potem przedzieramy się w końcu przez szereg uschniętych drzew i dołączamy do pozostałych.

Rozdział 17

OSTATECZNIE NASZE IMPROWIZOWANE poszukiwania okazują się porażką. Daisy nie natrafia na trop. My nie znajdujemy żadnych śladów. Tylko prowizoryczny obóz, nic więcej. Pies jest wyraźnie zdeprymowany i wymaga częstego poklepywania, a także dwudziestominutowej przerwy. Martin jest równie przygnębiony, ale nikt go nie poklepuje. Patrzę tęsknie na czekoladki z masłem orzechowym, ale przewidując, że reszta dnia będzie jeszcze cięższa, decyduję się na proteinowy baton.

To nasz drugi dzień w głuszy, a ja już robię postanowienie: jeśli przeżyję tę wyprawę, nigdy więcej nie wezmę do ust proteinowych batonów. Takie mało istotne deklaracje pozwalają nam przetrwać.

Nemeth z pewnością pilnuje czasu, bo ledwo zgniatam w dłoni papierek po batonie, już stoi nad nami wyczekująco. Rozlegają się ciche jęki, a potem podnosimy się po kolei z ziemi, poprawiamy plecaki i ruszamy w drogę.

Stanowimy niemą procesję, która idzie zygzakiem przez las, a potem przekracza szeroki strumień i dociera na rozległą łąkę. Słońce wzniosło się – ogrzewa nasze twarze i oświetla odległe zaśnieżone szczyty. W tym momencie można uwierzyć, że odbywamy wspaniałą wędrówkę po górach, ciesząc oczy tańczącymi na wietrze polnymi kwiatami i szemrzącymi strumieniami. Po pustkowiu, jakim był nasz ostatni obszar poszukiwań, chcę napawać się tym pięknem. Upajać się zapachem traw, śpiewem ptaków, podmuchem wiatru na policzkach. Niebo jest tak niewiarygodnie błękitne i rozciąga się... w nieskończoność. Wygląda zupełnie inaczej niż w miejscach, gdzie ostatnio przebywałam. Wzywa nas i czuję, jak mu odpowiadamy, idąc raźnie naprzód. Nawet Daisy odzyskała siły i harcuje po łące, trącając dmuchawce i skacząc w pogoni za owadami.

W tej części kanionu potrafię zrozumieć, jak góry mogą przyciągać. Co mogło sprawić, że ktoś taki jak Tim – energiczny, żądny przygód, pewny siebie – chciał się tu sprawdzić. Zaczynam tworzyć w myślach jego wizerunek. Wyobrażam sobie, jak idąc naprzód, wie, że zgubił drogę, a mimo wszystko znajduje chwilę na podziwianie pejzażu i zachowuje dość optymizmu, by uważać, że jest o krok od rozwiązania swojego problemu: jak ocalić życie?

Wyobrażam sobie, jak rozmyśla, że gdyby tylko udało mu się dotrzeć do tych skał...

Czy bawiła go perspektywa, że wkrótce będą opowiadali wszystkim historie o tym nieudanym weekendzie na biwaku? Czy był spanikowany i martwił się o zaginionego przyjaciela, Scotta? Kiedy – i czy w ogóle – zdał sobie sprawę, że stawką w grze jest jego przeżycie?

Możemy podążać śladami Tima. Możemy odnaleźć jego kości, by został pochowany obok matki. Ale i tak nigdy się nie dowiemy, co mu się przydarzyło. Wcześniej czy później jego ojciec i przyjaciele będą musieli się z tym pogodzić. Z tym, że w przyszłości jakoś ich snu nie będzie zależała od tego, czy będą mogli odwiedzać jego grób, lecz czy potrafią wrócić do normalnego życia.

Jestem już zdyszana, gdy przechodzimy przez łąkę, mijamy kolejne skupiska wiecznie zielonych krzewów i znów zaczynamy się wspinać. Nie wiem, w jakim celu. Bardzo mi to nie odpowiada.

Jak zwykle Miggy, Neil, Scott i ja zostajemy z tyłu, a Bob zwalnia, by zamykać kolumnę. Nikt nic nie mówi. Wszyscy ocieramy mokre od potu twarze, gdy w końcu pokonujemy wzniesienie, natrafiamy na rumowisko głazów i stajemy oko w oko z pionową skalną ścianą.

Wyższą i szerszą, niż mogłam sobie wyobrażać, patrząc z drugiej strony kanionu. To tak, jakby próbować ogarnąć jednym spojrzeniem całą długość stadionu piłkarskiego z odległości półtora metra. Nie da się.

– Cholera – mówi zdyszany Miggy, gdy stajemy obok idących na przedzie członków ekipy.

Widzę już mroczne wejście do jaskini u podnóża skały, potem do kolejnych. Jedne wydają się wydrążone, inne zostały utworzone przez

sterty spadających kamieni. Jest tam co najmniej kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt, potencjalnych kryjówek.

– Kurwa – jęczy Scott.

Tym razem koledzy się z nim zgadzają.

PRZERWA NA LUNCH. MARTIN nie chce jej robić, ale Nemeth nie daje mu wyboru. Najwyraźniej mamy swój rozkład zajęć. Teraz jest pora, by pić, jeść i przygotować się do czekającej nas bitwy. Gdy rozglądamy się w terenie, Luciana i Daisy wyruszają na szybki rekonesans. Pies porusza się łatwo wśród porozrzucanych wokół kamieni i gładów. Mam wrażenie, jakby rok po roku odłamki rudobrazowej ściany skalnej spadały na dół i teraz otaczają nas nagrzane i zakurzone skały, jedne wielkości piłki, inne duże jak samochód, a jeszcze inne drobne jak żwir albo ziarenka piasku.

Gorące promienie słońca, które zaledwie przed godziną grzało tak przyjemnie, odbijają się od kamieni. Żałuję, że nie mam czapki z daszkiem, by osłonić twarz. Zauważam, że Bob zawiązuje na szyi wilgotną chustę i zakrywa nią sobie usta. Biorę z niego przykład i unoszę kciuk, gdy daje mi znak skinieniem głowy.

Wszyscy spryskują się płynem przeciw komarom, doprawiając chemią nasz ekscytujący lunch złożony z orzechów, musli i suszonych owoców. Robię kolejne postanowienie. Jeśli przeżyję tę misję, nie tknę już nigdy musli. Ale dzięki temu, że mamy ograniczony wybór jedzenia, przynajmniej się nie ociągamy.

Luciana i Daisy wracają z wieściami.

– Straciłam rachubę, doliczywszy się osiemnastu jaskiń, a to tylko te, które widziałam, stojąc w jednym miejscu. Niektóre są zapewne zbyt małe, inne dość głębokie. Trudno powiedzieć, dopóki nie sprawdzi się każdej z nich. Daisy potrafi się wspinać, bo pracowała w zawałonych budynkach, ale zważywszy na wysokość tego klifu... Potrzebowalibyśmy całej ekipy psów poszukiwawczych, a nie jednego.

Martin kiwa głową, wyjmuje mapę i rozkłada ją na skale przed sobą.

– Nasz pierwotny plan przewidywał podział tego obszaru na cztery kwadranty. Teraz, kiedy widzimy to miejsce z bliska... Myślę, że zmienimy koncepcję i zastosujemy standardową strategię poszukiwań. Dwie osoby rozpoczną je po obu krańcach skalnej ściany i będą posuwały się ku jej środkowej części, a pozostali zaczną w środku i będą przemieszczali się na zewnątrz. Zrobimy szybki przegląd jaskiń i zlokalizujemy te, które mogły być zamieszkane, i te przeszuka Daisy.

Przerywa, a my kiwamy głowami.

– Według mapy środek tej skalnej ściany wypada jakieś sto metrów w tamtym kierunku. – Wskazuje na prawo ode mnie. – Tam zaczniemy. Dwie osoby ruszą od obu krańców skalnej ściany. Kolejne dwie spenetrują odcinki w połowie drogi. Co oznacza, że ostatnia dwójka będzie posuwała się od środka ku zewnętrznym krawędziom klifu. Ma to sens, prawda?

Rozumiem, co zamierza. Chce zbadać najszybciej, jak się da, potężny skalny występ. Dotarliśmy tu później, niż planowaliśmy, bo natrafiliśmy po drodze na obozowisko z szałasem. Wszyscy, łącznie z Daisy, będziemy wkrótce zmęczeni. Pomijając już to, że przy tym upale i suchym powietrzu problemem będzie woda. W najbliższej okolicy nie ma pięknych jezior i wijących się strumieni. Opróżniłam już jedną manierkę, a Daisy sprawia wrażenie, że miałaby ochotę na kolejną miskę wody lub dwie.

Martin patrzy na Nemetha.

– Ty i ja zajmiemy się krańcami wąwozu. – Najszybciej chodzą po górach, więc ma to sens. Spogląda na Boba. – Tobie przypada jeden z odcinków w połowie drogi. Idź na północny zachód albo południowy wschód, jak wolisz.

Bob kiwa głową. Martin spogląda na Lucianę i Daisy, następne najbardziej doświadczone uczestniczki wyprawy.

Luciana już kręci głową.

– Nie. Daisy musi odpocząć, żeby mogła być gotowa do akcji. Będziemy pilnować gospodarstwa. I tyle.

Martinowi nie podoba się to, ale musi się pogodzić z ograniczeniami psa. Zostaje mu ja i trzech koledzy z uczelni. Jeśli dotąd nie zdawaliśmy sobie sprawy, że stanowimy grupę B, teraz wiemy to już na pewno. Gdyby

Nemeth i Martin wybierali zawodników do gry w piłkę na szkolnym boisku, zostalibyśmy wyznaczeni jako ostatni.

– Ktoś musi pójść do punktu w połowie drogi w przeciwnym kierunku niż Bob.

Scott podnosi rękę.

– Ja pójdę.

– Nie. Jesteś ranny. Ktoś inny.

Odzywa się Neil.

– Więc ja.

Miggy mruczy coś pod nosem, ale bez przekonania. On i ja znieśliśmy najgorzej wczorajszą wędrownkę. To logiczne, że przypada nam środkowa część klifu. Co oznacza, że Scott znów zostaje bez pary.

Martin nie udaje, że się tym przejął. Macha do niego ręką.

– Możesz pomóc im – wskazuje od niechcienia na Miggy'ego i na mnie – albo zostać z Lucianą.

– Pomogę w poszukiwaniach – oznajmia z uporem Scott. Spogląda na mnie, po czym podchodzi do Miggy'ego. Kiwam głową ze zrozumieniem. W tym momencie byłabym dla niego lepszą partnerką, ale przyjaciel to przyjaciel, a Scott bardzo się stara odbudować relację z Miggy'm.

Wszyscy się podnosimy. Moje obolałe mięśnie zdążyły zeszytywnieć i wyraźnie się buntują. Miggy, Neil i Scott nie sprawiają wrażenia, by byli w lepszej formie. Ale nikt nie protestuje, nawet gdy Martin reaguje na nasze stłumione jęki pełnym pogardy spojrzeniem.

– Jeszcze tylko parę dni – rzuca. – Dacie radę.

Brzmi to bardziej jak rozkaz niż słowa pociechy. Może nie jestem obiektywna, ale Martin wydaje mi się z każdą chwilą coraz większym dupkiem. Nie potrafię powiedzieć, czy jest po prostu zdenerwowany, będąc tak blisko odnalezienia szczątków jedyne go syna, czy aż tak nienawidzi jego dawnych kolegów.

– Jeśli ktoś zauważy coś godnego uwagi albo wpadnie w tarapaty, niech użyje gwizdka – instruuje ich Nemeth. – Pozostańcie blisko skalnej ściany,

to się nie zgubicie. Patrzcie pod nogi. Na tych kamieniach łatwo zwicznąć kostkę. Aha, i nie przydepnijcie węża.

– Węża? – Nieruchomieję, zakładając plecak.

– Nie martwcie się, one bardziej boją się was niż wy ich.

– Szczerze w to wątpię.

– Więc ucieszysz się z wiadomości, że nie mamy tu zbyt wielu jadowitych węży. Grzechotniki preriowe nie lubią takich wysokości, a większość żółtych grzechotników żyje na południu.

– Większość?

– Patrzcie pod nogi – powtarza Nemeth. – A wszystko będzie dobrze.

Nie czuję się dobrze. Nauczyłam się żyć ze szczurami i karaluchami, zważywszy na niektóre miejsca, gdzie mieszkałam. Czasem widywałam tarantule. Ale węże... Nigdy nie byłam ich fanką.

Kończę zakładać plecak, a potem ruszamy za Martinem do nowej bazy operacyjnej.

Luciana i Daisy sadowią się w pobliżu kręgu dużych płaskich głazów. Pies wpatruje się w opiekunkę z wyraźnym oczekiwaniem. Pewnie liczy na przysmaki.

Nemeth spogląda na zegarek.

– Chcę mieć tu wszystkich z powrotem za dwie godziny. Jasne? Jeśli do tej pory nie natkniecie się na nikogo z ekipy, zróbcie znak na skale i wracajcie. I nie wchodźcie zbyt głęboko do żadnej z jaskiń. Nigdy nie wiadomo, jaki stwór może tam mieszkać.

Wspaniale. Lawiruję teraz między głazami, wypatrując węży i nieznanych stworów.

Najwyraźniej Nemeth chciał tylko nas zdopingować, bo odwraca się bez słowa i odchodzi. Martin rusza natychmiast, równie szybko, w przeciwnym kierunku. Przyglądając się, jak kłuczą bez wysiłku między stertami kamieni, po raz pierwszy zdaję sobie sprawę, jak bardzo przez ostatnie dwa dni zwalniali tempo marszu, by dostosować się do nas. Co tylko potwierdza, że są naprawdę nadludźmi.

Bob żegna Neila skinieniem głowy i podąża za Nemethem. Neil kieruje się tam, gdzie poszedł Martin. Ja, Miggy i Scott zaczynamy od środkowej części klifu.

– Pójdę w lewo, a wy w prawo – proponuję, by nie spotkali po drodze Martina. Kiwiają głową z wdzięcznością.

I wszyscy zabieramy się do poszukiwań.

TO, CZYM SIĘ TERAZ zajmuję, nie idzie mi najlepiej. Ale rozwikływanie niewyjaśnionych spraw to głównie praca z ludźmi. Trzeba wiedzieć, komu zadawać pytania, jak wykryć kłamstwo. Dlaczego ktoś zrobił to, co zrobił. Ale gdy muszę zajrzeć pod skalny występ i wetknąć głowę w jakąś dziurę... Powiedzmy, że nie byłam dzieckiem, które radziło sobie świetnie z poszukiwaniem wielkanocnych jajek.

Jestem przewrażliwiona na punkcie węży, o których wspomniał Nemeth, więc trudno mi się też skupić. Im dalej posuwam się wzdłuż brązowych ziarnistych skał, tym bardziej błędzę gdzieś myślami. Zwracam mniej uwagi na szczegóły, rozważając sprawy w szerszym kontekście.

Czy Tim mógł rzeczywiście ukryć się tutaj? Jasne, te jaskinie zapewniają naturalne schronienie, ale są takie suche i opuszczone. Gdzie znalazłby wodę? I żywność?

Wiedział, jak ważne jest znalezienie schronienia, by przeżyć, ale to nie oznacza, że postępował zgodnie z zasadami. Według Nemetha już samo pozostawienie towarzyszy i wyruszenie w góry w środku nocy stanowiło naruszenie reguł bezpieczeństwa. Więc kiedy musiał podjąć decyzję, postanowił działać instynktownie, a nie czekać.

Jeśli dotarł aż do Kanionu Diabła, z pewnością zamierzał wspiąć się na skalną ścianę, która dominuje nad okolicą. Odkrywszy ciąg jaskiń, mógł wybrać jedną z nich, by się w niej schronić. Kiedy zaginał, noce były już chłodne, zbliżała się zima, ukrycie się w nagrzejonej słońcem jaskini miałoby więc sens.

Trudno mi sobie jednak wyobrazić, żeby Tim tak właśnie postąpił. Jako chłopak nie potrafił ani przez chwilę spokojnie usiedzieć i wyrósł na

człowieka czynu. Taki facet, patrząc na tę masywną skalną ścianę...

Pamiętam uwagę Nemetha o tym, że ludzie często zakładają, że jeśli tylko znajdą się dostatecznie wysoko, złapią zasięg w telefonie.

Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że Tim nie szukałby tutaj schronienia. Próbowaliby się wspiąć.

Patrząc pod nogi – węże, węże, Boże, proszę, żadnych węży! – wchodzę na ścieżkę biegnącą prostopadle do skalnej ściany. Chcę oddalić się wystarczająco, by zobaczyć ją w całości. Cofam się aż do miejsca, gdzie zobaczyliśmy ze szlaku skalisty teren.

Tim O'Day musiał przejść wiele kilometrów, zanim dotarł do Kanionu Diabła. Szedł cały dzień przez góry, wiedząc, że się zgubił i że Scott potrzebuje pomocy. Musiała już zapadać noc, kiedy się tutaj znalazł. Może więc zbudował jednak tamten szałas, gdy zrobiło się zbyt ciemno, by iść dalej. Martin wydawał się przekonany, że to dzieło jego syna.

Co znaczyło, że jeśli Tim wyruszył w drogę następnego ranka, dotarłby tu po pokonaniu zaledwie półtora kilometra. Dopiero zaczynał się dzień. A Tim był wysportowany.

Wpatruję się w urwisko. Przesuwam się w lewo i przyglądam mu się dokładniej. A potem przechodzę jeszcze dalej w prawo, obserwując uważnie skalną ścianę. Nie jest pionowa; są to ułożone warstwami skalne występy. Dostrzegam tu i ówdzie wystające krawędzie i całkiem szerokie kamienne półki. Stopniowo rysuje mi się obraz prowadzącej ku górze ścieżki. Wąskiej i jak dla mnie zbyt przerażającej. Ale dla Tima? Który martwił się o przyjaciela? I wiedział, że zgubił drogę i ma ograniczone zapasy?

Spróbowałby się tam wspiąć. Wiem o tym.

Podchodzę do miejsca, gdzie zaczyna się najbliższe podejście w górę. Na pierwszy występ łatwo się dostać. Wprawdzie stamtąd już trudniej się wspiąć, ale jeśli Tim nie bałby się skoczyć, wylądowałby na wąskiej półce, położonej dobrych dziewięć metrów w kierunku północno-zachodnim. Kilka kolejnych skalnych występów i pokonałby jedną trzecią drogi na szczyt. Idzie pewnie. Uda mu się. Dotrze na górę, zadzwoni po pomoc, ocali siebie i przyjaciela...

Och, jakie historie będą potem opowiadali. O wieczorze kawalerskim, który omal nie skończył się tragedią.

Wtem dostrzegam coś zielonego na skalnej półce u góry, gdzie nie powinno być zieleni.

Wyciągam gwizdek, przygotowując się do triumfalnego dmuchnięcia, gdy nagle...

Rozlega się dźwięk innego gwizdka. Przenikliwy. Trzy razy z rzędu. Uniwersalne wezwanie pomocy. Odbija się echem od ścian kanionu. Po trzecim gwizdku jestem niemal pewna, że dochodzi z północnego zachodu. W tamtym kierunku poszli Martin i Neil.

Biorę z ziemi parę kamieni i szybko układam je w kopiec na dużym głazie, by zaznaczyć to miejsce.

Kolejne gwizdnięcia. Jedno. Drugie. Trzecie.

A potem męski głos grzmiący w kanionie.

– Na pomoc! Potrzebujemy pomocy!

Zapominam o węzłach i biegnę w tamtą stronę.

Rozdział 18

GDY ICH ODNAJDUJĘ, Z trudem łapię oddech. Widzę najpierw Scotta, który stoi na ogromnym głazie i rozpaczliwie macha rękami, trzymając w ustach jaskrawopomarańczowy gwizdek. Przez chwilę jestem zdezorientowana. Scott miał udać się z Miggym w przeciwnym kierunku. Jak, do diabła, znalazł się tutaj? I jakim cudem go nie zauważyłam, gdy szedł z południa na północ?

Potem dostrzegam krew. Dużo krwi rozprysniętej na skałach.

Przez ułamek sekundy w moim skołatanym umyśle pojawia się zbyt wiele wspomnień naraz. Paul, który leży na ziemi i patrzy na mnie z przepaszającym uśmiechem, wykrwawiając się. Postrzelony gangster, którego prawie nie znam, wspierający głowę na moich udach i szepczący swoje ostatnie słowa. Chłopiec, nastolatka, młoda mama. Przewijają mi się przed oczami twarze ze zdjęć zaginionych osób i ich pośmiertne maski.

Jestem kimś więcej niż poszukiwaczką ludzi, którzy zaginęli. Jestem depozytariuszką ich ostatnich chwil i zbyt wiele z nich odciska na mnie piętno.

– Wody! – bełkocze Scott. – Masz wodę? On potrzebuje wody.

Mrugam, koncentrując się na tym, co się dzieje.

Scott stoi obok leżącego Neila. Chłopak ma całą twarz we krwi, zmierzwił włosy i zamknięte oczy. Jęczy. To pierwsza oznaka, że jeszcze żyje.

Wskakuję na skałę obok Scotta, rzucając plecak i chwytając termos.

– Co się stało?

– Nie wiem. Znalazłem go w takim stanie. Byłem z Miggym, ale... hm... powiedział, że może powinienem pogadać z Neilem.

Ściągam z szyi chustę i nasączam ją wodą. Ręce tak mi się trzęsą, że rozlewam połowę na głaz. Zaczynam przemywać Neilowi twarz, by zobaczyć ranę.

– Zagwiżdż jeszcze – polecam Scottowi. – Potrzebujemy pomocy.

W tym momencie Neil otwiera nagle oczy. Wpatruje się we mnie, gdy cofam się raptownie.

– Szszz... – mruczę. – Już wszystko dobrze.

Leży w nienaturalnej pozycji, z założonym nadal plecakiem. Może się potknął i uderzył w głowę. Chciałabym, żeby wyjaśnienie było tak proste, choć już w to wątpię. Zdążyłam zauważyć rozmazane czerwone plamy na kamieniach wokół nas. Jakby Neil zataczał się, poruszając zakrwawioną głową i walcząc z napastnikiem, zanim upadł.

Mruga kilka razy, patrząc na mnie i najwyraźniej próbując zorientować się w sytuacji.

– Co... co się stało? – pyta. Oblizuje spierzchnięte wargi. Chwytam manierkę i wlewam mu trochę wody prosto do ust. Połyka ją z wdzięcznością.

– Ciebie mieliśmy o to zapytać.

– Wy? – Dopiero teraz zauważa Scotta. Jego twarz na parę sekund ściąga skurcz. Nie mam pojęcia dlaczego.

– Scott cię znalazł – mówię. – Wezwał pomoc.

Jak na zawołanie Scott znów dmucha w gwizdek. Słyszę odgłosy rozlegające się w kanionie. Osuwające się kamienie, tupot nóg. Przybywa kawaleria... mam nadzieję.

Neil krzywi się, słysząc przenikliwy gwizd, i podnosi rękę do czoła. Chwytam ją, by nie dotykał zlepionych krwią włosów.

– Jeszcze nie. Próbuję nadal oszacować szkody. Co boli cię najbardziej?

– Głowa. Z tyłu. – Wzdryga się lekko. – Jezu...

– Możesz poruszać kończynami?

Unosi ręce i nogi. A potem, zanim udaje mi się go ostrzec, by tego nie robił, kręci szyją w obie strony.

Widzę tył jego czaszki. Źródło krwawienia jest zdecydowanie tam. Rezygnuję z moczenia chusty i wylewam resztę wody prosto na jego włosy. Gdy spływa krwawy strumień, dostrzegam paskudną ranę. Ma z pięć centymetrów. Wymaga zszycia albo co najmniej sklejenia. Choć nie mam pojęcia, jak klei się komuś głowę.

Nagle pojawia się przy nas Martin, rozgrzany i zdyszany. Zajęta oglądaniem rany, nie podnoszę wzroku. Neil krzywi się, ale zachowuje spokój.

– Co, do cholery...? – Martin przerywa w pół zdania, wpatrując się w Neila i kałużę krwi.

– Głowa w zderzeniu ze skałą – oznajmiam. – Skała wygrywa.

Neil śmieje się cicho. A może histerycznie?

– Co się stało, synu? Potknąłeś się i upadłeś? – Martin przykuca naprzeciwko niego i patrzy mu w twarz.

– Nie sądzę.

– Jak to?

– Zaglądałem do jaskini. Zastanawiałem się, czy tam wejść. Nagle coś usłyszałem. Jakiś hałas. Odwróciłem się... I nie wiem, co się stało. Leżę tutaj.

Martin zaciska usta i marszczy brwi.

– Z tych skalnych ścian ciągle spadają kamienie i głazy. Jak myślisz, dlaczego mamy ich tyle pod nogami? Nie powinienesz być stać tak blisko. To niebezpieczne.

Przestaję na chwilę oglądać ranę Neila, by posłać Martinowi wymowne spojrzenie.

– Teraz nie pora na wymówki.

– Dupek – mruczy Scott, o wiele mniej dyplomatycznie.

– Nie stałem aż tak blisko skały – odparowuje Neil, chwytając mnie za rękę i próbując się podnieść. Patrzy na Martina. – Wiem, co robię. Myślisz, że po pięciu latach ganiaania za tobą po tych cholernych górach jeszcze tego nie wiem?

– Ciii... – Staram się go uspokoić, ale jest zbyt wkurzony. Siada, choć na to jeszcze za wcześnie. Tył jego głowy znów zaczyna krwawić.

Zaciskam wargi, po czym spoglądam na Martina.

Ma na tyle przyzwoitości, że wydaje się skruszony. Przynajmniej na razie.

– Ostrożnie – mruczę do Neila, gdy próbuje jeszcze bardziej się wyprostować. – Rany głowy silnie krwawią.

– Wiem. Grałem w piłkę nożną. Nie po raz pierwszy mam rozwalony łeb. – Patrzy na mnie. – Co się stało? Kim pani jest? – Gdy otwieram szeroko oczy z przerażenia, dodaje: – Żartowałem. Takie uderzenie to za mało, żebym postradał zmysły.

Za nami rozlega się jakiś hałas. Luciana i Daisy zmierzają szybko w naszym kierunku. Tuż za nimi podążają Miggy i Bob, przeskakując ze skały na skałę. To znaczy, Miggy skacze. Bob po prostu idzie. Ale obaj spieszą się, jak mogą. Może nasza ekipa, która nie stanowi ekipy, jest silniejsza, niż mi się wydawało.

Nadal nie widać Nemetha, który prawdopodobnie zdążył dotrzeć do samego końca klifu, zanim Scott dmuchnął w gwizdek. Nie mając z nim kontaktu, możemy jedynie czekać na jego powrót.

Jesteśmy na odludziu. Bez dostępu do pomocy z zewnątrz.

Kłęcząc obok rannego mężczyzny, wolę o tym nie myśleć.

Daisy i Luciana przybywają pierwsze, a wkrótce potem zjawiają się Bob i Miggy. Ten drugi rzuca tylko okiem na rannego kolegę i wygląda na to, że zaraz zwymiotuje. Odwraca się raptownie. Daisy wspina się na skałę i idzie prosto do Neila. Zatrzymuje się tuż przy nim z głośnym skomleniem. Luciana dociera trzydzieści sekund później, ciężko dysząc.

Neil poklepuje labradora uspokajającym gestem.

– Nic mi nie jest. Naprawdę.

Pies liże go po policzku.

Nagle Neil przyciąga Daisy do siebie i wtula zakrwawioną twarz w sierść na jej karku. Sekundę później zaczynają mu drżeć ramiona.

Płacze. Z powodu rany? Napięcia? Rozpaczy wywołanej tym, co stało się w tych górach przed wielu laty?

Nie wypada się w niego wpatrywać. Odwracamy wzrok od szlochającego mężczyzny i pocieszającego go psa. W końcu Neil odsuwa się od Daisy i ociera oczy brudną ręką. Pies znów liże mu twarz. Neil śmieje się szorstko.

– To mój najlepszy pocałunek od wielu lat. – Znowu się śmieje, przytula mocno psa i ponownie wybucha śmiechem.

Nagle przestaję się tak przejmować jego kondycją fizyczną; bardziej martwi mnie stan psychiczny Neila.

Puszcza jednak psa, a potem patrzy na Martina i oznajmia wyzywającym tonem:

– W porządku. Mamy tylko parę dni, prawda? Więc bierzmy się do roboty.

ALE NIC Z TEGO. Neilowi może się wydawać, że jest w dobrej formie, lecz kiedy próbuje wstać, grawitacja okazuje się problemem. Bob musi go podtrzymać, a Scott podbiega, by zapewnić mu oparcie z drugiej strony. Neil potrzebuje pomocy ich obu, by wrócić powoli do tymczasowej bazy przy środku skalnej ściany.

Miggy wlecze się daleko z tyłu, nie patrząc w ogóle na rannego kolegę. Neil chyba tego nie zauważa, ale ja tak.

Docieramy na miejsce równocześnie z Nemethem.

– Zdawało mi się, że słyszę gwizdek. Co się stało? – Patrzy na zakrwawioną twarz Neila. – Cholera.

Neil znów się śmieje.

– Tak. To ja. Ten pojebaniec. Szkoda, skoro mogliście mieć zamiast mnie Świętego Timothy'ego.

Scott i Miggy wymieniają zaniepokojone spojrzenia.

– Niech usiądzie – zalecam. – I dajcie mu się napić. Potrzebuje więcej wody.

Mój zapas się skończył, ale pozostali szybko wyciągają manierki. Jako eksperci od pierwszej pomocy Luciana i Nemeth oglądają rozbitą głowę Neila.

– Masz mdłości? – pyta Luciana. – Ból głowy? Widzenie tunelowe?

– Miałem już wstrząsy mózgu – mruczy Neil, podnosząc rękę, by osłonić oczy przed słońcem. – W skali od jednego do dziesięciu oceniam to na cztery. Muszę odpocząć. Potrzebuję po prostu odpoczynku.

Daisy siada obok niego, a Luciana po drugiej stronie. Martin i Nemeth odchodzą nieco na bok. Jakby liczyli, że nie usłyszymy, co mówią w miejscu o tak dobrej akustyce.

– Musimy przerwać wyprawę i natychmiast sprowadzić tego chłopaka na dół – mówi podpierający się pod boki Nemeth.

– Sprowadzić go na dół? Jak? On ledwo idzie. Wiesz, że mamy za mało czasu do zmierzchu.

– Więc wracajmy do obozu. Od razu. Niech odpocznie i wyruszmy o świcie.

– Znalazłem resztki ogniska – oznajmia Martin pełnym napięcia głosem. – Zanim rozległ się gwizdek. Przy wejściu do dużej jaskini.

– Śladów po ogniskach jest tu na pęczki. Wiele osób rozpała je, żeby odpocząć po długim dniu wędrówki. To żaden trop.

– Ale wokół tego, które znalazłem, były ułożone kamienie idealnie tej samej wielkości. Jak przy szalasıe. Mówię ci, że Tim zawsze miał obsesję na punkcie równowagi i symetrii. To jego dzieło. Jestem pewien.

– To największe ryzyko każdej akcji poszukiwawczej: widzieć to, co się chce, zamiast tego, co jest – mówi Nemeth, wbijając wzrok w Martina.

Podnoszę rękę, licząc na przychyłność niebios.

– Ja też coś znalazłam.

Przestają się sprzeczać i odwracają się w moją stronę. Nemeth patrzy wilkiem, a Martin obdarza mnie rozgorączkowanym spojrzeniem zrozpaczonego ojca.

Skupiam uwagę wszystkich i biorę głęboki oddech.

– Nie jestem przekonana, że Tim szukałby schronienia. Pomyślałam, że próbowałby raczej wspiąć się na skalną ścianę.

– Nawet go nie znałaś – odzywa się Miggy nieprzyjaznym tonem.

– To prawda. Ale wiele się o nim dowiedziałam od każdego z was. A wszyscy bardzo go kochaliście.

– Święty Timothy! – Neil chichocze.

Scott piorunuje go wzrokiem.

– Tim nie miał sprzętu do wspinaczki – odzywa się Nemeth.

– Może go nie potrzebował. Kiedy cofnęłam się od skalnej ściany, dostrzegłam coś w rodzaju ścieżki. Wydaje się niebezpieczna i przerażająca. Ale jest tam mnóstwo skalnych występów i półek. Ktoś wystarczająco zdesperowany mógł uznać, że warto spróbować.

– Nie ma mowy – rzuca Nemeth.

– Co znalazłaś? – pyta w tym samym momencie Martin.

– Coś ciemnozielonego. Może to jakaś odzież? Mniej więcej na jednej trzeciej wysokości klifu. Zbyt wysoko, żebym mogła wyraźnie zobaczyć. Ale z całą pewnością coś tam jest. Zazaczyłam to miejsce kamieniami przy skale. Możesz wziąć lornetkę i sprawdzić.

Martin natychmiast sięga po plecak, jakby chciał wyjąć lornetkę. Nemeth chwytą go jednak za rękę.

– Na litość boską, człowieku, żyjący są ważniejsi niż martwi.

– Zabierzcie go z powrotem do obozu. – Martin wskazuje głową na Neila. – Róbcie, co musicie. Ale ja nie wracam. Zostało jeszcze sporo dnia.

– Chcesz, żeby uderzyła cię w głowę następna spadająca skała?

– Ona mówi, że widziała coś ciemnozielonego. Tim miał kurtkę w takim kolorze. Wiesz o tym. Po to tutaj przyszliśmy. A teraz puść moją rękę, jeśli nie chcesz stracić swojej.

Otwieram szeroko oczy, a inni zamierają z wrażenia. Nemeth pozostaje niewzruszony, nadal zaciska mocno rękę na nadgarstku Martina.

I nagle...

– Zaraz, chłopaki... – odzywa się Neil ze zbolałym uśmiechem. – Zanim się wzajemnie pozabijacie, może zechcecie się z nami naradzić.

Nemeth i Martin wciąż wpatrują się w siebie, nie słuchając go.

– Nie wracam do obozu – kontynuuje nonszalancko Neil. – Nie dlatego, że nie chcę. Śpiwór? Owszem, to dobrze brzmi. Ale nie dam rady iść. Kamienie się poruszają. Pędzą jak woda w strumieniu. Czy żywią się mózgam? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale chyba mój im smakował.

Martin jest na tyle przestraszony tym nowym przejawem obłąkania Neila, że przestaje warczeć na Nemetha i patrzy na rannego kolegę syna. Nemeth, również zaniepokojony, puszcza jego rękę.

– Będę siedział tutaj – ciągnie Neil. – Nie. Posiedzę tam. W miłym zacienionym miejscu, gdzie słońce nie będzie razić mnie w oczy. Potrzebuję wody. I odpoczynku. Może skały pozostaną nieruchome. I w końcu wrócę do obozu. Ale teraz? Nie ma mowy. – Milknie. – Uuu! Dlaczego mam zakrwawioną głowę? Kim wy wszyscy jesteście? Co jest, kurwa? – Robi dłuższą przerwę. – Nieważne. Żartuję!

Wszyscy jesteśmy zaniepokojeni, ale Neil ma rację. Nie da rady iść, a zważywszy na kamieniste podłoże... Nie jestem pewna, czy moglibyśmy go nieść.

Bob z wahaniem podnosi rękę.

– Nie mam nic przeciwko temu, żebyśmy sprawdzili, co to za zielona tkanina, którą zauważyła Frankie. Dopóki Neil musi odpoczywać...

– Nie zdołasz się tam wspiąć – informuję go. – To ścieżka dla średniej postury ludzi, a nie dla kandydatów na Wielką Stopę.

Bob uśmiecha się szeroko, najwyraźniej zachwycony. Napięcie trochę opada.

– My możemy pójść – oznajmniają zgodnie Miggy i Scott.

Wszyscy bierzemy oddech, spoglądając na Nemetha.

Martin odzywa się pierwszy.

– Pójdę z Miggy i Scottem, żeby sprawdzić, co znalazła Frankie. – Waha się, po czym patrzy na Nemetha. – Może ty, Luciana i Daisy zechcecie zbadać obszar wokół jaskini, którą odkryłem. Zważywszy na to, że ognisko wygląda dość specyficznie.

- Ktoś powinien zostać z Neilem – zauważa Luciana.

Podnoszę rękę.

- Ja zostanę.

Chwila ciszy. A potem skinienie głowy Martina. I Nemetha. Wszyscy oddychamy z ulgą.

Miggy, Scott i Bob dołączają do Martina. Nemeth, Luciana i Daisy tworzą trzyosobową ekipę. A Neil i ja stajemy się nierozłącznymi przyjaciółmi.

Znów zaczyna się cicho śmiać.

- Święty Timothy – mruczy. - Och, ten Święty Timothy. Wszyscy go kochają.

- Ciii... - próbuję go uciszyć.

Śmieje się jednak jeszcze głośniej, gdy reszta ekipy rusza w drogę.

Rozdział 19

- **NIEZŁY... SPEKTAKL** – rzuca Neil, gdy inni odchodzą, zostawiając mnie i jego ukrytych w zadaszanej kryjówce, składającej się ze sterty głazów.

Wsuwam pod wspartą o skałę głowę Neila okład z suchego lodu, który zrobiła Luciana. Jego włosy i szyja są zbyt zakrwawione, bym mogła stwierdzić, czy rana się zasklepiła, ale jest przynajmniej przytomny.

– Stawiam na Martina – mówię, siadając obok niego na ziemi. Wpijają mi się w pośladki małe kamyki, więc przesuwam się nieco, żeby usiąść wygodniej. – Nemeth jest twardzielem, ale Martin to prawie szaleniec, a ja zawsze na takich stawiam.

– Nemeth jest nie do pokonania – rzuca Neil.

– Skąd wiesz?

– Takie krążą plotki. Dwadzieścia parę lat temu pod koniec października zaginęła w górach grupa ludzi. Zwołano ochotników i Nemeth kierował akcją poszukiwawczą. Na wysokości dwóch tysięcy siedmuset metrów złapała ich nieoczekiwana zamieć. Ekipa liczyła osiem osób. Cztery dni później tylko Nemetha odnaleziono żywego. Był zmarznięty na kość, ale ocalał. Miejscowi mówią, że nie pochodzi z gór, lecz jest ich częścią. A góry nie umierają.

Jestem pod wrażeniem tej opowieści. Nagle zauważam, że opadają mu powieki.

– Otwieramy oczy – nakazuję. – Przykro mi, ale tak trzeba. Chcesz jeszcze wody?

Unosi powieki i wzdycha ciężko.

– Poproszę.

– Czy Nemeth i Martin spierali się już kiedyś? – pytam, zdejmując nakrętkę z manierki.

Neil pije długo i chciwie. Nie jest błąd, ale martwię się, że trzyma się tylko dzięki adrenalinie, której przyływ nastąpił po wypadku. Kiedy jej poziom opadnie...

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ale obaj są starymi uparciuchami. Tim mawiał... że jego matka wyleczyła się za pierwszym razem z raka, bo Martin pokonał go siłą woli.

– Nie sądzę, żeby teraz dobrze sobie z tym radził – mówię cicho.

– Chyba nie. A może przestał mówić żonie, co ma robić. Biedna Patrice. – Neil porusza się niespokojnie i nagle krzywi się z bólu.

Daję mu jeszcze wody. Nemeth zostawił nam jedną z największych manierek. Nie pora teraz oszczędzać.

– Masz mdłości? – pytam podopiecznego. – Ból głowy? Brzucha? Jak ci na imię?

– Pieprz się – mruczy beznamiętnym tonem.

– To moje imię. Pytałam o twoje.

Uśmiecha się nieznacznie. Mruga kilka razy i jakby próbował się podnieść.

– Kiedy po raz ostatni rozwalilem sobie głowę – dotyka pozlepianych krwią włosów – załatali mi ranę zszywkami. Nadal mam tu wgłębienia. Sześć. Bolało jak cholera. A teraz... przeżyję.

– Aż tak bardzo ucierpiałeś, gdy byłeś chłopcem?

– Powiedzmy, że... byłem niezdatnym dzieciakiem. – Podkreśla słowo „niezdarny”, żeby zrozumiała.

– Przykro mi.

– Nie twoja wina. Mój stary dużo pił. Im więcej, tym bardziej był skory do bicia. Na szczęście w końcu zapił się na śmierć. Dwadzieścia lat później niż ja i siostra byśmy sobie tego życzyli, ale było, jak było.

– Masz młodszą czy starszą siostrę?

– Młodszą. O cztery lata. Jest najmłodsza w rodzinie.

– Domyślam się, że byłeś szczególnie nieporadny w jej towarzystwie?

– Bingo! Nagroda dla tej pani!

– Mój ojciec uwielbiał piwo – przyznaję. – A także Jacka Daniela i każdy inny alkohol, który wpadł mu w ręce. Ale nie awanturował się. Był po prostu bezrobotnym pijakiem.

– A twoja mama?

– Pracowała na dwóch etatach. Nienawidziła go, kochała, czuła się urażona. Ale nie wykopała go za drzwi. Dotąd nie wiem dlaczego. Najpierw byłam za mała, żeby ją o to zapytać. Potem zbyt pijana, by się tym przejmować. A jeszcze później... – Wzruszam ramionami. – Byli oboje zbyt martwi, bym mogła się tego od nich dowiedzieć.

Neil odwraca głowę, żeby mi się przyjrzeć; porusza nią powoli, bo nie chce, by przesunął mu się zimny okład.

– Masz alkoholizm w genach?

– Zaczęłam wcześniej i ostro – zapewniam go. – Niewiele pamiętam z czasów, gdy miałam dwadzieścia parę lat. Może to i lepiej, zważywszy, że spędziłam je w większości w Los Angeles, namawiając obcych mężczyzn, by stawiali mi drinki w barze.

– Brałaś narkotyki?

– Kiedy piłam, brałam wszystko, co mi proponowali. Ale alkohol pozostaje moją największą miłością. Z reszty potrafię zrezygnować. Na szczęście.

– Moja siostra, Becca, sięgała po wszystko. Cokolwiek można było pić, wciągać, palić, wstrzykiwać, próbowała tego. Winiłem za to ojca. Poszła w jego ślady, bo nie potrafiła go zmienić. Ale potem zmarł, a ona była nadal wrakiem człowieka. Straciła prawo jazdy. I pracę. Poznała chłopaka, życiowego nieudacznika. Oboje... jak naćpani Bonnie i Clyde... pogrążali się coraz bardziej. Mama i ja staraliśmy się pomóc. Interwencje, rehabilitacja, AA, specjaliści od odwyku. Przez jakiś czas każdy grosz, który zarobiłem, szedł na leczenie siostry. Ale ten palant Derek zawsze znów się pojawiał. A ona szła za nim.

– Nie można pomóc komuś, kto nie chce pomocy.

– A co z tobą?

– Jestem trzeźwa od dziesięciu lat, pięciu miesięcy i... – Straciłam już rachubę czasu. – Osiemnadziestu dni. Musiałam jednak próbować parę razy. I miałam pomoc kogoś, kto uwierzył we mnie, dopóki nie byłam wystarczająco silna, by uwierzyć w siebie. Rozumiem, że twoja siostra...

– Zapiła się na śmierć? – Neil uśmiecha się blado. Mimo moich wysiłków nadal ma zamglony wzrok. Pstrykam palcami, zmuszając go do koncentracji.

– Pamiętaj. Żadnego spania.

– Żadnego umierania – dodaje.

– No właśnie.

– Moja siostra przedawkowała. Dwa lata po tym, jak skończyłem studia. Policja znalazła jej zwłoki w opuszczonym magazynie. Tego skurwysyna Dereka już tam nie było. Pewnie porwał resztę ich narkotyków i zwiął, gdy jej ciało było jeszcze ciepłe. Zawsze myślałem, że ktoś zadzwoni do mnie w środku nocy, ale nie. Była jedenasta rano, we wtorek. Siedziałem w pracy przy biurku. Zobaczyłem numer matki i odebrałem telefon, niczego nie podejrzewając.

Ściskam jego dłoń.

– Zadzwoniłem zaraz do Tima. Nie miałem pojęcia, co robić. Mama histerycznie szlochała. A ja byłem po prostu... otepiały. Po tym wszystkim, co zrobiliśmy. Z jednej strony zawsze przeczuwałem, że tak się stanie. Ale z drugiej... Była moją młodszą siostrzyczką, która przynosiła mi lizaki, gdy zmarł nasz ojciec. Dziewczynką, która oddawała mi swoje żelki ze szkolnego lunchu, bo wiedziała, jak bardzo je lubiłem. Huśtała się tak wysoko, że matka krzyczała, żeby tego nie robiła. Uwielbiałem ją. Nawet gdy znalazła się na dnie.

Bez słowa ocieram z jego policzków pierwszą łzę, a potem drugą, trzecią i czwartą.

– Dziękuję – mówi szeptem.

– Czy Tim ci pomógł? Kiedy do niego zadzwoniłeś?

– Wszystkim się zajął. Zadzwonił do pozostałych kolegów, porozmawiał z rodzicami, zorganizował pogrzeb. Moja mama do niczego się nie

nadawała. Wiedziałem, że powinienem pomóc, ale po prostu... nie byłem w stanie.

– Wygląda na to, że Tim był wspaniałym przyjacielem.

– Święty Timothy.

– Bo za każdym razem, gdy wchodził do pokoju, otwierały się niebiosa i śpiewały anielskie chóry – cytuję. – Tak przynajmniej powiedział mi Scott.

– Scott to dupek – prychnął Neil, ale uśmiecha się lekko. Wzdycha i znów opadają mu powieki.

Gdy potrząsam jego ramieniem, patrzy na mnie półprzytomnym wzrokiem.

– Boli cię głowa – mówię.

– Jak skurwysyn.

Opadła adrenalina. Jak było do przewidzenia.

– Masz mdłości? Gdybyś zamierzał wymiotować, odwróć się.

– Pewnie nie masz zszycacza?

– Przykro mi, w apteczce mamy tylko superglue. No już. Wiem, że to niełatwe, ale nie przestawaj mówić. Opowiedz mi o Timie.

– Nie mogę.

– Był twoim przyjacielem. To do niego najpierw zadzwoniłeś, gdy dostałeś tę straszłą wiadomość. To ty przedstawiłeś go jego przyszłej narzeczonej. Chcę poznać wszystkie szczegóły.

– Latisha chodziła ze mną. Tim miał dotrzymywać towarzystwa jej przyjaciółce.

Milknę, przypominając sobie dwuznaczne uwagi Scotta, i czuję się jak idiotka, że nie skojarzyłam tego wcześniej.

– To ty spotykałeś się pierwszy z Latishą.

– Tylko kilka razy. Długo zbierałem się na odwagę, by się z nią umówić. Potem tak cholernie się denerwowałem, że nie wiedziałem, co robić. Na pierwszej randce milczałem. Na drugiej pościłem się jak mysz. A ona była taka wyrozumiała. Rozpaczliwie pragnąłem ją zdobyć. Więc poradziłem się Tima. Wpadł na pomysł, żebyśmy na następną randkę poszli razem.

Będę mniej spięty. Odprężę się i zrobię na niej lepsze wrażenie. I rzeczywiście. Napięcie zdecydowanie opadło. Zwłaszcza gdy Latisha całkowicie przestała zwracać na mnie uwagę. Wystarczyło jedno spojrzenie i jak wszyscy nie widziała już świata poza Świętym Timothyem.

– Niezręczna sytuacja.

– Taaa... – Wzdycha ciężko.

– Musiałeś być na niego wściekły.

– Tak... Nie... Sam nie wiem. Wiedział, jak bardzo ją lubiłem. Ale w sumie to nie była jego wina, że nie odwzajemniała moich uczuć. Tak to sobie tłumaczyłem. Po tym, jak już przestałem płakać w poduszkę. – Uśmiecha się blade.

– Mógł sobie odpuścić – komentuję cicho.

– To nie w jego stylu.

– Mógł się wymigać od randki, żebyś miał więcej czasu, by ją oczarować.

– To nie w jego stylu.

– Chciał tego, co należało do innych. Nawet gdy chodziło o przyjaciół.

– Tim był typem faceta... którego się kocha, nawet jeśli się go nienawidzi. A każdy, wcześniej czy później, to właśnie do niego czuł.

– Kochał go czy nienawidził?

– Jestem zmęczony. Czy mogę się zdrzemnąć?

– Żadnego spania. No już, Neil. Mów dalej. Święty Timothy skradł ci dziewczynę. A co ze Scottem? On najwyraźniej też kochał się w Latishy.

– Scott był kutasem. Wzdychał do czegoś, czego miał nigdy nie zdobyć.

– Ale w końcu z nią jest. Po tym, jak Tim zniknął.

– Nie sądzę, żeby spadł mi na głowę kamień – oznajmia nagle Neil. Pociera skronie, krzywi się i mruży oczy z bólu. – Nie byłem aż tak blisko klifu.

– Więc co się według ciebie stało?

– Usłyszałem hałas. Odwróciłem się. A potem... – Przenika go dreszcz. Porusza się niespokojnie. – Poproszę o wodę.

Daję mu manierkę i przyglądam się, jak zachłannie pije. Jest zdecydowanie bledszy i ma spoconą twarz. Coraz bardziej się niepokoję.

– Wszyscy czterej uzgodniliśmy, że po tej wyprawie kończymy – mówi cicho. – Nie będziemy już szukali szkieletów. Kiedy zejdziemy z tych gór, nigdy więcej tu nie wrócimy. To właśnie zmotywowało Josha, by rzucić picie. Jeszcze raz spróbować. Tyle że wykluczono go z ekipy. Cholerny szczęściarz.

– Dlaczego miał to być ostatni raz?

– Bo nie damy już rady. Żaden z nas. Josh stanowi najbardziej oczywisty przypadek, ale my wszyscy... On wie. Nie mam pojęcia skąd, ale wie. A teraz... To nie jest już akcja poszukiwawcza. To są... – patrzy na mnie mętnym wzrokiem – porachunki.

Mam wrażenie, jakbym tonęła. A potem przenika mnie dreszcz. Muszę zadać kolejne pytanie, choć nie jestem pewna, czy chcę znać odpowiedź.

– Co wyście zrobili, Neil? Co się naprawdę wydarzyło pięć lat temu?

I słyszę to, czego się obawiałam.

– Skłamaliśmy. Nie powiedzieliśmy prawdy. – Wzdycha ciężko. – I nasze kłamstwa zabiły Tima.

Rozdział 20

NEIL ZAMYKA OCZY. PRZEWRACA się na bok. Chwytam go za ramię, by nie upadł, i przywracam go do pozycji siedzącej.

– Obudź się, obudź się. – Gdy to powtarzam, pojawia się nagle znikąd Nemeth. Jest zdenerwowany.

– Musimy się zbierać. Nadciąga burza. Trzeba znaleźć schronienie na skraju lasu.

– Nie sądzę, żeby Neil był w stanie iść.

– Nie ma innej opcji. Uderz go w twarz, jeśli to konieczne, ale musi się ruszyć. – Spogląda przez ramię, jakby burza była tuż za nim.

Teraz czuję strach. Jeśli Nemeth czymś się martwi, pozostali z nas powinni być przerażeni.

– Neil! – krzyczę.

Trzepocze powiekami. Klepię go po policzku, ale nic to nie daje, więc oblewam go wodą.

– C... co?

– No już. Czas wstawać. Idziemy na mały spacer.

Nemeth chwyta go z drugiej strony i pomaga mi go podnieść. Robię to nieporadnie, zwłaszcza że jestem dużo niższa niż oni. Ale Nemeth ciągnie już Neila, zmuszając zarówno jego, jak i mnie do wysiłku. Czy na polu kamieni rozpełta się lada chwila nawałnica? Nie chcę się o tym przekonywać.

Udaje nam się wspólnie wyprowadzić Neila z kryjówki z głązów. Daisy i jej opiekunka już czekają. Luciana wydaje się równie poruszona jak Nemeth, a pies skacze zdenerwowany wokół niej.

Czuję chłodniejszy podmuch wiatru. Spoglądając na horyzont, dostrzegam ciemne chmury. Suną prosto w naszym kierunku. Na błękitne

niebo opada czarna kurtyna. Wygląda to zarazem pięknie i przerażająco. Stoję jak zahipnotyzowana, choć przechodzą mnie dreszcze na myśl o tym, że zaraz zacznie się błyskać.

– Luciana! – woła Nemeth. – Zastąp Frankie. Frankie, bierz sprzęt.

Ja i Luciana szybko zamieniamy się miejscami. Daisy skomle.

– Co z pozostałymi? – pytam.

– Marty nimi dowodzi. Mam nadzieję, że jest czujny. – Nemeth mówi to z sarkazmem. Bo Martin przez cały dzień koncentruje się tylko na jednym. Cholera, może nawet przez ostatnich pięć lat.

Neil próbuje poruszać nogami. Zimny wiatr sprawił, że oprzytomniał i zbiera siły. Nemeth i Luciana podtrzymują go, więc jakoś idzie. Daisy jest tuż przy Lucianie, ze spuszczoneym łbem i podwiniętym ogonem. Nie sądziłam, że nastrój psa ratowniczego może się zmienić pod wpływem pogody. A może chodzi o coś innego? Bo twarz Luciany jest wciąż napięta, a to zupełnie do niej niepodobne.

Nadal staram się rozgryźć to, co powiedział mi Neil. Albo prawie powiedział. Kłamstwa. Czyli sekrety. Prawdopodobnie z powodu jednego z nich straciliśmy zapasy żywności, a Neil ma rozbitą głowę.

Scott przebywał nie wiadomo gdzie, gdy ktoś rozdarł worki z jedzeniem, ale był w pobliżu, kiedy zaatakowano Neila. Co oznacza, że następną rundę pytań zacznę od niego. W obecności pozostałych. Cokolwiek zdarzy się potem, chcę mieć świadków.

Spada duża kropla deszczu.

Potem sine niebo przecina błyskawica i niemal natychmiast rozlega się potężny grzmot, tak blisko, że aż podskakuję. Nad naszymi głowami kłębią się ciemne chmury, które w jednej chwili pogrążają cały kanion w mroku. Nie ma już czasu na podziwianie dzikiego piękna. Trzeba się pospieszyć.

– Musimy tylko dotrzeć do początku ścieżki – mówi Nemeth, by dodać nam otuchy. – Ukryjemy się pod drzewami i przeczekamy burzę. Zostało parę metrów. Dacie radę.

Łże jak pies. Do ścieżki jest co najmniej trzydzieści metrów, jeśli nie więcej. Ale Neil stara się iść.

Przed nami pojawiają się jacyś ludzie. Rozpoznaję Martina i resztę grupy. Krzyczą i machają rękami, by zwrócić naszą uwagę. Są już w lesie. Bob chyba jednak zauważa, że jesteśmy w tarapatach, i natychmiast rusza nam z pomocą. W ciągu paru minut zastępuje Lucianę i na ostatnim odcinku drogi on i Nemeth niemal niosą Neila.

Docieramy do lasu akurat w chwili, gdy niebo przecina kolejna błyskawica. Potem, po drugim potężnym grzmocie, nad kanionem rozpętuje się burza. Deszcz leje strumieniami; moczy nam włosy i zmywa z nas kurz.

Nemeth i Bob umieszczają Neila pod niewielką kępą sosen. Ich wątłe gałązki nie wystarczają, by ochronić go przed ulewą, ale Neil na to nie zważa. Unosi twarz ku niebu. Zasnęta krew na jego głowie przybiera purpurową barwę i spływa cienkimi strużkami.

Deszcz obmywa mu ranę. Oczyszcza go z winy.

W tym momencie spogląda na mnie wzrokiem umęczonego człowieka, który o wiele za długo dźwigał na barkach ogromny ciężar. Chcę mu powiedzieć, że go rozumiem. Chcę obiecać, że wszystko będzie dobrze. Ale wolę nie mnożyć kłamstw.

Uśmiecha się niemrawo, jakby czytał w moich myślach. A potem przymyka oczy i poddaje się strugom deszczu.

BURZA PRZECHODZI RÓWNIE NAGLE, jak się zaczęła. Chmury przesuwają się dalej, zabierając ze sobą spektakl światła. Wkrótce grzmoty słychać tylko z oddali, a powietrze nie jest już naelektryzowane.

Bob strząsa wodę z włosów i brody, a potem strzepuje krople deszczu z plecaka. I tak oto łowca Wielkich Stóp jest gotów do drogi. Pozostałym zajmuje to o wiele więcej czasu. Nikt się nie odzywa. Spoglądam w twarze współtowarzyszy, szukając odpowiedzi na pytanie, co się dzieje. Najdłużej patrzę na Scotta. Czerwieni się. Poczucie winy? Wyrzuty sumienia?

Przenoszę wzrok na Miggy'ego i ten po chwili jest równie zmieszany.

Gdy dotrzemy do obozu, będzie cholernie dużo spraw do omówienia.

Nemeth wchodzi na ścieżkę i wyciąga z plecaka niebieski koc ratunkowy.

– Musimy zmontować nosze, żeby nieść Neila – zarządza. – Wy dwaj! – zwraca się do Miggy’ego i Scotta, a ci natychmiast stają na baczność. – Potrzebuję dwóch solidnych gałęzi o mniej więcej tej samej średnicy i o jakiś metr dłuższych, niż wynosi wzrost waszego kolegi. Ruszajcie się.

Oddalają się pospiesznie, najwyraźniej zmotywowani tym, że Nemeth uważa sprawę za pilną.

– Ty. – Przyspila mnie spojrzeniem.

Czuję pokusę, by się obrócić i zobaczyć, czy ktoś za mną nie stoi, ale wiem, że tak nie jest.

– Pora, żebyś się nauczyła posługiwać tym nożem.

Dobry Boże.

Rzuca mi zwój cienkiej nylonowej żyłki.

– Potnij to na odcinki po dwa i pół metra. Potem porobisz dziurki na krawędzi brezentu, który da ci Martin. Wystarczy zwykły krzyżyk, dostatecznie duży, by przeciągnąć przez otwór linkę.

Potem zwraca się do Luciany i wydaje jej polecenia. Martin rzuca mi złożoną brezentową płachtę i nie mam wyboru, muszę wyciągnąć z pochwy przypięty do pasa ogromny nóż i ostrożnie mu się przyjrzeć. Chropowatą rękojeść wygodnie się trzyma. Doceniam też szeroką gardę, która chroni dłoń przed ześlizgnięciem się na ostrze. Ale ten nóż to jednak niebezpieczna bestia. Jest ostry jak brzytwa z jednej strony, a z drugiej podstępnie ząbkowany.

Drżą mi ręce. Muszę wziąć kilka głębokich oddechów. Potem wychodzę spomiędzy drzew i idę w kierunku lśniących teraz szarych skał. Rozkładam brezentową płachtę na dużym głazie, rozwijam linkę i biorę się do pracy. Dopiero po dłuższej chwili, stosując metodę prób i błędów, zdobywam się na to, by przycisnąć nóż z większą siłą. W końcu przekonuję się, że nylonową żyłkę przecina najlepiej ząbkowane ostrze. A drugiego używam do robienia otworów w brezencie.

Coraz bardziej podoba mi się ten nóż. Łatwo tnie i dobrze pasuje do ręki. Unoszę go jeszcze, ot tak sobie, parę razy w górę. A potem się zastanawiam: czy Josh spakował taki niebezpieczny taktyczny nóż do samoobrony? Czy sam chciał w górach załatwić jakieś porachunki?

Tim pozbawił Miggy'ego wymarzonej pracy. Scott i Neil stracili przez niego szansę na zdobycie kobiety, którą kochali. A Josh? Jaką on poniósł stratę? I jak bardzo przeżył tamtą wyprawę w góry, skoro zaczął po niej topić rozpacz w butelce?

Po wykonaniu powierzonego mi zadania ostrożnie wkładam nóż do pochwy i wracam do Nemetha.

Martin chwyta płachtę, a Nemeth linkę. W kilka sekund konstruują z dwóch gałęzi, które przynieśli Miggy i Scott, coś w rodzaju hamaka. Gdy ulepszą ten wynalazek, podchodzę do Luciany.

– Co było w tej jaskini, którą znalazł Martin? – pytam jakby od niechcienia. – Znaleźliście coś? – Mówię cicho, bo wyczuwam już, że nie ma ochoty dzielić się tą informacją z innymi.

– Możliwe – odpowiada lakonicznie i równie cicho.

– Daisy złapała trop?

– Tak. Zaczęłyśmy za nim iść, ale nie miało to sensu. Natrafiałyśmy wciąż na ślepe zaułki, to na gigantyczną skałę, to na jakiś głąz. Naturalne przeszkody powinny zatrzymywać zapach, a tymczasem Daisy ciągle traciła ślad. – Luciana kręci głową. – Nie wiem. Zaczęła się czegoś bać. I wtedy ja też się zaniepokoiłam.

– Dlaczego?

Luciana rozgląda się, by upewnić się, że nikt nas nie słyszy.

– Miałam wrażenie, że ktoś nas obserwuje. Że się nam przygląda.

– A jak zareagował Nemeth?

– Wiesz, jaki jest. Nie odezwał się ani słowem. Ale wydawał się strasznie zdenerwowany, ciągle się za siebie oglądał. Kiedy zaczęła się zbliżać burza, byliśmy wdzięczne, że mamy pretekst, by się stamtąd wynieść. Nie podoba mi się to miejsce. I te góry. Po prostu... mi się to nie podoba.

Towarzysząca jej Daisy daje skomleniem do zrozumienia, że się z nią zgadza. Luciana głaszcze ją uspokajająco po łbie.

– Kiedy wrócimy do obozu, muszę ją pocieszyć. I nie chodzi o jedzenie ani masaże łap. Jest roztrzęsiona i przybita, że niczego nie znalazła. Potrzebuje jakichś pozytywnych bodźców. Morale jest bardzo ważne. – Luciana rozgląda się. – Dla nas wszystkich.

Kiwam głową ze zrozumieniem. To był dziwny i długi dzień. Niestety, mam przeczucie, że będzie gorzej.

– W porządku – rzuca Nemeth, podnosząc się z ziemi. – Czas ruszać w drogę.

NEMETH ROZKŁADA NIEBIESKI KOC ratunkowy na prowizorycznych noszach. Miggy i Scott pomagają Neilowi się położyć, po czym Nemeth obwija go kocem jak naleśnikiem. Robi to dość zręcznie. Neil jest znów przytomny, ale najwyraźniej odczuwa ból. Luciana wyjmuje kolejny okład z suchego lodu i wsadza mu pod głowę. Neil uśmiecha się z wdzięcznością. Pozostaje tylko przymocować go nylonową linką do noszy.

Bob staje przy żerdzi z prawej strony, a Miggy z lewej. Na trzy dźwigają równocześnie przednią część noszy. Tylne końcówki żerdzi mają być ciągnięte po ziemi. Teraz dopiero rozumiem, o co chodzi. To połączenie noszy z toboganem. Ponieważ Neil nie musi być w pełni unieruchomiony, jak ktoś, kto ma poważne złamanie albo uszkodzony kręgosłup. A że tylko siedem osób jest teraz sprawnych, o wiele łatwiej będzie nam zmieniać się przy noszach dwójkami niż czwórkami.

Gdy wszyscy zajęli już swoje pozycje, Nemeth rusza w drogę, a Daisy i Luciana podążają za nim. Dalej idą Bob i Miggy, ciągnąc nosze. Następny jest Scott. Martin spogląda na mnie niecierpliwie. Najwyraźniej czeka, by zamknąć kolumnę, gdy Bob ma inne obowiązki.

Korzystam z okazji, by znaleźć się obok Scotta. Jest zakłopotany i odwraca ode mnie wzrok.

– Jak tam wspinaczka na skalną ścianę? – pytam. – Widzieliście u góry coś zielonego?

– Tak – odpowiada równie lakonicznie jak Luciana. Najwidoczniej wszyscy mieli popołudnie pełne wrażeń.

– Kto się tam wspiął?

– Ja. Miałaś rację. Dla Boba było zbyt wąsko, a Miggy ma lęk wysokości.

– A Martin? – Sądziłam, że ten człowiek wspiąłby się na Empire State Building, gdyby uznał, że to pomoże mu odnaleźć syna.

– Bob go wykluczył. Powiedział, że musi zostać na dole i wskazywać mi drogę.

– I Martin się zgodził?

– Mając szansę patrzeć, jak jeszcze bardziej cierpię? Oczywiście.

– Chyba masz na tym punkcie obsesję.

– Co powiedział ci Neil?

– A jak myślisz?

Scott nie chwyta przynęty. Milknie, a potem nagle mówi:

– Nie dałem rady. Żeby wspiąć się na tę skałę, w pewnym miejscu trzeba przeskoczyć nad przepaścią.

Kiwam głową. Widziałam to.

– Chciałem. Próbowałem. Ale za każdym razem, gdy przymierzałem się do skoku... stawała mi przed oczami Latisha i myślałem tylko o tym, co się stanie, jeśli się poślizgnę i spadnę. Jeśli po raz drugi będzie musiała odebrać taki telefon. Nie mogłem jej tego zrobić. Nie mogłem... zrobić tego sobie.

Milczę, by nie zakłócać ciszy.

– Chcę dać z siebie więcej – szepcze Scott po chwili. – Chcę być lepszy. Nie masz pojęcia... Od tamtej nocy... – Wzdycha ciężko. – Cholera.

Nadal się nie odzywam.

– Nie doszedłem na samą górę. Nie zdołałem zabrać tego, co tam leży. Marty wrzeszczał na mnie. Bob musiał go powstrzymać, bo chciał mnie zaatakować. Potem poczuliśmy, że wiatr zmienia kierunek, spojrzeliśmy na południe i zwialiśmy stamtąd. Dzięki Bogu.

– Martin będzie chciał tam wrócić.

– Tak.

– A ty?

– Chcę dać z siebie więcej. Chcę być lepszy – powtarza ze smutkiem na twarzy. – Cholera.

– Uderzyłeś Neila w głowę kamieniem?

– Nie! Dlaczego miałbym to zrobić?

– Sam mi to powiedz, bo najwyraźniej ty i twoi koledzy coś ukrywacie. Scott kręci głową.

– Nie napadłem na Neila. Nie mam powodu go krzywdzić. Znalazłem go zakrwawionego. Przysięgam na moje nienarodzone dziecko.

– A co z workami z żywnością?

– Nie mam pojęcia. W nocy było tak, jak mówiłem. Wyszedłem z namiotu, wydało mi się, że zobaczyłem Tima, i pobiegłem do lasu, a potem... mnie znaleźliście. I Luciana zakleiła mi rany na piersi. Nie sądzisz chyba... – Milknie i w końcu się do mnie odwraca, szeroko otwierając oczy. – Nie sądzisz, że to naprawdę mógł być Tim? Że jakimś cudem, po upływie tylu lat, żyje?

– Czy to możliwe?

– Nie wiem. Może. O Jezu. – Scott wydaje się bardziej przerażony niż kiedykolwiek przedtem.

– Co Josh utracił?

– Słucham?

– Tim był generalnie dobrym człowiekiem i wspaniałym przyjacielem. Ale miał w zwyczaju pragnąć tego, co należało do innych. A wy zwykle mu wybaczyliście. Do czasu. Czy to Josh w końcu nie wytrzymał? Co utracił?

– Nie spodziewam się, że Scott mi odpowie, ale nagle mówi z goryczą:

– Stracił wiarę w przyjaciół. Wiarę w człowieczeństwo. Szacunek dla samego siebie. Co wtedy pozostaje?

– Nie potrafię odpowiedzieć, ale to bez znaczenia, bo Scott już się nie odzywa.

– Wlecemy się przez las do obozu. Jeden człowiek leży na noszach. Siedem osób jest głęboko pogrążonych w myślach.

A w mojej głowie rodzi się straszne podejrzenie.

Rozdział 21

NIGDY NIE CZUŁAM WIĘKSZEJ ulgi, docierając do jakiegoś miejsca, niż w momencie, gdy zobaczyłam nasze zmoknięte namioty. Wchodzimy do obozu akurat o zachodzie słońca. Zaczyna zmierzchać, temperatura spada. Moja przemoczona odzież, która dwie godziny wcześniej przyjemnie chłodziła, przypomina teraz zimny okład i klei się do ciała.

Po tym wyczerpującym fizycznie i emocjonalnie dniu pragnę jedynie wypełznąć do śpiwora i zasnąć. Ale na biwaku nie jest to takie proste. Trzeba zaopiekować się Neilem, rozpalić ognisko, przynieść wodę.

Nikt się nie odzywa, gdy zabieramy się do pracy. Nemeth i Scott zdejmują Neila z noszy. Miggy rozpala ogień, sprawiając w jakiś magiczny sposób, że mokre drewno zaczyna płonąć. Ja przynoszę wodę, a Luciana zajmuje się Daisy. Martin wyciąga jedzenie. Jesteśmy jak dysfunkcyjna rodzina, ignorująca wyczuwalne niemal w powietrzu napięcie, dopóki wszyscy nie wywiążą się ze swoich zadań i będzie można zasiąść do stołu.

Gdy po raz ostatni wracam z wodą, Neil siedzi przy buzującym już ognisku, z ramionami owiniętymi kocem jak niebieskim szalem, a Luciana przemywa mu ostrożnie ranę z tyłu głowy. Neil krzywi się przy każdym jej dotknięciu. Ale oboje milczą.

Martin przynosi zapachoszczelny worek z ocalałą żywnością. Kładzie go na ziemi, otwiera i tak oto zostaje podana kolacja. Wybieramy po kolei główne dania i dolewamy do nich gorącą wodę. Jestem głodna, a zarazem nie. Nawet w normalnych warunkach łatwo się rozpraszam, a po wydarzeniach dzisiejszego dnia nie potrafię się skoncentrować. Szumi mi w głowie, jestem cała spięta i podenerwowana. Właśnie w takich chwilach najbardziej potrzebuję się napić. Żeby ocalić siebie przed sobą. Albo choć na chwilę uciec.

Na szczęście na tym odludziu nie ma barów. Niestety, nie ma również zasięgu sieci komórkowych, telefonów satelitarnych ani radia.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat byłam przez większość czasu zdana tylko na siebie, nigdy jednak nie czułam się tak bezradna i osamotniona jak teraz.

Miggy i Scott siedzą na ziemi po obu stronach Neila. On popija wodę, oni przeżuwają liofilizowany makaron. Luciana przeszła na drugą stronę ogniska i usiadła bliżej mnie. Daisy leży u jej stóp, ale patrzy czujnie brązowymi oczami.

– Nadal musi bawić się w chowanego? – pytam cicho.

– Nie teraz. Jest zbyt ciemno – odpowiada powściągliwie Luciana. Podjęła już decyzję. Wiem jaką i nie mam jej tego za złe.

– Kiedy ty i Daisy opuszczacie obóz?

– O świcie. – Zerka na mnie. – Możesz do nas dołączyć.

– Jeszcze nie jestem pewna, co zrobię. – Ale podobnie jak ona, też już zdecydowałam. Tyle że moja decyzja jest bardziej bezsensowna. Mam syndrom suchego alkoholika. To właśnie zarzucał mi Paul, gdy po raz pierwszy zajęłam się tą pracą. Że zastępuję jeden niebezpieczny nałóg innym. Wolę myśleć, że chodzi o coś więcej. Że ja znacę więcej. Ale w takich chwilach sama nie jestem tego pewna.

Martin podchodzi do ogniska, odchrząkuje i otwiera usta, by coś powiedzieć.

– Zaatakowałeś Neila kamieniem? – zwracam się do niego głośno i wyraźnie. To wystarcza, by wprawić w osłupienie jego i resztę grupy.

– Słucham?

– Czy próbowałeś zabić Neila w miejscu, gdzie leżą głazy?

– Nie. – Martin wydaje się szczerze zdumiony, może nawet trochę oburzony. – Prowadziłem własne poszukiwania.

– A co z zapasami żywności? Rozerwałeś worki?

– Po co miałbym to robić? Byłaś ze mną, gdy je znalazłem...

Przechodzę do Nemetha.

– A gdzie ty byłeś dziś po południu?

- Przy innej części skalnej ściany - odpowiada głośno, równie defensywnym tonem.

- A ty, Bob?

- Próbowałem dogonić Nemetha.

- Miggy?

- Zmierzałem w przeciwnym kierunku. Widziałas mnie.

Skupiam uwagę na Scotcie.

- Pozostajesz ty, kolego.

- Powiedziałem już...

- To nie on - wtrąca zmęczonym głosem Neil. - Nie zrobiłby tego. Ani on, ani Miggy. Jezu, już najwyższy czas. A właściwie pięć lat za późno. Powiedz im. Powiedz im wszystko, póki możesz to zrobić.

SKUPIAM UWAGĘ NA MARTINIE, podczas gdy Scott, Miggy i Neil szepczą między sobą. Dla pewności rzucam także okiem na Nemetha i Boba, ale najbardziej interesuje mnie Martin. Neil powiedział, że on wie. Zakładam, że miał na myśli ojca Tima. Musiał odkryć ich tajemnicę. Ale na razie Martin wydaje się skonsternowany i zły. Czyżby był aż tak dobrym aktorem?

Nemeth patrzy powściągliwie i czujnie, jakby wiedział, że coś mu grozi, i próbował uprzedzić cios.

Bob wydaje się najbardziej zamyślony i najmniej zdziwiony. Chyba spodziewał się jakichś sensacyjnych wiadomości. Teoretycznie to właśnie o nim powinnam wiedzieć najwięcej, zważywszy, że znamy się z forów internetowych. Ale, jak ujawnią z pewnością za chwilę trzej koledzy, myśleć, że się kogoś zna, i znać go naprawdę to dwie zupełnie różne rzeczy.

Chłopcy przestają szeptać, siadają wyprostowani i wpatrują się w nas.

Najwyraźniej wybrali Miggy'ego, żeby zaczął. Bierze głęboki oddech i mówi:

- Skłamałiśmy. Na temat tamtej nocy. Nie wszystko było kłamstwem, ale wystarczająco dużo.

Doceniam jego strategię. Kiedy zostałeś zdemaskowany, daruj sobie drobiazgi i przejdź do rzeczy.

Siedzący naprzeciwko mnie Martin otwiera szeroko oczy, najwyraźniej zaskoczony. Ale tym razem nie odzywa się i słucha. Nemeth i Bob robią to samo.

– Piliśmy. Wszyscy.

– Nawet Tim – wtrąca Neil. – Dużo. Więcej, niż powinniśmy. Niż ktokolwiek powinien.

– Byliśmy kompletnie pijani – wyjaśnia Miggy, na wypadek gdybyśmy mieli jakieś wątpliwości.

Martin kiwa powoli głową, jakby fakt, że jego syn był bardziej pijany, niż pierwotnie twierdzono, nie miał większego znaczenia.

– Zwłaszcza Josh – mruczy Neil.

– Powinniśmy byli go powstrzymać. – Scott wzdycha ciężko.

– Co się stało? – naciskam, starając się ich zachęcić, by kontynuowali.

– Tim zaczął mówić...

– Wygłaszać przemowę – prostuje Scotta Miggy.

– Nieważne. Perorował...

Neil śmieje się ochryple.

Dobry Boże, mam ochotę ich wszystkich zabić. Znów przyglądam się Martinowi. Nadal sprawia wrażenie, jakby nie miał pojęcia, do czego ta historia zmierza. Nemeth jest błądy, a Bob zachęcająco kiwa głową.

– Chciał nam podziękować za to, że jesteśmy jego najbliższymi przyjaciółmi. Niedługo miał się przecież żenić. – W głosie Miggy'ego po tylu latach nadal brzmi gorycz. – Powiedział nam, że wie, że nie jest doskonały i nie zawsze był najlepszym przyjacielem. Zaczął ode mnie. Przeprosił, że poszedł na rozmowę w sprawie pracy, o którą ja się starałem.

Martin otwiera szeroko usta, ale zaraz je zamyka.

– Powiedział, że jest mu przykro, że odebrał mi Latishę – włącza się Neil. – Poszedł na podwójną randkę tylko po to, by mi towarzyszyć. Ale kiedy ją poznał... Wiedział, że to nie fair, nie mógł jednak postąpić

inaczej. Zrozumiał natychmiast, że to dziewczyna, na którą czekał całe życie.

– Chwileczkę. – Bob podnosi rękę i patrzy na Neila. – Chodziłeś wcześniej z Latishą?

– Krótko.

– A teraz jest twoją żoną. – Wskazuje na Scotta, a gdy ten potwierdza to skinieniem głowy, Bob zwraca się z kolei do Miggy'ego: – A co z tobą?

– Trzech spośród nas pięciu chyba wystarczy!

Bob kiwa głową.

– A wasz kolega Josh?

– On nie chadza na randki. A w każdym razie nie lubi mówić o swoich uczuciach.

– Nie lubi mówić – mruczy Neil. Trzej koledzy ponownie wymieniają spojrzenia.

Miggy zamyka oczy i głęboko wciąga powietrze.

– Skoro o tym mowa, Josha też Tim miał za co przepraszać – zauważa. To budzi moje zainteresowanie.

– Był jego pierwszym drużbą – wyjaśnia Bob, co również przykuwa moją uwagę. Nie pomyślałam wcześniej, żeby zadać to pytanie. Wszyscy czterej byli drużbami Tima, ale jeden z nich musiał być pierwszym. Zapewne ten, który był Timowi najbliższy. Chłopak, który jest teraz na odwyku w szpitalu w Wyoming.

– Josh miał o dwa lata młodszą siostrę – wyjaśnia Miggy. – Też studiowała na Uniwersytecie Stanu Oregon. Jest bardzo ładna.

– Jakim cudem mógł mieć siostrę o takiej urodzie... – Neil kręci głową z niedowierzaniem. – Nie pamiętam nawet, jak wyglądał, zanim się stoczył. Miał ciemnoblonde włosy, spoconą twarz. Przypominam sobie symptomy choroby Josha, ale jego samego nie, więc chyba nie był zbyt atrakcyjny. Pozostawał jak wszyscy w cieniu wielkiego Tima.

– Pomagaliśmy Juliannie wprowadzić się do akademika – przejął opowieść Scott. – Zaczęła natychmiast robić maślane oczy do Tima, który zgrywał ważniaka na kampusie. Gdy tylko Tim wyszedł z pokoju, Josh

ruszył za nim. Byłem akurat na korytarzu i zobaczyłem, jak Josh przyciskał do ściany wyższego o dziesięć centymetrów i cięższego o piętnaście kilogramów Tima, patrząc mu prosto w oczy. „Nie! – powiedział. – Jak tkniesz moją siostrę, skopię ci dupę!” Tim zbył to śmiechem. „Jasne – rzucił. – Nie ma problemu, bracie. Rodzina to rodzina. Rozumiem” – Scott naśladuje jego pojednawczy ton. – Tim uwolnił się i odszedł, ale widziałem, że Josh nadal się martwił. Przed poznaniem Latiszy Tim lubił się zabawić. Nigdy nie było wiadomo, jaka atrakcyjna dziewczyna wyjdzie z jego pokoju w sobotę rano i nigdy już tam nie wróci.

Neil i Miggy kiwają głowami.

– Zaczęły się zajęcia na uczelni – ciągnie Scott. – Julianna wpadała do nas czasem, ale niezbyt często. Miała swoich przyjaciół, własne towarzystwo. Nawet nie widziałem, żeby rozmawiała z Timem. – Patrzy na kolegów.

– Nigdy niczego nie zauważyłem – potwierdza Miggy.

– Ja też się nie domyślałem. – Neil wzrusza ramionami.

– Tim umawiał się z siostrą Josha – wtrącam, próbując przejść do sedna sprawy. – A Josh o tym nie wiedział.

Scott przygląda mi się z drugiej strony ogniska.

– Julianna wzięła na jeden semestr urlop dziekański – mówi cicho. – Była w ciąży. Usunęła ją. Nigdy nikomu się nie przyznała, nawet bratu, kto był ojcem dziecka.

Otwieram szeroko oczy. Spoglądam na Martina, który wydaje się równie zaskoczony.

– Czy to ma znaczyć, że siostra Josha była w ciąży z Timem? – odzywa się po chwili.

– Tim nic wtedy nie powiedział – odpowiada Miggy. – Nawet gdy Josh zachodził w głowę, jak do tego doszło. Jego rodzice przeżyli szok. Nie popierali aborcji, ale też nie chcieli, by córka przerwała studia. Zrobiło się wielkie zamieszanie. Josh przez pierwszą połowę ostatniego roku na przemian pocieszał rodziców i pomagał siostrze. Osobiście zawiózł ją do kliniki i trzymał za rękę podczas zabiegu. Potem zamknął się w pokoju

i nie pokazywał przez tydzień. Zastanawialiśmy się wszyscy, czy nie powinniśmy wsunąć mu pod drzwiami czegoś do jedzenia, ale w końcu stamtąd wyszedł. Wyglądał koszmarnie. Nigdy więcej nie poruszył tego tematu, więc my też go unikaliśmy, ale taki właśnie jest Josh. W uśpionym wulkanie wrze gorąca lawa.

– Tim nigdy się nie przyznał? – naciskam.

– Nigdy. – Tym razem odzywa się Scott. – Zawsze było tylko: „Pozwól, że ci pomogę, Josh”, „Hej, ja się tym zajmę, Josh”, „Masz tu moje notatki na egzamin”, „Nie przejmuj się tym zadaniem”. Może nawet był zbyt miły... Ale był gościem, który dawał z siebie wszystko, gdy najbardziej go potrzebowałeś. Zapraszał cię do siebie na wakacje...

– Zorganizował pogrzeb mojej siostry – mruczy Neil.

– Pożyczył mi tysiąc dolarów na naprawę samochodu – dodaje Miggy.

– Żaden z nas niczego nie podejrzewał – mówi Scott.

– Nie rozumiem – rzuca Martin, ale posępny ton jego głosu świadczy, że to nieprawda.

– Nie powinniśmy byli otwierać tej butelki whiskey – mruczy niewyraźnie Scott.

– Tim powinien był trzymać gębę na kłódkę! – stwierdza ze złością Miggy. – Mówię serio. Po dziesięciu latach chce nagle w magiczny sposób się oczyścić? Okazać skruchę z powodu młodzieńczych wybryków? Pójść do ołtarza z czystym sumieniem? Czy choć przez sekundę pomyślał o Joshu? Jak zareaguje, gdy się dowie, że najlepszy przyjaciel pieprzył jego siostrę, ta zaszła z nim w ciążę, a on się do tego nie przyznał? To jasne, że Josh się wściekł.

– Tim przeproszał każdego z was za swoje dawne przewinienia – mówię powoli. – O większości z nich zresztą wiedzieliście. Aż przyszła kolej na Josha. Który nie miał pojęcia, co łączyło Tima z jego siostrą. Co Josh zrobił?

– Co zrobił? – pyta z niedowierzaniem Miguel. – A jak myślisz? Próbował zabić Tima gołymi rękami.

Rozdział 22

- **JOSH RZUCIŁ SIĘ** na Tima – kontynuuje Miggy. – Powalił go na ziemię i zaczął tłuc. Musieliśmy we trzech ich rozdzielać, choć nie bardzo trzymaliśmy się na nogach.

- Tacy byliśmy zalani – jęczy Neil.

- Tim był zaskoczony – rzuca Scott. – Spodziewał się, że Josh będzie zły, ale nie, że aż tak. Myślał, że to już dawne dzieje.

- Josh znów go uderzył – mówi Miggy.

- I wtedy zrobiło się paskudnie – wtrąca Neil.

- Dopiero wtedy? – Nie ukrywam zdumienia.

Martin wydaje jęk rozpacz.

- Nagle przelała się czara goryczy – kwituje Scott. – Święty Timothy. Zawsze brał wszystko, czego tylko zapragnął, a my mu wybaczyliśmy. Mógł odebrać ci pracę albo dziewczynę, na której zależało jego najlepszemu przyjacielowi. A potem tylko się uśmiechał i wzruszał ramionami, jakby nic się nie stało.

- Wszyscy zaczęliśmy w końcu wrzeszczeć. Nie pamiętam nawet... – Miggy chwyta się za głowę, jakby wspomnienie tamtych chwil nadal sprawiało mu ból. – Josh powiedział, że ma dość. Że ich przyjaźń się skończyła.

- Ja mogłem powiedzieć coś podobnego. – Scott patrzy w ziemię.

- Krótko mówiąc, rozstaliśmy się – mówi Miggy.

- Pokłóciliście się z moim synem? – Martin jest nadal całkowicie oszołomiony. – Nie chcieliście już być jego drużbami?

- Byliśmy pijani. Zalani w pestkę – przypomina Neil.

- I co się stało potem? – odzywa się po raz pierwszy Nemeth.

- Tim chwycił plecak. I pobiegł do lasu.

– W którym kierunku? – Nemeth wpatruje się w Scotta.

– Tam, skąd przyszliśmy. Nie myśleliśmy o tym. Po prostu... nie myśleliśmy.

– Poszliśmy spać – dodaje Miggy. – Wiedzieliśmy, że jesteśmy pijani i głupi. Więc wpełziliśmy do namiotów.

– Wszyscy oprócz Josha – przerywa mu Scott. – On nadal siedział przy ognisku.

– Zgadza się – potwierdza Neil. – Co do reszty... było mniej więcej tak, jak potem mówiliśmy. Usłyszeliśmy straszny hałas.

– To było jakieś zwierzę. – Miggy'ego przechodzi dreszcz.

– I Scott zniknął.

– Nadal nie wiem, co się ze mną działo – zaznacza Scott. – Chyba lunatykowałem.

– Rano Scotta nadal nie było, a Tim nie wrócił do obozu – mówi Miggy.

– Nie wiedzieliśmy, co robić. W końcu Neil, Josh i ja chwyciliśmy plecaki i ruszyliśmy w kierunku cywilizacji. Spodziewaliśmy się, że znajdziemy Tima śpiącego gdzieś po drodze albo spotkamy go w mieście. Ale gdy dotarliśmy na parking, jego quad tam stał. Zaczęliśmy się bać. To wyglądało naprawdę źle.

– Kto wpadł na pomysł, żeby powiedzieć, że Tim wyruszył po pomoc dla Scotta? – pytam.

Wszyscy trzej wymieniają spojrzenia.

– Jakos tak samo wyszło – odpowiada wymijająco Miggy.

Przewracam oczami, widząc, jak chronią się wzajemnie do samego końca.

– To wymyślił Josh, prawda? Nie chciał, żeby wiedziano, że znokautował przyjaciela i ten później zaginął. Martwiliście się bardziej o Tima niż o Scotta. Czy dlatego, że go pobiliście?

– Josh nie przyłożył mu wcale tak mocno – odpowiada Miguel. – Ale... byliśmy po prostu przerażeni. Tim opuścił obóz i był Bóg wie gdzie. Scott zniknął mniej więcej w tym samym czasie, gdy usłyszeliśmy te potworne zwierzęce odgłosy. Potrzebowaliśmy pomocy. I myśleliśmy... myśleliśmy,

że jeśli przyznamy się, co zrobiliśmy, ludzie będą mniej chętni, żeby rozpocząć poszukiwania.

– My zawsze przystępujemy do akcji. – Nemeth patrzy na nich, marszcząc brwi. – Nawet gdy osobami zaginionymi są idioci, staramy się ich odnaleźć.

Martin podchodzi bliżej do ogniska i wpatruje się intensywnie w trzech młodych mężczyzn.

– Skłamaliście, że to był wesoły wieczór.

Jak na komendę kiwają głowami.

– I dlaczego Tim opuścił obóz.

Powtarzają ten gest.

– Ale poszedł w kierunku głównego szlaku. Tego jesteście pewni?

Chwila wahania. W końcu Miggy to potwierdza.

– Miał założoną czołową latarkę? Kurtkę, plecak ze sprzętem?

– Tak, proszę pana – mówi Miggy.

Martin przenosi wzrok na Scotta.

– Naprawdę chodziłeś we śnie? I niczego nie pamiętasz?

– Naprawdę. Bardzo bym chciał coś sobie przypomnieć. Nie ma pan pojęcia...

– Zamknij się. – Martin podnosi rękę. – Rozumiecie, jak wasze kłamstwa zniweczyły od początku akcję poszukiwawczą? Sądziłyśmy, że szukamy w pełni poczytalnego i doświadczonego w górskich wyprawach mężczyzny, a nie błędzącego w ciemnościach pijanego, rannego chłopaka. W akcji ratunkowej liczy się każda minuta, a wy zmarnowaliście kilka lat.

Neil, Scott i Miggy nie odzywają się ani słowem.

– Wiedziałeś? – pytam Martina.

– O czym?

– Co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy?

– Nie, do cholery! Gdybym wiedział, wziąłbym to pod uwagę, planując własną akcję poszukiwawczą. I może odniósłbym sukces. – Znów patrzy wilkiem na niedoszłych drużbów syna.

Słuszna uwaga. Nie wyobrażam sobie, by Martin sabotował swoje ekspedycje, żeby tuszować ich kłamstwa.

– Komu powiedzieliście? – zwracam się do całej trójki. Bo przecież ktoś musi wiedzieć. Stąd rozdarte worki z żywnością i rozbita głowa Neila. Nie wspominając o wrażeniu, że ktoś nas obserwuje. Że nie jesteśmy tu sami.

Scott podnosi w końcu rękę.

– Powiedziałem wszystko Latishy. Zanim się pobraliśmy. Czuję, że powinienem.

– A więc jesteś lepszym mężem niż przyjacielem – stwierdza z goryczą Martin.

Scott odwzajemnia jego spojrzenie.

– Nie byłem aż tak złym przyjacielem. Nigdy nie miałem do Tima pretensji o Latishę. I jestem pewien, że kiedy byśmy wytrzeźwieli, pogodzilibyśmy się z nim. Może z wyjątkiem Josha, ale... – Scott kręci głową. – Ale pozostali z nas... Nie tylko Tim potrafił być dupkiem, nie mówiąc już o tym, że większość z tego, co mu teraz zarzucamy, zrobił, gdy byliśmy młodzi i głupi. Dorósł od tamtego czasu. Chciałem wierzyć, że wszyscy dorośliśmy.

Tyle że Tim nie wrócił z gór, a oni nie powiedzieli prawdy i teraz, pięć lat później, żyli z poczuciem winy.

– Jak Latisha przyjęła tę wiadomość? – pytam Scotta, bardzo ciekawa tej kobiety, która oczarowała trzech przyjaciół.

– Zrozumiała. Wybaczyła. Niektórzy to potrafią. – Mierzy wzrokiem Martina.

– Wy dwaj powiedzieliście komuś? – Patrzą na Miggy'ego i Neila. Obaj kręcą głowami. Pozostaje więc pytanie: – A Josh?

– Nie wiem – odpowiada Miggy. – Od tamtej pory chodzi własnymi drogami.

I najwyraźniej dużo pije. Co warto wziąć pod uwagę. Pijacy są gadatliwi.

– To niczego nie zmienia – mówi Martin. – Tak czy inaczej, Tim zaginął w tych górach. A tym razem po raz pierwszy odnaleźliśmy ślady jego

wędrówki. – Patrzy na Lucianę. – Nemeth mówi, że pies złapał trop w pobliżu jaskini.

– Daisy coś wywęszyła, ale nie potrafię powiedzieć co, bo nie mogliśmy pójść za tym tropem.

– A zatem jutro – rzuca Martin zdecydowanym tonem – wrócimy do tej skalnej ściany. I damy sobie dużo czasu na poszukiwania.

– Daisy i ja opuszczamy rano obóz. – Ton głosu Luciany jest równie stanowczy. – Nie tak to miało wyglądać. Muszę dbać przede wszystkim o bezpieczeństwo moje i psa.

– Zaraz, chwileczkę...

Luciana nie pozwala Martinowi skończyć.

– On potrzebuje pomocy lekarza. – Wskazuje na Neila, po czym zwraca się do Nemetha: – Kiedy zejdem na dół, zawiadomię szeryfa. W tym kanionie jest wiele miejsc, gdzie może wylądować śmigłowiec. Mogą go stąd ewakuować.

Nemeth kiwa głową.

Martin jest wzburzony.

– Zaczekaj. Nie musimy podejmować teraz żadnych decyzji. To był długi dzień. Wszystkim nam przyda się odpoczynek.

– Idziesz z nią? – pyta mnie Nemeth.

– Nie.

– Nikt nie powinien chodzić po górach sam, zwłaszcza na takim odludziu. – Zwraca się do Boba: – A ty?

– Zostaję. – Przenosi spojrzenie na Martina, jakby chciał to potwierdzić.

Jaki jest między nimi układ? Pewnie chodzi o te cholerne pięć tysięcy dolarów darowizny dla Stowarzyszenia Poszukiwaczy Wielkich Stóp.

– Zostaniemy z Neilem – odzywają się Miggy i Scott, choć nikt ich nie pyta. – Nauczyliśmy się już, że nikogo się nie zostawia. Nie popełnimy znów tego błędu.

Nemeth kiwa głową, zaciskając usta i najwyraźniej nadal rozważając opcje. Rozumiem, że chce, by ktoś poszedł z Lucianą. Mam nawet pewien

pomysł. Ale domyślam się, że Nemeth jest typem faceta, który lubi samodzielnie znajdować rozwiązania.

– Prześpijmy się z tym – oznajmia w końcu. Wstaje i przeciąga się. – Wy dwaj czuwajcie przy nim na zmianę. Budźcie go co godzinę.

Miggy i Scott kiwają głowami.

– I miejcie oczy szeroko otwarte – dodaję. – Zwracajcie uwagę, czy nie porusza się w lesie, czy nie dochodzą jakieś dziwne odgłosy. Bo coś się tutaj dzieje.

Wszyscy patrzą na Nemetha, a ten powoli, lecz zdecydowanie kiwa głową.

– Nie znam tych lasów – przyznaje.

Luciana podnosi się z ziemi. Daisy wydaje się zadowolona, że ruszają się z miejsca.

Podążam za nimi do namiotów.

– Zjrę do ciebie rano – mówi Luciana. – Na wypadek gdybyś zmieniła zdanie.

– Kiedy może przylecieć śmigłowiec? – pytam.

– Zważywszy na ukształtowanie terenu, potrzebuję dobrych ośmiu godzin, żeby zejść na dół. Potem Daisy i ja będziemy musiały złapać okazję do miasta i zawiadomić szeryfa. Zależnie od dostępności śmigłowca... – Kręci głową z namysłem. – Domyślam się, że przyleci najwcześniej jutro wieczorem, a najpóźniej pojutrze rano.

– Czyli za jakieś dwadzieścia cztery godziny. – Chciałabym wierzyć, że zdołam przeżyć wszystko, co zdarzy się w tym czasie. – Śpij dobrze.

– Wzajemnie.

Obie wiemy jednak, że tak nie będzie.

GDY W KOŃCU ZAPADAM w sen, osacza mnie pajęczyna dawnych lęków i nowych niepokojów. Przedzieram się przez sterty kości, próbując się spomiędzy nich wydostać, gdy ręce szkieletów chwytają mnie za nogi.

Słyszę radosny szept kości. Należę do nich. To mój dom. Nagle widzę nową uśmiechniętą czaszkę i bierze mnie w objęcia kościotrup

Timothy'ego O'Daya.

BUDZĘ SIĘ RAPTOWNIE, DYSZĄC ciężko. Sprawdzam odruchowo, czy nadal mam pod śpiworem nóż. Potem pociągam długi łyk wody. W końcu uświadamiam sobie, że przez ściany namiotu przenika już światło dnia. Nigdy nie wstawałam tak chętnie.

Rozpinam zamek i wychodząc na zewnątrz, zauważam od razu trzy rzeczy:

Neil wciąż żyje.

Luciana pakuje plecak.

Zniknęła reszta zapasów żywności.

Rozdział 23

– **NICZEGO NIE SŁYSZELIŚCIE?** Niczego nie widzieliście? Czy na pewno choć jeden z was czuwał przez całą noc? – Martin niemal toczy pianę z ust, besztając Scotta i Miggy’ego. – Nie drzemaliście, nie zaniedbaliście swoich obowiązków?

Obaj mężczyźni kładą uszy po sobie. Jest już jasne, że cokolwiek powiedzą, Martin im nie uwierzy. Odwraca się, paradując z wściekłością przed ogniskiem.

– Cholera! – wybucha w końcu.

– Musimy wracać – oznajmia rozsądnie Nemeth. – Pamiętajcie, że większość kontuzji zdarza się przy schodzeniu w dół. Biorąc pod uwagę, jaki czeka nas marsz, nie możemy sobie pozwolić na to, żebyśmy byli osłabieni albo głodni.

Scott i Miggy wymieniają spojrzenia.

Miggy krzywi się, po czym podnosi nieśmiało rękę.

– Nie sądzę, żeby Neil dał radę. Spójrzcie na niego.

Wszyscy skupiamy uwagę na Neilu. Jest przytomny. Ma napiętą, bladą twarz i mruży oczy, bo razi go słońce. Gdybym miała zgadywać, jego ból głowy, mierzony w skali od jednego do dziesięciu, jest teraz na poziomie jedenastu punktów. Miggy ma rację. Neil w żaden sposób nie wytrzyma wyczerpującej całodziennej wędrówki po wyboistym terenie i zdradliwych zboczach.

– Zaczekamy razem z nim – odzywa się Scott, który nadal rozpaczliwie pragnie naprawić błędy z przeszłości. – Wy możecie iść. Mam jeszcze w plecaku kilka batonów i trochę musli. Dla nas trzech wystarczy.

– Ja też mam trochę zapasów – oznajmia Miggy.

Nemeth nie jest zadowolony. Tyle dał jego wykład na temat podstawowych zasad, jak unikać zagrożenia ze strony niedźwiedzi. Dzięki

Bogu jesteśmy kiepskimi słuchaczami, bo inaczej bylibyśmy teraz w czarnej dupie.

– Poradzimy sobie do czasu, aż dotrzecie do miasta i sprowadzicie śmigłowiec – mówi Scott.

Martin kręci głową.

– Nigdzie nie idę.

– Zamierzasz zostać z Neilem... – zaczyna Nemeth.

– Nie będę go niańczył. Nie obchodzi mnie, co zrobicie. Ale ja wracam do tej skalnej ściany. Wiem, że Tim tam był. Nie poddam się teraz, do cholery.

– Chcesz narażać życie swoje i innych dla kogoś, kto już nie żyje? – próbuje protestować Nemeth.

– To mój syn!

– A co z twoją żoną? Ona też cię potrzebuje.

Martin zaciska usta. Po raz pierwszy z jego twarzy ustępuje gniew. Ale dostrzegam w niej coś o wiele straszniejszego.

– Nie mogę jej już pomóc – szepcze.

Nemeth unosi brwi.

– Ona umiera. Oboje to wiemy. To tylko kwestia czasu.

Nikt z nas nie wie, co powiedzieć. Nawet Nemeth jest wyraźnie zaszokowany. Pierwszy dochodzi do siebie.

– Patrice umiera, a ty jesteś w górach, półtora tysiąca kilometrów od niej?

– Tak! Bo ona chce, żebym właśnie tutaj był i spełnił jej ostatnie życzenie przed śmiercią. Myślicie, że nie chciałbym, żeby było inaczej? Że nie błagałem Boga, żeby zabrał mnie zamiast niej? Ale jeśli tego nie zauważyliście, Bóg ostatnio mnie nie słucha. A może słuchał zbyt dokładnie za pierwszym razem, gdy obiecywałem dać mu wszystko, byle tylko pozwolił mojej żonie przeżyć. Nigdy jednak nie miałem na myśli mojego syna... naszego syna. – Załamuje mu się głos. Odwraca się od nas ze złością i cofa się kilka kroków.

Wszystko nabiera teraz dla mnie większego sensu, nieustępliwość Martina w ciągu tych ostatnich paru dni. Obsesje biorą się z bólu, ale źródłem udręki Martina nie jest trwająca od pięciu lat rozpacz z powodu straty syna, lecz aktualne cierpienie, wynikające z agonii żony. Wkrótce z trzyosobowej rodziny zostanie tylko on.

– Ja zostaję – powtarza, odwrócony do nas plecami.

– My musimy zająć się Neilem – oświadcza Scott.

Nemeth zwraca się do Boba:

– Więc ty pójdziesz z Lucianą i Frankie. Wróćcie do miasta i skontaktujcie się z szeryfem Jimem Kelleyem. On będzie wiedział, co robić.

Bob wzdycha ciężko.

– Nie mogę – rzuca.

– Co, do cholery...?

– Słucham tylko poleceń szefa. Czyli jego. – Bob wskazuje na Martina.

A ja w końcu wszystko pojmuję. To, czego nie dostrzegałam przez cały czas.

– Nie jesteś żadnym nauczycielem biologii! – wyrzucam z siebie. – Jesteś prywatnym detektywem, prawda? Zaraz... Kto sprowadza prywatnego detektywa na takie odludzie? Chyba że... O cholera! Mówcie prawdę! Natychmiast!

MARTIN WCIAŻ MILCZY, ALE skinieniem głowy daje znak Bobowi, by mówił. Ten ujawnia, że Martin wynajął go przed kilkoma miesiącami, po serii niepokojących wydarzeń.

– Najpierw ktoś włamał się do jego domu. Takie rzeczy się zdarzają. – Bob wzrusza ramionami. – Ale złodzieje nie koncentrują się raczej na sprzęcie sportowym, w tym kempingowym.

Plecak Martina jest w doskonałym stanie. Zważywszy na jego pasję, domyślałam się, że będzie miał sprzęt najwyższej klasy. Ale nie zdawałam sobie sprawy, że jest zupełnie nowy.

- Potem dostał kilka anonimowych maili, w których radzono mu trzymać się z dala od Ramsey. Miejscowi nie chcieli go już tam widzieć: szkodził ich interesom. Martin wynajął mnie, żebym wysledził nadawców tych maili. Nie byłem w stanie, bo wysyłano je z serwerów na całym świecie. Widywałem działania rosyjskich hakerów, które były mniej wyrafinowane. Nie pasowało to do małomiasteczkowych sklepikarzy.

Nemeth przyznaje mu rację skinieniem głowy.

- Potem, kilka tygodni temu, zepsuł się samochód Martina. Okazało się, że ktoś wlał wybielacz do baku, powodując korozję silnika. Samochód można naprawić, ale wymaga to czasu i pieniędzy. A kiedy jest się facetem, którego żona umiera, próbującym zorganizować ostatnią akcję poszukiwawczą, by odnaleźć szczątki syna...

- Ktoś chciał, by Martinowi trudno było tu dotrzeć - wtrącam. - Żeby zrezygnował z wyprawy.

Bob kiwa głową.

- Tak sądzimy. Jestem WSBobem z forów internetowych - mówię przeproszającym tonem. - Naprawdę fascynuje mnie Wielka Stopa i pasjonuję się nierozwikłanymi przypadkami zaginięć. Nie chcę, żebyś myślała, że to wszystko kłamstwo.

Piorunuję go wzrokiem. Szkoda, że mówi to tak późno.

Przyznaje mi rację wzruszeniem ramion.

- W każdym razie - kontynuuje - od kilku miesięcy było jasne, że ktoś chce udaremnić tę ekspedycję. Nie zdołałem jednak ustalić kto. Szczerze mówiąc, podejrzewałem Josha, bo zawsze najbardziej niechętnie uczestniczył w tych wyprawach. Teraz, gdy wy trzej opowiedzieliście wczoraj swoją historię...

- Jak bardzo Josh był chory? - pytam nagle, przenosząc wzrok z Martina na trzech kolegów. - Kiedy zabraliście go do szpitala, wydawało się, że miał delirium tremens. Mógł udawać?

Nikt nie potrafił mi udzielić odpowiedzi.

- Czy trząsał się, pocił i drżał? - odzywa się w końcu Miggy. - Jasne. Wszyscy to widzieliście. Ale czy mógł udawać albo czy coś wziął... - Patrzy

na Scotta i Neila, szukając u nich odpowiedzi. – Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.

Scott kręci głową, wyraźnie zaskoczony.

Miggy patrzy na mnie.

– Ale jeśli Josh udawał, to myślisz, że poszedł za nami w góry? Jak by to zrobił? Widziałas, jak wygląda to podejście. To nie jest skakanie po kamkach. Poza tym... po co miałyby nas atakować? Wiemy już, co zdarzyło się tamtej nocy... i nikomu o tym nie powiedzieliśmy.

– Słuszna uwaga – przyznaję.

– Zresztą nie jest zbrodnią uderzyć przyjaciela za to, że zrobił dziecko twojej siostrze i zmusił ją do aborcji. Tim opuścił obóz dobrowolnie. To, co stało się potem, było wypadkiem.

Martin prycha pogardliwie.

Ignoruję go.

– Kolejna słuszna uwaga – mówię. – Tyle że... – Przyglądam się uważnie trzem kolegom. – Czy nie mówiliście, że położyliście się wszyscy spać po odejściu Tima? Z wyjątkiem Josha. Gdy widzieliście go po raz ostatni, siedział przy ognisku.

Kolejno kiwają głowami.

– A to znaczy, że nie wiecie, jak to się skończyło. Może Tim wrócił. Albo Josh poszedł za nim.

Najwyraźniej nie podoba im się ta sugestia.

– I co zrobił? – odzywa się Miggy. – Dopadł Tima, zabił go gołymi rękami, a potem wrócił do obozu i poszedł spać? Czy nie znaleźlibyśmy już do tej pory zwłok? W tym konkretnym rejonie. – Patrzy na Nemetha, oczekując, że ten go poprze. – Ten las przeczesywano dziesiątki razy.

Nemeth potwierdza jego słowa skinieniem głowy.

– Tylko że szukaliśmy zaginionego wędrowca – zaznacza. – A nie na przykład płytkiego grobu.

– Psy by go znalazły – wtrąca Luciana. – Każdy pies poszukiwawczy, nawet nieprzeszkolony do szukania zwłok, zareaguje na martwe ciało. Musieliście używać psich zespołów?

– Kilku różnych.

– Więc cokolwiek się stało, nie zdarzyło się w tym rejonie albo... Sama nie wiem. Może Josh wymyślił jakiś szczególnie sprytny sposób pozbycia się ciała, na który, miejmy nadzieję, nikt więcej nie wpadnie.

– Josh jest bystry. Najbystrzejszy z nas wszystkich – komentuje Miggy.

– Jest inteligentny – przyznaje zmęczonym głosem Neil. – Ale nie podstępny. Nigdy taki nie był.

Nikt nie znajduje na to odpowiedzi.

– Opuszczam obóz – oznajmia beznamiętnie Luciana. – Zabieram Daisy i każdego, kto chce ze mną iść. Kiedy dotrę do miasta, powiadomię szeryfa o sytuacji. Jestem pewna, że nie tylko zorganizuje ratowniczy śmigłowiec, ale też przeświecili Josha.

Nemeth kiwa głową i kieruje na mnie wzrok.

– A więc zostajesz – mówi. – Radzę ci iść z Lucianą.

– Jest inne rozwiązanie – rzucam.

– Chcesz tu zostać, nie mając jedzenia i żadnego doświadczenia, jak przeżyć w górach?

– Mam czekoladki z masłem orzechowym.

Patrzy na mnie z pogardą, jakby to, co powiedziałam, świadczyło dostatecznie o moich umiejętnościach.

– Ty powinienesz z nią iść – sugeruję.

– Jestem przywódcą grupy...

– Tak, a to oznacza, że odpowiadasz za wezwanie dla nas pomocy. Neil nie zdoła zejść na dół o własnych siłach. Zważywszy na to, Miggy i Scott powinni z nim zostać, bo i tak nie są wytrawnymi wspinaczami. Pozostaje więc Martin, który najwyraźniej się zbuntował. Nie powinienesz w żadnym wypadku dbać bardziej o jego bezpieczeństwo niż reszty ekipy. Bob byłby dla Luciany odpowiednim towarzyszem, ale okazuje się, że pracuje dla Martina. Dajmy mu więc zarobić na utrzymanie. Może tu głodować razem z nami, podczas gdy ty i Luciana zejdziecie na dół. Wy dwoje powinniście być w stanie dotrzeć do cywilizacji i wezwać kawalerię w rekordowym czasie. – Wzruszam ramionami, po czym podsumowuję bez ogródek: –

Nie oszukujmy się, na tym etapie potrzebujemy bardziej śmigłowca ratowniczego niż ciebie.

Nemeth zachowuje kamienną twarz. Cenię go za to. Mam do czynienia z tyloma ludźmi, którzy kłamią, że zawsze miło jest spotkać kogoś, kto potrafi znieść prawdę.

– Dlaczego to robisz? – pyta mnie cicho.

Odpłacam się szczerością za szczerość:

– Bo nie znam innego sposobu na życie.

Kiwa głową z namysłem. Widzi mnie, a ja widzę jego. Ale mam przed oczami pewnego detektywa z Bostonu.

Nemeth nie mówi, że się ze mną zgadza. Po prostu się odwraca i wręcza karabin Bobowi. Potem patrzy na drżącą Daisy i jej opiekunkę.

– Kiedy będziesz gotowa?

– Za dwadzieścia minut – odpowiada Luciana.

Patrzy na wszystkich, którzy zostają.

– Miejcie nadzieję, że będzie jak najlepiej, ale przygotujcie się na najgorsze – radzi. – A to oznacza, że musicie zacząć od zaraz racjonować ocalałą żywność. A o zmierzchu wypatrujcie śmigłowca.

Kiwamy głowami. Czuję się roztrzęsiona, podenerwowana i o wiele mniej odważna, niżbym chciała. Znam się na sekretach i kłamstwach. Ale teraz jestem sama na tym odludziu, poza cywilizacją, bez kontaktu z kimkolwiek. Brakuje nam jedzenia, mamy rannego towarzysza, całe ekipie grozi atak ze strony nieznanego sprawcy lub sprawców.

Przywykłam do bycia myśliwym.

Nigdy dotąd nie byłam zdobywcą.

Rozdział 24

GDY NEMETH, LUCIANA I Daisy wyruszają w drogę, obóz zaczyna wyglądać inaczej. Po zniknięciu ich namiotów zostają tylko dwa, które zajmują przywódcy grupy, jeden kolegów Tima i mój niebieski, stojący samotnie i smętny. Myślę, że powinnam przesunąć go bliżej do pozostałych, ale nie mam pojęcia, jak to zrobić. I nie jestem jeszcze pewna, czy to dobry pomysł. Jak dotąd przyłapałam całą piątkę moich obecnych towarzyszy na co najmniej jednym kłamstwie. To raczej nie wzbudza zaufania.

Wracam do przygaśniętego ogniska, gdy wschód słońca rozgrzewa już powietrze wokół nas. Neil jest wyczerpany i szary na twarzy. Miggy wycieńczony. Scott przygnębiony. Ciągle rozciera pierś i krzywi się za każdym razem, gdy to robi.

Bob i Martin stoją przed swoimi namiotami i rozmawiają cicho. Bez wątpienia planują nową strategię poszukiwań na ten dzień. Ścisłej mówiąc, Martin dyktuje, jakie przedsięwziąć kroki, a Bob, któremu płaci, tylko przytakuje.

Zadaję sobie pytanie: co ja mam zrobić? Pozostać w obozie z chłopakami czy wrócić do skalnej ściany z Martinem i Bobem?

Biorę składane pojemniki i napelniam je wodą z jeziora, tocząc wewnętrzną walkę z moimi demonami. Gdy wracam, Bob i Martin zapinają plecaki.

Rzucają mi pytające spojrzenia. Wzdycham ciężko. Luciana zostawiła niewielką stertę chemicznych kompresów chłodzących, które wyciągnęła ze wspólnych zapasów. Sięgam po ten, który leży na samej górze, aktywuję go, rozrywam torebkę i daję Neilowi, by przyłożył go sobie do głowy. Potem zwracam się do Scotta:

– Zdejmij koszulkę.

Wszyscy przyglądają mi się zaskoczeni. Scott waha się przez chwilę, po czym unosi ostrożnie ręce i ściąga spłowiałą bawełnianą podkoszulkę. Tak jak podejrzewałam, sklejone krawędzie ran na jego piersi przybrały purpurową barwę.

– Cholera! – mruczy Miggy.

Scott dotyka opuchniętych ran i krzywi się.

– Tego się spodziewałem. I tak jestem w lepszym stanie niż on. – Wskazuje na Neila, a ten uśmiecha się.

– Zimne okłady dla ciebie – mówię do Neila, po czym zwracam się do Scotta: – A dla ciebie ibuprofen. – Na koniec informuję Miggy’ego: – A ty zostajesz naczelnym lekarzem.

– Idziesz z nimi? – pyta.

– Niestety, tak. Potrzebujecie jeszcze czegoś?

Spoglądają na siebie, a potem kręcą głowami.

– Mam batony musli – oznajmia Scott. – Na trochę nam wystarczą.

Biorąc pod uwagę odległość do ściany kanionu, Martin, Bob i ja nie wrócimy wcześniej niż za dziesięć, dwanaście godzin. To więcej niż „trochę”, ale nikt Scotta nie poprawia. Poza tym rozdzielimy się, nie mając żadnych środków łączności. To kolejne niezbyt rozsądne posunięcie, którego nikt nie komentuje.

Bob wychodzi naprzód i wręcza Miggy’emu czerwony pojemnik z aerozolem. Środek przeciw niedźwiedzim.

– Na wszelki wypadek – mówi i wszyscy wiemy, że wcale nie ma na myśli niedźwiedzi.

Ostatnie pełne napięcia chwile. Idący na śmierć pozdrawiają cię, Cezarze.

Mam w pamięci zbyt wiele wspomnień. Jak zwykle najwięcej z nich dotyczy Paula. Człowieka, który dziesięć lat temu wyciągnął mnie z rynsztoka i próbował ofiarować mi świat. Człowieka, którego musiałam opuścić, bo nawet miłość jest dla mnie więzieniem.

Tyle że nie potrafiłam go zapomnieć. Gdy jesteśmy w sklepie z alkoholem, po moim kolejnym telefonie do niego, i Paul próbuje

odwieść mnie od popełnienia błędu, wchodzi chłopak, wyciąga broń i wszystko naraz się wali.

Paul stara się mnie ocalić.

Ściska kurczowo zakrwawiony brzuch i umierając, szepcze imię żony.

Wiem zbyt wiele o duchach. O błędach z przeszłości i dobrych intencjach. O pragnieniu, by następnym razem nie zawieść, za wszelką cenę. I o tym, jak z powodu takiej obsesji każda kolejna decyzja, którą podejmiemy, będzie o wiele gorsza.

Jesteśmy tu wszyscy przekłęci. Oby niebiosa miały nas w opiece.

Martin zakłada plecak i patrzy wymownie na mnie i Boba. Posyłam trzem chłopakom ostatni pokrzepiający uśmiech.

Idący na śmierć... idący na śmierć... idący na śmierć...

Miggy unosi kciuk. Jest w tym geście coś takiego, że przechodzi mnie dreszcz.

Odwracam się i opuszczam obóz z Martinem i Bobem.

W CIĄGU DWÓCH DNI forsownej wędrówki nie stałam się w magiczny sposób szybsza czy silniejsza. Ale adrenalina płynąca w moich żyłach falami przerażenia i niepokoju powoduje, że w nogach pulsuje krew, a mięśnie płoną żywym ogniem. Wszystko nadal mnie boli, jestem jednak zbyt nakręcona, by się tym przejmować.

Myślę już o tym, co czeka nas w kanionie. Wspinaczka po skalnej ścianie, żeby odzyskać fragment zielonej tkaniny? Penetrowanie tajemniczej jaskini, w której Daisy wytropiła jakiś zapach? Zostało tak mało czasu. Jak najlepiej go spożytkować?

Martin milczy, lecz nie zwracam już na niego uwagi. Za tą całą sprawą kryje się coś więcej niż poszukiwanie szczątków Tima. Coś o wiele bardziej złowrogiego.

Neil powiedział, że chodzi o porachunki. Ale czyje? Z jakiego powodu? I jakie? Szczera spowiedź chłopaków była interesująca, ale z punktu widzenia Martina nie wniosła zbyt wiele nowego. Koniec opowieści pozostaje ten sam: Tim chwyta plecak i wraca na szlak w środku nocy. Nie

jest trzeźwy, co zapewne uzasadnia, dlaczego się zgubił, ale zgubił się tak czy inaczej. Takie samo zakończenie, może tylko z lepszym wyjaśnieniem przyczyny tego, co się stało.

Chyba że Josh naprawdę coś zrobił, gdy pozostali wrócili do namiotów. Ale jak głęboko mógł zapuścić się w las w tym krótkim czasie, zanim dzikie hałasy postawiły na nogi jego kolegów? I jeśli Josh coś zrobił Timowi, to dlaczego od razu nie znaleziono ciała?

Gonitwa myśli. Tryby w mojej głowie obracają się bez przerwy, podczas gdy poruszam mechanicznie nogami. W górę, w dół. W górę, w dół.

Nagle widzę, że wychodzimy spomiędzy cherlawych sosen i oto mamy przed sobą potężną szarobrazową skalną ścianę. Złowrogie sterty głazów. I być może odpowiedź na wszystkie pytania.

- **IDZIEMY DO JASKINI**, którą wczoraj odkryłem – informuje mnie Martin, zmierzając w kierunku północnego końca skalnej ściany.

- Nie będziemy już próbowali się wspiąć?

- Za duże ryzyko, zważywszy na ewentualne korzyści. Daisy wywęszyła coś w pobliżu jaskini, więc to pewniejsze miejsce.

Kiwam głową, podążając za nim. Idąc między kamieniami, muszę patrzeć pod nogi, bo po jednych można skakać, a inne trzeba obchodzić.

- Dlaczego zostałeś? – pyta nagle Martin.

- A ty?

Marszczy czoło.

- Tim był moim synem.

Wzruszam ramionami.

- Wielu rodziców traci dzieci. Ale nie poświęcają pięciu lat na przeczesywanie gór, narażając na niebezpieczeństwo siebie i innych. Nie mówiąc już o tym...

- ...że nie opuszczają umierających żon?

- Ty to powiedziałeś, nie ja.

Martin nie odpowiada od razu. Ze zdenerwowania zaczyna iść szybciej. Nie mogę za nim nadążyć i nawet nie próbuję. Domyślam się, że chce się wysforować, by jak najszybciej dotrzeć do celu, podczas gdy Bob nie może się zdecydować, czy powinien ruszyć za zleceniodawcą, czy zostać ze mną. Jestem więc zaskoczona, gdy Martin nagle staje, odwraca się do mnie ogorzałą twarzą i patrzy wilkiem.

– Boisz się? – pyta.

– Jestem przerażona.

– W górach zdarzają się wypadki. To oczywiste.

– A co z włamaniem do twojego domu, uszkodzeniem samochodu? – nie daję za wygraną.

– To dziecinne wybryki.

– A te pogroźki w mailach rozsyłanych z różnych miejsc na świecie? Dziękuję, wolę normalniejsze życie.

– Potrafisz być prawdziwą suką – odcina się.

– A ty prawdziwym dupkiem!

– Cholera!

Przekleństwo Martina eksploduje w przestrzeni, odbijając się echem od potężnej skalnej ściany. Bob i ja stajemy w miejscu. Bob zajmuje pozycję za moim lewym ramieniem. Chcę wierzyć, że to dowód solidarności, ale być może stara się po prostu uniemożliwić mi odwrót.

Martin ciężko dyszy, zaciskając dłonie w pięści przy bokach. Twarz wykrzywia mu grymas, który nie wyraża kipiącego gniewu, lecz coś gorszego. Ból człowieka, który wie, że się myli i źle postąpił. Cierpienie kogoś, kto nadal nie potrafi postępować inaczej.

Rozpoznaję tę udrękę. Mnie także pozbawia oddechu. Poczucie porażki, z całym jej okrucieństwem. Dobrze je znam. I podobnie jak Martin, nie potrafię się powstrzymać od popełniania wciąż tych samych błędów.

– Wiem – odzywa się drżącym szorstkim głosem – że jestem paranoikiem i arogantem, który chce mieć wszystko pod kontrolą. Mówię, kiedy powinienem słuchać. Działam, kiedy powinienem sobie odpuścić.

Jestem surowy dla tych, których kocham. Cholera, naprawdę trudno mnie kochać. Wiem to wszystko. Wiem też, że byłem taki sam, zanim syn zniknął.

Kiwam powoli głową. Bob kładzie mi uspokajająco dłoń na ramieniu.

– Nie potrafię patrzeć, jak moja żona umiera. Po prostu nie potrafię. Próbowałem. Nie jestem w stanie. Nie umiałbym spędzić ani jednej sekundy dłużej przy jej łóżku, trzymając rękę, która nie jest już jej ręką. Słuchając, jak próbuje coś powiedzieć nie swoim już głosem. Patrząc na ciało mojej Patrice, która... już nią nie jest. Kochałem ją, odkąd skończyłem osiemnaście lat. Nie wiem, jak mam teraz siedzieć obok niej i patrzeć, jak odchodzi.

Bob i ja milczymy.

– A więc wyjechałem. Powiedziałem jej, że przywiozę naszego syna. Obiecałem, że znów będziemy razem. Cała nasza rodzina. – Patrzy na mnie. – Ty tego nie rozumiesz... Kiedyś było nam tak dobrze. Tak bardzo się kochaliśmy. – Załamuje mu się głos. Nie może mówić dalej. Po jego pooranej zmarszczkami twarzy spływają łzy. Nie próbuje ich ocierać. – Patrice... jest miłością mojego życia – szepcze. – Jest tym, co we mnie najlepsze, moim właściwym wyborem, kimś, kto nadaje sens każdemu dniu. A Tim... Może nie był ideałem. Może skrzywdził przyjaciół i siostrę Josha. Ale kochał nas, a na przyjaciółach bardzo mu zależało. Kiedy poznał Latiszę, ustatkował się i zaręczył. Widziałem, że będzie dobrym mężem i ojcem... Tak bardzo chciałem zobaczyć go w tej roli. Nie mogłem się doczekać, by pokazać go światu.

Wzdycha ciężko i ociera twarz, przelękając ślinę, by odzyskać panowanie nad sobą.

– A więc tak. Jestem beznadziejny. Powinienem był postąpić tak, jak radziła mi Patrice: pozwolić przyjaciołom Tima powrócić do normalnego życia. Pobłogosławić małżeństwu Scotta i Latiszy. Ale nie zrobiłem tego. Ściągnąłem tutaj tych chłopców. Mimo ich niechęci. Mimo maili z pogroźkami i kradzieży sprzętu kempingowego. Oto, gdzie muszę być i co muszę robić. Oto kim jestem.

– A jeśli nie znajdziemy dzisiaj szczątków Tima? – pytam cicho.

– Jesteśmy blisko. Czuję to.

– Tak blisko, że ktoś stara się nas powstrzymać? – naciskam.

Martin wzrusza ramionami. Najwyraźniej nie przejmuje się zagrożeniem. Raczej znajduje w nim dobre strony.

– Wy dwoje uważajcie na siebie. Jeśli mnie się coś stanie, trudno. Pogodziłem się z losem. Nie musicie znosić na dół mojego ciała. Ten kanion to równie piękne miejsce jak każde inne, żeby spocząć w pokoju. Do diabła, może rodzice Patrice zgodzą się, żeby sprowadzić tu część jej prochów. Wtedy wszyscy troje będziemy razem, tak jak chciała. Myślę, że Timowi by się to spodobało. Już na zawsze pod otwartym niebem. Są gorsze miejsca, żeby umrzeć. I gorsze rodzaje śmierci. Spytaj Patrice.

Rzucam przez ramię nerwowe spojrzenie Bobowi. Wydaje się skonsternowany tym makabrycznym zwrotem w przebiegu rozmowy.

– Skupmy się na dotarciu do tej jaskini – odzywa się.

Martin wskazuje na karabin, który Bob ma przewieszony przez ramię.

– Miej go w pogotowiu.

Bob kiwa głową.

– Czujecie to? – pyta Martin.

Nie rozumiem, o czym mówi, ale już po chwili... Rzeczywiście coś czuję. Jakby mrowienie między łopatkami. Wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Że nie jestem sama.

Rozglądam się desperacko. Bob także. Widzę potężną skalną ścianę, rumowisko głazów, odległe zbocze. Nie dostrzegam żadnego śladu życia, nawet szybującego w górze ptaka. Nie mogę się jednak pozbyć tego dojmującego uczucia. Chcę obracać się wkoło i krzyczeć na całe gardło: „Pokaż się!”.

Ale nic się nie porusza. Nikt się nie pojawia.

– Chodźmy do jaskini – proponuje cicho Bob, wyraźnie zdenerwowanym głosem.

Martin podąża już na północ. A ja dostrzegam to, czego szukałam. Skały zaplamione krwią po wczorajszym wypadku.

Choć sprawia mi to ból, ruszam w ich kierunku. Bo rozumiem Martina o wiele lepiej, niż sądzi. Ja również muszę zrobić to, co do mnie należy, nawet kiedy wiem, że prowadzi to tylko do cierpienia.

– Spotkam się z wami tam – mówię, wskazując miejsce, do którego zmierzam. Unoszę czerwony gwizdek. – Będę w kontakcie. Jedno gwizdnięcie oznacza, że wszystko dobrze. Trzy, że coś się dzieje.

– Niedobrze jest się rozdzielać – zauważa Bob.

– Ale to konieczne. Usłyszałeś wczoraj gwizdek, prawda? – Spoglądam na Martina, a on kiwa głową. – Więc teraz też mnie usłyszysz.

– Frankie, nie... – Bob chwyta mnie za ramię.

Wyrywam mu się.

– Ty masz swoją pracę, a ja swoją.

– Nie masz żadnej pracy!

– Owszem, mam. Pracuję dla zmarłych. I moja droga prowadzi tam.

Nie czekam dłużej. Chociaż drżą mi ręce i czuję mdłości, ruszam w kierunku zakrwawionego głazu, na którym znaleźliśmy wczoraj leżącego Neila. Mam nadzieję, że Bob nie idzie za mną. Choć rozpaczliwie pragnę, żeby poszedł.

Ale Martin zmierza już wprost do tajemniczej jaskini. Po chwili wahania Bob czuje się w obowiązku wesprzeć zleceniodawcę i podąża za nim.

Po paru minutach widzę już tylko chmurę kurzu, która coraz bardziej się oddala.

Czekam, by się przekonać, czy niewidzialny obserwator pójdzie za nimi. Ale nie mam aż tyle szczęścia. Martin i Bob znikają. Mrowienie między łopatkami pozostaje.

Wciągam głęboko powietrze i zabieram się do pracy. To moje zadanie na dzisiejszy dzień.

Nie lubię czuć się ofiarą. Co pozostawia mi tylko jedną opcję. Zapolować na myśliwego. I mieć nadzieję, że to ja go dopadnę.

Rozdział 25

ODKĄD NEIL ZOSTAŁ ZAATAKOWANY, nurtowały mnie dwa pytania. Kto to zrobił i jak? Potem przyszło mi do głowy, że może należy zadać je razem. Napastnik musiał pojawić się dokładnie tutaj, na tym zboczonym krwią głazie, kilkanaście centymetrów za swoją ofiarą. Co oznacza, że była to jedyna osoba, która znajdowała się w pobliżu: Scott. Albo coś przeoczyliśmy.

Słońce stoi już wysoko na niebie, nagrzewając kanion. Powietrze jest tak suche i pełne kurzu, że z każdym oddechem czuję w gardle jego ziarenka. Nie piję jednak na razie wody.

Muszę dobrze gospodarować zapasami. Domyślam się, że jest wiele spraw, których nie rozumiem. I że może się zdarzyć zbyt wiele złego, zanim przybędzie na ratunek śmigłowiec.

Wierchołek zakrwawionego głazu jest całkowicie odsłonięty. Nie ma tam drzew ani krzewów, za którymi mógłby się ukryć napastnik. Zeskakuję z niego i ląduję niezbyt zgrabnie na kamienistej ścieżce. Rozglądam się. Leżące tu kamienie są beładnie porozrzucane. Niektóre upadły na tyle blisko siebie, że łatwo jest po nich chodzić, przeskakując z jednego na drugi. Ale inne są tak ogromne albo tak pochyłe, że trzeba je obchodzić. Ścieżka, na którą zeskoczyłam, wiję się między nimi. Jest wystarczająco szeroka dla dwóch osób... albo jednego Boba. Nie widzę zbyt wiele przed sobą, co tylko nasila moje zdenerwowanie.

Obchodzę podstawę głazu, po którym szedł Neil. Czy stojąc na jego szczycie, zauważyłby kogoś idącego ścieżką w dół? Wcześniej przypuszczałam, że każdy ruch zwróciłby jego uwagę. Ale gdyby napastnik stał w miejscu, w którym znajdowałam się teraz, byłby niewidoczny dla kogoś, kto patrzył z drugiej strony – z tej, z której przyszedłam.

Nie mogę obejść całego głązu, bo przylega do skalnej ściany. Podążam dalej kamienistą ścieżką i uświadamiam sobie, że powinnam była rozejrzeć się za odciskami butów. Choć nie jestem pewna, czy na tego rodzaju powierzchni zostałyby jakiegokolwiek. Luźne kamyki przesuwają mi się pod stopami i czuję się, jakbym bardziej płynęła, niż szła.

Po przejściu piętnastu metrów natrafiam na stertę głązów, na które znów muszę się wspiąć.

Jeszcze przez kwadrans błądzę bez celu. Widzę przejścia między głązami, gdzie można pozostać niewidocznym. Ale w końcu i tak trzeba wrócić na górę, więc Scott albo ja powinniśmy byli zauważyć napastnika pojawiającego się lub znikającego wśród skał jak pokryty kurzem świstak. Nie wspominając o Martinie, który nadbiegł z północy, albo Miggyem i Bobie, którzy nadciągnęli z południa.

Czy to znaczy, że Scott kłamał? Że to on był napastnikiem?

Nie przekonuje mnie to. Co by zyskał? Zdobył już dziewczynę. Nawet jeśli jego koledzy nie akceptują tego nowego szczęśliwego związku, nie sądzę, żeby z tego powodu chciał ich zabić.

Zawracam do głązu, na którym leżał Neil. Czuję ogromne pragnienie. I jest mi gorąco. Mam spękane wargi, a pochłaniająca wilgoć koszula klei się do pleców. Nie chcę już chodzić po górach. Marzę o hotelowym pokoju, gorącej kąpieli, dzbankach z wodą i tłustym cheeseburgerze z chrupiącymi korniszonami. I niekoniecznie w tej kolejności.

Spoglądam w górę, mrużąc oczy przed słońcem. Ledwo widzę własną rękę pokrytą drobinami kurzu. Czuję go pod pachami, na nogach i w włosach.

Nagle coś sobie uświadamiam. Patrzyłam w górę i na boki. A co jest na dole? Tam, gdzie trudno mnie już odróżnić od piasku, który mam pod stopami?

Ściągam plecak. A potem przykucam i idę jak kaczka, zaglądając pod otaczające mnie skały. Kolana zaczynają właśnie protestować, gdy coś zauważam. U podnóża masywnego głązu, tuż obok miejsca, gdzie zaatakowano Neila. Czarny otwór, wysoki na pół metra. Jak wąskie wejście do podziemnej jaskini.

Wyciągam rękę. Nagle jednak przypominam sobie o węzach i szybko ją cofam. Sięgam do kieszeni na nogawce spodni po miniaturową latarkę. Kieruję wąski snop światła w głąb jaskini. Widzę tylko bezkresną mroczną przestrzeń.

Wciągam głęboko powietrze. Jeśli z tej dziury wylezie coś poskręcanego z rozwidlonym językiem, osobiście dopadnę Nemetha i go zabiję. O ile przedtem nie umrę ze strachu.

Sunę na czworakach, krzywiąc się, gdy odłamki skał wbijają się boleśnie w ciało. Czuję powiew chłodnego powietrza z jaskini. Wydaje się to pocieszające. Pociągam nosem. Pachnie ziemią. To lepsze niż inne opcje. Gdzie jest Daisy, gdy jej potrzebuję?

Kolejny głęboki oddech. Nie mam innego wyjścia, muszę się rozplaszczyc i wysunąć do przodu głowę i ramiona. Zaciskam powieki. Liczę do trzech. I ruszam naprzód.

Zmusiwszy się, by otworzyć oczy, widzę coś w rodzaju podziemnej groty. Choć może to niewłaściwe słowo. Jest to raczej skalna nisza, utworzona przed wiekami przez spadające gązdy. Sięga głębiej, niż sądziłam; ma jakieś dwa metry wysokości i jest zaskakująco szeroka.

Waham się. W tak dużej przestrzeni spokojnie zmieści się człowiek. To idealna podziemna kryjówka, w której może się przyczaić drapieżca, znieścacka zaatakować, a potem zniknąć ponownie w mroku.

Scott mógł więc jednak mówić prawdę.

Powinłam tam wejść i zbadać tę jaskinię. Poszukać śladów czyjejś obecności.

Ale nie chcę wchodzić do środka. Nie tylko z powodu węży. Także dlatego, że penetrowanie podziemnych grobowców nie przynosi niczego dobrego. Wszyscy to wiedzą.

Pozostaje mi sprowadzić Boba i Martina. Wiem jednak, że Martin nie przyjdzie, a Bob... No cóż, jaskinia nie jest taka mała, ale nie tak znowu duża.

Do odważnych świat należy, mówię sobie.

Odwracam się i posuwam się dalej, nogami do przodu. I nagle spadam w przepaść.

UPADAM NA ZIEMIĘ, WZNIECAJĄC chmurę kurzu, który natychmiast wywołuje kaszel. Wymachuję latarką jak mieczem, dżgając snopem światła kolejne mroczne zakątki. Przypomina to wirujący krąg świetlnych pchnięć.

Nic się na mnie nie rzuca, nie gryzie ani nie grzechocze, więc oddycham z ulgą. Jestem cała. Żyję. Kurwa, jak dostanę się teraz z powrotem na górę?

Wpatruję się w otwór nad moją głową. Nie są to dwa metry. Raczej dwa i pół.

Oddycham głęboko. Jest, jak jest. Trzeba sobie radzić.

Korzystając z latarki, skupiam uwagę na tym, co mnie otacza. Podłoże nie jest płaskie. Tworzy je kopczyk ziemi i kamieni, które wypełniają rozpadliny między skałami. Przemieszczają się pod moimi stopami, co utrudnia chodzenie.

Tym razem rozglądam się za odciskami butów, nim zrobię następny krok. Bardzo blisko siebie widzę zagłębienie, a potem kolejne i jeszcze jedno. Grunt jest zbyt sypki, by zostały w nim wyraźne ślady stóp, ale chyba można założyć, że ktoś tu przebywał.

Stawiam ostrożnie pierwszy krok, przesuwając się w bok, zanim odnajduję twardsze podłoże, zapewne większą skałę pod ruchomym piaskiem. Podchodzę do ściany, która okazuje się głazem wielkości autobusu. Czy oderwał się od wielkiej skały pięćset lat temu? A może przyniósł go tu lodowiec? Albo jakiś olbrzym?

Obchodzę jaskinię krok po kroku. Nie jestem pewna, czego szukam. Po prostu śladów obecności człowieka.

Niczego od razu nie dostrzegam. A jednak wyczuwam, że w tym miejscu ktoś był.

I nagle napotykam pierwszą szczelinę w ścianie.

Dwa ogromne głazy upadły obok siebie, pozostawiając przesmyk w kształcie litery V. Jest wystarczająco szeroki, bym mogła się przez niego

przecisnąć.

Tylko dokąd? Do kolejnej otchłani? Czy też do coraz bardziej ograniczonej przestrzeni, gdzie płucom zacznie brakować powietrza i...

Nie mogę tam wejść. Na samą myśl o tym ręce zaczynają mi się trząść tak, że latarka pulsuje światłem jak lustrzana kula w dyskotecce. Oddycham zbyt płytko, serce wali mi jak młotem. To miejsce jest dla mnie zbyt mroczne, zbyt przerażające, zbyt puste.

Co tam wężę! Jestem już w grobie. Jeśli nie dotrę na górę, do wyjścia, nie przedrę się tam, Bob i Martin nigdy mnie nie znajdą. Przejdą tuż nade mną. A potem się oddalą i to nie Martin dołączy na zawsze do syna w Kanionie Diabła.

Po co przyjechałam do Wyoming? Dlaczego wciąż to sobie robię? Paul nie żyje, a ja nadal ścigam tamtą kulę, czekam, by w końcu trafiła we mnie, przelała moją krew. Wszystkie te poszukiwania, ci obcy ludzie, których pomagam znaleźć i pochować. To niczego nie zmienia.

Inni zamykają sprawę i wracają do życia. Ale nie ja. Wiem, że opuszczę każde miejsce, do którego przybywam. Że zamkną się każde drzwi, które się otworzyły.

Nie chcę już być sobą. Chcę być kimś, kto się zakochuje i zostaje. Kto ma pracę, która nie budzi niczyjego zdziwienia. Kto wraca co wieczór do miejsca, które nazywam domem.

Chcę zbudować wehikuł czasu i przeżyć ponownie tamten wieczór, gdy byłam z ojcem na biwaku. Tyle że tym razem nie będę głodna. Ojciec nie będzie musiał iść do kuchni i udawać, że leśne duszki przygotowują dla nas kolację. Oboje zostaniemy przy naszym cudownie prowizorycznym namiocie. Będziemy patrzyli w niebo i wypatrywali gwiazd. Będziemy snuli opowieści, a on będzie wiedział, co mówi i do kogo.

Przy mnie będzie sobą.

Może oprę głowę na jego ramieniu. Poklepie mnie po niej czule. A potem zamilkniemy. Będzie się liczyło tylko to, że jesteśmy.

Przez całe życie marzyłam właśnie o tym.

Płacę. Czuję wilgoć na policzkach. Przez zmarszczki na mojej twarzy znów płyną słone łzy. Nie wiem dlaczego. Nie ma sensu żałować czegoś, czego nigdy nie udało mi się zdobyć.

Jestem pijaczką, która poszła w ślady ojca.

Aż pewnego dnia on umarł. A ja wytrzeźwiałam.

Teraz przeżywam każdy dzień w ciągłym ruchu, wiecznie czegoś pragnąc. Ale jestem trzeźwa. Codziennie.

Nawet gdy to boli.

Spoglądam w otwór jaskini nad głową. Wydaje się zbyt odległy i niedostępny. Ale opuszcza mnie panika, powraca determinacja. Jeśli potrafię minuta po minucie obyć się bez drinka, z pewnością, do cholery, poradzę sobie z tym.

Zobaczyłam to, co chciałam. Ktoś mógł spokojnie się tu ukrywać, czekając na Neila. Co więcej, w tym klifie są nie tylko jaskinie, w których można znaleźć schronienie. Jest też labirynt podziemnych korytarzy.

Najprawdopodobniej Scott mówił prawdę. Ktoś zaatakował Neila i potem zniknął w tej kryjówce, a my niczego nie zauważyliśmy.

Ktoś, kto nie tylko nas obserwował, lecz także dobrze zna tę okolicę. Jakiś rozgniewany tubylec? Duch zaginionego wędrowca?

A może sam Timothy O'Day? Jeśli dotarł aż tutaj, mógł przeżyć. I przez tyle lat czekał na swoją zemstę?

To też nie ma dla mnie większego sensu. Ale jedno jest pewne. Zamierzam wydostać swój nędzny tyłek z tego cholernego grobowca. Potem popędzę jak strzała do Martina i Boba. Nie tylko po to, by im powiedzieć, co odkryłam, ale również po to, by ich ostrzec.

Zewsząd grozi nam niebezpieczeństwo.

I jesteśmy na nie narażeni o wiele bardziej, niż sądziliśmy.

Rozdział 26

JESTEM ZDYSZANA, ZASAPANA I spocona, gdy zataczając się, wpadam na Boba. Stoi przy wejściu do wielkiej jaskini. Chwyta mnie odruchowo za ramiona i otwiera szeroko oczy na mój widok.

– Skały... kieszenie powietrzne... w dole jama... u góry jaskinie... kryjówki... wszędzie... – udaje mi się wykrztusić. Nie mogę złapać oddechu. Biegłam, odkąd wypęłam z podziemnej komnaty. Ze wspinaczką do wyjścia nie było tak źle, bo mogłam się uchwycić skalnych występów. Zanim jednak wyszłam na słońce, zastanawiałam się, czy nie czeka tam na mnie napastnik. Z pistoletem. Nożem. Albo jadowitym wężem.

Wyjście z jaskini wymagało ode mnie niemal tyle samo hartu ducha, co zanurzenie się na ślepo w jej otchłań. Potem, gdy stałam już na nogach, poczułam znów mrowienie między łopatkami, a na rękach dostałam gęsiej skórki. Chwyciłam plecak i pognałam na północ. Okrążając głązy i potykając się o sterty kamieni, biegłam przed siebie. Jak ścigany zając, rozpaczliwie uciekający przed zagrożeniem.

– Już dobrze – mówi Bob. – Jestem przy tobie. – Sięga do bocznej kieszeni mojego plecaka po manierkę i podaje mi ją.

Zdejmuję nakrętkę i piję łąpczywie. Woda spływa mi brudnymi strużkami po podbródku.

– Wystarczy – rzuca Bob i wrywa mi z ręki metalowy pojemnik.

Gdy zaczynam oddychać bardziej równomiernie, oddaje mi go.

– Wejdz do jaskini, tam jest chłodniej – radzi. – Możesz równocześnie rozmawiać z Martym i ze mną. Powiesz nam coś o tych kieszeniach powietrznych?

Udaje mi się skinać głową. Serce zaczyna mi bić wolniej, spada poziom adrenaliny. Czuję się trochę głupio, ale wciąż dygoczę. Ruszam powoli

w kierunku imponująco wielkiej jaskini, którą odkrył wczoraj Martin.

Jest tak wysoka, że nawet Bob nie musi się schylać. I szeroka. Można by tam zrobić imprezę przy ognisku dla kilkunastu osób. Martin siedzi na skalistym podłożu i wpatruje się w zwęglone resztki drewna i popiół, otoczone kręgiem dwudziestu paru idealnie symetrycznych kamieni wielkości piłek golfowych.

Ma rację: ten kamienny pierścień wokół ogniska jest dziełem sztuki, świadczącym o poczuciu estetyki tam, gdzie nie jest ono konieczne. Czy to znak firmowy Tima? Te wyjątkowo piękne kręgi wokół ogniska? A może w ten sposób jakiś zagubiony samotny wędrowiec wypełniał sobie czas? Przeszukując skalne rumowisko, by znaleźć kamyki odpowiednich rozmiarów?

Martin podnosi wzrok, gdy się zbliżamy. Nie tylko przygląda się kamieniom, ale też ich dotyka. Jakby czuł na nich palce syna. Zauważa mój niechlujny wygląd i unosi brwi.

– Co ci się stało, do cholery?

Staram się wyjaśnić to jak najlepiej. Mówię o podziemnych kieszeniach powietrznych pod niektórymi z głazów. O tym, że ktoś, kto nas zapewne obserwuje, może być gdziekolwiek. Na skalnej ścianie nad nami. W którejś z jaskiń obok nas. Pod nami w skalnej kryjówce.

Mówię z coraz większym podnieceniem. Ale wyraz twarzy Martina pozostaje niewzruszony. Błądzi myślami gdzieś daleko. Nie jestem nawet pewna, czy mnie słucha, i zastanawiam się, czy to ma jakieś znaczenie.

Nie sądzę, by szukał jeszcze zaginionego syna. Teraz już tylko oplakuje utraconą rodzinę.

– Powtórz, jak wysokie było to wejście do jaskini – prosi Bob, gdy kończę mówić.

– Miało może z pół metra.

– A więc zmieściliby się tam mężczyzna albo kobieta.

– Tak. Jeśli nie byłiby zbyt potężnie zbudowani. – Spoglądam na niego wymownie. – Ale Martin lub Nemeth weszliby bez problemu.

– To musiałyby być ktoś, kto dobrze zna ten teren. Nawet Nemeth nie wspominał nigdy o podziemnych kryjówkach.

– A więc to ktoś miejscowy – zgadzam się.

– Ale z jakiego powodu atakowałyby Neila? – pyta Bob.

– Po co ktoś wysyłałby maile z pogrózkami, by ostrzec Martina, żeby tu nie wracał, i robił wszystko, żeby skazać na niepowodzenie te poszukiwania, jeszcze zanim się rozpoczęły?

Martin wzrusza w końcu ramionami w odpowiedzi na moje pytania. Potem znów skupia niepodzielnie uwagę na kręgu kamieni. Patrzę na Boba, który wydaje się jedyną myślącą racjonalnie osobą.

– Czy Kanion Diabła był od początku celem tegorocznej ekspedycji? – pytam go.

Kiwa głową.

– Ilu ludzi o tym wiedziało?

– To żadna tajemnica. Nemeth już wiele miesięcy temu wypełniał papiery, by dostać pozwolenie. To rutynowa procedura, gdy organizuje się wyprawę w góry. Okręgowi strażnicy muszą wiedzieć, co się dzieje. Poza tym pozwolenie daje podstawę do rozpoczęcia akcji ratunkowej, jeśli ekipa nie wraca w przewidzianym czasie.

– Innymi słowy, wie o tej wyprawie mnóstwo ludzi. – Przerывam na chwilę. – Po pięciu latach poszukiwań Martina to nic nowego, prawda? I dotychczas nie dostawał żadnych pogrózek.

– Nie.

– A więc musi chodzić o ten obszar. To jest nowy element. Sam Kanion Diabła. Ktoś nie życzy sobie tutaj obcych.

Bob zastanawia się przez chwilę.

– Nemeth powiedział – odzywa się w końcu – że na tym terenie nie ma zbyt dużego ruchu, ale przechodzą tędy różni ludzie. Czym my się wyróżniamy?

– Tym, że nie tylko tędy przechodzimy – zgaduję. – Zostajemy na dłużej i prowadzimy poszukiwania. I mamy psa do odnajdywania zwłok.

– Ale atakując nas, ktoś wzbudzi tylko większe zainteresowanie tą wyprawą i sprowadzi do kanionu więcej ludzi.

– Chyba że nie chodziło o to, by Neila zabić, lecz raczej zranić na tyle, żebyśmy musieli zrezygnować z naszych planów i wrócić do cywilizacji. Pasowałaby do tego również kradzież żywności. Kolejny powód, byśmy stąd odeszli.

– Tyle że Neil nie może iść. Większość grupy została, a dwie osoby poszły wezwać pomoc. To nie wróży nic dobrego napastnikowi.

Wpatruję się w Boba zaniepokojona.

– Albo nam – rzucam.

– Chcesz powiedzieć, że... – Bob już wie, o co mi chodzi. – Martwisz się, że napastnik będzie musiał potraktować sprawę bardziej serio i na zawsze się nas pozbyć.

– Szkoda, że ten kanion nie może mówić – szepczę.

– Też tego żałuję. – Bob kiwa głową, po czym dodaje: – Myślę, że powinniśmy wrócić do obozu.

– Okej.

Oboje podchodzimy do Martina.

MARTIN NIE SPRZECIWIA SIĘ, ale również nie przyznaje nam racji. Udaje, że słucha, ale sprawia wrażenie, jakby nie docierało do niego to, co mówimy.

Rozumiem, co znaczy rozpacz. Widziałam, jakich dokonuje spustoszeń, i sama czułam jej ostre kły. Nie mam pojęcia, jak przełamać jego milczącą rezygnację. Totalna obsesja Martina zmieniła się w całkowite zamknięcie. Nie wiem, co jest gorsze.

W końcu Bob rezygnuje z dyskusji i wydaje rozkaz.

– Masz dwadzieścia minut – informuje swojego zleceniodawcę. – Potem ruszamy. Wszyscy. Ty też.

Bob idzie w głąb jaskini, by zostawić Martinowi trochę przestrzeni. Idę za nim. Sufit obniża się, w miarę jak oddalamy się od wejścia. Pokonujemy dość spory dystans, zanim Bob musi się pochylić.

Skęcamy lekko i dochodzimy do miejsca, gdzie jaskinia chyba się kończy, zwążając się do niszy o rozmiarach mojego namiotu. Jest tam jeszcze jeden – mniejszy – krąg z kamieni. Oglądam się za siebie, by ocenić wielkość jaskini, w której Martin nadal siedzi. To jakby salon, myślę. A tu jest sypialnia.

Z dwoma źródłami ciepła to miejsce może być przytulne nawet przy dużym spadku temperatury. Czy to było pociechą dla kogoś, kto tu mieszkał – na przykład dla Timothy’ego O’Daya – zanim nadeszła pierwsza zima i przykryła wszystkie dostępne zapasy drewna grubą warstwą śniegu?

– Co znalazłeś? – pytam cicho Boba.

– Tylko to. Ktoś najwyraźniej tu biwakował. Ale kto? Kiedy? – Wzrusza ramionami. – Martin ma swoją teorię na temat tych kręgów z kamieni. Uważa je za dowód, że był tu Tim. Ale przeszukałem całą tę jaskinię i okolicę na zewnątrz. Nie znalazłem żadnych śladów plecaka Tima, sprzętu ani odzieży. Ani legowiska.

– Sądziłam, że nie miał śpiwora ani namiotu.

– Nie miał. Mówię o prowizorycznym legowisku. O warstwie mchu albo macie z cienkich sosnowych gałązek. Jeśli Tim przebywał tu dłużej, nie spałby na kamieniu, nie tylko ze względu na wygodę, ale także dlatego, że chciałby odizolować się od ziemi.

Kiwam głową.

– Drugie ognisko dowodzi, że było to miejsce odpoczynku – mówię. – Ale twoim zdaniem nie na długo.

– Tak przypuszczam. Nie ma też resztek pożywienia. Na przykład kości niedużych zwierząt, rozrzuconych korzeni, suszonych grzybów.

– Naprawdę wiesz, jak żyć na takim odludziu?

– Wiem wystarczająco dużo. – Bob wzrusza ramionami. – Jak powiedziałem, nie we wszystkim kłamałem.

Nadal nie zamierzam mu odpuścić, ale teraz daję sobie z tym spokój.

– Nemeth powiedział, że wielu ludzi chodzących po górach lubi chronić się w tych jaskiniach, żeby ogrzać się przy ognisku.

- Znalazłem jeszcze kilka takich, które były używane – mówi Bob. – Chociaż muszę przyznać, że tylko w tej kamienie wokół ogniska ułożone są w tak estetyczny sposób.

- Może Tim rzeczywiście dotarł aż tutaj. Znalazł schronienie na dość długo, by złapać oddech i zregenerować siły. A potem ruszył w drogę. Próbował wspiąć się na skalną ścianę, bo wiedział, że nie przetrwa tu zimy.

- Gdyby skończył wędrówkę tutaj – zaczyna ostrożnie Bob – powinniśmy znaleźć jego plecak. A jego brak oznacza, że poszedł dalej, jeśli w ogóle tu był.

- Daisy złapała trop – mruczę.

- Przeszukaliśmy teren tuż przy jaskini. Niczego nie widziałem.

Wzdycham ciężko.

- Sprawdziłeś, czy u podnóża skały nie ma wejść do podziemnych grot?

- Nie, tego nie sprawdzałem.

Oboje wzdychamy i wiemy, co musimy zrobić.

ZOSTAWIAMY MARTINA, BY ZABAWIAŁ się kamykami, i opuszczamy jaskinię. Waham się przez chwilę, nie z powodu czekającego nas upału, ale dlatego, że nie mogę znieść myśli, że znów będę wystawiona na niebezpieczeństwo.

Bob chyba podziela mój niepokój. Oboje przystajemy tuż przed wejściem do jaskini. Mamy tu trochę cienia, zanim wyjdziemy na pełne słońce. Widok stąd jest przepiękny: szarobrązowa połać skalnego rumowiska wygląda jak wyschnięte koryto rzeki na tle eksplodującej zieleni lasu. Po prawej wznosi się niebieskawe urwisko, nie tak imponujące jak skalna ściana, przy której stoimy, ale pokrywa je mozaika z drzew. Gdy mrużę oczy, niemal odnoszę wrażenie, że widzę w oddali wodę. Jeden ze strumieni, które przekraczaliśmy, a może nawet jezioro w pobliżu obozu.

A może to tylko pobożne życzenie.

Przenoszę wzrok na sterty rozrzuconych przed nami skał. Jest popołudnie. Zróbmy, co trzeba, wróćmy do obozu i czekajmy na śmigłowiec.

Zostało tylko kilka godzin.

ZESKAKUJEMY Z PROGU JASKINI, nic nie mówiąc. Bob znika po chwili za największym głazem, a ja podążam za nim. Nie wyrażamy słowami obaw, po prostu pilnujemy się wzajemnie, zmierzając do miejsca, gdzie Daisy wyczuła zapach rozkładu.

Luciana twierdziła, że pies tracił ciągle trop. Idąc teraz tamtędy, zastanawiam się nad tym. Wydaje mi się, że skały powinny zatrzymać zapach w takich miejscach jak to przejście, ułatwiając sprawę Daisy, a nie utrudniając.

Trafiamy na ślepy zaułek przy szczególnie dużym głazie. Po chwili wahania oboje się na niego wspinamy, przebiegamy szybko kilka metrów i zeskakujemy na dół. Czuję chłód przy kostce.

Pod jedną ze skał jest wyraźna czarna szpara. Zbyt mała, by przecisnąć się przez nią człowiek, ale to kolejny dowód, że są tam kieszenie powietrzne. Posuwamy się teraz wolniej.

Tam i z powrotem. Znów zaczynam się mocno pocić i ocieram chustą czoło. Jest równie brudna jak ja. Tęsknię za cywilizacją, bieżącą wodą, gorącym prysznicem. Zastanawiam się, jak radzą sobie Luciana, Daisy i Nemeth.

Z pewnością są szybcy. Jeśli chodzi o sprowadzenie pomocy, nie mogliśmy wybrać lepiej.

– Minęło już ponad dwadzieścia minut – mówi za moimi plecami Bob.

Kiwam głową. Jest mi gorąco, czuję się zmęczona i pokonana. I wróciło mrowienie. Bob też jest podenerwowany. Stojąc na środku nagiego skalnego rumowiska, nie czuję się bezpieczna. Wyobrażam sobie, jak rzuca się na nas znienacka jakiś dzikus. Może nawet teraz czai się gdzieś, obserwuje nas i czeka, by zaatakować.

Nigdy nie lubiłam nawiedzonych domów, a mam wrażenie, że znajduję się w jednym z nich.

Wracam do skupiska ogromnych głazów, starając się trzymać nisko głowę. Nie muszę patrzeć na Boba, by wiedzieć, że robi to samo. Męczyzna jego postury jest dobrze widocznym celem. Wchodzimy w przejście między głazami. Nie są tu wystarczająco wysokie, by całkowicie nas zasłonić, ale lepsze to niż być na górze.

Jest tu dostatecznie szeroko, byśmy mogli swobodnie iść obok siebie, ale Bob zostaje za mną. Zabezpiecza mi tyły? Szczerze mówiąc, nie mam pretensji, że zataił przede mną, czym naprawdę się zajmuje. Nie było to największe kłamstwo, jakie słyszałam. Wydaje się w głębi duszy dobrym człowiekiem, obdarzonym instynktem opiekuńczym. Co wyjaśnia jego zachowanie teraz, gdy kroczy za mną jak anioł stróż o posturze Wielkiej Stopy.

Dochodzimy do podnóża skalnej ściany i za chwilę będziemy musieli wspiąć się po stromej stercie kamieni, by pokonać ostatni – przebiegający na otwartej przestrzeni – odcinek do jaskini, w której jest Martin. Przystaję, szykując się do wspinaczki, gdy nagle czuję na karku podmuch chłodnego powietrza, który przyprawia mnie o dreszcz.

Odwracam się. Bob również się zatrzymuje. Za naszymi plecami jest pięć ogromnych głazów, leżących jeden obok drugiego. Podobnie jak inne, są pochylone w różne strony; na pierwszy rzut oka ściśle do siebie przylegają, ale im dokładniej się przyglądam, tym więcej widzę między nimi szczelin. Staję przed jedną z nich, bardzo wąską. Wylatuje z niej chłodne powietrze.

Między tymi skałami musi być pusta przestrzeń. Ale otwór jest o wiele za wąski, by przecisnął się przez niego człowiek, nawet wyjątkowo szczupły.

– Co? – pyta Bob.

– Unieś rękę.

Robi to i kiwa głową, gdy czuje podmuch powietrza. Nadal przyglądam się szczelinie. Co mnie niepokoi? Czego nie dostrzegam?

Nagle doznaję olśnienia. Nie chodzi o szczelinę, tylko o sam głaz. Coś, co wygląda jak gigantyczny prostokątny występ z boku skały... wcale nim nie jest! Widzę wokół niego delikatną linię pęknięć. Nie łączy się ze skałą. To luźna płyta, wysoka na półtora metra i szeroka na metr dwadzieścia. Zważywszy na jej kształt i rozmiary... To muszą być drzwi. Drzwi z kamienia.

Patrzę na Boba i wskazuję ręką na to, co odkryłam; przesuwam palcami po krawędziach płyty. Nie odzywam się i on również. Bo teraz, gdy wiemy, że to drzwi, niepokoiśmy się, co jest za nimi.

Zaciska usta. Otwierać czy nie otwierać, oto jest pytanie. Choć właściwie nie ma o czym dyskutować. Oboje jesteśmy poszukiwaczami. Musimy się dowiedzieć, co jest po drugiej stronie.

Bob ściąga plecak. Idę w jego ślady. Szpera w rzeczach, wydobywa nowy pojemnik z aerozolem do odstraszania niedźwiedzi i pokazuje mi go. To równie dobra broń do samoobrony jak każda inna. Mam przytwierdzony do pasa nóż, ale nie jestem aż tak pewna siebie ani krwiożercza, by na niego liczyć, więc również wyciągam pojemnik z gazem pieprzowym.

Dajemy sobie znak skinieniem głowy. Po chwili, jakbyśmy od zawsze byli partnerami, zajmuję pozycję po prawej stronie drzwi, gdzie mogę najpierw użyć gazu, a potem zadawać pytania, podczas gdy Bob chwyta obiema rękami krawędź kamiennej płyty i próbuje przesunąć ją w lewo.

Powinna być niewiarygodnie ciężka, prawie niemożliwa do ruszenia. Tymczasem przesuwana się na bok tak szybko, że Bob omal nie pada na ziemię.

I wtedy dokonujemy drugiego odkrycia. Drzwi nie są z kamienia, lecz z jakiegoś przypominającego styropian tworzywa. Pomalowano je i pokryto cienką warstwą kamyków i piasku, by wyglądały autentycznie.

Zostały zrobione przez człowieka. I umieszczone tutaj celowo. By zamaskować wejście do jaskini.

Wpatrujemy się w wyszczerbiony otwór, który pojawił się między głazami. Czujemy kolejny podmuch chłodnego powietrza. I zapach. Stęchły. Ziemisty. Nieprzyjemny.

Pojemnik z gazem drży w mojej dłoni.

– Wejść tam – oznajmia Bob.

To człowiek o dobrym sercu, ale nie ma mowy, by zmieścił się w otworze, który jest mniejszy niż maskujące go drzwi: ma jakieś metr dwadzieścia wysokości.

Uśmiecham się i wyciągam latarkę kieszonkową.

– Powiedz mi, że nie ma tam węży.

– Nie ma tam węży.

– W porządku. Więc sobie poradzę.

Nie dając sobie czasu do namysłu, pochylam głowę i wchodzę do środka.

Rozdział 27

OTO JAK PÓŹNIEJ BĘDĘ relacjonowała tę historię. Kiedyś, szukając nieustraszenie zaginionego młodego człowieka, wpędziłam na czworakach w wąskie przejście pod zwałami głazów. Z trudem się tam poruszałam. Nie był to wykuty w skale tunel, lecz labirynt szczelin, przez które musiałam powoli się przeciskać. Posuwałam się dzielnie naprzód, mając wrażenie, że mija cała wieczność, choć trwało to zapewne około dziesięciu minut.

I nagle dotarłam do jaskini. Na tyle wysokiej, że kiedy się wyprostowałam, miałam nad głową sporo przestrzeni. Zaczęłam omiatać jaskinię snopem światła, centymetr po centymetrze, aż w końcu...

Oto jak później będę relacjonowała tę historię. Zakładając, że pożyję wystarczająco długo, by ją opowiedzieć.

GDY WYCHODZĘ NA ŚWIATŁO dzienne, już się nie trzęsę. Nie mam łez na policzkach ani żółci w gardle.

Chce mi się krzyczeć, ale nie potrafię wydobyć z siebie głosu. Wydanie jakiegokolwiek dźwięku oznaczałoby powrót do świadomości. Wypowiadając słowa, nazwałabym coś, z czego istnieniem nie mogę się pogodzić.

Wpatruję się w Boba. Nie odrywam od niego wzroku. Myślę o Martinie i jego milczącej kapitulacji. Chciałabym pójść w jego ślady.

– Frankie? – odzywa się Bob z troską w głosie.

Tylko kręcę głową.

– Czy... znalazłaś go? Były tam szczątki Tima?

Wzruszam ramionami, bo naprawdę nie mam pojęcia.

Bob podaje mi manierkę. Zmusza mnie, żebym napiła się wody. Potem, gdy jestem nadal jak milczący posąg, obejmuje mnie potężnymi

ramionami i przyciąga do swojej spoconej piersi. Nie protestuję. Czuję krzepkość i ciepło jego ciała.

Nagle zaczynam drżeć. I nie potrafię się opanować. Potem wybucham płaczem, którego też nie umiem powstrzymać.

Bob szepcze słowa pociechy. Gładzi mnie po włosach. Tuli mnie, jakbym była dzieckiem.

Przywieram do niego. Nigdy nie wolno mi było przylgnąć tak do któregoś z rodziców. Nawet do Paula nie przytulałam się tak mocno, bo od początku wiedziałam, że jego miłość mnie przerośnie.

Ale teraz nie opieram się. Szukam ukojenia w ramionach Boba. Zanurzam się w nich, domagając się jeszcze więcej współczucia i pocieszenia. On też zaczyna drżeć, choć sam nie wie dlaczego. Może również płacze, bo lzy potrafią być zaraźliwe. Dygoczymy wspólnie, jak rozbitkowie z okrętu, którzy rozpaczliwie chcą czuć się ocaleni.

Nie chcę się od niego odsuwać. Pragnę tak pozostać, przytulona do mojej Wielkiej Stopy.

Ale tu wcale nie jest bezpiecznie. Musimy pójść po Martina, a potem wrócić do obozu i wsiąść do pierwszego śmigłowca, który nadleci. Musimy wynieść się w cholerę z tego kanionu i nigdy tu nie wracać.

Odsuwam się powoli od Boba. Trzyma jeszcze ręce na moich ramionach, dodając mi sił.

Z powagą wpatruje się we mnie niebieskimi oczami.

– Frankie? Znalazłaś Tima? Czy o to chodzi?

Oblizuję wargi. Biorę głęboki oddech i mówię:

– Nie wiem. Nie znalazłam jednego ciała, tylko osiem.

RUSZAMY W DROGĘ. IDZIEMY szybko, nisko pochyleni, wspinając się na stromą stertę głazów. Czy ktoś na nas patrzy? Myślę tylko o tym. Jeśli jesteśmy obserwowani, myśliwy wie, że odkryliśmy jego kryjówkę. Skoro jest już osiem ciał, cóż znaczy kilka więcej?

Gdy docieramy na szczyt zwału, czuję natychmiast podmuch zimnego wiatru, a po chwili raptownie się ściemnia. Nadciąga kolejna burza. Co

znaczy, że naprawdę musimy się spieszyć. Zgarnąć Martina i pędzić do obozu. Ruchy, ruchy.

Bob jest nadal za mną; stara się być jak najmniejszym celem, co nie przychodzi łatwo człowiekowi o posturze niedźwiedzia. Ja przemykam się, przeskakując przez szczeliny między większymi głazami i stąpając po mniejszych kamykach. Widzę nad sobą wejście do jaskini.

Martin, który stoi przed jaskinią, marszczy czoło na nasz widok. Nie było nas znacznie dłużej niż dwadzieścia minut i bez wątplenia on również zauważył nadciągającą burzę. Wydaje się jeszcze bardziej zaniepokojony, co wprawia mnie w poczucie winy z powodu wiadomości, które mam mu przekazać. Ale nie ma już czasu na subtelności.

Wpadam do jaskini, mijając go, a Bob podąża tuż za mną. Martin idzie za nami, wyraźnie wzburzony. W następnej sekundzie, jakby w jego głowie uruchomił się jakiś wewnętrzny radar, pyta:

– Znaleźliście coś? Czy to był Tim? Zabierzcie mnie do niego! Natychmiast!

Rzuca się już do wyjścia, lecz Bob chwyta go za ramię.

– Zaczekaj. Posłuchaj. Frankie, powiedz mu.

– Odkryliśmy kolejną jaskinię – bełkoczę. – Wpełzłam do niej. Były tam szczątki. Ośmiu osób. Widziałam je. Nie mam pojęcia, czy jest wśród nich Tim. Bardzo mi przykro.

Martin nie porusza się. Wpatruje się we mnie, jakbym mówiła od rzeczy.

– Szczątki ośmiu osób?

– Tak.

– Coś w rodzaju dawnego grobowca Indian?

– Nie sądzę, żeby ten był stary.

– Więc jak może tam być osiem ciał?

Waham się, spoglądając na Boba.

– Słyszeliśmy o innych ludziach zaginionych w tych górach – mówię w końcu. – Sama nie wiem. Ale były tam szczątki ośmiu osób.

Martin przechyla głowę i najwyraźniej próbuje przetrwać to, co usłyszał, ale bezskutecznie. Biorę kolejny głęboki oddech i staram się, jak mogę, opisać coś, czego nigdy więcej nie chcę zobaczyć.

– Szczątki wydają się zmumifikowane. Nie ma odzieży ani sprzętów. To prawdopodobnie ciała mężczyzn i kobiet, choć domyślam się tego tylko na podstawie długości ich włosów. – Żółć podchodzi mi do gardła. Przelykam ślinę. – Hm... domyślam się, że niektóre z tych szczątków leżą tam już od dłuższego czasu. Były... głębiej. Inne są chyba późniejsze, ale nie... świeże. – Nie wiem, jak to dokładnie wyjaśnić, i nie chcę nawet próbować.

Bob i Martin milczą.

– Ciała były ułożone obok siebie. W pewnym porządku, od najstarszych do najnowszych. Widziałam uszkodzenia w czaszkach i klatkach piersiowych. – Mrugam. – Być może rany postrzałowe. Są też jakieś ślady na ich szyjach... Myślę... myślę, że podcięto im gardła.

– Wykrwawili się? – pyta cicho Bob.

Martin patrzy na mnie.

– Chcesz powiedzieć, że tych ludzi zamordowano?

– Myślę, że z jakiegoś powodu ktoś próbował cię ostrzec, żebyś się tu nie pojawiał. A potem starał się za wszelką cenę zmusić nas do opuszczenia tego miejsca.

– Ale ten ktoś z pewnością nie chciał za bardzo zwracać na siebie uwagi. – Bob podąża za moim tokiem rozumowania. – Dlatego zaczął od pogroźek i sabotażu. Chce trzymać ludzi na dystans, zachować swoją tajemnicę. Ale teraz, gdy już wiemy...

Wzmógł się wiatr, niebo jeszcze bardziej pociemniało.

– Musimy ruszać – nalegam. – Wrócić do obozu. Nie możemy tutaj utknąć. – Mówiąc „tutaj”, nie mam na myśli tylko tej skalnej ściany i zwał gładów, lecz przede wszystkim jaskinię. Bo gdyby ktoś pojawił się tu nagle z karabinem, nie mielibyśmy dokąd uciekać.

Martin nie sięga jednak po plecak.

– Sądzisz, że jedno z tych ciał to Tim? – zwraca się do mnie. – Że mój syn został zastrzelony?

- Nie wiem. Skoro nie ma tam ubrań ani sprzętów... - Wzruszam bezradnie ramionami. - Posłuchaj, za kilka godzin przyleci śmigłowiec. Po powrocie do miasta możemy wezwać ekspertów. Dobry antropolog sądowy i test DNA dostarczą ci wszelkich potrzebnych informacji.

- Sam dam sobie radę - oznajmia Martin. - Zaprowadź mnie do tej jaskini. Natychmiast. Będę wiedział, czy są tam szczątki mojego syna. Ojciec zawsze rozpozna swoje dziecko.

Wyraz jego twarzy złamałby mi serce, gdybym tak bardzo nie miała ochoty przywalić temu człowiekowi.

- Martin, wtargnęliśmy na tereny łowieckie zabójcy. Zapomnij na razie o identyfikowaniu syna. Musimy ratować własną skórę. Nie mówiąc już o Miggym, Scotcie i Neilu. Siedzą sami w obozie, dwaj są nie całkiem sprawni i żaden nie ma pojęcia o realnym zagrożeniu. Pospieszmy się!

Wzdrygam się, gdy nad kanionem przecina niebo pierwsza błyskawica, a zaraz potem rozlega się grzmot i rozpętuje się ulewa.

- Kurwa! - wybucham, po czym zwracam się o wsparcie do Boba: - Uciekajmy stąd, tak czy inaczej. Możemy wykorzystać burzę jako osłonę.

- Niezły pomysł - przyznaje.

- Chcę zobaczyć te ciała - upiera się Martin.

- Nie zaprowadzę cię tam, a beze mnie w życiu ich nie znajdziesz, więc zamknij się i ruszajmy w drogę!

Zmierzam w kierunku wejścia do jaskini. Znow cała drzę. Z nerwów, ze strachu, z powodu naelektryzowanego powietrza. I z przytłaczającego poczucia paniki oraz nieuchronności losu. Wiem, że musimy się stąd wynieść, i to natychmiast!

Jestem już niemal przy wyjściu, gdy Martin chwytą mnie za rękę. Jego oczy płoną. Wyglądały tak samo, gdy pokłócił się z Nemethem. Nie myśli racjonalnie. Ten człowiek stracił tak wiele, że marzy jedynie o tym, by odnaleźć stertę kości.

- Zapłacę ci - mówi.

- Wychodzę stąd.

– Dam ci, co zechcesz. Mój dom, samochód. Wspominałaś, że nie masz domu. Weź mój. Zabierz wszystko. Wszystko ci oddam. Pokaż mi tylko... Musisz mi pokazać...

– Jutro – próbuję go uspokoić, gdy argumenty nie pomagają. – Wrócimy tu jutro. Sprowadzimy pomoc.

– Teraz. Muszę pójść tam teraz.

– Pada deszcz, a ja nawet po suchych kamieniach chodzę niezdarnie. Widziałeś to. Wiesz, że kiepsko sobie radzę.

Bob ze skupionym wyrazem twarzy idzie powoli za Martinem. Najwyraźniej coś planuje. Nie mam pojęcia co, ale mam cichą nadzieję, że walnie go w głowę i wyniesie stąd nieprzytomnego.

Martin chwytą mnie za ramiona i wpatruje się we mnie orzechowymi oczami. Z jego twarzy wyziera rozpacz. Tonie w niej, upija się nią, popada w obłąd z jej powodu. Rozumiem to, ale nie mamy czasu.

Próbuję uwolnić się z jego uścisku. Tymczasem znów uderza piorun i rozlegają się kolejne grzmoty.

Gdy Martin nagle się cofa, czuję na policzku deszcz, choć jesteśmy w jaskini. Potem znowu słyszę grzmot i za moimi plecami eksplodują odłamki skały, wbijając mi się w skórę. Bob krzyczy, żebym się pochyliła. Martin chwytą się za pierś i na jego ramieniu wykwita czerwona plama.

Krew. Strzały. Pociski.

Mój zszokowany umysł rejestruje w końcu te fakty.

Nie wydostaliśmy się stąd na czas. Myśliwy już tu jest.

Rozdział 28

- **NIECH TO CHOLERA!** – Bob odciąga Martina od wyjścia. Poniewczasie ruszam za nimi. Kolejny grzmot, tak głośny i bliski, że cała jaskinia wydaje się drżeć od jego echa. Burza jest zdecydowanie gwałtowniejsza niż wczoraj. Nie wiem, czy powinnam być przerażona jej dziką mocą, czy wdzięczna, że zapewnia nam ochronę. Na razie podpełzam do miejsca, gdzie Bob położył swojego zleceniodawcę na ziemi i rozerwał mu koszulę.

Ocieram Martinowi twarz z wilgoci. I widzę, że mam na palcach krew. Jego krew. Jestem nią cała spryskana.

Mdli mnie, ale szybko dochodzę do siebie. Nie będę myślała o sklepach z alkoholem ani mrocznych alejkach. Jeden koszmar wystarczy.

– Apteczka! – rzuca pośpiesznie Bob.

Przetrzęsam gorączkowo plecak i wyciągam spakowany przez Josha podręczny zestaw opatrunków.

– To nie wystarczy. Weź mój plecak. Białe pudełko. Wyjmij je.

Buszuję w jego rzeczach i w przedniej kieszeni plecaka znajduję twarde prostokątne pudełko, o wiele większe niż moje. Wręczam mu je, po czym przypominam sobie, co mówiła Luciana o stosowaniu kobiecych artykułów higieny osobistej do udzielania pierwszej pomocy. Sięgam ponownie do swojego plecaka. Nigdy nie wyciągałam z większą radością tamponów ani podpasek.

Bob kiwa już głową.

– Dobry pomysł. Ale najpierw musisz otworzyć apteczkę i wyjąć antyseptyczne chusteczki i gumowe rękawiczki. Mam zbyt brudne ręce, żeby zajmować się otwartą raną.

Patrzę na ogromne dłonie Boba, pokryte warstwą zakrzepłej krwi i kurzu. Ma rację. Wszystko we właściwej kolejności.

Martin nie krzyczy ani nie jęczy. Ma urywany oddech, jest w szoku. Ale jego twarz... nie wyraża strachu ani niepokoju, tylko wściekłość. Wpatruje się w wejście do jaskini. Jakby widział tam snajpera. Jakby planował, że zabije go gołymi rękami za to, że ośmielił się stanąć między nim i jego synem.

Próbuję otworzyć plastikową apteczkę. Są na niej czerwone zaciski, z którymi ze zdenerwowania nie mogę sobie poradzić. Im bardziej się spieszę, tym mniej skoordynowane mam ruchy.

– Frankie, przesunij je!

Udaje mi się to zrobić, ale przezroczyste wieczko nadal przylega do niebieskiego pudełka. Mam wrażenie, jakbym mocowała się z pojemnikiem z piekła rodem.

– Po bokach jest taśma. To nowa apteczka.

Jasne, pudełko jest jeszcze oklejone taśmą. Martin umrze, bo jestem idiotką.

Podczas gdy ja walczę z materiałem nieożywioną, Bob polewa wodą ramię Martina. Krew wypływa z rany, która jest wyżej, niż sądziłam. Uszkodzone są mięśnie i ścięgna, nie serce. Ale krwawienie jest obfite.

Otwieram w końcu apteczkę i sięgam do niej drżącymi rękami. Antyseptyczne chusteczki i niebieskie rękawiczki chirurgiczne. Mam je.

Bob przesuwając Martina niżej, podkłada mu pod ramię zwiniętą koszulę, by ochronić je od kurzu. Nie wyczuwam najmniejszego drżenia w palcach Boba, gdy rozrywa opakowanie chusteczek, wyciera szybko obie ręce i wciąga rękawiczki.

– No dobrze, to zaboli.

Zwraca się do Martina, nie do mnie, ale biorę sobie te słowa do serca.

– Frankie, gaziki z alkoholem.

O cholera, to zaboli.

– Liczymy do trzech. Raz, dwa...

Bob pomija „trzy” i przyciska nasączone alkoholem waciki równocześnie z obu stron do rany, z której wypływa lekko pieniąca się krew, i przytrzymuje je mocno obiema rękami. Martin krzyczy, wygina

plecy i wypręża palce stóp, gdy z zewnątrz dochodzą odgłosy kolejnych grzmotów.

– Podpaska – rzuca Bob.

Wyjmuję ją z opóźnieniem, uważając, by nie dotknąć jej powierzchni brudnymi rękami. Bob przewraca Martina na bok.

– Dobre wieści, stary. Kula przeszła na wylot. Masz szczęście.

Jestem prawie pewna, że mówi to z ironią, ale nie wdaję się w dyskusję.

Gdy ranny leży już na boku, Bob opuszcza na ziemię wacik przyłożony do pleców Martina i zastępuje go podpaską. Raz jeszcze podkłada mu pod ramię złożoną koszulę, żeby utrzymać opatrunek w miejscu.

– Tampon! – woła.

Nie chcę patrzeć na to, co teraz nastąpi, ale nie mogę odwrócić wzroku, gdy wręczam mu tampon i widzę, jak wtyka sztywny bawełniany czopek prosto w otwór po kuli. Martin znów wyje z bólu, a niebiosy odpowiadają mu następnym grzmotem.

Pochyliam się, bo czuję mdłości.

– Nie wymiotuj tutaj. – Bob mówi to tak oziębło i stanowczo, że natychmiast mijają mi zawroty głowy. Zniknął gdzieś przyjazny, dobroduszny entuzjasta poszukiwań Wielkich Stóp. Mam przed sobą człowieka, który potrafi jednym susem przeskoczyć góry, i dzięki Bogu, bo choć jedno z nas powinno wiedzieć, co robi.

Przełykam ślinę, by pozbyć się z gardła resztek żółci, i ocieram usta przedramieniem.

– Już dobrze – udaje mi się wykrztusić.

– Widzę. A teraz umyj ręce – nakazuje mi.

– Słucham?

– Wyszoruj je antyseptycznymi chusteczkami.

Robię, co mi każe, lecz z rosnącym lękiem. Jestem z natury wrażliwa. Szukanie dawno zaginionych osób to nie to samo co walka na pierwszej linii frontu. Istnieje zdecydowana różnica między prowadzeniem rozmów z ludźmi a... tym...

Ale Bob czeka, a Martin zaciska szczęki z bólu i mruży oczy. Zmywam z rąk krew i brud najlepiej, jak potrafię, a potem spoglądam na Boba, by wydał mi dalsze polecenia.

– Weź bandaż i odwiń jedną czwartą rolki.

– Okej.

– Teraz połóż go na wieczku apteczki i chodź tutaj. Potrzebuję obu twoich rąk.

Nadal nie jestem pewna, czy chcę to widzieć, ale podchodzę bliżej. Bob raz jeszcze przewraca Martina na bok. Ten reaguje stekiem przekleństw, ale się nie opiera.

Niemal natychmiast pojmuję, o co chodzi. Przyciskam podpaskę przyłożoną do ramienia Martina, by pozostała na miejscu, a równocześnie przytrzymuję wetknięty w ranę tampon, gdy Bob cofa rękę, by sięgnąć po bandaż.

– Nie puszczaj, dopóki nie skończę.

Nie będę wymiotować. Nie będę wymiotować.

Kolejne błyskawice. Kolejne grzmoty. Słyszę deszcz, dudniący o skały i pachnący świeżym powietrzem tuż przy wejściu do jaskini. Ale jestem w jej wnętrzu i odbieram zmysłami tylko lepką konsystencję i metaliczny zapach krwi.

Martin porusza ustami, ale nie słyszę, co mówi. Modli się? Przyzywa żonę? Obiecuje coś synowi?

Bob jest równocześnie obok mnie i nade mną. Porusza się szybko i sprawnie, w ogóle się nie odzywając, gdy obandażowuje Martinowi ramię. Przestaję dociskać podpaskę na plecach i tampon na piersi Martina dopiero wtedy, gdy Bob obwiązuje je bandażem. W ciągu kilkadziesiąt sekund ramię jest opatrzone, a my siedzimy na ziemi, ciężko dysząc.

Jestem cała we krwi, Bob także. Ma ją na rękach, koszuli, nawet na brodzie. Jak na ironię, Martin jest najczystszy z naszej trójki, bo jego ranę zasłania teraz bandaż.

Bob leje sobie wodę na ręce i myje je bardzo dokładnie. Potem sięga znów po apteczkę i szuka w niej środków przeciwbólowych. Otwiera

opakowanie i podaje Martinowi dwie tabletki. Ten bierze je bez protestu.

– Napij się więcej – rozkazuje, bo Martin pociągnął tylko łyk wody. – Nie, jeszcze więcej. No dobrze, zacytuję Frankie: powinniśmy, kurwa, szybko się stąd wynieść. Bo w chwili, gdy skończy się burza, będziemy wystawieni na strzał jak kaczki.

Kiwam głową.

Martin uśmiecha się. Naprawdę się uśmiecha. Ma urywany oddech, twarz poszarzałą z bólu. A jednak w jakimś sensie promienieje. Fanatyzm go nie opuszcza.

– Mam w plecaku czystą koszulę – mówi. – Wyjmij ją.

Bob wydobywa niebieski podkoszulek z mikrofibry i pomaga Martinowi go wciągnąć. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jaki Martin musi czuć ból, gdy Bob porusza jego zranionym lewym ramieniem. Ale zaciska z determinacją zęby.

– Moja kurtka – rzuca po chwili.

Potrzeba nas obojga, by go w nią wcisnąć. Nie wystarczy zarzucić mu ją na ramiona. Chce mieć ręce w rękawach.

– Muszę... być w stanie... założyć plecak – oznajmia.

– Poniosę go za ciebie – mówi Bob.

– Mój plecak ma być na moich plecach.

Przynajmniej znów mamy o co się kłócić.

Ponownie rozlega się grzmot, ale nie jest już tak głośny. Burza się oddala, jej epicentrum nie jest już nad nami. Spoglądam nerwowo na wejście do jaskini, gdzie widzę nadal strugi deszczu, ale pada mniej intensywnie. Wszystko jest teraz kwestią czasu. Popołudniowe burze trwają krótko. Uderzają mocno i szybko znikają.

I my też musimy szybko zniknąć.

Martin podnosi się z ziemi. Syczy, gdy Bob zakłada mu plecak. Jesteśmy gotowi do drogi.

Cała drzę. Czuję przyływ adrenaliny i przerażenia. Ale jestem też skoncentrowana i mam wyostrzone zmysły. Tak działa na człowieka chęć przetrwania.

Nie ma dobrych opcji. Jesteśmy jak króliki, które mają wyskoczyć na otwarte pole i biec przez nie na oczach myśliwego. Ja jestem najwolniejsza i najbardziej niezdarna. Poza tym jest ranny Martin i wielki jak stodoła Bob.

Podejrzewam, że myśliwego czeka prawdziwa uczta.

Martin przygląda się nam intensywnie. Może tego nie wie, ale chwije się lekko na nogach.

– Widzieliście, skąd padły strzały? – pyta.

Kręcę głową, gdy Bob odpowiada:

– Dwanaście metrów na północ jest urwisko. Widziałem w połowie jego wysokości błysk, jakby z lunety karabinu.

– Dobry strzał jak na tę odległość – stwierdza Martin, wskazując na swoje ramię.

Bob kiwa głową.

– Ale ruchomy cel jest trudniej trafić – dodaje jego zleceniodawca.

Bob ponownie kiwa głową.

– Pójdę pierwszy – oznajmia Martin. – Dajcie mi minutę lub dwie, a potem idźcie za mną. – Sięga do szyi i zdejmuje zdrową ręką chustę. Wydaje się w stu procentach skupiony i zdeterminowany. Ale również...

Patrzy na nas po raz ostatni.

– Dotrzyjcie do obozu. Wezwijcie pomoc. Chcę sprawiedliwości dla syna.

Potem odwraca się i wybiega na otwartą przestrzeń, powiewając pomarańczową chustą jak flagą.

– Hej, sukinsynu! Zobaczmy, czy umiesz w to trafić!

Pędzi naprzód, ale nie w kierunku lasu, który zapewniłby mu bezpieczeństwo. Biegnie wprost na północ, tam, gdzie znajduje się osiem ciał. Zmusza myśliwego, by przestał celować w jaskinię i skupił się na nim.

Słabnący pomruk burzy zostaje zastąpiony bojowym okrzykiem Martina.

– Zabiłeś mojego syna, łajdaku?! Pokaż mi się, do cholery!

Rozlega się pierwszy strzał. Pod stopami Martina eksplodują kamienie. Biegnie jednak dalej zygzakiem, powiewając chustą i prowokując napastnika głośnym krzykiem.

– Chybiłeś!

Kolejny strzał. Potem drugi, trzeci, czwarty.

Bob chwytą mnie za ramię i zmusza do wyjścia z jaskini na deszcz. Ale ja wpatruję się nadal w Martina. Obraca się, zbiczony krwią, i znowu krzyczy:

– Ty sukinsynu! Idę po ciebie! Po mojego syna. Idę, Timmy!

Potem znów rozlega się strzał i Bob wypycha mnie z jaskini na zewnątrz, do przejścia między głazami. Biegniemy przed siebie, a potem się wspinamy. W górę, w dół i biegiem. W górę, w dół i biegiem.

Deszcz smaga mi policzki. Słyszę wściekłe krzyki Martina. I kolejne wystrzały. A potem jeszcze jeden krzyk, głośniejszy, bardziej przenikliwy. Martin znów został trafiony. Snajper rozrywa go na kawałki.

– Timmy! – krzyczy Martin stłumionym głosem.

Już się nie odwracam. Mam opuszczoną głowę i skulone ramiona, włosy kleją mi się do czoła, a po policzkach płyną łzy. Robię to, czego życzył sobie Martin.

Biegnę, by ocaleć. Pędzę rozpaczliwie, bez tchu, w kierunku lasu i ścieżki prowadzącej do obozu. Tam przylecą śmigłowce. I nadejdzie w końcu pomoc.

Inni ludzie, uzbrojeni po zęby i o wiele lepiej wyszkoleni niż my, będą mogli wrócić do kanionu i zrobić, co należy.

Odnaleźć zaginionych.

Wynieść zmarłych.

Biegnę bardzo długo, a Bob za mną, aż wpadamy między drzewa. Burzowe chmury rozchodzą się i słońce osusza nasze ubrania. Docieram w końcu do strumienia, potykam się o pierwszy kamień i wpadam do lodowatej wody. Bob wcale nie próbuje mi pomóc, tylko zwała się do wody obok mnie i dyszy równie ciężko jak ja.

Nadal nic nie mówimy. Brak nam słów. Lodowata woda spływa po naszej zakrwawionej odzieży i spoconych twarzach. Mamy nadzieję, że zmyje nam też z oczu straszliwe obrazy.

Ale tak się nie dzieje, więc wstajemy i o wiele wolniej, cały czas czujnie obserwując otoczenie, idziemy do trzech mężczyzn, których zostawiliśmy w obozie.

Modląc się, by jeszcze żyli.

Rozdział 29

IDZIEMY ŚCIEŻKĄ WOKÓŁ OGROMNEGO jeziora, kierując się do obozu. W ostatniej chwili przystaję nagle i wyciężam słuch. Z tego miejsca, przykucnięta za zieloną kępą traw, widzę kolorowe namioty, ale nie dostrzegam ludzi. Cienka smuga dymu wskazuje, że ognisko nadal się pali. Czy to znaczy, że Scott, Miggy i Neil wciąż wokół niego siedzą?

Bob nie kwestionuje mojej decyzji, by się zatrzymać, i przykuca obok mnie. Spontaniczna kąpiel w strumieniu pokrzepiła nasze ciała i dusze. Ale gdy przeszliśmy na jego drugą stronę, Bob poświęcił trochę czasu, by wysmarować błotem lśniąca w ciemności jasną skórę, a potem wetrzeć je w złocistorude włosy. Poszłam w jego ślady. Mam ciemniejszą karnację niż on, ale nie aż tak bardzo.

Teraz wyobrażam sobie nas jako parę nieustraszonych komandosów w filmie akcji, ale może to historyczna reakcja.

Czekamy. Widzę namioty. Czuję dym. Nadal nie słyszę głosów.

Wymieniamy nerwowe spojrzenia.

Bob wskazuje na prawo, sugerując, byśmy zboczyli ze ścieżki w kierunku sosnowego zagajnika. Będziemy tam mniej widoczni. Kiwam głową i skradamy się przez kępy trawy do następnego upatrzonego miejsca.

Nie mam zegarka, ale mój wewnętrzny chronometr mówi, że jest pora między późnym popołudniem a wczesnym wieczorem. Słońce nie stoi już wysoko, ale brakuje jeszcze paru godzin do zachodu.

A co z wyczekiwana akcją ratunkową?

Trzy godziny to mnóstwo czasu. Zwłaszcza jeśli tropi nas ktoś z karabinem dużego kalibru.

Martin...

Nie chcę myśleć o jego ostatnich chwilach. Wolę wyobrazić go sobie z Timem i Patrice. Są gdzieś, gdzie zawsze świeci słońce, trawa jest zielona i czuje się przyjemny powiew wiatru. Ale przede wszystkim są znowu rodziną.

Docieramy do granicy zagajnika i przedzieramy się przez gąszcz cherlawych drzew i niskich zarośli. Nadal nasłuchuję głosów.

I nagle słyszę:

– Kto tam idzie? Mam karabin i nie boję się go użyć.

Dzięki Bogu, to Miggy! Robię krok naprzód, trzymając ręce w górze.

– To my. Bob i ja. Jesteście cali?

Miggy wyłania się zza omszałego głazu, nie trzymając wcale karabinu, ale czerwony pojemnik ze sprayem przeciwko niedźwiedzim.

– Gdzie Martin? – pyta.

– A gdzie Scott i Neil?

– **KIEDY OPUŚCILIŚCIE OBÓZ**, opatrzyliśmy Scottowi ranę. Posmarowaliśmy ją maścią z potrójnym antybiotykiem i zmieniliśmy bandaż. Ale po godzinie czy dwóch zauważyłem, że wzrasta mu gorączka, a Neil zaczął wymiotować.

Bob i ja mrużymy oczy, patrząc na Miggy'ego. Stoimy na skraju zagajnika, wystarczająco blisko miejsca, z którego Miggy mógł obserwować obóz, widząc równocześnie, co dzieje się wokół. Zauważam, że wciąż ściska kurczowo pojemnik z gazem pieprzowym, a w jego spojrzeniu jest czujność, którą zawsze kojarzyłam z Nemethem.

– Co gorsza – kontynuuje – wciąż słyszałem jakieś odgłosy w lesie. Coś się tam poruszało. Coś dużego. Odważyłem się wyjść parę razy z obozu, żeby sprawdzić, co to jest, ale niczego nie zobaczyłem. Znalazłem tylko świeżo połamane zarośla. A potem, gdy wróciłem do ogniska, zobaczyłem, że namiot Martina jest otwarty. Wiedziałem, że wcześniej zamek był zasunięty, więc poszedłem tam. – Głos mu drży.

Trudno mi sobie wyobrazić, jak się wtedy czuł. Gdy podchodził do namiotu, wiedząc, że musi do niego zajrzeć i sprawdzić, czy nie ma tam

potworów. Że odpowiada za dwóch najlepszych przyjaciół. I że jednego już w tych lasach stracił.

– W namiocie niczego nie znalazłem – mówi Miggy. – To znaczy, nie było tam nikogo. Ale zobaczyłem stertę rozdartych foliowych woreczków z żywnością. Ktoś je tam wrzucił. Cały stos zmarnowanego jedzenia. – Miggy krzywi się.

Jestem nadal zdezorientowana, więc milczę.

– Przynęta na niedźwiedzia – stwierdza Bob.

– Tak. Wtedy sprawdziłem inne namioty i obszedłem cały obóz. I wszędzie była porzrzucana żywność.

Otwieram szeroko oczy. Teraz wszystko rozumiem. Ktoś, kto skradł nasz prowiant, wrócił i wykorzystał go do sabotażu w całym obozie. Chciał zwabić grizzly. Niedźwiedź, natknąwszy się na trzech rozgrzanych przy ognisku ludzi, urządziłby sobie niezłą ucztę.

Ratownicy, którzy poniewczasie by do nas dotarli, uznaliby to za niefortunny wypadek. Tragiczny błąd niedoświadczonych biwakowiczów, pozostawionych własnemu losowi, gdy przewodnik poszedł wezwać pomoc.

– Która to była godzina? – pytam.

– Nie jestem pewien. Może południe? Zaczynałem właśnie wyobrażać sobie moje ulubione lunche. Smakowitą kanapkę z wołowiną i chrzanem. Tacos mamy, z krewetkami, plasterkami awokado i świeżą kolendrą...

Miggy wzrusza ramionami, a przez jego zachcianki zaczyna nam burczeć w brzuchu.

– Scott nadal miał gorączkę – ciągnie Miggy. – Neil czuł mdłości i był oszołomiony. Zaciągnąłem ich w końcu do naszego namiotu, dokładnie go zamknąłem, a potem zebrałem łopatą tyle żywności, ile się dało. Nie miałem pojęcia, co z nią zrobić, więc wykopałem dziurę po drugiej stronie jeziora i tam ją wrzuciłem. Myślę, że niedźwiedzie mają dobry węch. A skoro tak, to wołałem, żeby urządziły sobie nieoczekiwaną ucztę jak najdalej ode mnie. Chociaż nie mogłem zbyt daleko się oddalić, bo co by było, gdyby Scottowi się pogorszyło albo Neil znów wymiotował? Albo gdyby wrócił ten szaleniec i coś im zrobił pod moją nieobecność?

W głosie Miggy'ego znów pobrzmiwa nuta niepokoju. Nikt z nas nie chciałby przeżywać ponownie tego dnia.

– Oni są nadal w namiocie – oznajmia. – Ale obserwuję obóz stąd, na wypadek gdyby ten ktoś wrócił. Albo gdyby pojawił się niedźwiedź. Zaglądam do nich mniej więcej co pół godziny i przynoszę im wodę. Został mi tylko jeden kompres z suchego lodu dla Neila i kilka tabletek ibuprofenu dla Scotta. Nadciąga pomoc, prawda? Nemeth i Luciana powinni już dotrzeć do szeryfa, a on rozpocznie akcję ratunkową, wyślą śmigłowiec i zostaniemy ocaleni. Lada chwila. Lada chwila.

Miggy wstaje, przechadza się zdenerwowany tam i z powrotem, po czym siada na pniaku i wpatruje się w pojemnik z aerozolem w swojej drżącej dłoni. Jest na skraju załamania. Biorąc pod uwagę, co dzisiaj przeżył, wcale mnie to nie dziwi.

Wciąga głęboko powietrze, a potem powoli je wydycha i podnosząc wzrok, pyta:

– Gdzie jest Martin?

POZWALAM, BY BOB MU odpowiedział. Nie jestem pewna, czy stać mnie na szczegółową relację z tego, co się stało. Bob mówi zwięźle, co nie oznacza, że jego opowieść brzmi mniej strasznie.

– Jak to? W kanionie są szczątki ośmiu ludzi? Zostali zamordowani? Kpisz sobie, kurwa, ze mnie?

Bob unosi uspokajająco rękę. Opowiada o tym, jak snajper postrzelił Martina i jak ten postanowił wybiec na zwał głazów, by odwrócić uwagę napastnika od nas.

– Jest tam jakiś szaleniec z karabinem dużego kalibru, który chce nas pozabijać? – nie może uwierzyć Miggy. – Jezu Chryste! Może tu być lada chwila. Kurwa!

Zrywa się na nogi, ale już się nie przechadza. Pochyla się i trzyma głowę między kolanami, jakby starał się nie zemdleć. Bob nic już nie mówi. Po tym, jak usłyszałam jego relację, stwierdzam, że z trudem

oddycham. Przypominam sobie, jak wróciliśmy do Martina, żeby go ocalić, a w końcu uciekliśmy w przeciwnym kierunku niż on.

Nie było czasu do namysłu. Należało działać. Działanie wiele usprawiedliwia. Teraz, gdy jest już po wszystkim, muszę stawić czoło temu, co się wydarzyło, temu, co straciliśmy.

Chodzę w kółko i staram się wziąć w garść. Wystarczy, że Miggy nie może się pozbierać. W dodatku wygląda na to, że Neil i Scott są w gorszym stanie. Do zachodu słońca brakuje kilku godzin, a snajper może zjawić się tu w każdej chwili. Możliwe nawet, że już nas obserwuje, czając się za drzewami i przyciskając do ramienia kolbę karabinu.

Po zrobieniu jeszcze sześciu okrążeń słyszę nagle za sobą wyraźny hałas i odwracam się raptownie.

To Scott. Stoi na skraju obozu, blady i spocony.

– Neil znowu wymiotuje – oznajmia. – Musimy go stąd zabrać.

BOB IDZIE SPRAWDZIĆ, CO z Neilem, a ja zostaję z Miggym, który patrzy w ziemię. Scott siedzi na pniaku. Nie wygląda dobrze, ale najwyraźniej stara się wziąć w garść ze względu na przyjaciela.

– Słyszałem was – odzywa się. – Słyszałem, co mówiliście. Jakiś facet zabija tu ludzi i wy to odkryliście?

– Myślę, że Daisy wywęszyła wczoraj szczątki – mówię. – Ale była zdezorientowana, bo leżały głęboko pod stertą głazów. – Chociaż nie jestem pewna, czy rzeczywiście tak było, skoro ma doświadczenie w poszukiwaniu ofiar pod gruzami.

– Nie sądzę, żebyśmy mogli tu zostać – mruczy Scott.

Też tak uważam, więc kiwam głową.

– Myślisz, że Neil może ruszyć w drogę? – pytam.

– Jeśli załadujemy go z powrotem na nosze i będziemy go nieść na zmianę...

Mierzę go wzrokiem. Akurat jest w stanie cokolwiek teraz dźwigać! Ale słusznie zauważa: mamy nosze, a to lepsze niż nic.

- Zostawiamy cały sprzęt – wtrąca Miggy. – Namioty, a nawet rozpalone ognisko z garnkiem na ogniu.

- Dla zmylenia przeciwnika – podchwytuję myśl. – Żeby skupił uwagę na obozowisku, a my tymczasem się wymkniemy.

- Moglibyśmy nawet wypchać czymś śpiwory. – Scott uśmiecha się ironicznie. – Tak jak w dzieciństwie, gdy wykradaliśmy się z domu, zostawiając pod kołdrą manekiny z ubrań.

- Dokąd pójdziemy? – pytam. – Nie zdołamy zejść z Neilem ani z tobą – wskazuję na Scotta – aż na sam dół. Zwłaszcza przed zmrokiem.

- A gdybyśmy przeszli tylko półtora kilometra? – mówi z namysłem Miggy. – Z powrotem do rzeki, do podnóża tego ostatniego stromego zbocza, które doprowadziło nas do kanionu? To mniej otwarty teren, łatwiejszy do obrony. Jest tam dostęp do wody, będziemy też wystarczająco blisko, by zobaczyć nadlatujące śmigłowce. Moglibyśmy dawać im sygnały latarkami.

- Wąwóz nie jest dość szeroki, żeby mógł tam wylądować śmigłowiec – zauważam.

Scott wyciera rąbkiem koszuli spoconą twarz.

- Nie musi lądować – wyjaśnia. – Mogą spuścić nosze, nie mówiąc już o ratownikach. To trochę trudniejsze zadanie, ale wykonalne. No a skoro tamten teren nie jest tak otwarty, to mając za plecami brzeg rzeki albo zagajnik, dostrzeżemy przynajmniej nadchodzące zagrożenie.

- Mamy karabin – dodaje Miggy. – Że nie wspomnę o kilku pojemnikach gazu pieprzowego. Starczy psiknąć komuś w oczy tym głównym, a nie będzie w stanie wymierzyć do ciebie z broni.

Kiwam głową. Nie jestem pewna, na ile to wszystko jest realne, ale mamy już jakiś plan, a potrzebujemy go. Plan oznacza listę zadań, która zapobiega pogrążeniu się w strachu. Plan daje poczucie kontroli, nawet jeśli tylko iluzoryczne.

W końcu Miggy podnosi patyk i zaczyna szkicować na ziemi nasze opcje obrony. Scott odhacza rzeczy, które należy zrobić. Gdy Bob wraca, by powiedzieć nam o stanie Neila to, czego już się domyślaliśmy, jesteśmy gotowi.

Miggy pokazuje patykiem rysunek na ziemi.

- Okej, oto jak przetrwamy, zanim zabierze nas stąd śmigłowiec.

Rozdział 30

DZIAŁAMY SZYBKO. BOB I Miggy muszą uzdatnić nosze, by przygotować je do wędrówki po stromym zboczu. Nacinają gałęzie, dodają poprzeczny drążek, związują liny, żeby można było opuszczać nosze z góry, bo będą zbyt ciężkie, by dwie osoby mogły utrzymać je od dołu.

Jestem teraz dziewczyną na posyłki. Przetrzęsam namiot Martina w poszukiwaniu lin. Chwytam rolkę taśmy klejącej, a potem puste pojemniki na wodę. Gdy Bob i Miggy mają już wszystko, czego potrzebują do przygotowania noszy, dołączam do Scotta, by pomóc mu w mistyfikacji, która ma zmylić przeciwnika. Zwijamy brudną odzież i upychamy ją do śpiworów, by wyglądało na to, że ktoś w nich śpi.

Czuję, że radzę sobie z tym dużo lepiej niż Scott, ale przecież w czasach zmarnowanego dzieciństwa spędziłam wiele godzin, doskonaląc umiejętności w tej dziedzinie.

Teraz pora zająć się Neilem. W jego namiocie cuchnie wymiocinami. Naprawdę źle wygląda. Ma bladoszarą cerę. Jest półprzytomny i przygląda się nam spod ciężkich powiek, gdy rozchylamy poły śpiwora i wyciągamy go z namiotu najostrożniej, jak się da.

Oglądam tył jego głowy. Rana już nie krwawi, ale guz jest ogromny. Martwię się, czy nie ma obrzęku mózgu, ale nie nabyłam nagle w magiczny sposób większej medycznej wiedzy, niż posiadałam minutę wcześniej. Woda dla pacjenta, lód na ranę głowy. Żadnego ibuprofenu, bo rozrzedza krew i może zwiększyć krwawienie. Tylko tyle wiem i nie jestem nawet pewna skąd.

Scott i ja wymieniamy nerwowe spojrzenia. On także jest blady i spocony, ale najwyraźniej nie zamierza powtórzyć błędu sprzed pięciu lat i nie zostawi kolegi samego. I jest pewnie zdeterminowany, by wrócić

do poślubionej niedawno żony i nienarodzonego dziecka. Miłość i wyrzuty sumienia. Trudno o silniejszą motywację.

Bob przynosi Neila na ulepszone nosze i owija go śpiworem. Jeszcze raz rozglądamy się wokół, świadomi, że myśliwy może pojawić się w każdej chwili albo już celuje do nas z karabinu.

Miggy zajmuje się ogniskiem; stara się ogrodzić je tak, żeby nadal płonęło, ale by nie rozpałiło się zanadto. Pozostawianie ogniska bez opieki to poważne naruszenie zasad biwakowania. Ale zważywszy na bezpośrednie zagrożenie naszego życia, musimy zaryzykować.

Wlewamy do manierek resztę przegotowanej wody. Napełniam jeszcze wodą z jeziora garnek, a Miggy zawiesza go nad ogniskiem. Spójrzcie na to tętniące życiem obozowisko, gdzie trwają już przygotowania do kolacji!

A teraz najtrudniejsze zadanie. Miggy i Bob zajmują pozycje przy drogach z przodu noszy. Na trzy unoszą ich przednią część. Neil leży nogami w dół, by krew nie uderzała mu do głowy.

Scott idzie z przodu, bo ma gorączkę i musimy mieć go na oku. A ja, najgorzej radząca sobie w górach, zostaję na końcu. Roześmiałabym się, gdybym nie była tak przerażona.

Oto nasza skromna pięcioosobowa ekipa. Jeden człowiek ranny, ale przynajmniej idący o własnych siłach. Jeden całkowicie unieruchomiony. Dwóch mężczyzn, którzy muszą go dźwigać. I ja.

Miggy uznał, że zdołamy przejść półtora kilometra. Oby miał rację.

Nie wiedziałam o wędrowaniu przez góry tak wielu rzeczy i nadal wolałabym nie wiedzieć. Przy wspinaczce na to niesamowicie strome zbocze paliły mnie mięśnie, serce waliło jak młotem i czułam ból w piersiach, ale schodzenie w dół jest gorsze.

Trudno utrzymać równowagę. Kamyki i sypka ziemia osuwają nam się spod nóg, więc bardziej się ślizgamy, niż idziemy. Dla mnie i Scotta jest to kłopotliwe, ale dla Boba i Miggy'ego, którzy starają się utrzymać nosze – cholernie niebezpieczne.

Krótkie strome odcinki okazują się najłatwiejsze. Bob zeskakuje pierwszy. Potem, ponieważ jest wyższy, chwytą drągi z przodu, niemal kładąc je sobie na ramiona, podczas gdy Scott, Miggy i ja dźwigamy tylną

część noszy. Wysiłek jest potworny, zważywszy na zmęczenie mięśni, ale przynajmniej ból trwa krótko.

Natomiast na niewiarygodnie długich stromych zboczach, na które wcześniej musieliśmy się wspinać na czworakach... Teraz rozumiem, czemu miały służyć przeróbki, których dokonali Bob i Miggy. Bob, włożywszy rękawiczki, trzyma końcówkę liny przymocowanej do górnej części noszy i przesuwając ją powoli w dłoniach. Na naprawdę długich odcinkach owija ją wokół pnia najbliższego drzewa, by łatwiej poradzić sobie z ciężarem. Ale tak czy inaczej, opuszczanie Neila na noszach nogami do przodu to straszliwie powolna czynność, wymagająca napinania mięśni i zaciskania zębów. Miggy i ja musimy przytrzymywać z obu stron końcówki drągów u dołu noszy, by zamortyzować ich opadanie. Przez to, że jestem znacznie niższa, nasze przechylają się niebezpiecznie na bok. Po pierwszym odcinku trasy Scott zajmuje moje miejsce. Ale osuwające się nosze niemal od razu powalają go ciężarem na kolana.

Gdy pokonujemy trzeci ostro opadający odcinek trasy, jestem gotowa krzyczeć z wyczerpania, a Neil pojękuje cicho z powodu wstrząsów i uderzeń. Wątpię, czy przeszliśmy choćby trzysta metrów. Długo tak nie wytrzymamy.

Scott klęczy z opuszczoną głową, próbując złapać oddech albo starając się nie zwymiotować, a może jedno i drugie.

Miggy stoi, ale najwyraźniej jest wykończony. Nawet Bob ma już dość, bo przez całą drogę to on wkładał najwięcej wysiłku w transportowanie noszy.

– Zostawcie... mnie... – szepcze Neil. – Połóżcie gdzieś... przy szlaku.

– Nie – odpowiada ostro Miggy.

– Kiedy nadejdzie... pomoc... odnajdą mnie.

– Nie – rzuca Scott.

– Trzeba... więcej ludzi... do dźwigania noszy – upiera się Neil. – Jest was... za mało.

Niemal wybucham płaczem. Jest nas za mało... Ja nie wystarczam. Nigdy nie wystarczałam.

Odzywa się Bob.

– Damy radę. Musimy tylko... chwilę odpocząć.

– Pieprzyć to! – Miggy zwraca się do Scotta. – Nie potrzebujemy więcej ludzi, tylko lepszego sprzętu.

Scott prostuje się i wpatruje w niego.

– Liny i bloczka? Ale nie mamy bloczków.

– Za to mamy linę. – Miggy zwraca się do Boba: – Pewnie nie masz w plecaku płytek kotwiących, karabińczyków albo zaczepów?

– Hm... mam kilka karabińczyków w kształcie litery D.

Miggy zastanawia się.

– Lina, karabińczyki... – Rozgląda się. – I tyle drzew i głązów, ile dusza zapagnie. Co powiesz, Scott?

– Niech moc będzie z nami – odpowiada Scott zmęczonym głosem.

– To mi się podoba. W porządku. Wdrażamy nowy plan.

WSZYSCY PRZECZESUJEMY PLECAKI i wyciągamy z nich każdy karabińczyk, jaki udaje nam się znaleźć. Nie miałam pojęcia, że mają tyle kształtów i rozmiarów, nie wspominając o pięknych metalicznych kolorach, ale chyba tylko na mnie ten szczegół robi wrażenie. Miggy i ja zasiadamy ze stertą sprzętu obok półprzytomnego Neila, podczas gdy Scott i Bob idą do lasu, by znaleźć odpowiednie drzewa. Wydobywam z pochwy złowrogi nóż, gotowa przypuścić atak na linę, choć mam tak zgrubiałe i opuchnięte palce, że mogę przypadkiem je sobie uciąć. Miggy nie potrzebuje jednak krótkich odcinków liny, lecz długich.

W końcu dobieram je tak, by były tej samej długości, a on zaczyna je wiązać.

– Znasz się na węzłach – zauważam. – Byłeś skautem?

– Tak.

– Ale nie lubisz biwakowania?

– Hej, brałem udział w wyścigach gokartów! Już jako dzieciak lubiłem szybką jazdę!

Nie znam się na konstrukcji samochodów i nigdy nie byłam dobra z fizyki. Ale, jak wyjaśnia mi Miggy, jeśli stosuje się linę i bloczki, można wytworzyć wystarczające tarcie, by zmniejszyć ciężar opuszczanego w dół przedmiotu. Ponieważ nie mamy prawdziwych bloczków, Miggy zamierza wykorzystać dwa albo trzy wybrane przez Scotta drzewa, by owinąć wokół nich linę.

Zostanie przeciągnięta z lewej strony jednego pnia, a potem z prawej strony drugiego, co spowoduje tarcie niezbędne do tego, by spowolnić w naturalny sposób opuszczanie noszy i ułatwić zadanie dwóm stojącym na dole osobom, które będą je przejmować.

Brzmi to dobrze, choć zważywszy na tłumione przekleństwa Miggy'ego, domyślam się, że nie jest aż tak proste. Czy w ogóle możliwe.

Scott i Bob wracają po tym, jak wybrali odpowiednie drzewa, i po ostatnim westchnieniu, modlitwie i przekleństwie Miggy oznajmia, że jesteśmy gotowi.

On i ja zakładamy rękawiczki. Będzie powoli poluzowywał linę między pniami drzew. Ja mam go asekurować, na wypadek gdyby tarcie okazało się niewystarczające i lina rozwijałaby się zbyt szybko. Bob i Scott będą schodzili z noszami. Jeśli Miggy i ja dobrze się sprawimy, Scott powinien dać sobie z tym radę.

Miggy owija linę wokół wybranych drzew; mocuje ją kilkoma karabińczykami do pni i przypina jej końcówkę do noszy. Potem Bob i Scott chwytają drągi przy stopach Neila i zaczynają schodzić po stromym zboczu. W ciągu paru sekund nosze są w niemal pionowej pozycji i obaj muszą wyczerpać siły, by nie runęły w dół. Miggy szarpie linę mocno w lewo, tak że ta okręca się wokół najbliższego drzewa – w ten sposób powstaje prowizoryczny hamulec. I wtedy zaczyna się przygoda.

Początkowo bardzo mi się to podoba. Przede wszystkim mogę stać z boku i nic nie robić, a tylko do tego jestem w tym momencie zdolna. Nawet Miggy wydaje się na luzie, kiedy odwija powoli linę przez pierwszy karabińczyk, wokół pierwszego gigantycznego pnia.

Słyszę jej delikatny szelest, gdy przesuwają się po chropowatej korze. Potem dźwięk staje się nieco głośniejszy. Miggy krzywi się, bo lina

najwyraźniej rozwija się teraz szybciej. Odchyła się do tyłu, by ją przytrzymać.

– Ile... jeszcze?! – krzyczy, ale nikt mu nie odpowiada.

Zerka na mnie i wtedy ruszam do akcji. Ale ważę za mało, bym mogła mu pomóc.

– Trzeba... zwiększyć tarcie!

Stojąc za Miggy, dostrzegam w pobliżu wyschniętą jodłę i biegnę do niej, by opasać ją liną. Dołączenie tego dodatkowego „błoczka” pomaga tylko na chwilę, ponieważ ocierająca się o pnie lina zdziera z nich korę, co redukuje tarcie. Miggy zaciska zęby. Ciągniemy z całych sił. Jego mięśnie są napięte do granic, moje kościste ramiona trzeszczą. I nagle...

Lina wiotczeje. Tak bardzo, że Miggy i ja niemal się przewracamy. Nie słyszymy krzyków ani przekleństw. Szybko podbiegamy do miejsca, z którego możemy spojrzeć w dół.

Bob i Scott stoją daleko w dole. Bob uśmiecha się szeroko, a Scott, prawie leżąc, śmieje się histerycznie.

– To było fantastyczne! – grzmi Bob, patrząc na nas. – Chcę jeszcze raz!

Miggy chwieje się. Zanim udaje mi się go złapać, upada na kolana. Patrzę przerażona. Ale nie przeżywa załamania, nie płacze. Po prostu kręci głową.

– Nie mogę uwierzyć, że to zadziało – mówi. Potem podnosi wzrok, by spojrzeć mi w oczy. – Cholera, Tim byłby z nas teraz dumny. Sukinsyn miałby z tego frajdę.

Rozdział 31

GDY KOŃCZYMY FORSOWNY MARSZ w dół zbrocza, niebo już ciemnieje. Przechodząc przez strumień u podnóża wzgórza i wkraczając na polanę, wyglądamy jak grupa wycieńczonych, niechlujnych wyrzutków. Neil, otulony kocem na noszach, otwiera szkliste oczy.

– Powiedzcie mi, proszę... Czy już?

– Prawie – uspokaja go Scott. Jego rozgorączkowana twarz przybrała teraz ziemistą barwę i od dwudziestu minut nie może opanować dreszczy. O zachodzie słońca ochłodziło się, ale drżenie Scotta ma najwyraźniej więcej wspólnego z jego psychiką niż temperaturą panującą na zewnątrz.

– Chcę wstać! – jęczy Neil.

Nie mam mu tego za złe. Przez wiele godzin wstrząsaliśmy nim jak lalką w wózecku. Jeśli wcześniej nie odczuwał bólu, teraz już na pewno go czuje. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek byłam równie wycieńczona, ale przecież mówię to od kilku dni. Najwyraźniej nie da się określić granic fizycznego wyczerpania i gdy myślisz, że osiągnąłeś już kres wytrzymałości, trzeba iść dalej.

Obserwujemy z niepokojem zapadający zmierzch. Bob ma przewieszony przez ramię karabin, gotowy do użycia. Mówię sobie, że noc nam sprzyja. Ciemność zapewnia osłonę. Późna pora oznacza, że wkrótce nadejdzie pomoc. Z pewnością Nemeth, Luciana i Daisy dotarli już do miasta. Wyobrażam sobie, jak dzwonią do cieszącego się powszechnym szacunkiem szeryfa Kelleya. Po chwili startuje z lądowiska, jak na filmie sensacyjnym, śmigłowiec z ekspertami od akcji ratunkowych, uzbrojonymi po zęby i zaopatrzonymi w porcje gorącej żywności. Puszczając wodze fantazji, dodaję jeszcze do tego obrazu kąpiel z bąbelkami w wannie z parującą wodą w komorze bagażowej śmigłowca, choć brzmi to mało wiarygodnie.

Dochodzimy na skraj sosnowego lasu i spoglądamy na siebie niepewnie.

W tym samym miejscu zatrzymaliśmy się na posiłek zaledwie dwa dni temu. Kiedy byliśmy młodszy i w dużo lepszej kondycji. Kiedy Martin jeszcze żył, jedynym problemem kolegów z uczelni były ich zadawnione urazy, a ja sądziłam, że spontaniczna decyzja, by dołączyć do ekspedycji w górach, pozwoli mi przeżyć przygodę. Teraz przypominamy ofiary trzęsienia ziemi... a niektórzy z nas pozostali pod gruzami.

Bob spogląda w kierunku, z którego przyszliśmy. Podnosi rękę, byśmy zachowali ciszę, staramy się więc nawet nie oddychać za głośno. Nasłuchujemy odgłosów trzaskających gałęzi, zbliżających się kroków, osuwających się skał. Słyszę głównie łomot swojego serca. Potem, gdy puls powoli się uspokaja, zaczynają do mnie docierać odgłosy nocy. Brzęczenie owadów, kumkanie żab, pohukiwanie samotnej sowy.

Mój puls spowalnia jeszcze bardziej. Tyle się tutaj dzieje, w tym ogromnym świecie natury. Jesteśmy tu intruzami, z nienasyconymi apetytami i grzmiącymi karabinami. Szkoda, że nie możemy na chwilę się zatrzymać, by spędzić choć jeden wieczór, delektując się odgłosami otaczającej nas przyrody.

Ale choć nie słyszymy na razie, by zbliżał się prześladowca, jest to tylko kwestią czasu, kiedy się pojawi. Gdy zbada dokładniej obóz i zda sobie sprawę, że go opuściliśmy, ruszy za nami szlakiem wychodzącym z kanionu.

Może uzna, że ma mnóstwo czasu, by dopaść ranną zwierzynę, i nie będzie się wcale spieszył. Zatrzyma się, by zjeść gorący posiłek. Utnie sobie drzemkę. Umyje się w jeziorze. Będzie chciał wyglądać jak najlepiej, zanim dopadnie i zastrzeli pięć niewinnych osób. To są moje kolejne pobożne życzenia, ale tylko na tyle mnie stać.

Scott ma tak silne dreszcze, że szczęka zębami. Miggy szpera w plecaku i wyciąga cienką kurtkę z podpinką. Scott przyjmuje ją z wdzięcznością.

– Co teraz? – zwraca się Miggy do Boba.

Łowca Wielkich Stóp waha się.

– Jesteśmy tu za bardzo widoczni. Powinniśmy ukryć się gdzieś w głębi lasu.

– Żebyśmy nie byli zbyt łatwym celem? – pyta z przekąsem Scott.

– Pomoc nadejdzie. Musimy jeszcze trochę wytrzymać.

Miggy kiwa głową. Trzyma w dłoni latarkę.

– O ile pamiętam, tam jest łąka. Nie nadaje się na kryjówkę, więc pójdę najpierw na rekonesans w przeciwnym kierunku. Wrócę szybko.

Wchodzi w las i przeciska się bokiem między sosnami. Bardzo mi się nie podoba, że znów się rozdzielamy, ale nie widzę innego wyjścia. Żeby czymś się zająć, wyciągam filtr do wody i czerpiąc ją ze strumienia, napełniam wszystkim manierki. Potrzebujemy jej mnóstwo, zważywszy na kompletne wyczerpanie i wyschnięte gardła.

Jeszcze kilka dni temu nie słyszałam o „regule trójek”. Teraz stosuję ją w praktyce. Znaleźć schronienie – zadanie Miggy’ego. Dostarczyć wodę – moje. Zapewnić żywność – Josh już się o to postarał, gromadząc zapas czekoladek z masłem orzechowym. Nigdy nie pragnęłam tak bardzo słodyczy na kolację, nawet jeśli ma ich być niewiele.

Wracam z napełnionymi manierkami w tej samej chwili, w której Miggy wyłania się z lasu.

– To niedaleko – oznajmia i prawdopodobnie tylko taką odległość jesteśmy w stanie pokonać z noszami.

Bob chwyta je z jednej strony, Miggy z drugiej i znów ruszamy w drogę.

W lesie panują ciemności. Nieprzeniknione. Jak w krainie złej czarownicy. Odgłosy, które słyhać w leśnej gęstwinie, brzmią bardziej złowrogo. Mniej świergotu, więcej szumu skrzydeł. Mniej pohukiwania, więcej skrzeczenia.

Biedny Bob jest niemal zgięty wpół, gdy ciągnie mozolnie nosze przez gęsty las. Chwytam ich dolną część i unoszę je niezdarnie, by pomóc mu pokonać skałę, potem duży krzak, a na koniec wyjątkowo strome wzniesienie. Parę metrów dalej Scott przychodzi mi z pomocą, podtrzymując nosze z drugiej strony. Ślizgamy się na sosnowych szyszkach, ale dysząc i klnąc, posuwamy się naprzód. Mam nadzieję, że

nasz prześladowca jest wiele kilometrów dalej, bo przedzierając się przez las, hałasujemy jak stado słoni.

Miggy nagle się zatrzymuje. Stajemy obok zakola strumienia. W słabym świetle widzę jedynie stertę omszałych głazów i wielką jamę – wykrot pod zwaloną sosną. Jej korzenie, wyrwane z ziemi, wyglądają jak ogromna ściana w kształcie wachlarza. To łagodne zagłębienie, zasłonięte od tyłu potężnym pniem drzewa, stanowi idealne miejsce dla grupy ludzi, którzy chcą się ukryć. Miggy się spisał.

Zaczynamy rozbijać obóz na wilgotnej ziemi. Nie zabraliśmy śpiworów i namiotów, ale zważywszy na panującą nocą niskie temperatury, wzięłam wszystkie koce ratunkowe, które zdołałam znaleźć. Wyciągam je z plecaka i zaczynam rozkładać. Są szeleszczące i cienkie, ale cieplejsze, niż na to wyglądają: mają srebrną wyściółkę, która utrzymuje ciepło ciała. Bob wyjmuje czarny worek na śmieci z grubej folii i kładzie go na ziemi, by zabezpieczyć się przed wilgocią. Szybko idziemy w jego ślady.

– Chcę wstać! – jęczy znowu Neil. – Błagam!

Miggy i Scott rozwiązują go i pomagają mu usiąść. Neil krzywi się, trzymając się za głowę.

– Kurwa! – przeklina. Próbuje stanąć na nogi i pewnie by upadł, gdyby Miggy go nie chwycił. Neil przysiadła więc obok noszy. – Nie dam się w to wsadzić... nigdy więcej!

Nikt z nas nie wdaje się w dyskusję.

– Nie mamy już okładów z suchego lodu – oznajmiam. – Ale mogę zamoczyć chustę w lodowatej wodzie.

– Jesteśmy blisko rzeki? Z lodowatą wodą?

– Jest dość zimna.

– Zabierzcie mnie tam – prosi Neil i unosi ręce.

Miggy chwyta go z jednej strony, a Scott próbuje z drugiej, ale syczy, gdy odzywa się zainfekowana rana na piersi.

Odsuwam go na bok i zajmuję jego miejsce. Jeden inwalida wystarczy.

Do strumienia mamy tylko trzy metry i dobrze, bo nie sądzę, by Neil zdołał przejść choć kilka centymetrów więcej. Wyciągnięty ze swojego

kokonu, drży na całym ciele. Kiedy docieramy na skraj strumienia, pada na kolana.

– Jak tu jest głęboko?

Miggy świeci latarką po powierzchni wody. Ja wkładam do niej rękę.

– Płytko – oznajmiamy równocześnie.

– Super. Położę się... na plecach. Włóżcie mi... głowę... Niech woda... ją obmywa... Chcę, żeby była zimna... bardzo zimna... Błagam, niech będzie, kurwa, lodowata.

Rozumiem, do czego zmierza. Chce użyć strumienia jak okładu z lodu, żeby oczyścić ranę i zmniejszyć obrzęk. Niezły pomysł, zwłaszcza że jego wstrząśnięty mózg cierpiał przez cały dzień.

Wspólnym wysiłkiem Miggy i ja układamy go w odpowiedniej pozycji. Oboje kończymy mokrzy. Ale w momencie, gdy tył głowy Neila zanurza się w lodowatej wodzie, jego westchnienie ulgi jest jednoznaczne.

Podtrzymujemy go z dwóch stron, przykucnięci na skalistym dnie strumienia. Będziemy musieli zrzucić z siebie mokrą odzież, gdy tylko wrócimy do jamy pod sosną, i ubrać się ciepło na noc. Ale warto się poświęcić, by przynieść Neilowi ukojenie.

– Jeśli śmigłowiec nie przyleci tej nocy... jutro pójdę pieszo – mówi. – Żadnych noszy... to śmiertelna pułapka. Koniec kropka.

Miggy i ja kiwamy głowami, po czym wymieniamy spojrzenia nad głową Neila. Lepiej, żeby śmigłowiec przyleciał.

W końcu Neil ma już dość. Pomagamy mu usiąść i dajemy chwilę, by oprzytomniał. Oglądam w świetle latarki ranę na jego głowie. Moim zdaniem wygląda nieco lepiej, ale może to tylko moje pobożne życzenie.

Neil wyciąga ręce. Pomagamy mu wstać. Wraca do obozu pewniejszym krokiem.

Siada na rozłożonym na ziemi worku. Miggy ściąga z niego przemoknięty T-shirt. Ja wyjmuję z plecaka Neila koszulkę z długimi rękawami, a potem jeszcze flanelową koszulę i kurtkę. Miggy pomaga mu się przebrać, po czym sięga po swoje rzeczy.

Odwracam się plecami do mężczyzn, by zdjąć z siebie górę. Potem, gdy zdaję sobie sprawę, jak bardzo przemoczyłam w strumieniu spodnie, ściągam również je. Jesteśmy zbyt wyczerpani, by przejmować się takimi drobiazgami jak skromność.

Wkładam na siebie wszystko, co mam w plecaku, po czym chwytam jeden z koców ratunkowych i otulam się nim. Nadal jest mi zimno. Jak nam wszystkim.

– Rozpalimy ognisko? – pyta cicho Miggy, patrząc na Boba.

– Zapach dymu... – Bob wzrusza ramionami.

Czyli nie.

Kiwamy posępnie głowami. Nikt się nie dziwi. Jesteśmy żalosną ekipą – przerażoną i wycieńczoną – ale jakoś się trzymamy. Spoglądamy po kolei w niebo. Wypatrujemy i nasłuchujemy, czy nadciąga oczekiwana pomoc.

Jeszcze nie.

Wyjmuję czekoladki z zapasów Josha i zaczynam je rozdzielać. Przypadają po trzy małe czekoladki z masłem orzechowym na osobę. Bob odmawia.

– Nie lubię aż tak bardzo czekolady – mówi.

– Każdy lubi. No już, potrzebujemy siebie nawzajem. Musimy być silni.
Weź!

Bob patrzy tęsknie na złożoną folię i poddaje się, ciężko wzdychając. Bierze do ręki słodczyce, jakby były cennymi klejnotami. Rozumiem go. Sama nie mogę się zdecydować, czy je zjeść, czy delektować się w nieskończoność ich odurzającym zapachem.

Zaledwie wczoraj obiecywałam sobie, że jeśli przeżyję tę ekspedycję, nie tknę więcej musli. Teraz myślę, że gdybym ocalała, nie będę już nigdy na nie narzekać.

Zjadamy po kolei nasze przysmaki. Scott wyjmuje jeszcze dwa batony. Dzielimy je na trzy części, co daje sześć porcji na pięć osób. Scott wręcza szóstą Bobowi.

– Jesteś dwa razy większy od każdego z nas.

Bob znów zamierza protestować, ale głos Scotta jest stanowczy, a jego słowa brzmią logicznie.

Kończymy posiłek – jakikolwiek jest – i ponownie wpatrujemy się w niebo.

– Która godzina? – pyta cicho Neil. Na razie udało mu się nie wymiotować po jedzeniu. Może wraca do zdrowia.

– Dziewiąta trzydzieści – odpowiada Miggy.

– Jak sądzisz, kiedy...? – zaczyna Scott, zerkając na Boba.

– Nie wiem. Nigdy dotąd nie ewakuowano mnie śmigłowcem. Muszą znaleźć wolną maszynę, zwołać ochotników, zgromadzić zaopatrzenie. Mogą być około północy. Albo... – dodaje z wahaniem – wystartują o świcie.

– Nemeth będzie naciskał, żeby wyruszyli jak najwcześniej – mówi cicho Miggy.

Wszyscy się z tym zgadzamy. Nemeth zawsze osiąga to, czego chce. Zaczynamy wreszcie doceniać jego ośli upór.

– Tak czy inaczej, zostało nam jeszcze parę godzin. – Bob przerywa, najwyraźniej żałując niewłaściwego doboru słów.

Neil zaczyna chichotać, a Scott wybuchają śmiechem i po chwili wszyscy tarzamy się po ziemi jak pijane hieny, bo chyba rzeczywiście zostało nam tylko parę godzin.

Bob pierwszy bierze się w garść.

– Przepraszam.

Ja nadal chichoczę, więc zakrywam sobie usta ręką. Dostałam czkawki.

– Musimy wystawić warty – odzywa się Bob.

Miggy ogarnia wzrokiem obóz, a potem patrzy na Boba.

– Moglibyśmy obserwować teren z góry. Jeden z nas wejdzie na drzewo z karabinem. Stamtąd lepiej widać, nie wspominając o lepszym kącie do strzału.

Bob rozgląda się.

– Hm... tak – przyznaje po chwili. – Czy pora teraz powiedzieć, że nie chodzę po drzewach? Albo że drzewa mnie nie tolerują? Coś w tym

rodzaju.

Podnoszę rękę.

– Ja mogę się wspiąć. – Kolejny pożytek wynikający z szaleństw młodości.

– Potrafisz strzelać? – pyta Miggy.

– Nie. A ty?

– Potrafię załadować broń i pociągnąć za spust.

– Innymi słowy, nie trafiłbyś nawet w próżnię.

– Czy to duży cel? Jeśli tak, masz rację.

Czuję się pewniej. Wolę działać, niż czekać, uczestniczyć, niż obserwować. Teraz mogę się do czegoś przydać.

– Macie szczęście – rzucam. – Wspinanie się na drzewa i czuwanie przez całą noc to dwie rzeczy, w których się specjalizuję. Będę obserwatorem, ale nie chcę karabinu. Mam gwizdek. Gdy tylko kogoś zobaczę, dam znać. Niech broń ma ten, kto potrafi się z nią obchodzić.

– Mam w plecaku pistolet – oznajmia Miggy i sięga po niego. No, no, same niespodzianki. – Może nie wystarczy, żeby powstrzymać niedźwiedzia grizzly, ale... jeśli chodzi o inne drapieżniki... – Spogląda na nas wymownie.

– Okej, ty masz pistolet, ja włożę na drzewo. – Potem zwracam się do Boba: – A jeśli usłyszysz śmigłowiec?

– Kiedy usłyszysz śmigłowiec – poprawia mnie. – Wtedy dmuchaj w gwizdek. Mam w plecaku racę. Wystrzelę ją, by wskazać naszą pozycję.

Albo zwabić tego, kto na nas poluje, mogłabym powiedzieć. Nie chcę jednak gasić optymizmu Boba.

Wsadzam gwizdek do kieszeni kurtki, chwytam koc i manierkę z wodą i odchodzę. Nadal mam u pasa nóż. Nie jestem pewna, czy to dobrze, czy źle, ale coraz bardziej doceniam to, że czuję go przy udzie.

Jestem narażona na niebezpieczeństwo. Nie chcę być całkowicie bezbronna.

Na drzewa iglaste nie jest łatwo się wspinać. Mają zbyt wiele łamliwych cienkich gałązek, nie wspominając już o lepkiej żywicy.

W ciemności trudno określić, jaki mam wybór, ale nie znajduję solidnego dębu czy dorodnego klonu. Ostatecznie decyduję się na wyjątkowo rozłożystą sosnę. Muszę wdrapać się na skałę, by dosięgnąć jej najniższej gałęzi, ale gdy już zaczynam się wspinać...

Tej umiejętności się nie zapomina, jak jazdy na rowerze. Mam wrażenie, że jestem znów z Sophie w Kalifornii w słoneczne popołudnie. Uciekam od ojca, który już śpi pijany na kanapie. Ona ucieka z pustego domu, bo jej rodzice, z nieznanym nam powodem, późno wracają i wcześniej wychodzą. Ale to bez znaczenia, gdy wspinamy się na drzewo. Cienkie konary trzeszczą złowieszczo, a my pniemy się nadal, bo jesteśmy młode i nieśmiertelne, słońce stoi wysoko i jest cudowne lato.

Wyżej i wyżej. Na szczyt świata. Piszcząc z radości.

Nic nas tu nie dosięgnie. Nie spotka nas nic złego. Wszystko musi się udać.

Tylko na ziemi świat nas zawodzi.

Nie wiem, co stało się z Sophie, gdy wyjechałam do Los Angeles. Czy żyje? Czy jest szczęśliwa? Czy pamięta jeszcze te słoneczne popołudnia? Tęskni za swoim psem? Myśli o mnie jako o przyjaciółce z dzieciństwa?

Któregoś dnia powinnam ją odwiedzić. Choć oczywiście po kobiecie, która nigdy nie zostaje, nie należy się spodziewać, że w końcu wróci.

Znajduję wreszcie odpowiednie miejsce przy lepkiem pniu, na tyle nisko, by gałęzie mogły mnie utrzymać, i dostatecznie wysoko, bym widziała, że coś porusza się w ciemnościach na dole. Jestem wyczerpana fizycznie, ale czuję przypływ adrenaliny. Idealny stan do pełnienia nocnej warty.

Moi towarzysze otulają się powoli kocami i kładą na ziemi; przypominają ułożone rzędem kokony. Leśne stworzenia wydają znów nocne dźwięki. Gałązki porusza lekki powiew wiatru. Pode mną szemrze strumień.

Trzymam w ręce gwizdek. Patrzę w dół i uważnie obserwuję. Spoglądam w górę i czekam.

Mijają godziny.

Ale śmigłowiec nie nadlatuje.

DOPIERO O WSCHODZIE SŁOŃCA schodzę ostrożnie na dół, z obolałymi kończynami i głową pełną myśli. Czy akcja ratunkowa się opóźniła? Czy śmigłowiec dopiero teraz startuje? Czy zostaniemy tutaj, czy spróbujemy iść dalej? Co robić... co robić... co robić...?

Jestem tak rozkojarzona, że początkowo niczego nie zauważam. Nagle dostrzegam kątem oka jakiś czerwony przedmiot. Jaskrawoczerwony.

Skradam się między drzewami, by zobaczyć dokładniej, co to jest. Podchodzę bliżej i podnoszę go z ziemi.

Czuję ucisk w żołądku. Krew zastyga mi w żyłach. Nie chcę się z tym pogodzić. To niemożliwe. Tak nie powinno być.

A jednak to prawda.

Wracam do pozostałych o wiele wolniejszym krokiem, przyciskając ze smutkiem do piersi to, co znalazłam.

Rozdział 32

WSZYSCY SIEDZĄ WOKÓŁ WYKROTU, gdy do nich podchodzę. Miggy podnosi raptownie wzrok, kiedy pod moją stopą trzaska gałązka. Macham energicznie ręką, by nie zaczął do mnie strzelać. Wyszłoby na to, że przeżyłam trudy wczorajszego dnia, a zginęłam od kuli spanikowanego współtowarzysza.

– Jestem pewien, że ekipa ratownicza będzie tu lada chwila – mówi Bob, gdy do nich dołączam. Moja manierka jest niemal pusta, ale miałam przynajmniej chwilę, żeby wysikać się za krzakiem, zanim wróciłam. Luciana miała rację: życie na szlaku mnie zmienia.

Nie wiem, jak powiedzieć o tym, co odkryłam, więc pokazuję im po prostu podartą czerwoną tkaninę.

Bob nagle milknie. Kilka razy mruga.

Scott odzywa się pierwszy.

– To kamizelka Daisy.

Kiwam głową.

– Ta, którą nosi, gdy nie szuka tropu – dodaje. – Miała ją na grzbiecie wczoraj rano.

Ponownie kiwam głową.

– Jest rozdarta – zauważa Scott, biorąc kamizelkę do ręki. – W kilku miejscach. Jakby... – Przerzywa i patrzy na mnie. – Jest na niej krew.

Nie będę płakać. Nie będę płakać. Raz jeszcze kiwam głową.

Teraz kamizelkę ogląda Bob, a po nim Neil i Miggy. Każdy z nas musi sam ją obejrzeć, poczuć w dłoniach. I samodzielnie wyciągnąć wnioski.

– Gdzie ją znalazłeś? – pyta w końcu Bob.

– Koło sosny, na którą się wspierałam. Po drugiej stronie strumienia. Chyba zahaczyła się o zwaloną kłodę.

Neil bierze głęboki oddech, a potem mówi na głos to, z czego pozostali zdają sobie sprawę, lecz nie chcą przyjąć do wiadomości.

– Zboczyli z drogi. Tak jak my. A to znaczy... że zapewne ktoś ich śledził. Tak jak nas.

Rozsądne przypuszczenia.

– O której usłyszeliście wczoraj po raz pierwszy hałasy w obozie? – zwraca się Bob do chłopaków. – Kiedy zaczęła się pojawiać skradziona żywność?

Miggy wzrusza ramionami.

– Przed południem? Koło jedenastej?

– Jesteśmy tylko półtora kilometra od obozu. Nemeth, Luciana i Daisy wyruszyli tuż po siódmej. Jeśli ktoś za nimi szedł, mógł zaatakować ich tutaj. Zabójca miałby dość czasu, by wrócić do kanionu.

– Mamy karabin Nemetha – odzywa się cicho Neil.

Co oznacza, że przewodnik nie był uzbrojony.

– Luciana wspominała, że nie używa broni – mówię. – Ale nie ryzykowałabym atakowania całej trójki. Wiecie, że zaciekle by się bronili.

– Chyba że zastawiono na nich pułapkę, jak na Martina – wtrąca Bob. – Napastnik zajął wcześniej pozycję z karabinem. Zastrzelił najpierw Nemetha, eliminując największe zagrożenie, a potem Lucianę. Daisy uciekła wtedy zapewne do lasu. Może sama zdarła z siebie kamizelkę, by się od niej uwolnić.

Słowa Boba przyprowadzają mnie o mdłości, a równocześnie dają nadzieję. Robi mi się niedobrze na myśl, co spotkało Nemetha i Lucianę. Ale przypuszczenie, że Daisy mogła ocaleć i biega teraz po lesie, napawa mnie optymizmem.

– Powinniśmy wrócić na główny szlak – proponuje Scott. – Poszukać śladów przemocy. Mogliśmy wczoraj przeoczyć je po ciemku.

– I wejść zabójcy prosto pod lufę? – odpowiada Miggy. – Nie ma mowy. Co się stało, to się nie odstanie. Pozostaje pytanie: co teraz robimy?

– Liczmy na najlepsze i bądźmy gotowi na najgorsze – mówię. – Co oznacza, że... jeśli założymy, że Nemeth i Luciana nie zdołali się stąd

wydostać, nie pojawi się w magiczny sposób żaden śmigłowiec. Możemy polegać tylko na sobie.

– Chcę tam pójść – oznajmia nagle Bob. – Muszę zobaczyć na własne oczy, co się stało. Muszę wiedzieć.

Wszyscy wpatrujemy się w niego, nie wiedząc, jak sprzeciwić się szaleńcowi, zwłaszcza takiej postury.

– Pójdę sam – dodaje. – Zakradnę się na polanę, rozejrzę i wrócę.

– A jak ten ktoś cię zastrzeli? – pyta Scott.

– Wtedy będziecie mieli odpowiedź: napastnik tu jest, gotowy zabijać.

– Nie daj się zastrzelić – zwracam się do Boba, masując bezwiednie ramię. – Mogę, hm... mogę wrócić do miejsca, gdzie znalazłam kamizelkę Daisy, i sprawdzić, czy nie ma tam czegoś jeszcze.

– Po co? – pyta zmęczonym głosem Neil. – Tak czy inaczej, jesteśmy zdani na siebie.

Scott podnosi rękę.

– Ja... potrzebuję pomocy.

Patrzemy szeroko otwartymi oczami, jak rozchyła powoli wierzchnie warstwy odzieży, a potem podciąga podkoszulkę. Być może pierwsza zacerpnęłam gwałtownie powietrza, ale inni nie pozostali daleko w tyle.

Dwie poszarpane rany na jego piersi, które Luciana skleiła dwa dni temu... nie są po prostu czerwone i zaognione. Widzę sączącą się na ich krawędziach żółtą ropę, a tuż pod skórą kolejne ogniska infekcji.

– Chłopie, jak ty jeszcze możesz siedzieć? – pyta go Miggy.

– Czy was jest dwóch? – rzuca Scott.

Neil poklepuje go po kolanie.

– Oczywiście, że nie, stary. Jest ich trzech.

Miggy kręci głową, patrząc na rannych przyjaciół. A więc jesteśmy zdani na siebie... z dwoma ciężkimi przypadkami.

– Mamy jeszcze apteczki? – pyta Scott.

Bob kiwa głową.

– Potrzebuję więc kogoś, kto zdezynfekuje nóż i zabawi się w chirurga – mówi Scott. – Jak mi to rozetniecie, osuszycie i wyczyścicie, będę jak

nowy.

Wszyscy jesteście przerażeni. Ale on mówi śmiertelnie poważnie. I nie brzmi to wcale irracjonalnie.

Sięgam powoli do pochwy u pasa.

– Mam nóż.

– Świetnie, zatrudniam cię. Zatrudniam was obie.

– Wszystkie trzy! – Neil chichocze.

Cholernie zazdroszczę Bobowi, że stąd odchodzi, nawet jeśli może wpaść w śmiertelną pułapkę.

– **NIE WIEM NAWET**, co mam robić. – Chcę, żeby od razu było to jasne.

– Miałś kiedyś wrastający paznokieć? – pyta Scott. – Więc wiesz, co robić.

Przenieśliśmy się wszyscy bliżej strumienia, Neil również. Nie jestem pewna, czy jego przemieszczanie się chwiejnym krokiem od drzewa do drzewa można nazwać chodzeniem, ale radzi sobie lepiej niż wczoraj. Obiecuję mu w imieniu własnym i pozostałych, że będziemy robili jak najwięcej przerw.

Miggy niesie większą apteczkę, wyjętą z plecaka Boba. Początkowo był zaszokowany jej wyglądem.

– Korzystaliśmy z niej, gdy postrzelono Martina – oznajmiam.

Natychmiast chowa apteczkę, by nie zobaczyli jej Scott i Neil. Słyszeć o jakimś tragicznym wydarzeniu to nie to samo, co widzieć na własne oczy jego ślady. Krwawe odciski na plastikowym pudełku. Otwarte i opróżnione opakowania po antybiotykach i wacikach nasączonych alkoholem.

Na szczęście duża apteczka Boba jest nadal dobrze wyposażona. Miggy znalazł w swojej skromnej czyste rękawiczki chirurgiczne, a ja mam nóż i gazową zapalniczkę. Nie chcę się tym przedmiotom przyglądać. Zmuszam się do działania. Racjonalne myślenie jest przeceniane.

Neil przewraca się na skraju strumienia – tym razem celowo. Leży na plecach i wkłada zranioną głowę do lodowatej wody. Wzdycha

z zadowoleniem. Zimna kąpiel najwyraźniej przynosi mu ulgę. Mam nadzieję, że działa podobne cuda w przypadku Scotta.

– Okej. – Miggy mianował się szefem. On jest od myślenia, ja od działania. – Scott, rozbierz się. Frankie, zdezynfekuj nóż.

Zaczynam przesuwając płomień zapalniczki wzdłuż ostrza dwustronnego wojskowego noża. Moi towarzysze mają mniejsze, mniej groźnie wyglądające noże, ale nawet Scott przyznał, że mój jest najlepszy, bo jego tnąca krawędź jest niewiarygodnie cienka i diabelnie ostra.

– Czy Josh miał go przy sobie co roku? – pytam, gdy Miggy zaczyna przygotowywać waciki nasączone alkoholem i maść z antybiotykiem.

– Nigdy tego noża nie widziałem – odpowiada Scott, zdejmując ostrożnie koszulę. – Ale mógł go mieć w plecaku.

– Był doświadczony w trekkingu?

– W zasadzie tak. Raz w roku polował z ojcem na łosie. A ostatnio polubił polowania z łukiem. Uważał, że to bardziej szlachetne niż strzelanie z karabinu.

– Ustrzelił łosia z łuku?

– Nie. Ale świetnie sobie radził, chodząc z łukiem po lesie i tracąc mnóstwo strzał. Czy to się liczy?

Powoli kończę przypalanie ostrza. Pociemniało od dymu. Miggy wręcza mi pierwszy wacik. Przecieram nim ostrze, po czym odbieram od niego niebieskie rękawiczki.

– Dlaczego ty nie możesz tego zrobić? – utyskuję, wciągając je.

– Miggy zemdlał kiedyś na meczu koszykówki na widok krwawiącego nosa jednego z graczy – oznajmia Scott. – Nie wolno mu dawać do ręki noża.

– Bo zemdlałby?

– Ale wszystko już przygotował.

Miggy kiwa głową.

– Normalnie zająłby się tym Josh – mówi. – Tim by mu pomógł. A ja ukrywałbym się za krzakami, żeby nie słyszeć idiotycznych uwag Neila.

– Staram się, jak mogę! – woła Neil znad strumienia.

– To dlatego odwróciłeś się, widząc ranę na głowie Neila – zwracam się do Miggy’ego.

– Zauważyłaś, że to ja pierwszy chwyciłem drąg z przodu noszy? Żeby nie widzieć krwi na opatrunku.

– Pamiętacie to jezioro przy skałach? – odzywa się Scott. – Słyszeliśmy o nim od kolegów. W upalny letni wieczór po grze w ultimate frisbee postanowiliśmy tam pójść. Tim skoczył do wody pierwszy, a my za nim – mówi Scott.

– Zaraz wymiotuję – jęczy Miggy.

– Koło jednej ze skał wystawała z wody stara zardzewiała rura. Tim zahaczył o nią prawą ręką, gdy wypływał na powierzchnię. Rozciął ją sobie aż do przedramienia.

– Przestań! – ostrzega Miggy.

Scott uśmiecha się szeroko. Stare, dobre czasy. Można na chwilę oderwać myśli od obecnego koszmaru.

– Popędziliśmy samochodem na pogotowie. Josh i ja siedzieliśmy z tyłu, przyciskając do rany Tima zwiniętą podkoszulkę, żeby powstrzymać krwawienie. Ale za każdym razem, gdy samochód podskakiwał na wybojach, Tim wykrzykiwał przekleństwa i z rany tryskała krew. Po paru minutach Miggy wymiotował przez okno po stronie pasażera, a Neil, biedny Neil...

– Czemu akurat w moim samochodzie?! – krzyczy znad strumienia Neil. – Dlaczego ja musiałem ich wieźć? Zagroziłem, że potem spalę samochód. To było w dodatku moje pierwsze nowe auto. Czarne bmw x3. Wyjechałem nim z salonu, czując się jak król. A parę miesięcy później, przez tych gamoni... Powinienem był je spalić.

– Josh był z Timem, gdy go zszywali – relacjonuje Scott. – Ja zadzwoniłem do jego rodziców. Dwa tygodnie później znów pojechaliśmy nad to jezioro. Tym razem obyło się bez kontuzji.

– Ile mieliście wtedy lat?

– Dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem. Byliśmy na tyle dorośli, że powinniśmy postępować rozsądnie, ale na tyle młodzi, żeby niczym się

nie przejmować.

Scott uśmiecha się i wyczuwam teraz ten słodko-gorzki posmak najbardziej nawet beztrioskich wspomnień. Przez długi czas nie potrafiłam w ogóle myśleć o Paulu. Nie umiałam wymawiać jego imienia. Miałam wciąż przed oczami tę chwilę, gdy leżał na lepkiej podłodze sklepu z alkoholami, uśmiechając się przepraszająco, a z jego brzucha płynęła krew. A ja krzyczałam i krzyczałam.

Początkowo te straszne wspomnienia blokują wszystko, przyćmiewają całkowicie chwile szczęścia. Ale stopniowo powraca pamięć dobrych czasów, ból przestaje być dziką bestią i zmienia się w mądrego kompana. Nie wiem, czy odzyskuje się spokój, ale jest to już jakiś postęp.

– Poradzilibyśmy sobie – mruczy Scott, jakby czytał w moich myślach.
– Byliśmy wszyscy beznadziejni. Robiliśmy głupie rzeczy. Powalczylibyśmy jeszcze trochę, wszystko sobie wybaczyli i pogodzili się z tym. Dwanaście lat przyjacieli... Z tego tak łatwo się nie rezygnuje.

– Tim ożeniłby się z kobietą, która jest teraz twoją żoną – mówi Miggy.

– Tak. I jakoś bym to przeżył. Byłem wtedy zadurzony w Latishy, miałem obsesję na jej punkcie. Nie znałem jej zbyt dobrze, więc nie mogłem naprawdę jej kochać, nie tak jak teraz. Poznaliśmy się w zasadzie dopiero po zniknięciu Tima. I zakochaliśmy się w sobie. Widzę różnicę.

Scott mówi bardziej do przyjaciół niż do mnie. Nie przerywam mu. Pozwalam, by całą trójkę połączyły wspólne wspomnienia, bo to zapewne jedna z pierwszych chwil od zniknięcia Tima, gdy znów zawiązuje się między nimi poczucie solidarności.

Dlaczego robię to, co robię? Bo pod koniec dnia ludzie, których opuściliśmy, znaczą równie dużo, co ci, którzy zaginęli. Opłakujemy tych, których straciliśmy, ubolewając, że zabrali ze sobą część nas. Pozbawili nas tożsamości. Emocji, których już nigdy nie będziemy odczuwali. Przystajemy być tacy, jacy byliśmy, znikamy równie nagle i całkowicie, jak ci, którzy zaginęli.

Uśmiecham się do Scotta pokrzepiająco.

– Jesteś bardzo rozważnym człowiekiem – zapewniam go.

– Chciałbym wierzyć...

Rozcinam mu pierś nożem.

Miggy pada jak kłoda. A Neil, który wciąż jest nad strumieniem, zaczyna się śmiać.

Rozdział 33

ŚMIEJEMY SIĘ DO ROZPUKU, krzyczymy i wariujemy, gdy słyszymy nagle zbliżające się kroki. Przykucamy natychmiast za ogromnym zwałonym pniem sosny. Miggy wydobywa pistolet i trzyma go lufą do góry. Ta jego poza Aniolka Charliego cholernie mnie rozbawia i muszę się pochylić, by stłumić histeryczny śmiech.

Wszyscy wydajemy się trochę szurnięci, może z powodu niskiego poziomu cukru we krwi, braku snu albo czystego przerażenia.

Bob zjawia się w środku obozu, trzymając plecak. Wystawiamy po kolei głowy, jak pieski preriowe. Patrzy na nas, otwierając coraz szerzej niebieskie oczy.

– Co ci się stało? – pyta Miggy'ego.

– Skąła.

– Upadł – oznajmiam.

– Zemdlął – wyjaśnia Neil.

Scott śmieje się cicho.

Bob otwiera oczy jeszcze szerzej. Podnosi plecak. Rozpoznaję go od razu.

– To plecak Luciany! – wołam.

Bob kiwa głową.

– Nie znalazłem zwłok – oznajmiam. – Ani krwi. Ale odkryłem podeptane zarośla. I to.

Grzebie w kieszeni i wyciąga zwinięty kawałek cienkiej linki.

– To sidła – odzywa się Miggy.

Słyszałam, że używa się ich do polowań na króliki. Nie chcę o tym myśleć, ale wyobrażam sobie, że można je zastawiać także na ludzi.

– Myślisz, że wpadli w pułapkę? – pytam.

Bob wzrusza ramionami.

– A sądzisz, że Luciana oddaliła się półtora kilometra od obozu, zostawiła plecak i po prostu sobie poszła?

Chcę powiedzieć, że to całkiem możliwe, bo prawda jest zbyt trudna do przyjęcia.

– Myślisz... że oni jeszcze żyją? – pyta Neil.

– Nie znalazłem zwłok – powtarza Bob. – Ale zważywszy na jaskinię, na którą się wczoraj natknęliśmy... Wątpię, żeby ten człowiek zostawiał za sobą ciała ofiar.

Masuję nagie ramiona, bo przechodzą mnie ciarki. Ofiary. Czy w końcu się nimi staniemy? Wchodzimy w życie z wielkimi nadziejami, a kończymy jako trofea seryjnego zabójcy.

– Nie było żadnej krwi? – upewniam się.

– Nie. Ale jeśli użył pułapki, na przykład sideł... być może nie musiał strzelać.

– Może ich związał i gdzieś ukrył – sugeruje z nutą nadziei Neil. – A Daisy zdołała uciec.

Bob milczy. Neil rezygnuje ze swojej hipotezy, gdy tylko wypowiada ją na głos. Jakie są szanse, że człowiek, który zabił już osiem osób i złożył ich ciała w podziemnej jaskini, zwiąże dwie kolejne ofiary i odejdzie...?

– Jak się czujesz? – zwraca się Bob do Scotta.

Ten podciąga koszulkę, pokazując mu świeży biały bandaż.

– Nie daj się jej zwieść – mówi, wskazując na mnie. – Ta kobieta uwielbia posługiwać się nożem.

– Zmusił mnie do tego.

– Rozkroiła mi pierś – rzuca Scott. – Bez ostrzeżenia, bez odliczania do trzech, po prostu to zrobiła.

– Czy istnieje dobry sposób rozcinania komuś piersi? – pytam.

– Tam była ropa. – Miggy się krzywi. – Nie chcę tego pamiętać, a ty nie chcesz wiedzieć. Cholernie dużo ropy.

– Super – włącza się Neil. – A potem Scott przyszedł do mnie do strumienia. Zanurzył się w nim i pozwolił lodowatej wodzie czynić cuda. –

Wzdycha z ulgą, jakby potwierdzając uzdrowicielską moc strumienia z lodowca.

– Nie miałam pojęcia, co robię – przyznaję, wzruszając ramionami. – Rozkroiłam mu pierś i pozwoliłam, by woda oczyściła ranę. Potem przemyłam ją alkoholem...

– Było trochę krzyku – wtrąca Miggy.

– Ja nie... – próbuje protestować Scott.

– Wrzeszczałeś jak dzieciak, któremu upadły na ziemię lody.

Neil i ja potwierdzamy słowa Miggy'ego.

Scott patrzy na nas wilkiem.

– Potem posmarowaliśmy go maścią, owinęliśmy bandażem i proszę, wygląda niemal jak nowy – podsumowuję.

– Szczęściarz ze mnie – zrzędzi Scott.

Bob wyciąga rękę i przykłada mu ją do czoła, a potem do policzków.

– Czujesz się lepiej.

– Moc ibuprofenu.

– A ty? – zwraca się Bob do Neila.

– Do diabła z tymi piekielnymi noszami! Chcę iść dalej pieszo.

Bob patrzy na nas podejrzliwie.

– Tak – przyznaję. – Zachowujemy się tak od samego rana. Możliwe, że jesteśmy szurnięci.

– Możesz iść? – pyta cicho Neila.

– O-czy-wi-ście! – Neil podnosi się śmiało, ale natychmiast traci równowagę i musi się chwycić korzenia zwalonej sosny, więc ponownie siada. – No tak.

Bob nie śmieje się, nie odzywa ani nie wzdycha ciężko. Co w końcu sprawia, że pozbywam się idiotycznego podeksytowania i spadam z hukiem z powrotem na ziemię.

– Żadnych noszy! – bełkocze Neil. – Pieprzyć nosze! Zostaję tutaj. Możecie mnie związać, ale żadnych noszy. Nie zmusicie mnie do tego.

Bob patrzy na mnie z powagą. Wiem, co myśli. Ale nie chcę dopuścić tego do świadomości.

– Nie jesteśmy bezpieczni – oznajmiam cicho.

– Widzieliśmy, jak zginął Martin – mówi Bob. – Nemeth i Luciana najwyraźniej wpadli w pułapkę, idąc po pomoc. Szanse na to, że nadal żyją... Natknęliśmy się na coś strasznego. Na coś, co dzieje się tu od bardzo dawna – patrzy na mnie – jeśli oceniasz właściwie wiek tych szczątków.

Spokojnie kiwam głową.

– Ktokolwiek to robi, musi zdawać sobie sprawę, że ten kanion przestał być jego terenem łowieckim. Próbował chronić siebie i swoją kryjówkę, sabotując nasze działania i napadając na Neila, by nas stąd przepędzić. Ale w chwili, gdy strzelił po raz pierwszy do Martina... Osiem osób zaginionych w tych górach? Wcześniej czy później zaroi się tu od ochotników z ekip ratowniczych, strażników leśnych i szeryfów. Nawet jeśli zabójca nie zostanie schwytany, nie będzie mógł kontynuować polowań na ludzi.

– Więc dopadnięcie nas będzie jego ostatnim triumfem – mruczę.

– Więc dlaczego jeszcze nie zaatakował? – odzywa się Miggy posępnym tonem.

Bob wzrusza ramionami.

– Przez ostatnią dobę był bardzo zajęty. Może postanowił trochę odpocząć, zanim zada ostateczny cios. Wie, że mamy rannego na noszach i poruszamy się powoli. Chociaż do teraz... – Spogląda na zegarek.

Jest już prawdopodobnie dziesiąta rano. Kiedyś nie uważałam, by o tej porze warto było wstawać. Ale gdy żyje się pod gołym niebem, oznacza to już połowę poranka. Jeśli napastnik starał się odzyskać siły, powinien już być wypoczęty i gotowy do ataku.

– Jak daleko jesteśmy od podnóża zbocza? – pytam.

– Zbyt daleko. – Bob zerka na Neila, który wpatruje się w wilgotną ziemię.

– Moglibyśmy zejść ze szlaku – odzywa się Miggy. – Wybrać mniej oczywistą drogę.

– Każdy myśliwy potrafi śledzić tropy – mówi Bob. – Czy wyglądamy na ludzi, którzy potrafią je za sobą zacierać?

Rozumiemy, co ma na myśli.

– Więc idźmy do głównego szlaku – sugeruje Scott. – Jest nas pięcioro. Wszystkich nie zdoła zabić.

– Mogę osłaniać tyły – proponuje Neil i fakt, że robi to bez wahania, zdając sobie sprawę z potencjalnych konsekwencji, sprawia, że czuje wilgoć pod powiekami.

– Nie! – wtrąca niecierpliwie Miggy. – Nie chcę tego powtarzać. Pieprzyć te góry! Dość już straciłem. Nie ma mowy. Nie mam zamiaru robić z tego filmowego horroru, w którym, jeśli naprawdę nam się poszczęści, jedno z nas dowlecze się w końcu do miasta, by opowiedzieć wszystkim o tragedii pozostałych. Nie, nie, nie, nie.

Scott odczekuje chwilę.

– Rozumiem, że Miggy się nie zgadza.

Ten rzuca w niego kępką mchu.

– Pieprz się! – woła.

Neil uśmiecha się.

– Oto Miggy, którego wszyscy znamy i kochamy.

– Jeśli postanowimy nie wracać na szlak, to co będzie? – zastanawia się głośno Bob.

– Mamy karabin – przypomina mu Miggy. – I pistolet.

– I gaz pieprzowy – dorzuca Scott.

– I budzący grozę nóż z podwójnym ostrzem – uzupełniam.

– Nas jest pięcioro, on jeden – podsumowuje Neil. – Czy raczej nas piętnaścioro, ich trzech, zważywszy na jego możliwości. Tak czy inaczej...

Bob przygląda się nam z powagą.

– Czyli jesteście za tym, by stawić mu czoło.

– Naprawdę sądzisz, że moglibyśmy mu uciec? – odpowiada Miggy. – Martin, Nemeth, Luciana i Daisy byli profesjonalistami. Jeśli im się nie udało...

Bob kiwa powoli głową.

- Zważcie jednak, że pozostało nam tylko kilka batonów. Mamy ograniczony sprzęt. Nasza kryjówka, jeśli zostaniemy zaatakowani w środku nocy...

Patrzę na gigantyczną ścianę ziemi za naszymi plecami, która w ciągu paru minut może się zmienić w scenerię masakry z horroru.

Miggy wzrusza ramionami.

- Może nie uda nam się bronić w nieskończoność – przyznaje. – Ale jeśli ktoś z nas będzie miał szczęście i go unieszkodliwi...

Doświadczonego myśliwego na jego terytorium. Bob nie musi głośno wyrażać wątpliwości, byśmy wiedzieli, co o tym sądzi.

Podnoszę powoli rękę.

- Jeśli nie mamy dość sił, by mu uciec, ani wystarczających środków, by przetrwać... może użyjemy rozumu, żeby go przechytrzyć?

- W jaki sposób? – pyta Bob.

Wzruszam ramionami i przyglądam się trzem młodym inżynierom.

- Zastawimy pułapkę – odpowiadam w końcu.

Rozdział 34

MAM PIĘTNAŚCIE MINUT, BY napawać się swoim wspaniałym pomysłem, dopóki nasz plan nie zmienia się w kiepski scenariusz z kreskówki *Scooby Doo*. Przykryjemy dziurę w ziemi gigantyczną siecią, w którą wpadnie złoczyńca, gdy będzie biegł przez las. Tyle że nie mamy sieci ani Scooby'ego i Kudłatego, którzy wpędziliby go w pułapkę.

Wykopiemy jamę i zasłonimy ją liśćmi. Skąd weźmiemy łopaty? Nie mówiąc o tym, że wykopanie wystarczająco dużej dziury zajęłoby nam pół dnia. Facet może wystrzelać nas przy tym po kolei. I będziemy mu wdzięczni, że wybawia nas z opresji.

A może zastawimy sidła, które zatrzasną mu się na kostce? Miggy przyznaje, że to wykonalne, zakładając, że pójdzie dokładnie tam, gdzie będziemy chcieli i kiedy będziemy chcieli. Główny szlak był idealnym miejscem, by zastawić pułapkę na Nemetha i Lucianę, bo szli wytyczoną drogą. My jesteśmy w środku lasu, widoczni ze wszystkich stron, i mamy do czynienia z kimś, kto pewnie się zastanowi, którądy pójść.

– Ktoś z nas może usiąść przy ognisku, by go zwabić – sugeruję.

– Super! Chyba że zatrzyma się trzydzieści metrów od ogniska i wystrzeli z karabinu – odparowuje Scott.

– Wtedy ja strzelę do niego z pistoletu – wtrąca Miggy.

– Tyle że ktoś z nas będzie już martwy – zauważam. – A ty nie umiesz strzelać.

– Ja mogę być przynętą – zgłasza się na ochotnika Neil.

– Zamknij się – uciszamy go.

– Potrzebujemy oczu. – Bob wykazuje się pragmatyzmem. – Naszego stanowiska snajpera. Żeby mieć nadzieję, że dostrzeżemy go, zanim on zobaczy nas.

– Mogę wspiąć się na drzewo – proponuję. – Ale widoczność jest ograniczona. Na całym tym obszarze zbyt gęsto rosną sosny, świerki i inne drzewa iglaste. Nie nadają się do tego, by wspinać się na nie wysoko.

– Na jego miejscu włożyłbym strój maskujący – odzywa się Miggy. – Jest doświadczonym myśliwym, więc pewnie sam go sobie zrobił, z gałązek i liści. W czymś takim mógłby podczołgać się do naszego obozu i wystrzelać nas jak kaczki.

– Marna pociecha – stwierdza Scott.

– Chyba że sami się zamaskujemy. – Miggy zaciska wargi, najwyraźniej intensywnie myśląc. – Zapomnijmy o kopaniu jamy. To by wymagało zbyt dużo czasu i pracy. Ale gdyby tak wykopać kilka płytkich dołków wokół tej rozpadliny... – Wskazuje na wykrot pod korzeniami zwalonej sosny. – Przyczaimy się, każdy oddzielnie, i przykryjemy ściółką. – Przygląda się nam. – I kiedy się pojawi, wyskoczmy. Wszyscy będziemy uzbrojeni. I zaatakujemy wspólnie.

– Będziemy jak zęby potrzasku – kwituje Bob.

– A jeśli on przeczeka cały dzień? – zastanawia się głośno Scott. – I zaatakuje nocą?

– Może mieć noktowizor – odzywa się Neil. – Każdy lubi korzystać z takiego zajebistego sprzętu.

– Tak! – wykrzykuje z irytacją Miggy. – Na pewno ma noktowizor. A dodatkowo wbudowany w skafander system nawilżania, pampersy i saszetki z żelem o wysokiej zawartości protein, żeby był syty i pobudzony. Jest, kurwa, lepiej przygotowany niż my. Ale dość już o nim. Co zamierzamy?

– Czerwona kamizelka Daisy. – Podnoszę ją. – On jeszcze o niej nie wie. Nie zostawiłby jej tam.

Wszyscy wpatrują się we mnie.

– Skorzystamy z pomysłu Miggy'ego, ale go ulepszymy. Traktując ten obóz jako strefę zero, zajmujemy zbyt bierną postawę. Macie rację, on może się przycząić i obserwować nas godzinami, licząc, że w końcu wrócimy. Potrzebujemy czegoś, co go wywabi, zmusi do pójścia tam, gdzie zechcemy. Czegoś niespodziewanego. – Zerkam na Boba. – Nawet jeśli

dopadł Nemetha i Lucianę, istnieje szansa, że Daisy uciekła. To dla niego niezła sprawa. Więc jak zobaczy tę kamizelkę...

– ...będzie chciał sprawdzić, co to jest – kończy za mnie Bob.

– Nie będzie się spodziewał, że jest tu ukrytych pięć osób – ciągnę. – Nie będzie nas nawet szukał. Widząc skrawek czerwonej tkaniny w lesie, będzie musiał podejść i go podnieść. Ja tak zrobiłam.

Miggy zaczyna kiwać głową, potem Scott, a na koniec Neil i Bob.

– Pełno w tym planie luk, zmiennych, na które nie mamy wpływu, i o wiele za dużo założeń. – Miggy rozgląda się. – Ale... czy ktoś ma lepszy pomysł?

Nikt mu nie odpowiada.

– W porządku – rzucam. – Zegar tyka. Bierzmy się do roboty.

SERCE WALI MI JAK młotem, gdy prowadzę ich do miejsca, gdzie znalazłam kamizelkę Daisy. Przy każdym kroku zastanawiam się, czy za moimi plecami nie rozlegną się wystrzały z karabinu i ziemia nie eksploduje mi pod nogami. Straciliśmy już większość poranka na zdobywanie informacji, udzielanie pierwszej pomocy i strategiczne planowanie.

Zabójca ma nad nami dużą przewagę. Wie mniej więcej, gdzie przebywamy, ile nas jest i że jesteśmy kompletnie nieprzygotowani. W każdej chwili...

Bob zamyka pochód, tym razem starając się zacierać nasze ślady. Przyznał, że nie jest to jego specjalność, ale i tak będzie w tym lepszy niż pozostali.

Zostawiliśmy trochę sprzętu na noszach, jakbyśmy planowali powrót do wykrotu. Chcieliśmy, żeby zabójca był spokojny, że ma dużo czasu, by schwytać niedoświadczone ofiary. Musieliśmy połechtać jego ego.

Wojna psychologiczna jest ważną strategią.

Gdy docieramy do zwałonego pnia, przy którym zauważyłam czerwoną kamizelkę, zahaczam ją ostrożnie o złamaną gałąź. Pień jest na wpół spróchniały, a pod złuszczoną korą widać gładkie drewno koloru kości

słoniowej. Przesuwam po nim palcami. Mam wrażenie, że dotykam nagich kości. Tyle tylko z nas pozostaje.

Miggy obchodzi okolicę. W pobliżu jest tylko jeden niewielki obszar otwartej przestrzeni wśród drzew i krzaków. W ciągu sekundy zdają sobie sprawę, że nie wykopieją tam w krótkim czasie pięciu dołów. Nie zdołamy przebić się przez korzenie, nie mówiąc już o tym, jakiego narobiliśmy bałaganu.

– Plan B – rzuca Miggy, patrząc na Scotta. – Wykorzystamy warunki terenowe.

Scott, krzywiąc się nieco, wskazuje na dwa tworzące literę V konary przy pniu dużej jodły.

– To będzie jedno ze stanowisk – decyduje.

– Tamte krzaki – proponuje Neil. Opiera się o zwałony pień, najwyraźniej musi odzyskać siły po marszu. Ale i tak radzi sobie znacznie lepiej niż wczoraj. – Trzeba się pod nie wkopać i będzie idealnie.

– Nie dla kogoś mojej postury – ostrzega Bob.

Słuszna uwaga. Jak ukryć rzucającego się w oczy olbrzyma? Drzewa nie są tu szczególnie duże ani stare. Rosną gęsto, ale pnie mają cienkie lub średniego przekroju. Nie zasłonią Boba.

– Znajdę odpowiednie miejsce po drodze do obozu – mówi. – Blżej strumienia widziałem polany. Dam sygnał, kiedy będzie nadchodził, i zajdę go od tyłu.

– Jak dasz nam znać? – pytam. – Nie mamy walkie-talkie, a gwizdek nas zdradzi.

Bob zaczyna imitować głosy ptaków, czym wprawia nas w zdumienie.

– Mój mąż mówi, że z tego powodu się we mnie zakochał – oznajmia nieśmiało. – Gram też trochę na ukulele.

– Hm... w porządku – odzywa się Neil. – Który z tych dźwięków będzie brzmiał najbardziej naturalnie w tym lesie?

Bob powtarza trele przypominające te, które słyszałam dziś rano. Nie znam się na gatunkach ptaków, więc nazywałam je w myślach radosnymi.

W przeciwieństwie do wron i kruków, które nigdy tak nie brzmią. A także mew i gołębi, bo te są po prostu wkurzające.

A zatem sygnałem będzie radosny śpiew ptaków.

– Musimy dobrze się ukryć. – Miggy nadal się rozgląda. – Potrzebujemy gałęzi do zamaskowania kryjówek. Muszą wyglądać naturalnie. Żadnych równo poukładanych gałązek, przydadzą się żywe drzewa i zwalone pnie.

Wyciągam z pochwy nóż.

– Mogę naciąć trochę sosnowych gałęzi.

– Doskonale, ale nie tutaj. Świeże nacięcia nas zdradzą.

Nawet o tym nie pomyślałam.

Scott odkłada plecak.

– Mogę wykopać dół pod tymi krzakami.

– Ja pomogę Frankie ścinać gałęzie. – Neil wstaje, trochę się chwiejąc.

– Ty tnij, a ja będę je zbierał.

Myślę, że to cholernie wspaniałomyślna propozycja, zważywszy, że ledwo trzyma się na nogach.

– Ja zawrócę – oznajmia Bob. – Znajdę punkt obserwacyjny odpowiedni dla mojej postury.

To poprawia nam nastrój i wywołuje uśmiechy. Akurat w tym momencie Neilowi zaczyna burczeć w brzuchu. A potem Scottowi, jakby w geście solidarności.

Wahamy się, patrząc tęsknie na plecaki. Pozostały nam niemal same okruszki. W plecaku Luciany znaleźliśmy jeszcze dwa batony proteinowe i czuliśmy się podle, ale przecież sama by je nam oddała.

– Nie – rzuca stanowczo Bob. – Nie wiemy, ile to jeszcze potrwa. Nawet jeśli wygramy tę walkę, musimy potem zejść na dół.

Naprawdę wołałabym, żeby tego nie mówił. Co za zniechęcająca myśl!

– Przejdźmy przez to – dodaje Bob. – Kiedy będziemy już wiedzieli, że wracamy do domu, zjemy posiłek. Uczymy sukces batonami proteinowymi dla wszystkich.

To brzmi bardziej obiecująco.

Kiwamy zgodnie głowami i przystępujemy do działania.

NEIL I JA MUSIMY naścinać gałęzi poza miejscem, w którym się znajdujemy. Ale z której strony? Z lewej czy prawej? A jeśli nasz prześladowca gdzieś tam jest i natkniemy się na niego?

Przez dobrą minutę nie możemy się zdecydować, po czym Neil po prostu rusza naprzód, a ja podążam za nim. Co może się nie udać, jeśli pozwala się dowodzić facetowi z rozbitą głową?

Dochodzimy do gęstwiny świerków, których iglaste gałęzie są splecione. Marszczę nos.

– Oddałabym królestwo za piękny solidny dąb – mówię.

– Widzę tam kilka sosen wydmowych. Mają delikatniejsze igły i bardziej lepką żywicę. Ale w tej okolicy drzew liściastych jest niewiele i rosną daleko od siebie.

Więc pozostają nam iglaste. Postanawiam zacząć od świerka i wpełzam na czworakach pod krąg zwisających nisko gałęzi. Wyciągam nóż i przyglądam mu się surowo.

– Bądź dla mnie dobry, to ci się odwzajemnię. – Myślę, że zrozumiał.

Pierwsza gałąź daje się łatwo ułamać, bo jest częściowo uschnięta. Ale kiedy Neil zaczyna ją ciągnąć, połowa igieł opada na ziemię. Staram się więc ścinać zielone gałęzie, mające parę centymetrów średnicy, i obchodzić drzewo wokół, by nie zostawiać kilku świeżych nacięć w jednym miejscu.

Tnę, szarpie, znowu tnę. Neil ciągnie gałęzie, siada, by odpocząć, i znowu ciągnie.

Po paru minutach ociekamy potem. Ręce pieką mnie od tysiąca ukłuć igieł. Myślę, że łatwiej byłoby mocować się z jeżozwierzem. Muszę zrobić przerwę, by włożyć rękawiczki, i żałuję, że nie pomyślałam o tym wcześniej, bo na dłoniach mam już czerwone odciski, a palce kleją się od żywicy.

Dość szybko rezygnuję ze ścinania gałęzi świerka. Okazuje się to zbyt trudne. Przechodzimy na bardziej otwartą przestrzeń, gdzie rośnie kilka

ozdobionych szyszkami malowniczych sosen.

Wczołguję się pod nie z nadzieją, że są bardziej przyjazne niż świerki. Bolał mnie ręce, czuję zmęczenie ramion. Nóż i ja nie jesteśmy już tak wielkimi przyjaciółmi, gdy zaczynam ciąć kolejne splecione lepkie gałęzie. Dostaję bolesną nauczkę: jeśli przygniecie się kolanem leżącą na ziemi szyszkę, można to naprawdę poczuć.

W końcu kucam i ciężko dyszę.

Kiedy się rozglądam, zbiera mi się na płacz. Czy prześladowca jest w pobliżu? Obserwuje nas, śmieje się? A może szykuje pułapkę na kogoś innego? Może śledzi Daisy?

Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze.

– Opowiedz mi o sobie – proszę nagle Neila, wracając do podcinania szczególnie upartej gałęzi z rozwidlonymi iglastymi końcówkami.

– O mnie? Niby co?

– Tęsknisz za Latishą? I jak to się właściwie dzieje, że jedna kobieta usidla kilku facetów? Jest współczesną wersją Heleny trojańskiej?

– Czy Helena trojańska była mającą metr osiemdziesiąt wzrostu czarnowłosą boginią o promiennym uśmiechu, cholernie inteligentną i spragnioną przygód?

– Nigdy o niej nie czytałam.

– Mam dziewczynę – oznajmia nieoczekiwanie Neil.

To ciekawe. Miggy na przykład nie opowiadał o dziewczynie czy żonie.

– Nazywa się Anna Hajlasz. Zacząłem się z nią spotykać tuż przed... Miałem zamiar zabrać ją na wesele Tima.

– Nigdy wcześniej się z nią nie pokazywałeś?

– Hm... nie mówiłem o niej kolegom.

Przestaję na chwilę ciąć gałąź, by na niego spojrzeć.

– Chwileczkę. Chodzisz z tą Anną od ponad pięciu lat i nawet nie wspominałeś o niej przyjaciółom?

– To drażliwy temat dla nas obojga – przyznaje Neil.

– Tak sądzisz?

– Znają ją wszyscy w mojej rodzinie. I koledzy z pracy. Wcale jej nie ukrywam. Po prostu... nie rozmawiam o niej ze Scottem, Miggyem i Joshem.

– Z powodu Latishy? – Jestem szczerze zaskoczona.

– Nie. O niej już nawet nie myślę. Owszem, byłem w niej zadurzony. Ale bądźmy poważni: trzy randki? Rozumiem, co Scott chciał powiedzieć. Jest różnica między zauroczeniem a miłością. Kiedyś byłem zauroczony Latishą. Pięć lat później jestem zakochany w Annie.

– Więc dlaczego im nie powiesz?

– Nie wiem.

– Na pewno wiesz.

Neil milczy, a ja wracam do cięcia gałęzi.

– Zdajesz sobie sprawę – rzucam przez ramię – że zapewne wkrótce zginiemy? Mógłbyś zrzucić z siebie ten ciężar.

– Nie chcę się nią dzielić! – wybucha.

– Boisz się, że któryś z nich mógłby ci ją odebrać? Jak Tim Latiszę? A później Scott?

– Nie o to chodzi. Nie chcę się nią dzielić. Chcę, żeby była tylko moja, należała wyłącznie do mnie. Po tym, co się stało... Przez dziesięć lat ja i czterej moi koledzy byliśmy właściwie nierozłączni. Wybryki na uczelni, pierwsze miłości, poszukiwanie pracy. Każdy z nas wiedział, co mówili i robili pozostali. Ale tracąc Tima, straciliśmy siebie. Zapragnąłem wtedy mieć coś, co byłoby tylko moje.

– I nie należało do całego Dudeville?

– Co nie miałoby żadnego związku z pieprzonym dwudziestoparolatkiem, jakim byłem. Chłopakiem, który zawiódł najlepszego przyjaciela.

– Bardzo surowo się oceniasz.

– Myślę, że Scotta, Miggy'ego i Josha też to gryzie – mówi obojętnym tonem.

– Sądzisz, że po tym wszystkim mógłbyś im ją przedstawić?

– Anna chce ślubu.

- A ty?

- Właściwie niczego bardziej nie pragnę. Ona jest tą jedyną. Wiedziałem to, gdy tylko ją poznałem.

- Ale nie oświadczyłeś się jej?

- Nie mogłem. Nie potrafię sobie wyobrazić, że się żenię, bo nie umiem... - Załamuje mu się głos. - Nie byłem w stanie znieść myśli, że stoję przy ołtarzu, a nie ma przy mnie Tima. Że on nie mógł mieć ślubu. Właśnie dlatego Miggy, Josh i ja nie poszliśmy na ślub Scotta. Chryste, już sam widok smokingu... Ostatnią rzeczą, jaką wspólnie zrobiliśmy, była przymiarka. Śmiało się do rozpuku i kłuliśmy się szpilkami... - Głos Neila znów się łamie. - Zawsze sądziłem, że stres pourazowy reaktywują takie zjawiska jak uderzenie pioruna. A u mnie wywołuje taką reakcję widok mężczyzn w smokingu.

- Przykro mi - mówię szczerze, odłamując w końcu najniższą gałąź.

- A teraz czuję się jak największy na świecie idiota - wyznaje Neil. - Anna czeka od pięciu lat, żebym wreszcie się opamiętał. Muszę, do cholery, zejść z tej góry, żeby wszystko naprawić.

- Więc po co zgłaszasz się na ochotnika do samobójczej misji?

Wzrusza ramionami.

- Bo, czego może nie zauważyłaś, znaleźliśmy się w sytuacji, w której przetrwają najsilniejsi. A ja jestem już zranioną ofiarą. Widziałem wystarczająco dużo filmów przyrodniczych, by wiedzieć, co się wydarzy. Więc jeśli mam umrzeć, niech moja śmierć coś znaczy. Niech zginę na moich warunkach, a nie jakiegoś sukinsyna.

- To się nazywa duch walki. - Odrywam kolejną gałąź od pnia, a Neil ją odciąga. Jeszcze jedna, myślę. Na więcej mnie nie stać. Potem wracamy.

Czuję mrowienie między łopatkami, ale nie mogę się zdecydować, czy to przejaw instynktu samozachowawczego, czy zwykłej paranoi.

- A co z Miggym? - pytam, wybierając kolejną gałąź.

- Muszę go spytać. Był przez długi czas z dziewczyną, ale zerwał z nią w zeszłym roku. Nigdy jednak nie słyszałem, by mówił o małżeństwie. Nie wiem, czy ma takie plany.

- A Josh?

- On nie rozmawia o swoich osobistych sprawach. Nigdy tego nie robił. A już szczególnie teraz.

Słyszę w jego głosie jakąś szczególną nutę i ponownie mu się przyglądam.

- Ale? - naciskam.

Neil układa w stos ucięte gałęzie.

- Gdybym miał zgadywać, Josh jest gejem. I Tim był prawdopodobnie jego pierwszą miłością. Łapałem go czasem na uczelni na tym, jak na niego patrzył. Nic się nigdy nie zdarzyło i Josh nie przyznał się, że jest gejem. Chociaż powiem ci, że żadnemu z nas by to nie przeszkadzało. Ale moim zdaniem właśnie dlatego Josh był tak rozbity, kiedy Tim zaczął się nam zwierzać tamtej nocy. Nie chodziło tylko o to, że w tajemnicy przed Joshem spał z jego siostrą, ale też że wybrał ją, a nie... jego.

- Myślisz, że również dlatego zaczął tyle pić?

- Nie wiem. Towarzyszył nam w pracy, zabawie i nauce. Ale nigdy z nami nie rozmawiał. To nie było w jego stylu. Z Timem był jednak najbliższym.

- Słyszałeś coś? - pytam nagle, wypełzając spod sosny. Prostuję się powoli, ocierając brew.

- Nie. Co takiego?

- Ciii... - Zniżam głos do szeptu. - Posłuchaj. Co słyszysz?

- Nic.

- Właśnie. A czy w lesie panuje zwykle całkowita cisza?

Neil otwiera szeroko oczy, bo zrozumiał, co mam na myśli.

Wokół nas nie słyhać absolutnie żadnych dźwięków. Jakby zamarło wszelkie życie, starając się zejść z oczu Wielkiemu Złu zmierzającemu w naszym kierunku.

Nie musimy nic widzieć, by sobie to uświadamiać.

Myśliwy już tu jest.

Rozdział 35

NEIL I JA ZAMIERAMY w bezruchu za sosnami. Świerki, z ich zwisającymi nisko rozłożystymi gałęziami, stanowiły doskonałą kryjówkę. Tu natomiast jesteśmy bardziej na widoku. Wstrzymujemy oddechy i wsłuchujemy się w bicie naszych serc.

Rozglądam się po lesie, wypatrując śladów obecności człowieka. Może zauważę głowę, białka oczu albo błysk światła odbitego od celownika karabinu. Niczego nie dostrzegam, ale nie bardzo wiem, gdzie patrzeć. W dół, w górę? Nie potrafię sprecyzować zagrożenia, mam po prostu dojmujące przeczucie, że jest bardzo blisko.

Neil ciągnie mnie za rękę. Twarz jeszcze bardziej mu poblądła. Wskazuje na świerki. Kiwam głową ze zrozumieniem.

Robi ostrożnie krok. Nie pada strzał. Drugi krok, potem trzeci. Podążam niepewnie za nim.

Neil ciągnie ucięte gałęzie. Chwytam dwie, choć sama nie wiem dlaczego.

Dochodzimy do gęstego świerka i przykucamy pod nim. Teraz cieszę się z jego lepkiej żywicy i ostrych igieł. Iglaste drzewa stały się moimi najlepszymi przyjaciółmi.

Znów wyczekujemy. Odliczam w myślach sekundy, by coś się zająć. Nadal niczego nie słyszymy.

Nagle w oddali rozlega się ptasi trel.

Wymieniamy zrozpaczone spojrzenia. Jest za wcześnie. Nie zbudowaliśmy jeszcze kryjówek. Nie jesteśmy nawet we właściwym miejscu. Nie wspominając o Scotcie i Miggym...

Nie taki był plan!

Neil zrywa się pierwszy. Sięga do plecaka, wyciąga pojemnik z gazem pieprzowym i patrzy na mnie zdecydowanie.

Przypominam sobie jego słowa. Jest już zranioną ofiarą, więc może zginąć na własnych warunkach.

Widzę, jak bierze kilka uciętych gałęzi i wtyka ich końcówki za paski plecaka. Nie za bardzo rozumiem po co. Czyżby chodziło o strój maskujący własnej roboty? I wtedy zauważam, jak bardzo jego sylwetka staje się niewidoczna za gałązkami, jak trudno byłoby komuś w niego trafić. To działa. Szybko idę w jego ślady.

Mam nóż, ale wyciągam także pojemnik z gazem pieprzowym.

NEIL WYPEŁZA SPOD DRZEW. Trzaski gałązek i zgniatanych szyszek rozbrzmiewają niewiarygodnie głośno w martwej ciszy. Krzywimy się oboje, ale idziemy dalej.

Znów rozlega się trzel ptaka. Bob daje nam znać, że nadchodzi myśliwy.

Powinniśmy uciekać, a nie skradać się w jego kierunku, myślę gorączkowo. Powinniśmy się rozdzielić i zadbać każdy o siebie.

Ale nasza grupa, która nie była grupą, jest teraz jak skała.

Nadciąga śmierć.

Neil i ja wychodzimy jej na spotkanie.

PRYZYSTAJEMY NA WIDOK ZWINIĘTEJ kamizelki Daisy. Nie widzę śladu Scotta ani Miggy'ego. Czyżby zdolali schować się gdzieś za krzakami? Nic się nie porusza. Nie słyszę nawet szelestu liści.

Raz jeszcze się rozglądam. I niczego nie dostrzegam. Strużki potu spływają mi z brwi do oczu. Słyszę przenikliwe brzęczenie owadów. Patrzę. Nasłuchuję. Oddycham.

Nagle rozlega się trzask suchej gałązki.

W odpowiedzi poruszają się krzaki na wprost przed nami. Musi tam być Scott albo Miggy. Ale nadal nie widzę nikogo pośród drzew.

Neil ściska mi bardzo mocno ramię. Próbuje dodać otuchy sobie? Czy mnie? To bez znaczenia. Czytałam kiedyś, że żołnierze utrzymują pozycje na linii frontu dla dobra towarzyszy. Teraz to rozumiem. Mogę zawiesić siebie... co się zdarzało. Ale nie chcę opuścić Neila, by sam stawiał czoło temu, co się przed nami czai.

Kąśliwe owady wplątują mi się we włosy, brzęczą koło uszu. Czuję potworne pragnienie, a równocześnie strasznie chce mi się sikać. W lesie jest zbyt cicho, a moje serce bije za szybko. Czuję w ustach smak soli, gazu pieprzowego i żywicy.

I nagle...

Spomiędzy drzew wypada potężna postać. Rycząc jak zwierzę, szarżuje wprost na mnie i Neila.

Dostrzegam wiele rzeczy naraz.

Białka oczu Boba, gdy pędzi w naszym kierunku, trzymając w ręce czerwony pojemnik z gazem.

Scotta i Miguela, którzy wyskakują z krzaków za jego plecami, krzycząc głośno.

Tymczasem napastnik jest już zaledwie trzy metry od miejsca, gdzie stoimy Neil i ja. Drzewo rozdziela się na dwa – i to drugie unosi karabin.

Nie ma to sensu, a jednak dzieje się dokładnie tak, jak przewidział Bob.

Naciska na rozpylacz pojemnika z gazem pieprzowym i w tym momencie rozlega się strzał.

Bob pada na ziemię jak kłoda. Nie mamy czasu zareagować, gdy słyhać krzyk po drugim strzale. Scotta, Miguela? Nie wiem, którego z nich.

Neil i ja rzucamy się naprzód. Potykam się o zwisającą sosnową gałąź i z trudem utrzymuję równowagę, gdy rozbrzmiewają kolejne strzały. Chcę rzucić się z nożem na tę przebraną za drzewo złowrogą postać, która zraniła Boba, zaatakowała tego cudownego, potężnego, kochanego człowieka, ale macham tylko rękami, starając się nie upaść. W następnej chwili zderzam się ze ścianą mgiełki gazu, który rozpylił Bob. Natychmiast zaczynają mi łzawić oczy i cieknie mi z nosa. Upuszczam swój pojemnik z gazem i chwytam się za szyję.

Gardło piecze jak diabli.

Widzę przez zapuchnięte oczy, że przebrany za drzewo napastnik się porusza. Neil rzucił mu się na plecy. Muszę unieść nóż. Muszę pomóc

Neilowi.

Tyle że on leży na ziemi. A napastnik unosi karabin.

Rozlega się strzał. Gdzieś za plecami mężczyzny przebranego za drzewo i ten odwraca się.

Zastygam w bezruchu. Przez załzawione oczy dostrzegam Miggy'ego, który stawia czoło napastnikowi. Nigdy nie widziałam u niego takiego wyrazu twarzy. Ma dziki, drapieżny wzrok.

Napastnik ma karabin.

Miggy nędzny pistolet.

Unoszę nóż. Muszę zaatakować – teraz, dopóki zabójca nie zwraca na mnie uwagi. Ugodzić go w ścięgno Achillesa, gdziekolwiek.

Nagle napastnik znika. Tak po prostu. Rozpływa się w lesie, jakby nigdy go nie było.

Ptaki znów zaczynają śpiewać. Smużki dymu wystrzałów i gazu pieprzowego rozwiewają się w powietrzu.

Miggy stoi przede mną, nadal ściskając pistolet, a jego śniada twarz jest biała jak kreda.

Potem zaczynają się rozlegać jęki. A ja tracę nadzieję, widząc jatkę wokół siebie.

CHCĘ MOCNO ZACISNĄĆ POWIEKI. Nie chcę na to patrzeć. Nie chcę wiedzieć. Reaguję na rany postrzałowe tak, jak Neil na widok mężczyzn w smokingach. Przywołują wspomnienia, które chcę wymazać z pamięci, chwile, których nie chcę ponownie doświadczać.

– Frankie – ponagla mnie Miggy.

Kręcę głową. Nie mogę. Nie mogę już na nic więcej patrzeć, nie mogę niczego więcej stracić. Jestem zbiorem poszarpanych blizn, własnych i innych ludzi. Zdarto już ze mnie skórę, centymetr po centymetrze. Mam jej za mało, by sobie teraz poradzić.

– Frankie! – odzywa się znowu Miggy.

Jęki jednak pomagają. Zmuszają mnie, bym się otrząsnęła, wstała i polala wodą nadal łzawiące oczy i ciekący nos. Jestem cała we łzach

i smarkach. Stosownie do sytuacji.

Najpierw dostrzegam Boba, głównie dlatego, że jego masywna sylwetka wyróżnia się wśród leżących na ziemi postaci, a na jasnej koszuli koloru khaki wyraźnie widać czerwoną plamę krwi. To on jęczy. Neil, który jest bliżej mnie, leży twarzą do ziemi. Nie wydaje żadnego dźwięku.

– Zajmę się Scottem, a ty Bobem – rozkazuje Miggy. Nie chwieje się na nogach ani nie mdleje na widok tak dużej ilości krwi. Jakby przestał nagle być tym nadmiernie wrażliwym chłopakiem.

Biorę z niego przykład. Nie jestem już sobą, gdy zdzieram z plecaka ostatnie gałązki, by móc podejść bez potykania się do leżącego na ziemi Boba. Nie jestem sobą, kiedy pochylam się nad potężną sylwetką przyjaciela. Nie jestem sobą, gdy wpatruję się w jego twarz, a on otwiera niebieskie oczy i uśmiecha się.

– Ups – szepcze.

– Nic nie mów – odpowiadam również szeptem.

– Powiedz Robowi... że go kocham.

Kręcę głową. Nie jestem sobą. Nie muszę krzyczeć, lamentować ani płakać. Jestem kimś innym, osobą, która da sobie radę.

Rozrywam koszulę Boba. Oglądam ranę na jego owłosionej piersi. Krew tryska z otworu w lewym boku.

– Oplaca się być dużym facetem – sapie Bob. – Celował... w serce.

– Wyglupił się – przyznaję, starając się myśleć. Wczoraj robiliśmy coś podobnego: opatrywaliśmy Martina. Zajmował się tym Bob, ale pamiętam kolejne kroki. Apteczka, waciki nasączone alkoholem, podpaski. W porządku, już wiem. Odkładam plecak i zaczynam w nim grzebać.

Miałam apteczkę. Gdzie ona jest, do diabła? A podpaski? Cholera, zużyliśmy je. Potrzebuję dużo podpasek. Mam tu naprawdę ogromnego pacjenta. Zaczynam wpadać w histerię. Tłumię ją. Nie jestem sobą, więc nie muszę histeryzować. Jestem osobą, która sobie radzi.

Bob zaciska palce na moim nadgarstku.

– Daj spokój.

– Muszę tylko zdobyć więcej opatrunków – bełkoczę. – Plecak Neila. On będzie miał tampony.

– Musisz uciekać.

– Wszystko będzie dobrze. Pamiętam, jak opatrywałeś Martina.

– Martin nie żyje.

– Nie wiemy...

– Czuję krew... w płucach. Nic... nie poradzisz. A co z pozostałymi?

– Miggy'emu nic nie jest. – Zastanawiam się chwilę. – A Scott i Neil... – Nie wiem, co z nimi, ale nie mogę przyznać, że czuję się bezsilna. Pozbawiona nadziei.

– Ty i Miggy... uciekajcie. On tu wróci.

– Miggy go zranił.

– On... wróci.

– Nie. Niech to cholera! – Mam już tego dość. Krwi, ran postrzałowych, mężczyzn umierających na moich rękach. Bob przeżyje, bo tego sobie życzę!

Bob będzie żył, bo do trzech razy sztuka i pierdolony wszechświat jest mi to winien.

– Jaka sytuacja?! – woła Miggy.

– Żyje. Ma ranę w boku. Potrzebuję opatrunków. – Podpełzam do Neila. Sprawdzam mu puls. – Tętno wyczuwalne – oznajmiam. – Ale jest nieprzytomny.

Ściągam Neilowi z ramion plecak. Muszę znaleźć podpaski. Teraz wszyscy jesteśmy jak sępy.

– A co ze Scottem? – pytam.

– Postrzelony w ramię. – Słyszę, jak Miggy rozdziera jakieś opakowanie, udzielając Scottowi pomocy.

– Uciekaj – powtarza Bob, gdy do niego wracam.

– Zamknij się.

– Fatalnie... traktujesz... chorego.

– Rob cię potrzebuje. Wielka Stopa także. Zamierzam cię poskładać. Będziesz żył.

– Powiedz Robowi, że go kocham.

– Zamknij się! – Ogarnia mnie gniew. Wściekłość. Furia. Przetrzęsłam plecak Neila i znajduję niewielką apteczkę oraz dwa tampony i dwie podpaski, na które zawsze już będę patrzyła inaczej. – A teraz posłuchaj, wielkoludzie. To będzie bolało jak cholera. Nie mam czasu na delikatność.

Bob wpatruje się we mnie szklistymi niebieskimi oczami.

– Znajdź to.

– Co?

– To, czego naprawdę szukasz.

– Zamknij się! Patrz na Miggy'ego. No już. Patrz tam.

Bob odwraca głowę. Gdy wtykam w ranę pierwszy tampon, wygina całe ciało w łuk. Ale nie krzyczy. Nawet nie jęczy. Uświadamiam sobie, że nie chce robić hałasu. Boi się, że zwabi z powrotem myśliwego.

Zaczynam szlochać. Nie mogę się powstrzymać, rozrywając kolejne opakowania z opatrunkami. Przeklinam go, ściskam mu rękę i błagam, by przeżył, przykładając mu do rany gazę i mocno ją przyklejając.

Dopiero wtedy przypominam sobie o ranie wylotowej.

I wreszcie wszystko rozumiem. Tyle że nie chcę zrozumieć. Tego, co Bob mi powiedział.

Przestaję wpatrywać się w jego owłosioną bladą pierś i spoglądam na ziemię.

Jest czarna od krwi. Zbyt jej tam wiele. Całe litry.

– Błagam – zwracam się do Boba. Do wszechświata.

– Powiedz Robowi... że go kocham.

I wtedy... wtedy...

W KOŃCU POJAWIA SIĘ Miggy. Potrząsa mną. Klepie mnie po twarzy.

– Frankie – mówi. – Pozwól mu odejść.

Potem:

– Frankie, Scott i Neil wciąż nas potrzebują.

I w końcu:

– Frankie, rusz się, kurwa! Czas uciekać!

I tak też robię.

Rozdział 36

PĘDZIMY PRZED SIEBIE. A raczej potykamy się i ślizgamy, wpadamy na sosnowe gałęzie, zdzierając sobie skórę na korze drzew i raniąc łydki o kamienie. Ale nie zatrzymujemy się. Biegniemy dalej, zataczamy się i ciągle z czymś zderzamy, tłumiąc krzyki i ignorując ból.

Potykam się, spadam kilka metrów w dół i uderzam ramieniem o głaz. Mam ochotę szlochać z przerażenia. Jestem niewiarygodnie spocona i zasmarkana.

Nie potrafię myśleć. Nie umiem się skupić. Mogę się tylko poruszać, więc dźwigam się z ziemi i idę dalej, mając Miggy'ego tuż przed sobą.

Nie jesteśmy na żadnej ścieżce, tylko gdzieś w środku lasu. Kierujemy się w dół zbocza. Im bardziej jest strome, tym lepiej. Pewnie już po nas. Zaraz ktoś nam strzeli w plecy. Ale nie możemy się o to martwić.

Myśliwy zwyciężył. Nasz błyskotliwy plan zawiódł. Jesteśmy teraz jak sarny uciekające przed drapieżnikiem.

Mam swój plecak. A Miggy swój. Ale pozostało nam tak niewiele zapasów, że to niemal bez znaczenia. Powiedział, że musimy sprowadzić pomoc. Dla Scotta i Neila.

Ale nie dla Boba. Dla niego już nie.

W twarz uderza mnie gałązka. Oczy znów mi łzawią, igły wbijają się w policzki, wchodzą do ust.

– Przepraszam – wysapuje Miggy. Jest szybszy ode mnie, pokonuje strome wzniesienia długimi krokami.

Próbuję go naśladować, ale nie potrafię.

Docieramy do szemrzącego wąskiego strumienia. Upadam na czworaki. Przypominam sobie, jak Neil śmiał się z przyjaciółmi, trzymając głowę w wodzie. Jak Scott mówił z dobrodusznym uśmiechem, że bym przecięła mu pierś.

Nie chcę się podnosić.

– Frankie – dyszy Miggy.

– Drzewo ich zabiło. Drzewo zabiło naszych przyjaciół.

Osuwa się do strumienia obok mnie. Nabiera w dłoń wody i obmywa mi twarz z igliwia i śluzu. Wpatruje się we mnie ogromnymi ciemnymi oczami.

– Widziałem go – mówi.

– Człowieka-drzewo?

– Miał pełen wojskowy kamuflaż. Wetknięte w czapkę krótkie gałązki. Snajperskie rękawiczki. Dolną część twarzy zasłaniała mu czarna chusta, a na oczach miał profesjonalne gogle. To dlatego gaz pieprzowy nie zadziałał. Był przygotowany. Wyposażony na każdą okoliczność.

– Od samego początku miał nad nami przewagę.

Miggy kiwa głową.

– Nie wyobrażałem sobie czegoś takiego w najgorszych koszmarach. Ten facet to twardziel. Gotowy na wszystko.

– Przynajmniej go postrzeliłeś.

– W najlepszym razie drasnąłem.

– Co ze Scottem i z Neilem? – Z trudem wymawiam ich imiona.

– Ukryłem ich. Wciągnąłem ich za krzaki. Neil dostał po raz drugi w głowę. Odzyskał przytomność na dość długo, by zwymiotować. On i Scott nie wyjdą z tych gór, Frankie.

– My też nie wyjdziemy.

Miggy kręci głową.

– Tak zginął Tim – odzywa się po chwili. – Zastanawiałem się nad tym przez wszystkie te lata. Teraz już wiem.

Ciągnie mnie za rękę, żebym wstała. Nie opieram się. Jesteśmy oboje przemoknięci. A jednak nadal czuję na dłoniach i pod paznokciami zakrzepłą krew.

– Zostało mi pięć kul – oznajmia.

Rozumiem go.

– Zaczyna się wyścig – mówię. – Czy zdołamy wydostać się stąd, zanim znów nas odnajdzie? – Uśmiecham się. Nie potrafię się powstrzymać.

– Co cię tak bawi?

– Ty i ja. Jesteśmy najsłabszymi ogniwami, pamiętasz? Pierwszego dnia wyprawy to my byliśmy najbardziej wykończeni. A teraz tylko my ocaleliśmy.

– Tak, to ironia losu.

Jeszcze nie rozumiem, co mam na myśli. Uśmiecham się ponownie i teraz to ja nabieram w dłoń wodę, by zmyć brud i krew z jego twarzy. Robię to delikatnie. Muskam palcami jego brwi, policzki i podbródek. Wcale nie będzie mi przez to łatwiej wypowiedzieć następne słowa.

– To jego strategia likwidowania grupy – zaczynam cicho. – Eliminuje najpierw jej najsilniejszych członków. Nemetha, Lucianę, Martina. Boba. My jesteśmy najsłabszymi ogniwami. Żeby nam to wynagrodzić, zostawia nas sobie na koniec.

Miggy ujmuje moje dłonie i odpowiada posępnym tonem:

– Chciałem w ten weekend pograć w golfa. Byłbym, kurwa, szczęśliwy, mogąc teraz celować białą piłeczką do osiemnastu dołków. – Uśmiecha się gorzko.

A potem znów zaczynamy biec.

WYMACHUJĄC RĘKAMI, PĘDZIMY PO stromych zboczach. Wydaje się, że trwa to całą wieczność. W każdej chwili spodziewam się dostać kulę w plecy. Pokonując trudny teren, zostawiamy za sobą ślady, które wysłedziłby nawet amator. Przedzieramy się przez zarośla, łamiemy gałązki, zgniatamy trawę, ryjemy ziemię.

Choć bieg wymaga wysiłku, mam dreszcze. Bolać mnie stopy i kolana. Ale krew nie krąży tak intensywnie, jak przy wspinaniu się pod górę, co oznacza, że wytwarzamy za mało ciepła, by wyschły na nas ubrania. W dodatku zaczyna się chmurzyć i znika słońce.

Lada chwila spadnie jak zwykle popołudniowy deszcz i będziemy jeszcze bardziej zmoknięci i zziębnięci.

Luciana mówiła, że do zejścia na dół potrzeba ośmiu do dziesięciu godzin szybkiego marszu. Ale miała na myśli poruszanie się krętym szlakiem, a nie bieg na złamanie karku po porośniętych sosnami zboczach. Musimy być już blisko. Oczywiście zgubiliśmy drogę, ale jeśli dotrzemy w pobliże cywilizacji, może zaczną działać telefony. Może natrafimy na kogoś, kto ma dom w tym lesie.

By on także zginął?

Skołatany umysł nie służy mi teraz najlepiej.

Biegnący przede mną Miggy raptownie się zatrzymuje. Muszę chwycić się gałęzi, by na niego nie wpaść.

– Co jest?

Nie odzywa się, wskazuje tylko na coś palcem. Patrę przed siebie, a potem w dół. Dotarliśmy do wąwozu. Ogromnego, niewiarygodnie głębokiego zielonego jaru, który ciągnie się w nieskończoność. Jakby jakiś olbrzym postanowił wyźłobić w skale wielki przesmyk.

Patrę na Miggy'ego, a on na mnie. Nie ma mowy, żebyśmy tędy przeszli. Co oznacza, że musimy zdecydować, czy iść w lewo, czy w prawo. Tyle że straciłam już kompletnie orientację. Powinniśmy przedostać się na drugą stronę wąwozu. Ale jak, do diabła, mamy to zrobić?

– Okej – rzuca Miggy. – Odpocznijmy chwilę. Napijemy się wody. Spójrzmy na mapę.

Oglądam się niespokojnie za siebie. Człowiek-drzewo może w każdej chwili wyłonić się z lasu. Unieść karabin. Kiedy dosięgną nas kule, upadniemy do tyłu, tak jak Bob. Tyle że runiemy w przepaść. Czy to my będziemy się śmiali ostatni? Skradniemy myśliwemu jego trofeum? Neil chciał, żeby jego śmierć miała jakieś znaczenie. Ja chciałabym, żeby moja śmierć kogoś wkurzyła.

– Możemy pójść tam. – Miguel wskazuje na niewielkie skupisko rozłożystych sosen. Wchodzimy między nie; ocieramy o szorstkie gałęzie plecakami, gdy zdejmujemy je z ramion.

Burczy mi w brzuchu. Z zażenowaniem przyciskam do niego rękę i pytam niechętnie:

– Mamy jeszcze jakieś batony? Albo musli? Cokolwiek?

Miggy nie patrzy na mnie.

– Dałem resztę jedzenia Neilowi i Scottowi – odpowiada w końcu. – Bronili się przed tym, chcieli, żebyśmy je zatrzymali. Ale nie mogłem ich zostawić samych i rannych bez zapasów. – Słowa więzną mu w gardle.

Kładę rękę na jego dłoni.

– Rozumiem – rzucam. Mam poczucie winy. Byłam tak pogrążona w gniewie i żalu z powodu śmierci Boba, że zamknęłam się w sobie i zostawiłam Miggy'ego bez pomocy. Z pewnością nie było mu łatwo. Musiał opatrzyć ranę po kuli jednemu z rannych przyjaciół, a potem ocucić drugiego, który miał wstrząs mózgu, i ukryć obu za krzakami.

Na pewno zachowali stoicki spokój. Tak było od samego początku. Ten las był ich wrogiem od pięciu lat. Wiedzą już, że tu nie zdarza się nic dobrego.

Ale jak czuł się Miggy, który musiał ich zostawić po tym, jak tyle razy obiecywał sobie, że tego nie zrobi? Że nie popełni tego samego błędu?

Scott się wykrwawiał. Neil wymiotował.

Takie chwile odbierają człowiekowi kawałek duszy. Pozostawiają rany, które nigdy się nie zabliznią. Trzeba nauczyć się żyć z tym bólem.

W oddali rozlega się grzmot. Jakbyśmy nie byli już dość mokrzy i nieszczęśliwi.

Miggy zauważa, że obserwuję nadciągające ciemne chmury.

– Może to go spowolni.

Faceta wyposażonego w sprzęt do przetrwania w każdych warunkach? Z pewnością ma jakiś wodoodporny superkombinezon, który odpycha pioruny. Jak ja go nienawidzę!

Miggy rozkłada mapę, taką samą jak ta, którą miał Martin. Przesuwa palcem po krętych liniach.

– To nasz pierwotny szlak. – Pokazuje, że kończy się na jasnozielonej plamce oznaczonej jako Kanion Diabła. Stuka palcem w dolną część tej plamki. – To obozowisko, z którego wyszliśmy wczoraj po południu.

– Zaczekaj, między początkiem kanionu a końcem szlaku widać jakąś lukę. Co tam jest?

– Byliśmy tam. To odcinek szlaku na pustkowiu. Pamiętasz, co Nemeth powiedział pierwszego dnia? Że nie wszystkie szlaki w tej okolicy są oznakowane. Dlatego Martin zawsze planował wyprawy z Nemethem. Potrzeba tu albo doświadczonego przewodnika, albo umiejętności posługiwania się kompasem. Widzisz? – Wskazuje na mapie czarne linie poziomic. – W tym miejscu trzeba zejść półtora kilometra po stromym zboczu, żeby dotrzeć do płaskowyżu, na którym spędziliśmy ostatnią noc. Ta droga nie jest oznakowana, ale znają ją Nemeth i wielu miejscowych. To prawdopodobnie zaadaptowana przez ludzi ścieżka, którą wytoczyły zwierzęta. A więc dziś rano wyruszyliśmy stąd. Myślę, że idziemy na południowy zachód, ale nie jestem pewien.

– Nie sądzę, żebyś umiał posługiwać się kompasem – mówię, bo nie jest przecież doświadczonym przewodnikiem.

– Trochę się na tym znam. Byłem skautem. Ale przyznam, że od lat nie miałem kompasu w ręce. Zwykle zdawałem się w tym na Nemetha. Nie miałem ochoty zastanawiać się, dokąd idziemy i co robimy. – Krzywi się. – Okej, zapomnijmy na chwilę o kierunku marszu i skupmy się na ukształtowaniu terenu. Odkąd wyruszyliśmy, wybieraliśmy najbardziej strome zbocza. Biorąc więc pod uwagę poziomicę na mapie...

– Szukamy miejsca, gdzie są one najgęściej zgrupowane – wchodzę mu w słowo. Rozumiem, do czego zmierza. – Czyli najkrótszej trasy prowadzącej stromo w dół.

– Właśnie.

Oboje wpatrujemy się w mapę. Znów rozlega się grzmot, tym razem o wiele bliżej, po czym w sam środek mapy uderza pierwsza duża kropla deszczu.

Miggy umieszcza mapę między nami, żebyśmy mogli osłonić ją naszymi ciałami.

– Nie mam pewności, ale zważywszy na układ poziomic, wygląda na to, że schodzimy tędy. – Wytycza palcem trasę przez góry. – Jeśli to prawda, mamy szaleńcze tempo, ale zbaczamy na południe. Musimy

kierować się bardziej na zachód, żeby dotrzeć do Ramsey. To doprowadzi nas na jeszcze większe odludzie. Co prawda na niżej położone tereny, ale nadal w samym środku rezerwatu Popo Agie.

Stuka palcem w mapę, w miejsce, gdzie ogromny obszar zaznaczony jest ciemnozielonym kolorem. Wygląda to jak podłużna wyspa o zakrzywionym kształcie i jesteśmy daleko od jej brzegów. Brak mi słów, gdy uświadamiam sobie, jak bardzo jesteśmy zagubieni. Jeśli otworzę teraz usta, rozplączę się.

Miggy dyszy ciężko, walcząc z własnymi emocjami. Niebo znów się rozwiera. Przecina je błyskawica, zaraz potem rozlega się grzmot i rozpoczyna się popołudniowa ulewa.

Nie zachwycam się już jej dzikim pięknem. Czuję się, jakbym dostała w zęby. Matka natura już dość dała nam się we znaki. Nie musi się więcej popisywać.

– Nie mogę znaleźć wąwozu – mówi Miggy, nadal studiując mapę. – Gdzie są te pieprzone poziomiczki? Cholera, przecież wiedziałem. Dlaczego nie mogę się skupić? No dalej. Nie pora, żeby być idiotą.

Nie radzi sobie. Raz jeszcze kładę rękę na jego dłoni, równie zimnej i wilgotnej jak moja.

– Jest okej. Dotarliśmy aż tutaj. Ty nas tu doprowadziłeś.

Podnosi na mnie wzrok. Ma podkrążone oczy. Jest wyczerpany i przygnębiony, przytłoczony poczuciem winy, że zostawił przyjaciół, udręczony koszmarami, które widzieliśmy. Chciałabym móc wziąć go w ramiona i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Ale kłamstwo nam nie pomoże.

Krople deszczu spadają mu na twarz. Mruga kilkakrotnie.

– Słyszałem, jak Bob cię prosił, żebyś przekazała Robowi, że go kocha.

– Rob to jego mąż.

– Ja nie mam partnerki. Ale... jeśli nie przeżyję, a ty ocalejesz, powiedz moim rodzicom, że ich kocham i czułem dumę, że jestem ich synem. Powiedz im... że zginąłem w walce. Ojcu się to spodoba.

– Wydostaniemy się stąd...

– A co z tobą? – przerywa mi gwałtownie.

Najwyraźniej bardzo chce to wiedzieć. Ale ja nikogo nie mam. Prowadziłam inne życie.

– Jest taki bar w Bostonie – mówię w końcu. – Prowadzi go małomówny facet, Stoney. Gdybyś mógł go zawiadomić... – On przekaże wiadomość Viv, Angeliq... i detektywowi Danowi Lothamowi. Jestem pewna, że będzie im przykro ją usłyszeć. Ale moja śmierć nie pozostawi wielkiej luki w ich życiu. Przecież nigdy tak naprawdę z nimi nie byłam.

Myślę o Amy, wdowie po Paulu. Czy będzie się zastanawiać, dlaczego przestałam do niej dzwonić? Czy będzie jej brakowało naszego dziwnego rytuału? Czy uzna po prostu, że w końcu się wyprowadziłam, i odetchnie z ulgą, że wreszcie się mnie pozbyła?

Nie mam pojęcia.

– Kiedy burza ucichnie – odzywa się Miguel, biorąc się w garść – powinniśmy pójść w tę stronę. – Wskazuje na drzewa.

Kiwam głową.

Drży z zimna. Ja też. Zważywszy na sytuację, nie pora teraz dogrzewać się dodatkowymi warstwami odzieży. Suche rzeczy będą nam potrzebne później, gdy temperatura zacznie naprawdę spadać.

Zakładając, że dotrzemy do tego czasu.

Miggy składa przemokniętą mapę. Oboje wypijamy kilka łyków wody, by oszukać żołądki.

Potem stajemy obok siebie, w kręgu niewielkich rachitycznych sosen. Wpatrujemy się w niebo, obserwując kłębiące się czarne chmury i zygzaki błyskawic.

Ostatni pokaz światła, myślę. Ostatnia chwila olśniewającego piękna.

Burza przesuwa się dalej. A my ruszamy w drogę.

Rozdział 37

MARZĘ O GORĄCYM PRYSZNICU, wodzie spływającej strugami po moim ciele i obmywającej je z brudu. A potem o uczcie kulinarnej. O parujących półmiskach z makaronem i serem, świeżo usmażonym burgerze i stertach haitańskich pasztecików. Następnie o łóżku. Ogromnym, niewiarygodnie miękkim, z puchową koldrą i dwudziestoma dziewięcioma poduszkami.

A potem zaczynam marzyć, że w tym łóżku jest ze mną pewien detektyw z Bostonu.

I nagle muszę raz jeszcze skonfrontować marzenia z rzeczywistością.

Staramy się tak bardzo. Przemierzamy wąwóz, który ciągnie się w nieskończoność. Potykamy się o korzenie drzew, brniemy przez gęszcz traw, wspinamy się na niewielkie wzniesienia i zjeżdżamy z łagodnych zboczy. Idziemy ciągle przed siebie.

Ale nie mamy poczucia, że posuwamy się naprzód.

Jesteśmy zziębnięci, przemoczeni i niespokojni. Burza minęła, ale słońce jeszcze nie wyszło. Gdybyśmy szli pod górę, chmury by nam sprzyjały. Ale schodząc w dół, szybko się wychładzamy.

Poruszam się ociężale i niezdarnie. To nie wina niebezpiecznego stromego zbocza. Jestem wyczerpana, głodna i zmarznięta. Poza tym kuleję, bo klucząc między kamieniami, skręciłam sobie kostkę.

Idący przede mną Miggy radzi sobie niewiele lepiej. Widzę, że od czasu do czasu się krzywi. Stawia ostrożnie lewą nogę. Chyba dokucza mu kolano. Jest obolały, podobnie jak ja.

Nie możemy się jednak zatrzymywać. Ten wąwóz oddziela nas od miejsca, do którego chcemy dotrzeć, poza tym jesteśmy tu osaczeni. Jeśli snajper znów się pojawi, wystrzela nas jak kaczki. Z powodu ukształtowania terenu znaleźliśmy się w pułapce.

Za nami rozlega się odgłos wystrzału. Wzdrygamy się przestraszeni i rzucamy między pobliskie drzewa.

Ale echo wystrzału milknie. Widzimy stado ptaków, które podrywają się do lotu gdzieś w oddali, i wymieniamy spojrzenia.

To musi być on. Jakie są szanse, by dwie osoby strzelały z karabinów na takim odludziu? Mój towarzysz ma rację: człowiek-drzewo delektuje się pościgiem. I teraz z nas drwi.

Miggy patrzy na mnie zbolałym wzrokiem.

– Moje kolano – jęczy.

– Wiem. Mnie boli kostka.

– Nie możemy się zatrzymać.

– Neil i Scott – przypominam. Liczą na nas. Zakładając, że nadal żyją. Musieli się czuć strasznie samotni, nie mogąc się poruszać ani walczyć i czekając, aż nadejdzie koniec.

My jesteśmy teraz w podobnej sytuacji.

Miggy nadal masuje kolano.

– Może trzeba je obandażować? – sugeruję. – Unieruchomić?

– Mógłbym spróbować. Ale musielibyśmy się pospieszyć. – Waha się. – Dokuczają ci kostki?

– Chętnie zrobiłabym sobie zimny okład i usiadła w fotelu.

– Najlepszą opcją, zważywszy na dystans, jaki mamy do pokonania, są kijki. Może utniesz nam nożem po gałęzi. Powinny mieć z półtora metra długości. To odciążą trochę nasze stawy.

– Okej. – Chętnie zrobię cokolwiek, by pomóc. Cokolwiek, co pozwoli na krótką przerwę w marszu.

Miggy ściąga plecak i zaczyna szukać apteczki. Ja biorę nóż i odchodzę na bok.

Mam dość sosen. Szukam dębów albo klonów, jakichkolwiek drzew, które nie oblepią mnie żywicą i nie wbiją mi w skórę tysięcy igieł. Sosny przypominają mi złośliwe koleżanki z liceum.

Raz jeszcze szykuję się do walki.

Wybieram na wpeł uschnięte drzewo. A gdy wyciągam nóż z dwustronnym ostrzem, nagle zdaję sobie sprawę, że jest teraz tylko brudnym, klejącym się cieniem niebezpiecznego narzędzia, jakim był.

– Przepraszam – mówię do niego. – Pomóż mi, a jeśli zdołam się stąd wydostać, obiecuję ci solidną kąpiel. Tylko błagam, nie w ludzkiej krwi.

Nóż nie odpowiada, ale wyobrażam sobie dokładnie, jak zagłębia się w piersi człowieka-drzewa. Najwyraźniej pragniemy tego samego.

Biorę się do pracy. Albo sosnowa gałąź jest za gruba, albo ja jestem zbyt zmęczona, bo piłuję ją w nieskończoność. Tak mnie to stresuje, że gdy w końcu ją odłamuję, nie próbuję już uciąć następnej, tylko podnoszę z ziemi jedną z uschniętych gałęzi.

Wracam pospiesznie do Miggy'ego. Jest równie zdenerwowany jak ja.

– Jak twoje kolano? – pytam.

– Dam radę. Wziąłem ibuprofen. A to dla ciebie.

Kładzie mi na zabrudzoną kwią i żywicą dłoń dwie białe tabletki. Nie namyślając się długo, wkładam je do ust i popijam wodą. Szybko oczyszczam gałąź z bocznych gałązek i igieł.

– Proszę. – Wręczam ją Miggy'emu, a potem przyglądam się suchej gałęzi, którą wybrałam dla siebie. Ją również przycinam, czując, że robię to całkiem profesjonalnie.

Mój kijek wydaje się kruchy. Złamie się przy zbyt dużym obciążeniu. Nie jest tak wytrzymały jak świeżo ucięta gałąź. Nie ważę jednak dużo, a nie mamy już czasu na szukanie czegoś lepszego.

Oboje podnosimy się z ziemi i zakładamy plecaki.

Słychać kolejny odgłos wystrzału. Pod niebo znów wlatuje stado ptaków. Tym razem są o wiele bliżej.

Nie mamy wyjścia. Musimy uciekać.

WKRÓTCE STAJE SIĘ JASNE, że bandaż na kolanie Miggy'ego i kijki do podpierania się nie wystarczą. On kuśtyka jak kulejący koń wyścigowy, a ja bardziej podskakuję, niż biegnę.

Miggy nagle staje. Zatrzymuję się przy nim i oboje ciężko dyszymy.

– Mam pięć kul – oznajmia.

Rozumiem, co ma na myśli. Kiedy nie można już uciekać, pozostaje jedynie stawić opór. Wprawdzie ostatnim razem nie wyszło nam to za dobrze, ale zważywszy, że nie mamy szans zwyciężyć w tym wyścigu...

Rozglądam się. Chmury rzucają cień na zbocza. Nie wiem, w jakim terenie najlepiej się strzela, ale jestem przekonana, że góry stwarzają po temu sprzyjające warunki. Zwłaszcza gdy przeciwnik jest o wiele lepiej przygotowany.

Wskazuję na niewielki stok po naszej prawej, pokryty igliwem i gęstymi zaroślami.

– Za dużo drzew – mruczy Miggy, oglądając się nerwowo do tyłu. – Zapewniłyby nam osłonę, ale nie byłbym w stanie oddać stamtąd celnego strzału. – Spogląda na widoczne przed nami całkowicie odsłonięte wzniesienie ze skałami i krzakami na szczycie. – Możemy położyć się tam na brzuchach, jak to robią w westernach.

– Chyba zwariowałeś.

Uśmiecha się krzywo i rusza przed siebie. Podążam za nim. Nie ma czasu na dyskusje.

Wspinamy się na niewysokie wzgórze. Miggy wyciąga pistolet, który nie wygląda zbyt imponująco. Nie znam się na broni palnej i chcę, żeby tak pozostało, więc obserwuję tylko, jak mój towarzysz sprawdza magazynek z pięcioma nabojami. Ładuje jeden do komory.

Podaje mi swój plecak. Upycham oba w niewielkim zagłębieniu za skałami i maskuję je kępkami trawy.

Miggy już leży i przewraca się z boku na bok, by zająć jak najwygodniejszą pozycję. Nie wiem, co mam robić. Gaz pieprzowy nie działa na człowieka-drzewo. Pozostaje mi więc tylko nóż. Czy starczy mi odwagi, by kogoś dźgnąć? Przypominam sobie umierającego Boba i zaczynam sądzić, że dałabym radę.

Poklepuję Miggy'ego po ramieniu i wskazuję na skupisko sosen. Daję mu do zrozumienia, że się tam wybieram. Leżąc na ziemi obok niego, nic nie działałam. Możemy wykorzystać to, że mamy nad wrogiem liczebną przewagę.

Kiwa głową.

– Nie mam takiego zasięgu jak on – szepcze do mnie. – Będę musiał pozwolić mu podejść bardzo blisko.

Nasuwa mi to kolejny pomysł. Podnoszę swój kijek, schodzę na ścieżkę, którą przyszliliśmy, i ruszam nią. Przy odrobinie szczęścia myśliwy, pochłonięty tropieniem nas, będzie zmierzał naprzód i nie zauważy nad sobą wyczerpanego, zziębniętego mężczyzny z kiepskim pistoletem.

Niemal zderzam się z drzewami. Nic w tym dziwnego, skoro ledwo idę. Gdy wchodzę na tyle głęboko między sosny, by mieć nadzieję, że mój podstęp się uda, zwalniam i stąpając dużo ostrożniej, wracam szerokim łukiem do miejsca, z którego wyruszyłam. Im jestem bliżej, tym szybciej bije mi serce, tym większy odczuwam strach.

On powinien się tu zjawić. W każdej chwili. Albo już tutaj jest... To drzewo, które za chwilę podzieli się na dwa? Może obmyśla strategię: zajdzie nas z boku albo zajmie z góry upatrzoną pozycję snajpera?

Nie wiem zbyt wielu rzeczy.

Ukrywam się za ścianą sosen.

Po lewej słyszę trzask szyszki.

Pojawia się jakaś postać.

I Miggy zaczyna strzelać.

Rozdział 38

MIGGY ZA PIERWSZYM RAZEM chybia. Strzela szybko jeszcze dwa razy, próbując naprawić swój błąd. Ale człowiek-drzewo już jest w ruchu. Gwałtownie się obraca, niemal wpadając do mojej kryjówki. Z prędkością błyskawicy unosi karabin i przykłada kolbę do ramienia.

Rzucam się naprzód, z wojskowym nożem w ręce, trzymając w ustach gwizdek i dmuchając w niego z całej siły. Głośny gwizd ogłusza napastnika.

Odskakuję, zasłaniając odruchowo prawą ręką ucho i niemal upuszczając karabin. Odwraca się do mnie, ale tym razem moja drobna postura okazuje się zaletą. Poruszam się zwinnie. Zaciskam powieki i atakuję go nożem.

Czuję, jak ostrze w coś trafia i ześlizguje się na bok. Otwieram oczy i widzę okryte materiałem maskującym udo napastnika. Ponownie zadaję cios, tym razem mocniej. Przytępione ostrze nie wbija się w jego ciało.

Tkanina jest wzmocniona impregnatem.

Nadal się nad tym zastanawiam, gdy człowiek-drzewo odpycha mnie na bok. Lecę do tyłu i ląduję na pośladkach. Podnoszę wzrok i widzę mityczną bestię z filmowego horroru. Wyłupiaste oczy. Zdeformowaną głowę. Twarz bez ust.

Potwór zamierza uderzyć mnie w głowę kolbą karabinu.

W ostatniej chwili unikam ciosu, turlając się po ziemi, po czym rzucam się do ucieczki, by ukryć się za drzewem.

Napastnik rusza w pościg, rycząc dziko.

Kluczę zygzakiem między sosnami, na przemian uskakując w bok i przykucając.

Miggy. Gdzie on jest? Niech się szybko pojawi i zacznie strzelać.

Biegnę w lewo. Zły wybór. Człowiek-drzewo uderza mnie kolbą w ramię. Moja prawa ręka natychmiast drętwieje i upuszczam na ziemię nóż. Znów dmucham w gwizdek. Tym razem nie wydaje przenikliwego dźwięku, lecz urywany, cichy świst, bo ze strachu brak mi tchu.

Potem znowu słyhać strzał. Z drzewa obok nas odrywa się kawałek kory. Myśliwy wzdryga się i chowa za pień, ja również.

Miggy. Wydaje mi się, że widzę go między drzewami. Powiedział, że musi podejść blisko. Mam nadzieję, że zbliżył się już wystarczająco.

Człowiek-drzewo uderza mnie kolbą w twarz. Gdy padam, widzę gwiazdy.

Kolejny strzał. Napastnik chrząka i odwraca się ode mnie, w stronę nowego zagrożenia.

Wstań, wstań, powtarzam sobie. Całe życie byłam w ruchu. Nie pora teraz, by to zmieniać.

Okrzyk bólu. To Miggy. Został pokonany. Podobnie jak ja. Musimy działać razem, bo osobno nic nie osiągniemy.

Udaje mi się chwycić gałąź i podnieść się z ziemi. Oczy łzawią mi od ciosu. Mam wrażenie, jakby lewa kość policzkowa była pęknięta. Widzę jak przez mgłę, ale w tym momencie to bez znaczenia.

Miggy mnie potrzebuje.

Brnę przed siebie, próbując wziąć się w garść.

Jestem niską, drobną kobietą. Nie wygram walki, do której potrzeba brutalnej siły. Ale mam już wystarczająco dużo doświadczenia, by wiedzieć, jak osiągnąć sukces. Jeśli nie można uderzyć mocno, trzeba celować w czułe miejsca. W oczy, gardło, krocze, kolana.

Człowiek-drzewo macha karabinem jak maczugą. Uderza Miggy'ego w ramię, wytrącając mu z ręki pistolet. Potem błyskawicznie zakłada karabin z powrotem na plecy, a w jego dłoni pojawia się nóż. Jest niemal taki jak mój, tyle że nie ma drewnianej rękojeści.

Miggy blednie. Rozkłada szeroko ramiona i przestępuje z nogi na nogę, jak gotowy do akcji gracz futbolu. Żadnego błagania o litość. Zamierza umrzeć, walcząc, tak jak powiedział.

To budzi we mnie wściekłość, której potrzebuję, by zaatakować jak taran. Rzucam się na napastnika, chwytam go za kolana i ciągnę z całej siły. Nieważne, jak jest krzepki. Kolana nigdy nie wytrzymują bocznego uderzenia.

Człowiek-drzewo pada w lewą stronę, wymachując nożem.

Krzyczę. Jak ranne zwierzę. Dzika bestia.

Nagle pojawia się Miggy, doskakuje do leżącego mężczyzny i sięga po jego nóż.

Napędza nas adrenalina i strach.

Ale na nasze nieszczęście napastnik czerpie siłę ze snu, solidnego posiłku i długoletniego doświadczenia. W ciągu paru minut strząsa nas z siebie jak dokuczliwe muchy. I podnosi się z ziemi.

Rzucam się raz jeszcze w kierunku jego kolan, lecz wystawia nogę i kopie mnie mocno w pierś. Pozbawiona tchu, zataczam się.

Gdy Miggy próbuje chwycić nóż, człowiek-drzewo uderza go kilka razy w twarz, a potem w pierś.

Miggy chwieje się, pada i pełźnie do tyłu jak krab.

Napastnik zbliża się do niego ze lśniącym nożem w ręce.

Pistolet. Miggy upuścił pistolet. Gdyby tylko udało mi się go odnaleźć... Grzebię w ziemi. Szukam, dysząc ciężko. Jestem poszukiwaczką, przecież tym się zajmuję. Błagam, błagam, błagam...

Myśliwy staje nad Miggym. Unosi wysoko nóż i przysięgłabym, że pod maską, goglami, maskującą odzieżą i czapką z gałęzi kryje się ironiczny uśmiech.

Miggy wpatruje się w niego i mówi głośno:

– Pierdol się!

Napastnik opuszcza rękę do ciosu.

I raz jeszcze las eksploduje.

NIE ZAUWAŻYŁAM, JAK NADCHODZIŁ.

Taranuje myśliwego, który nie ma szansy się obronić i pada na ziemię.

Turlają się spod sosen na otwartą przestrzeń. Próbuje się podnieść, ale moje prawe ramię nie funkcjonuje, a oczy przesłania mi ciepła słona mgiełka. W końcu udaje mi się podźwignąć. Muszę kilka razy przetrzeć twarz.

Ale i wtedy to, co widzę, nie ma większego sensu.

Na ziemi leżą spleceni w śmiertelnej walce dwaj mężczyźni. Człowiek-drzewo i...

Człowiek-drzewo zyskuje przewagę i uderza przeciwnika w twarz brutalnym prawym sierpowym. Głowa tamtego odskakuje do tyłu. Jego twarz jest prawie niewidoczna. Dostrzegam tylko oczy, wyzierające spod maski zaschniętego błota i zakrzepłej krwi.

To Martin.

Żyje. Tak jakby. I jest naprawdę cholernie wkurzony.

Myśliwy uderza go ponownie. I jeszcze kilka razy. A ja znowu zaczynam szukać pistoletu upuszczonego przez Miguela.

– Zastrześliłeś... mojego... syna – dyszy Martin. – Zabiję cię... zabiję...

Człowiek-drzewo traci kontrolę nad sobą i zaczyna walić go na oślep. Martin nie robi uników. Zgięty wpół i najwyraźniej mocno poturbowany, przyjmuje kolejne ciosy, wykrzywiając usta w drażniącym uśmiechu.

– Zabiję cię... zabiję...

Jego przeciwnik zaczyna szperać po kieszeniach. Niewątpliwie szuka kolejnego noża, pistoletu albo pojemnika z gazem.

– Frankie – odzywa się ochryplym głosem Miggy.

Odwracam się i widzę, że na coś wskazuje. Pistolet. Leży zaledwie półtora metra dalej. Biegnę po niego.

– Zamknij się! – wrzeszczy do Martina człowiek-drzewo.

Dźga go kilkakrotnie w pierś nożykiem do papieru o krótkim ostrzu.

Martin wszystko wytrzymuje.

– Zabiję cię... zabiję...

Chwytam pistolet. Wystarczy jeden strzał, by z tym skończyć.

Nagle z ust Martina dobywa się skowyt. Wyraża całą wściekłość i ból zrozpaczonego ojca. A po chwili, gdy dosięga go kolejny cios noża, rusza

do ataku.

Nie robi tego podstępnie ani finezyjnie. Rzuca się po prostu z impetem na przeciwnika.

Chwila konsternacji.

I niemego szoku.

Myśliwy jest niewątpliwie zaskoczony, że jego ofiara nadal trzyma się na nogach i stawia opór.

W kolejnej sekundzie nie może uwierzyć w to, co się dzieje, gdy popchnięty przez Martina upada razem z nim na skraju wąwozu.

Wykręca się, próbując wstać.

Martin uśmiecha się dziko. Jego białe zęby lśnią na tle zakrwawionej twarzy.

– Zabiję cię... zabiję...

Ściąga napastnika w kierunku przepaści.

Słyszę krzyk myśliwego. I przysięgłabym, że także śmiech Martina.

Potem zapada cisza.

Rozdział 39

UDAJE MI SIĘ JAKOŚ podczołgać do Miggy'ego. Adrenalina nadal krąży mi w żyłach. Walczyć albo uciekać. Walczyć albo uciekać. Ale próbowałam już obu opcji. Nic mi nie pozostało.

Miggy zdołał usiąść, dźwigając się na rękach, i siedzi oparty plecami o pień drzewa. Zaczyna się ściemniać i szybko spada temperatura. Trudno mi stwierdzić, czy ma na skórze więcej błota, czy zaschniętej krwi. Przypuszczam, że o mnie powiedziałby to samo.

– Masz wodę? – odzywa się, dysząc.

Nasze plecaki są nadal na wzgórzu, ukryte pod kępą trawy. Mam wrażenie, że jesteśmy milion kilometrów od nich, ale z nas dwojga to ja jestem w lepszej kondycji. Idę na chwiejnych nogach w tamtym kierunku. Po kilku próbach podejścia docieram na miejsce i zawieszam oba plecaki na lewym ramieniu. Prawe jest nadal niesprawne. I czuję, że mam opuchniętą jak bania połowę twarzy.

Wracam z plecakami do Miggy'ego i wydaję dwie manierki.

Otwiera swoją, ale ja potrzebuję jego pomocy, by odkręcić moją.

Grzebię w plecaku i w końcu znajduję niewielką apteczkę, spakowaną wieki temu przez Josha.

Nie mam już siły na zakładanie opatrunków. Skończyły nam się podpaski. Zresztą pewnie i tak na niewiele by się zdały. Wyciągam w końcu tabletki ibuprofenu. Jest ich osiem. Daję po cztery Miguelowi i sobie. Mam wrażenie, że śnię.

– Możesz iść? – pyta.

– Nie za bardzo.

– Ja też nie. Boli mnie kolano... i w piersi.

Słyszę złowróżbny świst, gdy oddycha.

Wolę nie wiedzieć, co to oznacza, ale nie pora teraz na nadmierną wrażliwość. Kieruję na niego snop światła z latarki.

– O... – mówię w końcu i wyłączam ją. Miałam rację. Lepiej było nie wiedzieć.

– Jest... aż tak źle?

– Przykro mi – szepczę.

– Cóż... jeśli to ci pomoże, ty też wyglądasz okropnie.

Wymieniamy zmęczone uśmiechy, jakie widuje się w okopach i na linii frontu.

– To był Marty, prawda? – pyta Miggy.

– Najwyraźniej jeszcze żył.

– Kto by przypuszczał?

– Upór ma swoje zalety.

– Nie musisz mnie... przekonywać. Myślisz, że ten facet... nie żyje?

– Boże, mam nadzieję.

– Powinniśmy się zbierać. Oddalić się stąd.

Żadne z nas się jednak nie rusza.

– Scott i Neil... – mówi cicho Miggy.

Być może płacze. Mnie też niewiele brakuje. Próbowaliśmy. Staraliśmy się bardzo. Ale teraz jesteśmy ranni, na pustkowiu, bez zasięgu telefonu. Nie mam pomysłów. Brak mi sił. I woli działania.

Oboje mamy dreszcze.

Otwieram plecak Miggy'ego, grzebię w nim, by znaleźć suche koszule, i kładę mu je na brzuchu. Potem szukam czegoś dla siebie. W końcu nie mogę już unieść prawego ramienia. Nie mam pojęcia, jak zdjąć mokre rzeczy, nie mówiąc już o tym, jak włożyć suche.

Siedzący obok mnie Miggy nawet nie próbuje się poruszyć.

– Może ci pomogę... – proponuję, ale moje słowa nie brzmią przekonująco. Reguła trójek. W trudnych warunkach można przetrwać tylko trzy godziny bez schronienia. Jesteśmy przemoknięci i szybko wytracamy ciepło, a temperatura coraz bardziej spada. Musimy się ruszyć. A nie jesteśmy w stanie się przebrać.

- Ogień - szepcze w końcu Miguel. - Może w ten sposób się rozgrzejemy.

- Mam bawełniane waciki nasączone wazeliną.

Uśmiecha się i jego białe zęby lśnią w zapadającym zmroku.

- No to zaczynamy imprezę.

Staram się oszczędzać siły. Suche gałązki i szyszki udaje mi się zebrać w najbliższej okolicy. Odnajduję nóż, który upuściłam podczas walki, i wykorzystuję go, by uprzątnąć miejsce na ognisko. Ziemia jest sucha i w miarę łatwa do oczyszczenia.

Miggy obserwuje moje wysiłki, oddychając nierówno. W końcu przykładam zapalniczkę do nasączonej tłuszczem podpałki i puff! - buchają skromne płomyki ognia. Rozpalam pierwsze w życiu ognisko.

Przypominam sobie ojca i tamtą noc, i zapach jacka daniel'sa. Wszystko, co kocham i czego nienawidzę, splecione mocno w jednym słodko-gorzkim wspomnieniu.

Mój towarzysz przysuwa się bliżej, pojękując cicho. W blasku ognia wygląda jeszcze gorzej. Ma paskudnie rozciętą twarz, ale najbardziej ucierpiała jego klatka piersiowa. Człowiek-drzewo ją zmasakrował.

Ja mam kontuzjowaną rękę, ramię i kostkę. Co ciekawe, żadna z tych kontuzji nie zagraża życiu... jeśli nie jest się na odludziu, bez dostępu do cywilizacji.

Oboje nadal trzęsiemy się z zimna. Pochylam się nad ogniskiem, by rozgrzać ręce. Miggy porusza się z trudem. Szybko traci siły i zdaje sobie z tego sprawę.

- Opowiedz mi jakąś historię - prosi.

- O księżniczce i zabie?

- Może o braciach, którzy wybrali się do lasu.

Improwizuję.

- Pojawia się dzika bestia. Atakuje ich, rycząc dziko.

- Jeden z braci zostaje oddzielony od pozostałych.

- Ale się nie poddaje. Idzie przez las, szukając drogi ucieczki. Jest zdecydowany przeżyć.

– Pozostali czterej go szukają. Tylko że bestia powraca. Walczą z nią. I po kolei przegrywają.

– Pierwszy z braci nadal się o nich troszczy – ciągnę. – Chce, żeby ocalili.

– Byli niedobrymi braćmi. Nie powinni zostawić go samego.

– On to rozumie. I chce, żeby przeżyli.

– Ale las to las. – Miggy wzdycha ciężko. – Chce, żeby bracia znów byli razem. Na wieczność.

– Pierwszy z braci walczy z lasem.

Miggy patrzy na mnie.

– Przecież on już nie żyje.

– Nie potrafisz opowiadać historii, Miggy.

– A czego się spodziewałaś? Jestem inżynierem.

Nie myli się: jeśli chodzi o szczęśliwy finał, jesteśmy w czarnej dupie.

– Chcesz jeszcze wody? – proponuję.

– Powiedz mojemu ojcu, że zginąłem, walcząc.

– Nie. Jeśli chcesz, żeby się dowiedział, jak było, wróc i pokaż mu swoje blizny z pola bitwy.

– Nie powinnaś była dołączać do tej naszej grupy szaleńców.

– Ale to zrobiłam.

– Żeby umrzeć z obcymi ludźmi?

– Szczerze? Zawsze sądziłam, że umrę w samotności. Więc w sumie to jakiś postęp.

– Zrobiłaś coś strasznego? – pyta mnie zaciekawiony. – Czy ktoś zrobił coś strasznego tobie? Dlatego dryfujesz z miejsca na miejsce?

– Nie. Choć był kiedyś mężczyzna, który kochał mnie bardziej, niż ja potrafiłam kochać jego. I umarł w końcu z powodu tej miłości. Tylko że to nie była moja wina ani jego. Po prostu tak się złożyło. Ale już wcześniej nie mogłam usiedzieć w jednym miejscu. Cierpiał, bo nie kochałam go wystarczająco, żeby przy nim pozostać. A mnie bolało to, że nie rozumiał mojej potrzeby bycia w ruchu.

– Jeszcze nigdy tak bardzo mi na nikim nie zależało.

– Może z nową twarzą będziesz miał powodzenie.

– Laski lecą na blizny?

– Jasne.

– Frankie, sięgnij na dno mojego plecaka. Tam jest piersiówka. Daj mi ją.

Zakładam, że ma na myśli manierkę ze stali nierdzewnej, więc zaskakuje mnie kształt, który wyczuwam pod palcami. Prawdziwa piersiówka. Staromodna, wąska, prostokątna, z nakrętką. Wyjmuję ją z plecaka i przez chwilę jej się przyglądam. Mówiłam Neilowi, że byłam alkoholiczką. Ale Miggy’emu nigdy o tym nie wspominałam.

– Zabrałem ją... żeby wzniesć ostatni toast, kiedy znajdziemy Tima – mówi Miggy i z jego piersi dobywa się świszczący oddech. – Żeby stosownie go pożegnać.

Drżą mi ręce, gdy podaję mu piersiówkę. Oddycham głęboko, kiedy ją odkręca.

– To bourbon Maker’s Mark. Ostatni alkohol, który wspólnie piliśmy.

Kiwam głową.

Odczuwam nagle tak potworne pragnienie. Jestem w ogrodzie rodziców; przyglądam się, jak ojciec wraca chwiejnym krokiem do prowizorycznego namiotu. Jestem małą dziewczynką, zlizującą z palców bourbona w zaciszu swojego pokoju. Bo chcę poznać jego smak. Żeby zrozumieć. Dowiedzieć się, jak smakuje miłość.

– Żadnych więcej deszczowych dni – dyszy ciężko Miggy. – Żadnych powitań ani pożegnań.

– Żadnego bólu ani smutku – dodaję.

– Piję za odważnych.

– A ja za poległych.

– Zapomnijmy o przeszłości.

– I o przyszłości.

Wygłosiliśmy toast, przykładam do ust piersiówkę i pociągam duży łyk. Patrzę, jak porusza mu się grdyka. Wyobrażam sobie, jak jedwabisty

alkohol rozpływa mu się w gardle i rozgrzewa go od środka. Mimo ogniska jest tak cholernie zimno, jesteśmy tacy zmarznięci.

Wkrótce stracimy przytomność. Ogień wygaśnie. Zimno zatriumfuje. I przestaniemy dygotać.

Miggy potwornie kaszle. Pluje krwią. Przygląda się czerwonym kropelkom na swojej dłoni.

- Zapomnijmy o przyszłości - powtarza.

Podaje mi piersiówkę. Wdycham ponownie urzekający zapach whiskey. Niczego bardziej nie pragnę. I niczego bardziej się nie boję.

Biorę ją do ręki.

Rozdział 40

CZY WYOBRAŻAŁEŚ SOBIE KIEDYKOLWIEK własną śmierć?

Jesteś stary i niedołączny, obłożony stertą miękkich poduszek, i są przy tobie ludzie, których kochasz? Żona, dzieci, wnuki?

A może wolisz umrzeć w glorii chwały? Młody i głupi, spadasz w przepaść, szturmujesz barykadę albo giniesz pod kopytami rozpędzonego byka?

Wyobrażasz sobie bezduszną szpitalną salę czy komfort własnego domu?

Jesteś samotny i zrozpaczony czy trzymasz za rękę tę jedyną osobę, dzięki której całe twoje życie miało sens?

Modlisz się?

Błagasz o coś?

Myślisz, że nie tak to sobie wyobrażałeś?

Nie znam odpowiedzi na żadne z tych pytań. Może jestem kochana, a może samotna. Może dożyłam starości, a może w końcu zemściły się na mnie niewłaściwe decyzje, które podejmowałam. Ale mam jedno pragnienie.

Chcę umrzeć trzeźwa.

Oddając Miguelowi piersiówkę, by sam dokończył bourbona, myślę, że przynajmniej tę sprawę załatwiłam, jak należy.

Ogień wygasa. Robi się przenikliwie zimno. Wtulamy się w siebie. Gładzę ciemne włosy Miggy'ego, aż zamyka oczy i przestaje drżeć. Całuję go w skroń. Zapewniam go, że poległ, walcząc.

Potem sama przysmykam powieki i pogrążam się w lodowatej ciemności.

CZUJĘ NA TWARZY DOTYK wilgotnego języka. I najbardziej cuchnący oddech na świetle.

Słyszę głos.

– Ciii... Nie ruszaj się, nic nie mów. Jesteśmy z tobą.

Próbuję wymówić imię Miggy’ego. A także Scotta, Neila i Boba. Chyba poruszam ustami.

Znowu czuję na policzkach wilgotny język.

– Daisy, przestań!

Wyciągam ręce i dotykam ciepłej sierści. Znowu jestem lizana. I nie mam absolutnie nic przeciwko temu.

– Wszystko dobrze, Frankie. Odpręż się.

Luciana też tu jest. Ściskam jej rękę.

Miggy, Neil, Scott, Bob. Staram się, jak mogę, wymówić ich imiona. Może mi się udaje. Trudno powiedzieć.

Już nie leżę. Ktoś podnosi mnie z ziemi i niesie. Jestem cała obolała. Czuję potworny ból ręki. Ale chwytam się go desperacko, przywieram do niego, rozkoszuję się świadomością, że nadal żyję.

– Co z nim? – słyszę kolejny głos.

– Potrzebujemy natychmiastowej ewakuacji.

Jakiś dźwięk nade mną. Huk obracających się łopat wirnika. Śmigłowiec.

Ekipa ratownicza. Nareszcie.

ŚWIATŁA. ZBYT JASKRAWY. OTWIERAM oczy i zaraz je zamykam.

Otacza mnie oślepiająca biel. Zerkam i szybko odwracam wzrok.

Dźwięki. Zbyt głośne. Słucham ich tylko przez chwilę.

Miggy. Neil, Scott, Bob.

Miggy. Neil, Scott, Bob.

Imiona, o których wciąż myślę. Które wciąż powtarzam.

Których nigdy nie zapomnę.

GDY ZNÓW OTWIERAM OCZY, jestem w jakiejś ciasnej przestrzeni, otoczona białymi zasłonami. Najwyraźniej leżę na szpitalnym łóżku, podłączona do pikających urządzeń. Przypominam sobie mgliście, co mi ostatnio dolegało, i instynktownie próbuję dotknąć ramienia. Ale od mojej ręki odchodzi tyle przewodów, że nie mogę nią poruszyć.

– Obudziłaś się.

Mrugam kilka razy i dostrzegam stojącą przede mną Lucianę.

Próbuję wychrypieć litanię imion, ale mam zbyt sucho w gardle.

Ona najwyraźniej to rozumie, bo nalewa mi do kubka wody i wkłada między wargi słomkę. Muszę pociągnąć kilka długich łyków, zanim czuję, że mam dość wilgotno w ustach.

– Co z Miggyem? – pytam.

– Przeszedł operację. Lekarze sądzą, że opanowali wewnętrzny krwotok. Jest w krytycznym stanie. Za dzień lub dwa będziemy wiedzieli więcej.

Z trudem wypowiadam następne dwa imiona.

– A Neil? I Scott?

– Znalazł ich inny pies. Szeryf ma teraz do dyspozycji w lesie wszystkie dostępne ekipy ratownicze. Neil się wylize. Musi tylko odpocząć i odzyskać siły po dość poważnym wstrząśnieniu mózgu. A co do Scotta...

– Waha się. – Wyjęli kulę, ale stracił dużo krwi. Jego żona jest w drodze. Możemy się tylko modlić.

Nie mogę już patrzeć na Lucianę. Mam poczucie porażki. Nie powinnam była proponować swojego idiotycznego planu. Nie powinniśmy byli zostawiać Scotta i Neila. Co by było, gdyby...? Straszne pytanie, dręczące wszystkich, którzy ocaleli.

– A ty? – pytam w końcu.

Luciana uśmiecha się, wkładając mi znów do ust słomkę. Wygląda wspaniale jak zawsze, jest tylko trochę posiniaczona i poobijana. I zmęczona. Bardzo zmęczona.

– Zostałam zaatakowana – wyjaśnia. – Nemeth i ja zeszedliśmy właśnie po najbardziej stromym odcinku zbocza. On i Daisy byli przede mną.

I nagle coś chwyciło mnie za kostkę. Upadłam na ziemię. Myślałam, że się potknęłam. Próbowałam podźwignąć się na rękach, ale to coś przygwoździło mnie od tyłu. W sumie nie wiem, co się potem działo. Gdy odzyskałam przytomność, byłam przywiązana do drzewa. Nie miałam pojęcia, gdzie jestem i co się wydarzyło. Zastanawiałam się, jak się uwolnić, gdy pojawiła się Daisy. Była bez kamizelki, cała zabłocona i oblepiona gałązkami, ale mnie odnalazła. Miałam opróżnione kieszenie. Ale zachowałam bransoletkę z nylonowej żyłki. Zdołałam użyć ostrza, by przeciąć więzy. Potem wróciłam z Daisy do cywilizacji. Gdy dotarłam do szeryfa Kelleya, zaczął organizować akcję ratunkową. Daisy i ja dołączyliśmy do załogi śmigłowca, który wylądował w Kanionie Diabła. Osobna grupa wystartowała z bazy. Od tamtej pory... sporo się działo.

Znowu się waha.

– Odnaleźli Boba. Dziś sprowadzają na dół jego ciało – mówi cicho, po czym zadaje mi pytanie: – A co z Martym?

– Ścigał nas jakiś człowiek. Pewnie ten sam, który zaatakował ciebie. To on zabił Boba i zranił Scotta i Neila. Miggy i ja próbowaliśmy sprowadzić pomoc, gdy nas dopadł. Martin pojawił się znikąd i stawiał mu czoło. Obaj spadli w przepaść. A Nemeth? – pytam. Niepokoi mnie to, że w ogóle o nim nie wspomniała.

Luciana bierze głęboki oddech.

– Hm... jest w dość kiepskim stanie. Chyba przybiegł z powrotem, by mi pomóc, ale nie wyszło mu to na dobre. Znaleziono jego plecak w pobliżu miejsca, gdzie zostałam zaatakowana. Albo napastnik uznał, że nie żyje, albo Nemethowi udało się uciec. Zwlókł się jakoś do podnóża góry i padł niedaleko szlaku. Znalazła go Marge Santi. I całe szczęście, bo nie sądzę, by wytrzymał dużo dłużej.

Krzywię się, bo, niestety, potrafię to sobie wyobrazić.

– Być może ocalił mi życie – ciągnie Luciana. – Kiedy napastnik się z nim rozprawił, nie miał już siły zajmować się mną.

Albo czasu, myślę, zdając sobie sprawę, że zastawienie pułapki na Lucianę i Nemetha było zaledwie początkiem pracowitego dnia myśliwego.

– Nemeth zapłacił jednak za to wysoką cenę – kończy Luciana. – Ma ranę postrzałową, złamane kości, zmasakrowaną twarz. Nie wygląda to dobrze...

Chcę uściskać jej rękę, ale jestem podłączona do zbyt wielu rurek. Rozumiem jednak, co czuje. Chcę, żeby Miggy, Scott i Neil przeżyli, bo nie mogę znieść myśli, że umrą, gdy ja ocalałam. To byłby straszny ciężar i rażąca niesprawiedliwość.

– Tam są ukryte szczątki – udaje mi się w końcu wydusić. – W jaskini w Kanionie Diabła jest osiem zmumifikowanych zwłok.

Luciana kiwa głową.

– Jedna z ekip odkryła je dziś rano. Nie wiem, czy pamiętasz, ale mówiłaś o tym, gdy chwilami odzyskiwałaś przytomność. Mumie chciały cię dopaść, przychodziły po ciebie, polowały na ludzi. Polował też na nich jakiś myśliwy. Nie rozumieliśmy, o co chodzi, ale to wystarczyło, by się zorientować, że w pobliżu skalnej ściany w Kanionie Diabła coś się dzieje. Pamiętałam, gdzie Daisy złapała trop, zanim straciła orientację, i mniej więcej wskazałam to miejsce. Jestem pewna, że gdybyśmy mieli więcej czasu w trakcie wyprawy, Daisy sama by je odkryła. Tylko że naszej ekipie od początku się nie wiodło.

Bez wątplenia myśliwy już na starcie miał nad nami przewagę. A jednak nie docenił głębi ojcowskiej miłości i siły gniewu Martina. Neil by to pochwalił: Martin sprawił, że jego śmierć nie pozostała bez znaczenia.

– Ile czasu tu jestem?

– Trzydzieści sześć godzin.

Zaskakuje mnie to, bo mam wrażenie, że mogłabym z łatwością przespać kolejny rok. Wyczuwam pod szpitalnym przykryciem mój zapadnięty brzuch.

– Dostajesz płyny i glukozę – wyjaśnia Luciana. – Teraz, skoro się obudziłaś, na pewno zjawi się lekarz, żeby cię zbadać. To mały szpital, więc pięcioro pacjentów z poważnymi urazami to dla nich wyzwanie. Dlatego umieścili cię tutaj, w czymś w rodzaju izolatki. – Wskazuje na osłoniętą parawanami przestrzeń. – To właściwie tylko łóżko w izbie

przyjęć. O ile dobrze rozumiem, twoje obrażenia nie są na tyle poważne, żebyś musiała zostawać w szpitalu. Musisz tylko przez tydzień spać i przez miesiąc dobrze się odżywiać. Twój organizm zajmie się resztą.

Kiwam głową, bo nie wiem, co odpowiedzieć. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, dokąd teraz pójść i co robić. Luciana powiedziała mi kiedyś, że po tygodniu przebywania w lesie będę już kimś innym. Nie wiedziała, co mówi.

Kładzie mi delikatnie rękę na ramieniu.

– Mam pokój dla Daisy i dla siebie w motelu w Ramsey. Możesz do nas dołączyć. Jak będziesz gotowa wyjść ze szpitala, daj mi znać, to po ciebie przyjadę.

– Dziękuję.

Za naszymi plecami rozlega się szelest zasłon. To sygnał, który Luciana z pewnością rozumie.

– Szeryf Kelley chciałby z tobą teraz porozmawiać – oznajmia.

Kiwam głową. Przesłuchanie. Wiem, o co chodzi. Jestem zmęczona i głodna, ale i tak w lepszej kondycji niż moi towarzysze.

A ktoś musi opowiedzieć, co zaszło.

SZERYF KELLEY JEST TAK samo dobrze zbudowany jak Martin i Nemeth. Przypomina kowboja: ma wysokie buty, dżinsy, pas z imponującą srebrną kłamrą, a na głowie stetsona w kremowym kolorze. Doskonale mu to wszystko pasuje. Gdy wkracza do mojej „izolatki”, od razu czuję się bezpieczniej. Ma przenikliwe niebieskie oczy, ogorzałą twarz i wyraziste rysy. Nabieram przekonania, że gdy szuka się przystojnego mężczyzny, trzeba przyjechać do Wyoming.

Staje w rozkroku po mojej prawej ręce i prostuje ramiona.

– Jak się pani czuje?

– Dobrze.

– Lekarze się panią zajęli. O ile wiem, miała pani zwichnięte ramię. Już je nastawili. Skręcona kostka wymaga trochę więcej czasu. Reszta to głównie siniaki i zadrapania, ale pani twarz nie będzie przez chwilę taka

ładna, jak była. – Milknie, jakby chciał sprawdzić, czy ta wiadomość mnie martwi.

Uważam za urocze samo założenie, że kiedykolwiek byłam ładna.

– Pani znajomi mieli mniej szczęścia – kontynuuje bez ogródek.

– Niestety.

Szeryf kołysze się na piętach i przygląda mi się intensywnie.

– Co tam się, do cholery, wydarzyło?

Zaczynam się śmiać. Po prostu nie umiem się pohamować. A może płaczę. Nie jestem już tego pewna.

Zaledwie kilka dni temu kierowałam się głupim impulsem: dołączyć do grupy poszukiwawczej, wyruszyć w góry, delektować się wspaniałą wyprawą.

Śmieję się, a może płaczę, jeszcze głośniej.

A potem w końcu zaczynam opowiadać.

Rozdział 41

RELACJONUJĘ WSZYSTKO SZERYFOWI Kelleyowi najlepiej, jak potrafię. Opowiadam o groźbach i aktach sabotażu skierowanych przeciwko Martinowi kilka miesięcy przed rozpoczęciem ekspedycji. O tym, jak wynajął Boba, który był nie tylko łowcą Wielkich Stóp, ale także licencjonowanym prywatnym detektywem. Mówię też o wydarzeniach, które miały miejsce niemal natychmiast po rozpoczęciu wyprawy: o skradzionej żywności i nocnej wędrownicy Scotta przez las. Zastanawiam się teraz, czy nie sprowokował go do tego jakimiś sztuczkami nasz prześladowca.

Opowiadam, jak Neil został uderzony w głowę kamieniem. Jak zagrabiono resztę naszej żywności. Jak podjęliśmy kluczową decyzję, żeby się rozdzielić – Luciana i Nemeth wyruszyli po pomoc, a reszta grupy została.

Jak Bob i ja wróciliśmy z Martinem do jaskini, którą, o czym był przekonany, zajmował kiedyś jego syn. I jak potem dokonałam strasznego odkrycia za drzwiami maskującymi otwór w skale. I jak myśliwy zaczął strzelać do Martina.

Relacjonuję to wszystko stonowanym, spokojnym głosem. Nawet gdy prezentuję nasz katastrofalny plan zwabienia napastnika na otwartą przestrzeń, z zastosowaniem jako przynęty podartej kamizelki Daisy, który doprowadził do śmierci Boba oraz zranienia Scotta i Neila. Na koniec opowiadam o tym, jak desperacko zbiegałam z Miggyem po zboczach, jak dopadł nas myśliwy, a potem pojawił się Martin i obaj runęli w przepaść.

– Jest pani pewna, że widziała pani, jak Marty O’Day i ten mężczyzna spadli w głąb wąwozu?

– Tak. Znaleźliście ich ciała?

– Jeszcze nie. Ale dotarcie do tego miejsca zajmie trochę czasu. Może pani opisać tego człowieka-drzewo?

Piorunuję szeryfa wzrokiem za jego powątpiewający ton.

– Niech mi pan nie każe wstawać ze szpitalnego łóżka, żeby panu przyłożyć.

– Dobrze wiedzieć, że lepiej się pani czuje.

Uśmiecham się blado. Szeryf mnie sprawdza. Może umieram, a może nie, ale miło poczuć, że jestem znów, jak dawniej, przekorna.

– Był całkowicie zamaskowany – mówię. – Miał czarną maskę na nosie i ustach i jakieś gogle na oczach. Powiedziałabym, że jest mniej więcej pańskiego wzrostu i budowy. Był doskonale wyposażony. To człowiek, który odwiedza często sklepy z bronią i sprzętem wojskowym.

– Jak połowa mieszkańców mojego hrabstwa – wtrąca.

– Trafił pan w sedno. To ktoś miejscowy. Zna dobrze okolicę. I mieszka tu od dawna. Timothy O'Day zaginął pięć lat temu, ale widziałam szczątki, które musiały być starsze.

– Na miejscu pracuje ekipa najlepszych sądowych antropologów. Nie mówiąc o innych naukowcach, których posłali tam federalni. Gdy dochodzi do zbrodni, nie szczędzą wysiłków.

Nie wątpię, że mówi to ironicznie, ale nie dziwią mnie takie słowa w ustach szeryfa hrabstwa.

– Czy zgłaszano ostatnio czyjeś zaginięcie? – pytam, bo warto wiedzieć, co dzieje się w okolicy.

– Śledzę wszystkie bieżące doniesienia. Ale minęły dopiero dwa dni. To tutaj za krótki czas, żeby martwić się o bliską osobę, która wybrała się na wycieczkę w góry. Musimy jeszcze trochę poczekać. Na pewno coś usłyszymy.

– Albo znajdziecie ciało.

– Albo znajdziemy ciało – przyznaje.

– Chciałabym przy tym być – mówię, zaskakując samą siebie. – Kiedy ktoś przywiezie do miasta zwłoki tego łajdaka, chciałabym go zobaczyć. Upewnić się, że nie żyje. I powiedzieć mu, że wygraliśmy.

– Chce pani mieć możliwość zidentyfikowania szczątków napastnika?
– pyta szeryf, mówiąc jak człowiek, który zna zawilóści przepisów obowiązujących w różnych stanach.

Zaczynam być jego wielką fanką. Odpowiadam w tym samym tonie:

– Tak. Jako świadek wydarzeń jestem w stanie stwierdzić nieomylnie, czy denat jest tym samym człowiekiem, który zabił Boba, strzelał do Scotta i zaatakował Neila, Miggy’ego i mnie.

Kiwa głową. Potem cofa się o krok, bo otrzymał już odpowiedzi na najważniejsze pytania.

– Wie pani, z kim się skontaktuję, gdy odnajdziemy zwłoki Martina O’Daya?

– Z jego żoną, Patrice.

– Ona nie jest w zbyt dobrym stanie. Przekazanie jej wiadomości o śmierci męża było już wystarczająco trudnym zadaniem. Obciążanie tej nieszczęsnej kobiety organizowaniem transportu zwłok zakrawałoby na okrucieństwo.

Rozumiem to.

– Neil mógłby w tym pomóc – odzywam się po chwili. Jego obrażenia są chyba najmniej poważne, więc może pomóc w tej sprawie. Nie wspominając o tym, że Tim organizował kiedyś pogrzeb jego siostry, więc teraz on powinien się zająć pochówkiem Martina. No i wkrótce trzeba będzie pogrzebać także szczątki Tima. A zważywszy na stan Patrice, będą nieuchronnie trzy groby. Matki, ojca i syna.

Próbuję doszukać się czegoś romantycznego w tym, że już na zawsze pozostaną razem. Nie potrafię. Tim powinien żyć. Wszyscy rodzice to powiedzą. Dzieci nie powinny leżeć na cmentarzu obok nich.

Mam do szeryfa pytanie.

– Ten ich przyjaciel, Josh... – Nie miałam dość czasu, by nauczyć się nazwisk ich wszystkich, i teraz czuję się niezręcznie. – Przyjęto go do jakiegoś szpitala na odwyk. Zakładam, że do tutejszego...

– Tak, jest tutaj. Lekarze mieli go już przenieść do ośrodka odwykowego, ale pojawiły się doniesienia o jego rannych kolegach. Od

tego czasu chodzi od sali do sali i ich szuka. Początkowo pielęgniarki próbowały zatrzymać go w izolatce, ale teraz już nikt nie zwraca na niego uwagi. Jak zobaczy pani faceta włóczącego się po korytarzach w szpitalnej koszuli, to będzie właśnie Josh.

– Okej.

Chyba pójdę go poszukać. Choć nie potrafię właściwie powiedzieć po co. Może chcę po prostu porozmawiać z kimś, kto także błaga opatrzność, by Scott i Miguel przeżyli. To zuchwałość z mojej strony. Znam ich od paru dni. Josh był ich przyjacielem przez ponad dziesięć lat. Ale w dziwny sposób czuję, że jego też znam po tym, jak usłyszałam wszystkie te historie. Ostatni członek ekipy z Dudeville. Ten najspokojniejszy, którego skłonność do milczenia najwyraźniej odcisnęła na nim piętno.

– Jakies nowiny na temat Miggy'ego i Scotta? – pytam.

– Stan Miguela Santosa, jak słyszę, uznano właśnie za stabilny. A Scott Riemann... Nie będę kłamał. Kiepsko z nim. Jego żona wkrótce powinna tu być.

Odbieram każde jego słowo jak cios w żołądek.

– Luciana mówiła, że Nemeth też jest poważnie ranny.

– Prawdę mówiąc, powinien być już martwy – odpowiada szeryf. – Ale ten człowiek... Nie bez powodu jest w tych stronach legendą. Ma za sobą całą lokalną społeczność. Zawsze będę stawiał na kogoś, kto przeszedł tyle co on. Jeśli ktoś potrafi wyjść cało z opresji, to tylko on.

Mam nadzieję, że szeryf się nie myli. Strata Martina była wystarczająco bolesna. Gdyby odszedł także Nemeth, powstałaby dziura w kosmosie. Bez tych dwóch twardzieli świat stałby się pustym miejscem.

– Niech pani będzie w pobliżu – mówi szeryf. – Trzeba wyjaśnić jeszcze parę spraw.

Chcę, żebyśmy pozostali w kontakcie. Mogę podać mu tylko numer telefonu na kartę i przybliżony adres motelu naprzeciwko restauracji w Ramsey, tego, w którym zameldowała się Luciana. Szeryf Kelley kiwa głową na znak, że to wystarczy. Może w tych stronach tak jest.

Potem znika. I zjawia się lekarz. Zgodnie z przewidywaniami Luciany mogę wyjść ze szpitala, kiedy zechcę. Prawe ramię będzie mnie bolało jak cholera jeszcze przez kilka dni. Podobnie jak skręcona kostka, że nie wspomnę o opuchniętej i posiniaczonej twarzy. Ale w sumie moje obrażenia są powierzchowne i czas działa na moją korzyść.

– Proszę tylko dać znać, kiedy będziemy mogli panią wypisać – mówi lekarz, który wygląda na dwanaście lat. Rozumiem, że chcą, żebym jak najszybciej zwolniła łóżko.

Gdy wychodzi, zostaję z podstawowym pytaniem: gdzie są moje ubrania? I cała reszta dobytku, którego większość miałam w plecaku, bo taka już jestem.

Wytrzymuję całe trzydzieści minut, ale dłużej tego nie zniosę. Pieprzyć wylegiwanie się w łóżku i czekanie na pielęgniarkę, żeby mi pomogła. Sama wyjmuję sobie igłę kroplówki. Leci trochę krwi, ale w porównaniu z tym, co było przez ostatnich kilka dni... Ściągam z palca wskazującego pulsometr. A potem, gdy inne urządzenia zaczynają pisać, wyłączam je po kolei.

Rozsuwam zasłonę i czując pod koszulą podmuch powietrza, wstaję z łóżka.

CZUJĘ BÓL. WIEDZIAŁAM, ŻE tak będzie, ale przez pierwszych parę minut nie mogę złapać tchu. Mam wrażenie, że ciasno obandażowana kostka zionie ogniem przy każdym kroku. Ale trudno być tego pewnym, bo mam potwornie obolałe całe ciało. Mięśnie, stawy, kończyny, piersi, twarz.

Nie odważyłam się jeszcze spojrzeć w lustro. Jestem przekonana, że nie spodoba mi się to, co zobaczę.

Na razie idę, powłóczę nogami. Wychodzę zza zasłony na korytarz, gdzie są szpitalne sale. Niektóre drzwi są otwarte, inne zamknięte. Dostrzegam ludzi, którzy śpią, rozmawiają albo cierpią, ale żadnej z osób, których szukam.

W końcu zauważam w jednej z sal siedzącego na krześle mężczyznę. Bingo. Kuśtykając, wchodzi do środka.

Rozpoznaję natychmiast nieprzytomnego pacjenta na szpitalnym łóżku: to Miggy. Ma zamknięte oczy i twarz zasłoniętą w połowie maską respiratora. Ale widzę rysy, ciemne włosy... Chcę odruchowo dotknąć jego czoła, pogłodzić go po policzku, wziąć za rękę. Nie jak kochanka. Raczej jak matka, którą nigdy nie byłam.

Mężczyzna w jasnoniebieskiej szpitalnej koszuli przygląda mi się, najwyraźniej oceniając mój wygląd. Poznaje go po jasnych włosach. Jest teraz mniej spocony niż wtedy w restauracji. Tylko tyle zauważam.

– Josh – mówię.

– Frankie Elkin? – odpowiada niepewnie.

Mając to z głowy, wpatrujemy się w siebie. W końcu podchodzę do niego. Powrócił już do czuwania przy Miggy'm i ja także, jakbyśmy we dwoje mogli wskrzesić go siłą woli.

– Wszystko spieprzyłem – odzywa się Josh po chwili.

Nie odzywam się. Jego koledzy mówili, że jest małomówny. Więc najlepiej, żeby sam się przede mną otworzył.

Ale on milczy. Przyglądamy się oboje nieprzytomnemu Miggy'emu.

– To ja powinienem brać udział w tej wyprawie. Nie ty.

Usprawiedliwia się przede mną? Zbija mnie to z tropu. Nie sądziłam, że będzie się tym przejmował.

– Żeby myśliwy mógł dopaść ciebie?

– Czy to spotkało Tima? – pyta cicho.

– Najprawdopodobniej.

Kręci głową. Nie może się pogodzić z brutalną prawdą? Z niewyobrażalnym koszmarem? Znowu milczy.

Klatka piersiowa Miggy'ego unosi się i opada spokojnie i równomiernie. Wystarczyłoby zapomnieć na chwilę, że oddycha za niego maszyna, i można by uwierzyć, że lada moment otworzy oczy i spojrzy na nas z drwiącym uśmiechem.

Udało nam się wspólnie przeżyć. Czuję z nim silniejszą więź, niż miałam kiedykolwiek z Paulem. To zapewne chwilowe – skutek działania adrenaliny, kortyzolu i innych chemikaliów, na których się nie znam. Po

prostu wiem, że chcę, by z tego wyszedł. Wszystko inne byłoby kolejnym ciosem dla mojej kruchej psychiki.

– Znam prawdę – mówię w końcu w pograżonej w ciszy sali. Nie patrzę na Josha, lecz na nieprzytomnego Miggy'ego. – Twoi koledzy powiedzieli nam, co zdarzyło się tamtej nocy.

Josh nie odzywa się.

– Nadal go nienawidzisz? – pytam zaciekawiona. – Mam na myśli Tima. Jesteś zły, że przez zrządzenie losu nie zdążyłeś spuścić mu łomotu, na jaki zasłużył, albo zamknąć sprawy tak, jak chciałeś?

– Piję, by to rozgryźć.

– Kochałeś go.

Josh nie zaprzecza.

– Zdaniem Scotta, Miggy'ego i Neila on też cię kochał. Łączyła was szczególna więź, nawet według standardów z Dudeville.

Przez jego twarz przebiega skurcz.

– Przykro mi z powodu straty, jaką poniosłeś – mówię cicho.

Wygłada tak, jakby zamierzał się rozpłakać.

Znów siedzimy w milczeniu, nasłuchując syku tłoczącej powietrze pompy i wpatrując się w Miggy'ego, który wciąż pozostaje w świecie żywych.

– Nie znam dobrze twoich przyjaciół – odzywam się. – Ale wiem, że gdy było ciężko, mogłam na nich liczyć. Neil był gotów oddać za nas życie. Scott wykrwawiał się w samotności, żebyśmy Miguel i ja mogli ocaleć. Miggy zaatakował uzbrojonego napastnika, żebym miała szansę uciec. Oni czują się równie winni jak ty. Też mają wyrzuty sumienia. Ale żaden z was nie jest winien, że Tima już nie ma. To wyłącznie wina psychopaty, który postanowił polować dla sportu na ludzi. Nigdy wszystkiego się nie dowiemy, ale z tego, co widziałam, Tim zginął, próbując przeżyć. Chciał koniecznie wrócić do przyjaciół. Byliście mu bliscy. Kochał was. Chciał wszystko naprawić.

Josh podnosi w końcu na mnie wzrok.

– Moja siostra zaszła z nim w ciążę. Zdradził mnie. Życzyłem mu śmierci i próbowałem zabić go gołymi rękami. A potem zginął i nie mogę już cofnąć czasu.

Ma rację.

– Czego pragniesz najbardziej na świecie? – pytam go.

– Spokoju.

– A w jaki sposób zwykle go osiągasz?

– Pijąc tequilę.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

– To jest zapomnienie. Nie to samo co spokój.

Tym razem to on się uśmiecha. Powraca spojrzeniem do nieruchomego Miggy'ego.

– Tęsknię za tymi czasami, gdy wszystko dawało się rozwiązać ośmiopakiem piwa albo grą w kosza – mówi cicho.

– Więc powróć do nich. Wytrzeźwiej. Nawiaź na nowo kontakt z przyjaciółmi. I może w holdzie dla Tima zagrajcie znowu w kosza. Co złego może się wydarzyć?

Josh nie znajduje na to natychmiastowej odpowiedzi. W końcu kiwa głową.

– Spotkania AA zmieniają cię w gadułę – informuję go.

Wydaje się lekko zaniepokojony.

– Hej, nie rezygnuj, dopóki nie spróbujesz. – Klepię go po ramieniu. – Dzięki za pożyczenie mi sprzętu. Muszę ci się przyznać, że nie za bardzo o niego dbałam. Przykro mi, ale pod koniec... – Wzruszam ramionami. – Ten wojskowy nóż jest świetny. Pokochałam go. Jest tak groźny, jak wygląda.

– Zatrzymaj go. Należy do ciebie.

– Dziękuję, ale nie lubię wymachiwać nożem. Chociaż powinienś wiedzieć, że jest stępiony, brudny i być może oczekuje kąpieli w ludzkiej krwi. Cóż mogę powiedzieć? Kiedy zrobiło się parszywie, było naprawdę parszywie.

Josh otwiera szeroko oczy.

Uśmiecham się do niego, po czym przytrzymuję z tyłu swoją luźną szpitalną koszulę i wychodzę na korytarz.

TRAFIAM NA ODDZIAŁ INTENSYWNEJ Opieki zupełnie przypadkowo. Dyżurna pielęgniarka informuje mnie, że odwiedziny są zakazane. Ale potem, widząc moją posiniaczoną twarz i wiedząc, że brałam udział w tragicznej wyprawie, której uczestnicy są teraz najważniejszymi pacjentami szpitala, ustępuje. Daje mi całe dziesięć minut.

Odnajduję najpierw Nemetha. Marge Santi siedzi na krześle obok jego łóżka, trzymając go za rękę. Oczywiście. Już podczas naszych pierwszych krótkich spotkań było dla mnie jasne, że są parą. W naturalny sposób do siebie pasowali.

Nie chcę im przeszkadzać. Marge wpatruje się w Nemetha, jakby była w stanie siłą woli uleczyć jego rany, sprawić, by przeżył. Nie chcę ingerować w to magiczne myślenie, zresztą nie wiem, co miałabym powiedzieć. Nemeth jest obandażowany i podłączony do aparatury. Luciana ma rację – nie wygląda to dobrze.

W końcu pozdrawiam ich tylko w myślach. Nie jestem pewna, czy Nemeth mnie lubił, ale przynajmniej szanował. Podczas wyprawy byłam jedynie szeregowym żołnierzem, a on generałem.

Potem natrafiam na Scotta. W porównaniu z Nemethem wygląda jak okaz zdrowia. W przeciwieństwie do Neila, który siedzi skulony na krześle w nogach jego łóżka, śmiertelnie blady i zafrasowany.

– Nie powinieneś odpoczywać? – pytam ostro.

– Ciii... – Odwraca się do mnie. Ma mocno zaciśnięte powieki. Pewnie z powodu jaskrawego światła, które odbija się od białych ścian, domyślam się. Sama też ledwo to znoszę, a mój mózg nie doznał dwukrotnie wstrząśnienia w ciągu ostatnich dni.

– W jakim on jest stanie? – pytam.

– On mnie rozgrzewał – odpowiada z powagą Neil, nadal mając zamknięte oczy. – Kiedy nastąpiła noc, otulił mnie swoim ciałem.

Powiedział, że przeżyję. Zapewniał, że nadejdzie pomoc. O sobie nic nie mówił.

– Ale przeżył. Ty też.

– Frankie? Nie chcę nigdy więcej wracać w te góry.

– Okej.

– Chcę, żeby Scott wydobrzeał, żeby Miggy odzyskał zdrowie i żeby Nemeth się wykurował. Potem chcę wrócić do domu, do Anny, wsunąć jej obrączkę na palec i nigdy więcej nie oglądać się za siebie.

– Okej.

– Przyjedziesz na mój ślub?

– Będę myślała o tobie w tym dniu – obiecuję.

– Postanowiłem nie wkładać smokingu.

– Świetnie.

– I nie będzie drużbów ani druhen. Zrobimy to po swojemu.

– Doskonale.

– Martin naprawdę zabił tego człowieka?

– Widziałam to na własne oczy.

– To dobrze – mówi z pasją Neil. – Cholernie dobrze.

Uśmiecham się.

– Policja będzie potrzebowała twojej pomocy – informuję go delikatnie. – Przy identyfikacji ciała Martina. I może także szczątków Tima.

– Jasne. – Żadnego wahania, tak jak myślałam.

– Potrzebujesz czegoś jeszcze? – pytam.

– Chcę, żeby Scott otworzył oczy. A Miggy oddychał samodzielnie.

– Niech Bóg to usłyszy.

Zostaję z nim chwilę dłużej. Potem odnajduję pielęgniarkę i ta zapewnia mnie, że mogę już wyjść ze szpitala. Zdecydowanie jednak nie chcę wkładać rzeczy, które miałam na sobie, kiedy mnie tu przywieziono. Nie wspominając już o tym, że policja zatrzymała je jako dowody w sprawie.

Godzinę później siedzę w wynajętym samochodzie, z Lucianą za kierownicą i Daisy – z pyskiem otwartym w psim uśmiechu – na tylnym siedzeniu. Luciana przywozła mi czystą parę dżinsów, podkoszulkę i tenisówki. Wyjęła te rzeczy z mojej torby. Nie miałam pojęcia, że tak się ucieszę z odzyskania mojego skromnego dobytku.

Jest jasny, słoneczny dzień. Czuję się tym trochę zdezorientowana. Powinna być noc, ale może to kwestia mojego nastroju. Po parkingu kręci się tyłu ludzi. Wsiadają do samochodów. Świat wciąż się obraca, jakby nic się nie zdarzyło. Jakby nie było prawdą, że osiem osób poszło w góry i nie wszyscy wrócili.

Luciana zabiera mnie prosto do drive-thru z hamburgerami. Zamawiamy wszystko. Cheeseburgery, frytki, koktajle mleczne. Nawet Daisy dostaje posiłek. Niemal płaczę na myśl, że mogę podjechać do okienka i dostać gorące jedzenie. Jeśli kiedykolwiek zamieszkać gdzieś na stałe, zainstaluję sobie coś takiego. Zdecydowanie.

Napchawszy się do syta – jemy tak szybko jak Daisy i z dumą stwierdzam, że kończę pierwsza – jedziemy przez godzinę do Ramsey, prawie się nie odzywając. Posiłek rozwiązał pierwszy problem, teraz pozostał drugi: potworne zmęczenie.

Luciana prowadzi mnie do motelowego pokoju. Tego samego co przedtem. Dwa podwójne łóżka i łazienka z prysznicem i toaletą. Raj.

Pod ścianą w głębi leży sterta plecaków.

– Przyniosły je ekipy poszukiwawcze – wyjaśnia, widząc, na co patrzę. – Nikt nie wiedział, co z nimi zrobić, więc się tym zajęłam. Kiedy Miggy, Scott, Neil i Nemeth wyjdą ze szpitala, oddam im to, co do nich należy.

Kiwam głową, wypatrując swojego plecaka, a właściwie Josha. Widać na nim krew, więc przestaję się nim interesować.

– Wykąp się – radzi mi Luciana. – I wyśpij. I wypij hektolitry wody. Idę z Daisy zdać raport z przebiegu akcji. Wkrótce wrócimy.

Wręcza mi klucz, tłumiąc ziewnięcie. Potem zostawia mnie samą i idzie z psem z powrotem do samochodu.

Wchodzę do łazienki. Zrzucam ubranie i włączam prysznic, nastawiając go na maksymalnie wysoką temperaturę.

Potem wsuwam się ostrożnie do kabiny, zwracając twarz prosto w kierunku strumienia wody. Szczypią mnie posiniaczone i obolałe policzki, ale nie dbam o to. Chcę, żeby woda obmyła moje ciało. Oczyszczyła umysł. Uwolniła duszę.

Ale nie zapomnę. Nigdy nie zapominam. Jadę po prostu do kolejnego miasta.

I w tym momencie zaczynam drżeć. Nie mogę tego opanować. Myślę o zbyt wielu sprawach. Minionych i aktualnych. Marzeniach i lękach. O rzeczach, których nadal pragnę. I których nigdy nie będę miała.

Gorąca woda robi się letnia, a potem zimna, a ja nigdy już nie chcę marznąć. Motywuje mnie to, by wziąć się w garść i wyjść spod prysznica.

Wycieram się do sucha. Gdy wkładam znoszony T-shirt, czuję go na skórze jak dotyk dawno utraconego kochanka.

Jest mi dobrze.

Poradzę sobie.

Przeprowadzę się na drugą stronę.

Kończę suszyć włosy i idę do łóżka.

Rozdział 42

MOJE CIAŁO ROZPACZLIWIE DOMAGA się snu. Umysł nie ma z tym nic wspólnego. Zapadam się w sfatygowany motelowy materac. Naciągam na głowę koldrę i zamykam oczy.

I zaczyna się gonitwa myśli. Zbyt wiele obrazów. Krew i kule. Sosny i błyskające noże. Sklep z alkoholami, w którym Paul przez ostatnich dziesięć lat umiera w moich ramionach, i gęsty las, gdzie zaledwie kilka dni temu zginął Bob. Miejsce jest bez znaczenia. Czas również.

Moja psychika ma dosyć. Każda śmierć to strata. Każda trauma pozostawia piętno. Czy da się to jakoś wymierzyć? Czy śmierć człowieka, który mnie kochał, a którego opuściłam, jest dwa razy gorsza niż zgon zastrzelonego na moich oczach sympatycznego łowcy Wielkich Stóp? Czy przyglądanie się, jak człowiek-drzewo masakruje Miggy'emu pierś, jest o połowę mniej straszne, a trzymanie w ramionach umierającego bostońskiego gangstera, którego właściwie nie znałam, o jedną czwartą?

To makabryczna arytmetyka. W pewnym momencie dusza buntuje się przeciw takim koszmarom.

Po godzinie rezygnuję z odpoczynku. Co za cholerny chaos, myślę z goryczą. Przeklęty los. Głupie życiowe wybory.

Ale przede wszystkim czuję ból.

I nie jestem w stanie zasnąć.

Wkładam ponownie dżinsy i tenisówki. Rezygnuję z pokoju, który Luciana tak hojnie oddała mi do dyspozycji, i butelki wody, którą zostawiła mi przy łóżku. Ludzie są mili. Ludzie są okropni. Ludzie przyprawiają mnie o ból głowy.

Chwytam klucz i wychodzę.

Idę chodnikiem w kierunku malowniczej części Ramsey. Zaczyna zachodzić słońce. Wszędzie są tłumy turystów. Szczęśliwe pary,

rozkojarzone rodziny, roześmiani przyjaciele. Tyle energii. Tyle życia.

Mogłabym stać wiecznie między nimi i nie wywarłoby to na mnie żadnego wpływu.

To mój dar i moje przekleństwo. Dołączyłam do siedmiorga ludzi, których nie znałam, i przez kilka dni uczyłam się, kochałam i traciłam. A jednak jestem dalej samotna i nie należę do nikogo.

Jestem schizofreniczną introwertyczką. Czy istnieje coś takiego?

Nagle stoję przed restauracją, w której jadłam z Lucianą i Bobem pierwszą wspólną kolację. Przed drzwiami widzę kolejkę ludzi czekających na wolne stoliki i wpatrzonych w telefony.

Mam ochotę krzyknąć, żeby podnieśli wzrok. Chwycić ich za ramiona i przestrzec, żeby nie byli tacy pewni, że należy im się absurdalnie duża porcja smacznego jedzenia. Chcę paść na kolana i błagać ich, by zapamiętali tę chwilę, gdy nic ich nie boli i martwią się tylko tym, co zamówić na kolację.

Chcę się napić.

To pragnienie pojawia się znikąd. Z głębi duszy.

Stoję na chodniku, zaciskając dłonie w pięści i walcząc z pokusą.

Na tym polega ironia mojej choroby: zrezygnować z drinka u progu śmierci, by ulec pokusie po tym, jak udało mi się przeżyć. Ale taką już mam naturę. Nie muszę pić, żeby umrzeć. Ale często mam wrażenie, że potrzebuję alkoholu, by przeżyć.

A przede wszystkim – żeby uciec przed samą sobą.

Oddalam się od restauracji. Kuśtykam po Main Street. Każdy krok jest boleśniejszy od poprzedniego. Dopiero po chwili spostrzegam, że ludzie mi się przyglądają. Że moje podbite oko i niepewny krok zwracają uwagę. Gdy piąta z kolei rodzina omija mnie szerokim łukiem i rodzice przygarniają przy tym dzieci, poddaję się i wracam do motelu. Pieprzyć dobrze wychowanych szczęśliwych ludzi. Pograżę się w samotności.

Ale nie potrafię. Pokój jest zbyt pusty, łóżko – zbyt przytłaczające. Muszę jakoś się odnaleźć. Jeszcze nie wiem jak.

Idę do recepcji. Pracuje tam młody człowiek o pryszczatej twarzy, który, jak się domyślam, ukończył właśnie miejscowe liceum i jest bardzo niezadowolony, że nadal mieszka w tym mieście.

– Cześć – rzucam.

– Cześć. – Otwiera szeroko oczy na widok zjawy z piekła rodem.

– Szukam pralni samoobsługowej.

– Okej.

– Gdzieś blisko. Bardzo blisko. – Spoglądam na swoją obolałą kostkę.

– Należy pani do tej grupy.

– Jakiej?

– No, tej ekipy, która poszła w góry szukać zaginionego faceta. Tyle że znalazła przypadkiem więcej zwłok. – Pryszczaty otwiera oczy jeszcze szerzej. – Nie powinienem był tego mówić.

– Nie mylisz się. Tak, należę do tej grupy. I mam plecaki wszystkich uczestników wyprawy, co oznacza cholernie dużo brudnej odzieży. Spoconej, zabłoconej i zakrwawionej.

Instynkt mnie nie zawodzi. Wzmianka o krwi robi na nim wrażenie.

– No cóż, zważywszy na okoliczności, mógłbym zrobić wyjątek...

Kiwam głową zachęcająco.

– Nie pozwalamy zwykle korzystać gościom z pralek w motelu. Ale mamy w piwnicy pralnię i suszarnię.

Ponownie kiwam głową.

– Proszę zebrać wszystko, co ma pani do wyprania, i sam pokażę pani, gdzie są pralki i jak je obsługiwać.

I będzie miał okazję poznać z pierwszej ręki szczegóły historii, o której z pewnością mówi całe miasto.

Nie mam nic przeciwko temu. Każdy lubi być dobrze poinformowany, a taka okazja to żyła złota. Recepcjonista z motelu tego nie wymyślił. Próbuje po prostu wykorzystać szansę. I szanuję to.

– Zaraz wracam – oznajmiam.

Chłopak niemal unosi się w powietrzu.

– Świetnie!

Nie mogę powstrzymać uśmiechu. Przynajmniej on jest szczęśliwy. Potem kuśtykam obolała do pokoju Luciany, do sterty plecaków, z którymi kilka dni temu wyruszyliśmy na wyprawę; teraz są hołdem dla rannych, umierających i martwych.

WPADEŁAM NA POMYSŁ, ŻEBY wyprać brudną odzież. Nie jest to przemyślany ani szczegółowy plan. Po prostu wiem, że prawie wszyscy zabrudziliśmy ubrania. Zważywszy na moje poruszenie i zdenerwowanie, będę przynajmniej miała czym się zająć. Zrobię porządek z plecakami, żeby nie wyglądały koszmarnie, kiedy wrócą do właścicieli.

Zaczynam od mojego, czyli Josha. Wyciągam spocone i zabłocone ubrania, które pożyczyłam od Luciany. Gdy opuszczaliśmy obóz, upchnęłam część rzeczy do pustego śpiwora, by wyglądało to tak, jakby ktoś w nim spał. Ale większość tych, które wzięłam ze sobą, była brudna. Przykładam je do nosa, by sprawdzić, czy wymagają wyprania.

W końcu uznaję, że trzeba wyprać całą odzież ze wszystkich plecaków. Powstanie w ten sposób ogromna sterta brudnych rzeczy, ale i tak nie mam nic lepszego do roboty.

Siadam na podłodze, biorę do ręki plecak i go opróżniam. Przeglądam jego zawartość. Znajduję papierki po batonach, opróżnione apteczki i puste manierki.

Segreguję wszystko. Brudną odzież. Śmieci. Naczynia do zmywania. Mam się czym zająć, i dobrze. Im więcej pracy, tym mniej czasu na myślenie.

Szybko się męczę, ale jak już zaczynam coś robić, nie potrafię przestać. Rozpoznaję większość plecaków po kolorze. Nie przeglądam ich w ustalonej kolejności. Sięgam po najbliższy.

Wiem, że nie będę w stanie pamiętać, co wyjęłam z którego plecaka, by włożyć te rzeczy z powrotem. Nie przywiązuję jednak do tego wagi. Tak naprawdę nie chodzi o pranie odzieży ani o to, który plecak do kogo należy. Chodzi o ocalenie siebie przed samą sobą.

Sięgam na dno ostatniego plecaka. Wyciągam słoik z białymi fiołkami. Nie mam pojęcia, co to takiego. Zdecydowanie nie żywność i najwyraźniej nie leki. Jest na nim etykieta, zapisana niewiarygodnie drobnym drukiem.

Potrzebuję chwili, by go odczytać.

Potem siadam wyprostowana.

I mam wrażenie, że zaraz zwymiotuję.

Wiem, ale nie chcę wiedzieć. Przez głowę przelatują mi wspomnienia. Zdaję sobie nagle sprawę, że się myliłam. To ma sens, a jednak trudno to pojąć.

Wpatruję się w plecak bardzo długo, jakby to on mnie zdradził.

Potem powoli wstaję.

Jestem już opanowana.

Mam zadanie do wykonania.

Rozdział 43

DZIECKO KAŻDEGO ALKOHOLIKA WIE, co znaczy być okłamywanym. „Przysięgam, że już nigdy tak nie postąpię”. „Obiecuję, że to ostatni kieliszek”. „Oczywiście, że nie zrobię burdy”. Uczysz się to znosić. Poczynając od nieudanego biwaku w ogrodzie aż po milion innych sytuacji.

Ale wcale nie jest ci przez to łatwiej.

Zapadła noc. Czując pierwszy powiew zimnego powietrza, zaczynam się kurczyć, mam przyspieszony puls i wpadam w panikę. Neil powiedział, że widok mężczyzn w smokingach wywołuje u niego stres pourazowy. Ja chyba reaguję tak na zimno.

Wracam do pokoju po moją ulubioną wojskową kurtkę. Przy okazji wkładam też do jednej kieszeni małą latarkę, a do drugiej zapalniczkę. I pożyczam sobie czyjąś plecioną nylonową bransoletkę. Mam nadal gwizdek, który jest dla mnie jak dawno utracony przyjaciel. Zastanawiam się, czy zabrać jeszcze jedną rzecz. W końcu uznaję, że muszę to zrobić.

Chwytam wyglądający groźnie wojskowy nóż, którego nie chciałam wziąć od Josha, i przypinam go sobie do pasa, pod kurtką.

Natychmiast dodaje mi otuchy. Zaczynam oddychać wolniej, opuszcza mnie panika. Mam poczucie, że niczego mi nie brakuje.

Może jednak lubię używać śmiertelnie niebezpiecznych noży?

Potrzebuję informacji. Zwykle gromadzę skrupulatnie dane o miejscach, w których działam. W przypadku Ramsey tego nie zrobiłam i proszę, jak wyglądam. Jestem cała posiniaczona i kuleję jak stuletnia staruszka. Bywam impulsywna, nieco autodestruktywna i mieszm różn obsesje, ale próbuję zwykle zachować rozsądek.

O tej porze nie będzie otwarta biblioteka ani kafejka internetowa. Pozostaje mi więc tylko jedna opcja. Oplatając się ramionami, by nie

zmarznąć, kuśtykam z powrotem do recepcji.

Pryszczaty natychmiast podnosi wzrok znad kontuaru. Rozpromienia się na mój widok, ale rzędzie mu mina, gdy zdaje sobie sprawę, że nie przyniosłam do wyprania obiecanej zakrwawionej odzieży.

– Uznałam, że jest już za późno, żeby zaczynać – wyjaśniam. – Czy mogę skorzystać z pralek rano?

– Nie wiem. – Jest wyraźnie rozczarowany. – Kończę zmianę o północy. Nie mogę obiecać, że mój zmiennik się na to zgodzi.

– Jak masz na imię?

– Seth.

– Jestem Frankie Elkin. Miło mi cię poznać.

Chłopak rozpogadza się.

– W pełni rozumiem to, co mi powiedziałeś na temat możliwości korzystania z pralek i suszarek – przyznaję. – Muszę więc mieć nadzieję, że kolega, który cię zastąpi, okaże się równie uczynny jak ty.

Wyraz twarzy Setha mówi, żebym na to nie liczyła.

– Ale chciałabym cię prosić o jeszcze jedną przysługę. Potrzebuję dostępu do komputera. Natychmiast. Przypuszczam, że masz na zapleczu jakiś, z którego mogłabym skorzystać?

– Po co pani komputer?

– Chcę zawiadomić rodzinę i przyjaciół, że jestem cała i zdrowa. I zaplanować, co mam dalej robić.

– Czemu nie skorzysta pani z telefonu?

Wyjmuję tanią komórkę i pokazuję mu ją.

Seth prawie pada z wrażenia.

– Mówi pani poważnie? Nie wiedziałem, że ktoś jeszcze takie produkuje.

– Przydałby mi się nowszy model.

Stoję przy recepcji, czekając cierpliwie. O tej porze nocy nie ma tam ruchu, jesteśmy tylko we dwoje, a on najwyraźniej ma ochotę przeżyć coś ekscytującego.

Zwleka całą minutę. Odliczam w myślach sekundy. Stara się podjąć decyzję, którą zaakceptowałby jego szef. Zyskuje u mnie kolejny punkt. Potem kapituluje.

– Chyba mógłbym dać pani moje hasło i pozwolić skorzystać z biurowego komputera. Ale proszę nikomu nie mówić, dobrze? Szef nie może się o tym dowiedzieć.

– Oczywiście.

Przechodzę za kontuar, za którym są drzwi prowadzące do niewielkiego pomieszczenia na zapleczu. Komputer stoi dokładnie na środku biurka, wśród morza papierów. Największe wyzwanie będzie polegało na tym, żeby nie zrzucić niczego na podłogę.

Seth pochyła się nad klawiaturą i stuka w kilka klawiszy. Uruchamia wyszukiwarkę i już. Mogę zaczynać.

– Nie zamierza pani odwiedzać stron porno, prawda?

– Czy mogę obejrzeć przynajmniej filmik z uroczym kotkiem?

Wywraca oczami, po czym następuje niezręczny moment, gdy staje się jasne, że abyśmy mogli zamienić się miejscami, musi precyzyjnie się obok mnie. Przesuwa się na bok, wyraźnie zdenerwowany.

– Dziękuję – mówię szczerze.

Czerwieni się i pochyła głowę.

– Proszę... proszę powiedzieć, gdyby pani czegoś potrzebowała.

Wraca na swoje stanowisko w recepcji.

A ja zaczynam pisać.

JAK KAŻDY, KTO PROWADZI dochodzenie w niewyjaśnionych sprawach, specjalizując się w zdobywaniu informacji, zwłaszcza dotyczących przeszłości, z pozoru nieistotnych szczegółów. Miejscowe gazety, dysponujące archiwami sprzed lat, są prawdziwą kopalnią złota, ale takich gazet jest coraz mniej.

Mam szczęście, że w tym regionie wychodzi nadal lokalny dziennik. Zaczynam więc śledztwo z impetem i dużą pewnością siebie. Potem wpadam w pierwszy ślepy zaułek. A później kolejne.

Jestem jednak uparta, zresztą i tak nie zasnę. Może zemdleję, ale odpoczywać?

To już niemożliwe.

Tuż po dziesiątej znajduję to, czego szukam.

– Mogę coś wydrukować?! – wołam do Setha.

Chętnie przychodzi mi znów z pomocą, mimo że teraz poruszamy się oboje w ograniczonej przestrzeni i musi otrzeć się o mnie kilka razy, uruchamiając drukarkę i dokładając kartki papieru.

Wciskam DRUKUJ i kilka sekund później zabieram wydrukowane dokumenty, zanim Seth ma szansę na nie spojrzeć.

Dziękuję mu, żegnam się i wychodzę.

Ledwo idę. Gdy siedziałam, zeszywniały mi mięśnie, a stopy, zachwycone początkowo odkryciem na nowo tenisówek, teraz wyją z rozpacz. Wkurza mnie to, bo zamiast iść, powinnam biec!

A tymczasem kuśtykam, zaciskając zęby z bólu.

Pora poprosić o kolejną przysługę.

GDY WCHODZĘ DO POKOJU w motelu, Luciana i jej labrador już tam są. Daisy leży rozciągnięta na łóżku obok mojego. Podnosi łeb na mój widok, macha ogonem i ziewa przeciągle.

– Też się cieszę, że cię widzę – zapewniam ją. A potem, ponieważ ocaliła mi życie, drapię ją pieszczotliwie za uszami.

– Widzę, że nie traciłaś czasu – zauważa Luciana, wskazując na ustawione rzędem puste plecaki, których zawartość wyrzuciłam na podłogę, i na stertę spoconych, brudnych rzeczy, które nie pachną zbyt przyjemnie.

– Pomyślałam, że uporządkuję to wszystko. Zrobię coś pożytecznego.

– Czy to rzeczy do spalenia? – pyta, patrząc na brudną odzież.

– Właśnie.

– Frankie, musisz odpocząć. Nie jesteś jeszcze w pełni sił. Nawet Daisy i ja nie doszliśmy na razie do siebie, a przecież tylko pędziłyśmy w dół zbrocza, gdy zdołałam się uwolnić.

– Wracacie jutro obie do Kanionu Diabła?

– Nie. Tą sprawą zajmuje się już wystarczająco dużo ludzi. Daisy i ja musimy się zregenerować, fizycznie i psychicznie. Kiedy wydostałyśmy się w końcu z lasu, wiedząc, że wy jesteście uwięzieni i bezbronni, musiałyśmy wrócić. I nie zamierzałyśmy spocząć, dopóki wszyscy nie zostaniecie uratowani.

– Ale nadal nie odnaleźliście Martina – stwierdzam, choć jest to właściwie pytanie. Jestem bardzo ciekawa jej odpowiedzi, nie chcę jednak tego okazać.

– Zebrano ekipę, która ma przeszukać jutro wąwóz. I z tego, co widziałam na mapie, czeka ich cholernie ciężkie zadanie. To niedostępny, gęsto zalesiony teren, po którym trudno się poruszać. Oni poradzą sobie lepiej niż ja.

– Pojedziemy jutro do szpitala? – pytam.

– Jasne. Powiem ci coś w tajemnicy. Daisy nie wolno tam wchodzić, bo nie jest psem przewodnikiem. Ale założę jej czarną kamizelkę i wejdziemy tanecznym krokiem, jakbyśmy miały wszelkie prawo tam być, i nikt nie mrugnie nawet okiem. A to, że jest uroczą i dobrze wychowaną, pomoże nam.

– Dziękuję, że po nas przysłaś – mruczę. – Że się nie poddałaś i wróciłaś w góry, chociaż musiałaś być wykończona. Dziękuję za ocalenie Miggy’ego i mnie. – Mówię to zduszonym głosem. Czuję, że do oczu napływają mi łzy. Jestem wyczerpana. Muszę odpocząć. Luciana ma rację: wszyscy będziemy potrzebowali czasu, by wrócić do równowagi. Ale dla mnie jeszcze na to za wcześnie.

Przygląda mi się dużymi brązowymi oczami. Też ma w nich łzy.

– Nie ma za co dziękować – odpowiada cicho. – Nie ma za co.

Potem, w tym klimacie wzajemnego zaufania, zaskakuję ją pytaniem, które chciałam zadać od samego początku.

– Mogę pożyczyć twój samochód?

LUCIANA PRÓBUJE ODMÓWIĆ. NIE powinnam wychodzić; cokolwiek zamierzam zrobić, można to odłożyć do rana. Ale tak się upieram, że w końcu ustępuje. Wciska mi kluczyki do ręki. Każe mi zachować ostrożność i patrzy na mnie szczerze zatroskana, gdy wychodzę z bezpiecznego motelu.

Mam wrażenie, że starzeję się w postępie geometrycznym. Mój organizm rozpada się coraz szybciej. Ból narasta z każdą chwilą.

Potem będę musiała spać całą wieczność.

Ale jeszcze nie teraz.

Dopiero po kilku próbach udaje mi się znaleźć to, czego szukam. Muszę się zatrzymywać i sprawdzać drogę na mapie w świetle latarki, by móc jechać dalej. Docieram na miejsce tuż po północy. Potrzebuję jeszcze jednej koszmarnie stresującej godziny, by potwierdzić swoje podejrzenia.

Wracam do motelu, do pokoju pogrążonego w całkowitym mroku i ciszy, którą zakłóca tylko pochrapywanie Daisy. Zdejmuję kurtkę i odpinam pochwę z nożem z paska. Potem wykonuję najtrudniejsze zadanie: pochylam się i powoli ściągam tenisówki.

Gdy udaje mi się w końcu wyprostować, jestem wykończona. Nie mam już ani krzty energii. Padam na łóżko w ubraniu.

Zamykam oczy i pogrążam się we śnie.

Jutro będzie wystarczająco ciężki dzień.

Rozdział 44

DOPIERO GDY RANO DOJEŹDŹAMY do szpitala, zwracam się do Luciany z kolejną prośbą.

– Szeryf Kelley zjawi się za mniej więcej trzydzieści minut. Czy ty i Daisy możecie go przywitać, kiedy tu dotrze?

– Po co? O co ci chodzi, Frankie?

Ignoruję jej pytanie. Kiedy była pod prysznicem, zadzwoniłam w dwa miejsca: do szpitala i do biura szeryfa. Udało mi się załatwić obie sprawy.

– Wyślij mi esemesa, gdy będziesz z nim już w holu szpitala. Nie mam zbyt sprawnej komórki, więc moja odpowiedź będzie krótka. Ale znacząca.

– Co się dzieje? Powiedz mi, Frankie. Pomogę ci.

– Z pewnością. Ale jeszcze nie teraz.

Wzdycha ciężko, ale daje za wygraną. Wczesnym rankiem wpadłyśmy do baru i zamówiłyśmy po dwie porcje wszystkiego, co mieli. Ale straciłam apetyt, zanim podano nam jedzenie. Zawsze tak jest, kiedy się denerwuję.

Daisy truchta radośnie między nami, gdy przechodzimy przez parking. Na sam widok kamizelki jest pełna energii i gotowa do akcji. Luciana ma rację: ten pies kocha swoją pracę. I odzyskuje siły dużo szybciej niż ludzie, którym pomaga.

Zatrzymujemy się przy recepcji, żeby wpisać się do rejestru jako goście. Zgodnie z przewidywaniami Luciany nikt nie kwestionuje obecności psa. Daisy wygląda dzisiaj szczególnie czarująco, z przechylonym na bok łbem i pyskiem otwartym w szerokim uśmiechu.

Zmierzam wprost do pokoju Miggy'ego, kuśtykając najszybciej, jak potrafię. Zauważam, że Neil nadal siedzi skulony na krześle. Jego krótkie

brązowe włosy sterczą na wszystkie strony. Udało mu się zdobyć gdzieś koc i panoramiczne okulary przeciwsłoneczne.

Jestem zaskoczona, widząc, że Miggy siedzi na łóżku.

– Cześć – mówi.

Zalewa mnie fala emocji. Nie jestem w stanie mówić, poruszać się ani oddychać. Wpatruję się w niego, zahipnotyzowana widokiem jego obandażowanej twarzy.

– Sądziłam, że nie żyjesz – odzywam się.

– Ja też tak myślałem.

– Trząśłeś się z zimna. A potem znieruchomiałeś.

– Pamiętam, że dotykałaś moich włosów. I byłem wdzięczny losowi, że przynajmniej jesteście razem.

Zaraz się rozplączę. Powstrzymuję łzy, podchodząc w końcu bliżej łóżka, by dotknąć jego ręki, policzka, włosów. Robię to dwukrotnie.

– Myślę, że wróciłem do życia – zapewnia mnie Miggy. – Ale tylko dlatego, że boli mnie każdy centymetr ciała.

– Mnie też! – Śmiejemy się oboje i znów jest dobrze. Prawie normalnie, a po tym, co przeżyliśmy, tylko tego potrzebujemy.

– Ja też czuję się już lepiej – odzywa się z krzesła Neil.

– Ładne okulary.

– Przyniosła mi je pielęgniarka. Zawsze będą dla mnie bezcenne.

– Co z waszymi rodzinami? – pytam, starając się nie wspominać o Annie, by nie zdradzić sekretu Neila.

– Moi rodzice przyjeżdżają dziś przed południem – oznajmia Miggy. – Zabawne. Spotkali na lotnisku kobietę, która też musiała lecieć do Wyoming do ранego przyjaciela. Podobno to jej chłopak i ma na imię Neil. Od lat są razem. Jest w nim zakochana do szaleństwa i potwornie się martwi. Przynajmniej tak twierdzi moja mama.

– Och, jeśli o to chodzi... – odzywa się za moimi plecami Neil.

Ściskam po raz ostatni dłoń Miggy'ego, a potem zostawiam go z Neilem, by sobie wszystko wyjaśnili.

Gdy zadzwoniłam wcześniej do szpitala, dostałam jeszcze jedną dobrą wiadomość: Scott, którego stan uznano za stabilny, nie jest już na OIOM-ie. Uchylam drzwi do jego pokoju. Mocno śpi, owinięty kołdrą. Ma zdrowszą cerę i oddycha równomiernie. Niemal całe jego prawe ramię przesłania ogromny bandaż, ale żyje. Wbrew wszystkiemu przeżył jednak w tych cholernych górach.

Latisha nie musiała po raz drugi odbierać telefonu ze złymi wiadomościami.

Wycofuję się na palcach na korytarz i niemal zderzam się z Joshem, ubranym już do wyjścia.

– Znudziło ci się życie w szpitalnej koszuli? – pytam.

– Nie jest tak wygodne, jak sądziłem. – Wskazuje głową na Scotta. – Co z nim?

– Śpi jak kłoda. Wygląda zdecydowanie lepiej niż wczoraj.

Josh kiwa głową.

– A ty jak się czujesz? – pytam.

Nie odpowiada od razu. Ktoś tak małowówny jak on nie lubi się odzywać.

– Udało mi się zacząć dzień od filiżanki kawy zamiast kieliszka tequili – mówi jednak w końcu.

– To doskonale. Dobry początek.

– Wiem.

Właściwie powinnam teraz poinformować go, że też jestem alkoholiczką, i powiedzieć, że w każdej chwili może do mnie zadzwonić. Ale nie robię tego. Jedną z pierwszych rzeczy, których uczysz się, wychodząc z uzależnienia, jest ustalanie granic. Nie do mnie należy podtrzymywanie Josha na duchu w chwilach jego słabości. Z trudem sama sobie z tym radzę.

Słyszę sygnał komórki. Czas, żebym wyszła.

– Spróbuję wpaść później, kiedy Scott się obudzi – obiecuję i ruszam. Idąc lśniąco białym długim korytarzem, wydaję telefon. Na ekraniku widzę esemesa: *Jesteśmy gotowi.*

Oddycham głęboko i dotykam kieszeni kurtki, by upewnić się, że mam tam nadal to, czego potrzebuję.

Przystaję tylko na chwilę, by odpisać: *Fredericka*.

A potem przeciskam się przez drzwi na OIOM.

Rozdział 45

GDY WCHODZĘ DO POKOJU, Nemeth wygląda tak samo jak poprzednim razem. Podobno w środku nocy odzyskał na chwilę przytomność, co jest dobrym znakiem. Teraz wygląda jednak jak mumia; jest niemal cały obandażowany i podłączony do pikającej i szumiącej aparatury.

Marge Santi nadal siedzi na krześle przy łóżku. Wygląda na to, że podobnie jak Neil przy Scotcie, siedziała tu całą noc. Zapewne wbrew obowiązującym na OIOM-ie przepisom, ale najwyraźniej traktują je tu dość luźno.

To z jej powodu tutaj przyszłam.

Z nią chciałam się zobaczyć.

– Co z nim? – pytam, wślizgując się do ciasnego pomieszczenia. Na ścianie za plecami Marge jest ogromna szyba, przez którą personel monitoruje wymagających nadzoru pacjentów. Stojąc po drugiej stronie łóżka Nemetha, widzę Marge i każdego, kto wchodzi na OIOM. Wsuwam prawą rękę do kieszeni kurtki. Obolałe ramię protestuje, ale ignoruję je.

– Przeżył noc – oznajmia cicho Marge. Wygląda okropnie. Zmarszczki, podkrążone oczy. Musi go naprawdę bardzo kochać.

– Od jak dawna jesteście ze sobą?

Uśmiecha się blado, gdy wspominam o ich relacji.

– Od dwudziestu lat. Ale znamy się niemal całe życie. Tu dorastaliśmy. Jesteśmy jednymi z ostatnich prawdziwych miejscowych w tej okolicy.

Kiwam głową, zbliżając się do łóżka. Muszę niepostrzeżenie wyjąć z kieszeni niewielką fiolkę i wsunąć ją pod prześcieradło. Zdjęłam z niej zatyczkę, gdy tylko wyszłam z holu, by zapach rozszedł się po całym szpitalu.

– Pani też chodzi po górach? – pytam.

– Kiedy tylko mogę. Chociaż prowadząc restaurację...

– Poluje pani? – rzucam jakby mimochodem.

Marge kiwa głową.

– Jasne. Polowałam z ojcem już jako dziewczynka i nadal zdarza mi się od czasu do czasu ustrzelić jelenia.

Główne drzwi na OIOM otwierają się z impetem. Dyżurna pielęgniarka próbuje coś powiedzieć, by zaprotestować, gdy do pokoju wpada Daisy, a za nią szeryf Kelley i Luciana. Szeryf unosi brwi, Luciana jest zdezorientowana. Pielęgniarka unosi rękę, żeby ich zatrzymać. Ale na widok twarzy szeryfa natychmiast się wycofuje.

Sekundę później słychać niecierpliwe drapanie psich łap o drzwi pokoju Nemetha. I ciche skomlenie.

Nie poruszam się. Obserwuję tylko twarz Marge, gdy Luciana szybko otwiera drzwi i pies wpada do środka, energicznie kręcąc łbem. Obwąchuje mnie, a potem koncentruje się na łóżku.

Nagle przysiada.

I unosi łapę.

Wpatrując się intensywnie w Nemetha.

Luciana nieruchomieje. Oboje z szeryfem z trudem mieszczą się w ograniczonej przestrzeni. Pielęgniarka jest teraz na zewnątrz i najwyraźniej nie wie, co ma robić.

Luciana patrzy na mnie.

– Nic nie rozumiem.

– Daisy jest dzielnym psem. Wytropiła to, co powinna. Zasłużyła na nagrodę.

– Ten człowiek nie jest martwy – rzuca szeryf Kelley.

– Nie, ale ma coś pod materacem.

Wyciągam niewielką fiolkę i unoszę ją. Pies węszy, ani na chwilę nie spuszczając z fiolki wzroku, gdy podaję ją Lucianie.

– Co to jest? – pyta, po czym odczytuje napis na etykiecie: – *Syntetyczny zapach padliny*. Tego się używa do szkolenia psów poszukujących zwłok. Po co ci, do cholery, coś takiego?

- Tak naprawdę należałoby zadać pytanie, po co potrzebował tego Nemeth. Znalazłam to w jego plecaku. W górach mogą się przydać różne rzeczy. Ale woda o zapachu padliny?

Nadal wpatruję się w Marge. Jej zmęczona twarz poblądła. Siedzi w całkowitym bezruchu.

Luciana przygląda się nam obu. W pokoju panuje wyczuwalne napięcie.

- Okej. - Luciana wydaje psu komendę „spocznij” i Daisy podchodzi do niej niechętnie. Powinna dostać teraz nagrodę i mnóstwo pochwał. Ale nawet ona wydaje się rozumieć, że dzieje się coś dziwnego.

Zwracam się do Marge:

- Pani siostra zaginęła jako pierwsza. Prawie dwadzieścia lat temu.

Właścicielka restauracji milczy. Szeryf się nie wtrąca, pozwala mi kontynuować.

- Zajmuję się poszukiwaniem osób zaginionych - mówię swobodnym tonem. - Nie jestem specjalistką od zabójstw, bo, Bóg mi świadkiem, nie znoszę widoku krwi. Ale miałam do czynienia z wystarczająco wieloma zbrodniami, by wiedzieć, że w przypadku seryjnych zabójców najważniejsza jest zawsze pierwsza ofiara.

- Nie wiem, o czym pani mówi - odpowiada Marge. - Musicie stąd wyjść, wszyscy. Nemeth jest na granicy śmierci, a pani chowa mu w łóżku syntetyczny zapach padliny? Czy to jakiś żart?

- Nie zidentyfikowaliśmy jeszcze szczątków w Kanionie Diabła - kontynuuję, ignorując jej słowa. - To zajmie trochę czasu, prawda, szeryfie?

Kelley potwierdza to skinieniem głowy.

- Ale odkąd przyjechałam do Ramsey, słyszałam o co najmniej sześciu osobach, które zaginęły w tych górach. Dawne przypadki zaginięć plus odkrycie nowych szczątków. To jest równanie, które rozumiem. W nocy przeglądałam artykuły na temat osób zaginionych w tej okolicy. Jedną z nich była Jessica Santi. Pani siostra.

- To była straszna tragedia. Nie ma potrzeby tego odgrzebywać...

– Może zdarzył się wypadek? Może polowała pani z siostrą w lesie i strzelba przypadkiem wypaliła? Albo pokłóciłyście się i w zdenerwowaniu pociągnęła pani za spust?

– Proszę przestać...

– Stała się pani jedyną spadkobierczynią domu rodziców. Czy warto z tego powodu zabijać? Nie miałam pewności. Więc postanowiłam to sprawdzić.

Marge błednie. Otwiera usta, ale nie wypowiada ani słowa.

– Mój samochód – mruczy Luciana.

Szeryf przygląda się nam intensywnie. Zauważam, że trzyma ręce blisko broni. I słusznie robi, jeśli Marge jest, jak przypuszczam, wielokrotną zabójczynią.

– Czy poprosiła pani o pomoc Nemetha, długoletniego przyjaciela i eksperta od gór? Czy to był jego pomysł, żeby ukryć ciało pani siostry w Kanionie Diabła, miejscu, które niewiele osób odwiedza, a jeszcze mniej zna ukryte pod skałami zakamarki?

Marge nie odzywa się.

– Czy w ten sposób zostaliście kochankami? – odważam się zapytać, szczerze zaciekawiona. – Połączyła was śmierć pani siostry? Nic nie zbliża ludzi bardziej niż wspólny sekret. Ale pani na tym nie poprzestała. Oboje nie poprzestaliście. Musieliście dopilnować, żeby nikt nie odkrył grobu pani siostry. I byliście sfrustrowani, że do miasteczka przyjeżdża tak wielu turystów. Zabiliście ponownie. A potem jeszcze kilka razy. Tego ranka, gdy przyjaciele Timothy'ego O'Daya przybiegli do pani restauracji po pomoc, nie mieli pojęcia, że prosząc o zorganizowanie akcji ratunkowej, podsuwają pani i pani kochankowi kolejną ofiarę.

Słyszę, że aparatura za moimi plecami zaczyna wydawać jakieś nowe dźwięki. Czyżby Nemeth odzyskiwał przytomność? Uważam, że powinien. Że ma wobec nas dług.

– Marge – odzywa się surowym tonem szeryf. – Czy to prawda? Wiesz, że mamy w tej cholerniej jaskini całą ekipę śledczą. Wszystko odkryją. Lepiej przyznaj się teraz, gdy jeszcze mogę ci pomóc. Bo jak zjawi się FBI...

– Nie mam pojęcia, o czym ona mówi – oświadcza Marge. – Myślę, że ta biedna dziewczyna przeżyła wstrząs. Dlatego właśnie nowicjusze nie powinni wychodzić w góry.

– Domek myśliwski pani rodziców, Marge. Odwiedziłam go. Być może również włamałam się do niego. Ale ode mnie pan tego nie słyszał, szeryfie – dodaję szybko. – Jest jeszcze coś, co wiedzą wszyscy czytelnicy powieści sensacyjnych: seryjni zabójcy zawsze zabierają trofea. Przy szczątkach, które widziałam w jaskini, nie było odzieży, plecaków ani biżuterii. Musiano je gdzieś zabrać.

Po plecach Marge przebiega dreszcz.

Skupiam uwagę na szeryfie.

– Proszę wysłać do tego domu swoich ludzi, zawiadomić federalnych, kogo pan chce. Znajdzie pan tam wszystko, czego pan szuka. Czy w Wyoming nie ma kary śmierci? Federalni to załatwią. Uwierz mi, Marge, ta nowicjuszka z przyjemnością tu wróci, żeby zobaczyć, jak się smaży.

– Niech cię szlag! – Marge patrzy mi prosto w oczy. Widzę jej lodowate spojrzenie bezlitosnego drapieżnika.

– Nie rozumiem – odzywa się Luciana. – Jak doszłaś do tego na podstawie syntetycznego zapachu padliny?

– Po co Nemeth nosił coś takiego w plecaku? – Wzruszam ramionami. – Chyba tylko po to, żeby zmylić Daisy. Pamiętaj, jak to się wszystko zaczęło: od stosunkowo niewinnych aktów sabotażu. Najpierw próbowano skłonić Martina, żeby odwołał wyprawę do Kanionu Diabła, a kiedy to się nie udało, robiono wszystko, by zmusić nas do zawrócenia. Myślę, że ten syntetyczny zapach to był plan C. Nemeth miał wykorzystać go, żeby zdezorientować psa. Powiedziałaś, że Daisy złapała trop przy zwale głazów, ale straciła orientację. Gdy odkryłam w końcu tę jaskinię, nie mogłam zrozumieć, dlaczego Daisy jej nie znalazła. Przecież takie zwaly to jej specjalność.

– Nemeth musiał maczać w tym palce – mówi Luciana. – Ale przecież był po drugiej stronie kanionu, kiedy Neil został ranny. Mówiłaś, że miałaś tamtego dnia wrażenie, że ktoś cię obserwował, a Nemeth był tuż obok ciebie. Nie mogła za tym stać tylko jedna osoba.

– Gdy założyłam, że Nemeth jest w tę sprawę zamieszany, Marge stała się oczywistą współniczką zbrodni. A potem, kiedy odkryłam, że pierwszą zaginioną w górach osobą była jej siostra, nie uwierzyłam, że to przypadek. – Patrzę na Lucianę. – Domyślam się, że to ona cię zaatakowała. Miała za zadanie wyeliminować cię, kiedy Nemeth zajmował się innymi rzeczami. Musiał mieć gdzieś ukrytą torbę ze sprzętem myśliwskim, karabinem i inną bronią. Ale nie wszystko wyszło tak, jak zaplanowali. Pies uciekł, zmuszając Marge do pościgu, który nie mógł jej się udać. Miała jeszcze drugie zadanie: musiała rozrzucić po obozie skradzione wcześniej jedzenie, żeby zwabić niedźwiedzie. Zanim wróciła do miejsca, gdzie zostawiła cię związaną, zdołałaś uciec. Co popsuło im plany.

Spoglądałam na Marge, obserwując wyraz jej twarzy. Wielu rzeczy z tych, o których mówiłam, domyślam się i zważywszy na jej sztywną postawę i wrogie spojrzenie, chyba się nie mylę.

– Po odkryciu, że Luciana zniknęła, pospieszyła pani do miasta – kontynuuję. – Musiała pani wrócić do roli Marge, właścicielki restauracji, i kontrolować to, co zrobią Luciana i szeryf. Martwiła się pani o Nemetha? – pytam. – Że będzie musiał sam załatwić siedem osób? Czy podobnie jak on zakładała pani, że jesteśmy łatwym łupem? Martin w końcu go dopadł. Nie wiem, jak Nemeth zdołał przeżyć upadek w przepaść i jak się stamtąd wydostał. Przypuszczam, że mu pani pomogła. Może miał kurtkę z GPS-em i dzięki temu go pani zlokalizowała, wyprowadziła na szlak, a potem zawiadomiła poszukiwaczy, że się odnalazł? Domyślam się, że ukryła pani gdzieś maskę, którą miał na twarzy, i inne akcesoria. To bez znaczenia. Policja ma jego odzież, która stanowi wystarczający dowód. Na impregnowanych wojskowych spodniach będą ślady mojego noża. A w koszuli dziura po kuli z pistoletu Miggy'ego. To, co jest w pani domku myśliwskim i w jego szafie, dostatecznie go obciąża.

– Nemeth zawsze jest w górach – mówi Marge. – Ja muszę zajmować się restauracją. Jak pani powiedziała, jesteśmy parą. To oczywiste, że ma dostęp do domku myśliwskiego moich rodziców. Ale skąd mam wiedzieć, co tam robi, gdy ja pracuję?

– Zrzuci pani całą winę na niego? Kocha go pani, ale nie aż tak, żeby ratować mu tyłek? A może oboje kierujecie się zasadą, że przetrwa najlepiej przystosowany?

Słyszę jakiś dźwięk. Spoglądam w bok i widzę, że Nemeth ma uniesione powieki. Patrzy na mnie przenikliwymi niebieskimi oczami, które od początku kojarzyły mi się z lodowcem i otwartym niebem. Nie pochodzi z dzikiego świata natury, lecz stanowi jego część. Bardziej, niż sądziliśmy.

– Jak mogłeś to zrobić? – Nie potrafię się pohamować. – Zabijanie obcych jest wystarczająco straszną rzeczą. Ale Martina znałeś. Spędziłeś z nim wiele czasu, a jednak wziąłeś go na celownik i pociągnąłeś za spust. Zastawiłeś pułapkę na Lucianę. Zabiłbyś także Daisy, gdyby nie uciekła?

Luciana wdryga się i odruchowo dotyka psa.

– A Bob? – rzucam. – Zabiłeś jednego z najwspanialszych ludzi na tej planecie. Współpracował z tobą, żeby zapewnić naszej ekipie bezpieczeństwo. A Neil, Scott, Miguel, ja? Nie jesteś dzikim drapieźnikiem. Jesteś podstępny wążem.

Nemeth mruga. Nie widzę, żeby miał wyrzuty sumienia. Nie dostrzegam w nim żadnych emocji. Zrobił, co zrobił. Co się stało, to się nie odstanie.

Coś we mnie pęka. Jak mógł wyrządzić tyle szkód i nie mieć poczucia winy?

Nie mam czasu się nad tym zastanawiać. Zauważyłam od razu, gdzie ma przy łóżku kroplówkę z morfiną. Teraz z wielką przyjemnością wrywam wbity w jego rękę wenflon.

Tryska krew. Z urwanego przewodu wylewa się płyn. Marge zrywa się z krzesła, gdy włącza się system alarmowy aparatury.

– Hej – odzywa się szeryf, ale nie wzywa pielęgniarki ani nie rusza się z miejsca.

Wpatruję się w Nemetha. Chcę to zobaczyć. Ten moment, gdy zaleje go fala bólu. Chcę, żeby płakał i błagał o litość. Żeby wiedział, że ja mu to zrobiłam. Godna politowania kobieta, która ma zero doświadczenia w chodzeniu po górach i zupełnie sobie z tym nie radzi.

Pieprzone gadanie, że przetrwają najsilniejsi.

Kluczem do przetrwania jest zdolność adaptacji.

Zebrane na korytarzu pielęgniarki zaczynają domagać się, by wpuścić je do sali. Luciana ani szeryf nie usuwają się jednak na bok. Widzę, jak Nemeth zwija się i skręca. Zaciska zęby, by nie krzyknąć.

– Przestań już! – krzyczy Marge. – Przestań!!!

Ignoruję ją i pochylam się nad Nemethem.

– Miguel i ja pokonaliśmy cię. Scott, Neil, Bob, Luciana... my wszyscy. Także Martin. W zwarciu tytanów okazał się lepszy. Nie jesteś już legendą. Jesteś żalonym, tchórzliwym gnojkiem, który musiał strzelać do ofiar z daleka, by je zabić.

Z piersi Nemetha dobywa się chrapliwy dźwięk. Nie jęczy z bólu, raczej z wściekłości. Mimo wszystko czuję satysfakcję.

– Ja jestem wszystkiemu winna! – krzyczy zdesperowana Marge. – Oskarżcie i aresztujcie mnie. To ja strzelałam i wszystko zaplanowałam. Pokłóciłam się z siostrą. Nie mogłam znieść dłużej jej pretensji, więc pociągnęłam za spust. Owszem, z początku byłam przerażona. Poprosiłam o pomoc Nemetha. Znał podziemne jaskinie w Kanionie Diabła i zaproponował, żebyśmy ukryli ciało właśnie tam, na odludziu. Ale potem to miejsce stało się popularne wśród turystów. Nie tylko przechodzili przez Kanion Diabła, ale też zaczęli w nim biwakować. Pewną geolożkę ciekawiło, jak kształtowały się formacje skalne. Nemeth nie miał wyboru. A kilka lat później... i osiem lat później...

Przerywa i dopiero po dłuższej chwili ciągnie:

– Gdy zgłoszono zaginięcie Tima, nie martwiliśmy się tym, bo Kanion Diabła był w bezpiecznej odległości od obszaru poszukiwań. Ale kiedy stało się jasne, że poszedł dalej, i Nemeth zaczął snuć przypuszczenia, jaką drogę mógł wybrać... Zaczekaliśmy dwa tygodnie, a potem wyruszyliśmy potajemnie nocą do Kanionu Diabła. I okazało się, że chłopak schronił się w jednej z jaskiń. Rano zaczął przeszukiwać skalne rumowisko i wchodzić do podziemnych grot. Wtedy podjęliśmy decyzję. Nie było innego wyjścia.

Czuję skurcze żołądka. Nemeth jęczy z bólu.

– Błagam – mówi Marge. – Przyznałam się. Pomóżcie mu!

– Och, będzie pani musiała złożyć jeszcze wiele zeznań – oznajmia szeryf, chwytając ją za ramię i zakładając jej kajdanki.

Luciana odsuwa się w końcu od drzwi, z Daisy przy nodze. Do pokoju wpada pielęgniarka, a tuż za nią jeszcze dwie osoby. Patrzą na obryzganą krwią ścianę i pościel przesiąkniętą płynem z kroplówki, po czym odpychają mnie na bok.

– Co pani zrobiła?! – krzyczy pielęgniarka.

– Przekazałam mu tylko pozdrowienia od Timothy’ego O’Daya.

– Proszę stąd wyjść, do cholery!

– Ale od Boba też miałam przekazać.

Zostaję wypchnięta z pokoju na korytarz, gdzie są już Luciana i Daisy. Szeryf trzyma Marge za ramię i wydaje polecenia przez radio. Marge nie spuszcza wzroku z szyby; wpatruje się w kochanka, który miota się na łóżku, podczas gdy włączają się kolejne alarmy.

Odczytuję z jej twarzy, co czuje. Chce, żeby przeżył. Wiem, bo zaledwie parę dni temu czułam to samo przy Bobie. Powinnam powiedzieć, że życzę jej, by przeszła to co ja, ale jestem jeszcze bardziej okrutna. Chcę, żeby Nemeth uniknął śmierci. Żeby ten legendarny człowiek gór spędził resztę życia zamknięty w ciasnej celi i mógł tylko przez godzinę dziennie oddychać świeżym powietrzem.

W te noce, gdy mój niespokojny umysł zdominuje gonitwa myśli, będę wyobrażała go sobie w więzieniu, a potem zasypiała jak dziecko.

– Nie mogę w to uwierzyć – wyznaje Luciana. – Lubiłam Nemetha, szanowałam go. Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi. – Gładzi Daisy po łbie. Labrador poddaje się posłusznie pieszczotom.

– Obie potrzebujemy nowego hobby – mówię.

Luciana przygląda mi się uważnie.

– Zostań na trochę w Ramsey. Ze mną i z Daisy. Zapraszam. Przydadz nam się towarzystwo.

Nie odpowiadam. Po chwili wychodzimy z szeryfem Kelleyem i aresztowaną przez niego kobietą z OIOM-u. Marge nie odwraca się, idzie

z wysoko uniesioną głową, patrząc przed siebie. Mam ochotę pojechać do więzienia, żeby zobaczyć, jak współwięźniarki ją poskromią.

– Federalni prawdopodobnie będą chcieli nas obie przemaglować – zwracam się do Luciany. – Chciałabym, żeby Miguel i Scott wyszli ze szpitala. Nie wspominając o tym, że powinnyśmy spotkać się z Latishą. Widziałaś ją? Musi być boginią, skoro usidliła tyle serc.

– Właśnie. A potem będziemy się objadać w każdej knajpie w Ramsey, trzy razy dziennie ucinąć sobie drzemkę i zużywać całą gorącą wodę.

– Jesteś bezkompromisowa.

– I o to chodzi. Wynajmuję pokój na tydzień, i to nie w tanim motelu. Zaslugujemy na obsługę hotelową, dużą wannę i telewizor z ogromnym ekranem. Będę nawet nalegała, żeby Daisy dostała dodatkową porcję jedzenia. Jest tego warta.

Entuzjazm jej opiekunki wywołuje mój uśmiech. Zaledwie dwa dni temu fantazja podsuwała mi podobne wizje do tych, które przedstawia Luciana.

Brakuje tylko jednego: pewnego detektywa, którego znałam w Bostonie, a po opuszczeniu tego miasta już nigdy z nim nie rozmawiałam.

Czy odebrałby telefon, gdybym teraz do niego zadzwoniła? A jeśli tak, czy nie rozłączyłabym się?

Luciana jest szczęśliwa. Wyjęła już telefon i przegląda listę hoteli. Wlokę się za nią, aż docieram do niewielkiej niszy, gdzie mogę przykucnąć i ukryć się.

Wmawiam sobie, że nie jestem wyczerpana, przybita ani zmęczona życiem.

Powinłam pamiętać, że muszę zająć się jeszcze sprawą zaginięcia ośmioletniego chłopca.

I odszukać męża Boba. Powiedzieć mu, jak Bob zginął, ratując nas. Muszę przekazać słowa miłości, które wypowiedział przed śmiercią.

W tym momencie coś we mnie pęka. Gdzieś w głębi duszy. Chyba już nigdy tego nie odzyskam.

Odpycham się od ściany i ruszam w dalszą drogę.
Ale nie jestem pewna, ile jeszcze kroków zdołam zrobić.

Epilog

LUCIANA ZNAJDUJE APARTAMENT na najwyższym piętrze wspianiałego hotelu, którego właściciele uwielbiają psy i tak bardzo doceniają jej pracę, że ma zapłacić tylko połowę ceny. W łazience jest wolnostojąca wanna. Napełniamy ją kilka razy dziennie. I pałaszujemy każdy okruszek jedzenia, które uprzejmie przynoszą nam do pokoju. Właścicielka hotelu ma piekarnię, więc dostajemy bez przerwy muffinki, babeczki i pyszne pieczywo. Nawet Daisy jest jakby w ekstazie.

Neila wypuszczają ze szpitala dwa dni później. Towarzyszymy jemu i Annie w ich pierwszym wspólnym posiłku po jego wyjściu. Gdy jemy enchiladas, Neil przyklęka nagle na jedno kolano, wyciąga prowizoryczną obrączkę, którą zrobił ze szpitalnej opaski, i zadaje sakramentalne pytanie. Anna odpowiada z piskiem: „Tak!”. Zrywają się na nogi, cała restauracja wiwatuje, a z sąsiedniego stolika posyłają im wazon z margaretkami, by uczcić to radosne wydarzenie. Piję wodę z lodem i ocieram wilgoć z kącika oka.

Miggy wychodzi ze szpitala jako następny. Na parkingu trwa prawdziwa fiesta. Spotykam jego rodziców i mówię ojcu, jak jego syn dzielnie walczył, by ocalić życie przyjaciółom. Potem obejmujemy się i płaczemy, a gdy w końcu są gotowi do odjazdu, proszą mnie, żebym koniecznie ich odwiedziła. *Mi casa, su casa...* i tak dalej.

Uśmiecham się i kiwam głową. Miggy pochyla się, by szepnąć mi do ucha:

– Wiem, że nie przyjedziesz, ale pamiętaj, że w Oregonie jest ktoś, kto cię kocha.

Do oczu znów napływają mi łzy. Jestem ostatnio strasznie płacziwa.

Luciana i ja poznajemy Latishę. Jest wspaniałą wysoką kobietą, była siatkarką, która emanuje energią i cieszy się doskonałym zdrowiem nawet

w siódmym miesiącu ciąży. Z kręconymi czarnymi włosami i wyrazistymi kośćmi policzkowymi jest równie olśniewająca jak Luciana. Ścisła nam z wdzięcznością dłonie, po czym ze łzami w oczach obejmuje nas.

Scott, nadal blady i osłabiony, ale z każdym dniem w coraz lepszej formie, uśmiecha się z zakłopotaniem. Później, już w holu szpitala, Latisha pochmurnieje. Dziękuje nam za odnalezienie Tima. Za to, że w końcu sprowadziliśmy do domu chłopaka, który był jej pierwszą miłością.

Scott i Latisha nie robią wokół siebie szumu i tydzień później dyskretnie się ulatniają. Nie mam im tego za złe. Rozumiem, że potrzebują czasu, by uleczyć rany, odnowić swoje relacje i zacząć nowe życie.

Rozmawiam dużo z szeryfem Kelleyem. A także z wyglądającymi bardziej oficjalnie ludźmi w garniturach, agentami FBI. Wydaje im się podejrzane, że dołączyłam do tej ekspedycji. Moim zdaniem to bez znaczenia. Nieważne, jak to się zaczęło. Ważne, jak się skończyło.

Zidentyfikowanie wszystkich ośmiu zmumifikowanych ciał zajmie wiele miesięcy, ale zwłoki Boba będzie można odebrać z Zakładu Medycyny Sądowej pod koniec tygodnia. Luciana i ja jedziemy na spotkanie z jego mężem, Robem, który okazuje się modnie ubranym eleganckim Włochem o starannie przystrzyżonych ciemnych włosach i w efektownych okularach z drucianymi oprawkami. Jest niższy, niż sobie wyobrażałam, i bardzo poważny. Gdy próbuje podpisać dokument potwierdzający odbiór ciała Boba, jest tak roztrzęsiony, że muszę przytrzymać mu rękę. Przewozimy wspólnie zwykłą sosnową trumnę do miejscowego zakładu pogrzebowego, gdzie ciało ma zostać skremowane. Później Rob rozsypie prochy Boba gdzieś na półwyspie Olympic. Będzie to odpowiednie miejsce wiecznego spoczynku dla człowieka, który przez całe życie tropił Wielkie Stopy.

Opowiadam najlepiej, jak potrafię, o tym, co zdarzyło się w górach. Mówię o tym, jak Bob tuż przed śmiercią, uzbrojony tylko w pojemnik z gazem, rzucił się na człowieka z karabinem, żeby pozostała czwórka – w tym ja – mogła ocaleć. Mówię, że umierając, myślał o nim i bardzo go

kochał. Rob nie płacze. Jego brązowe oczy są jak niezgłębione studnie smutku.

Gdy odbiera w końcu ode mnie urnę z prochami najbardziej postawnego i najdzielniejszego człowieka, jakiego w życiu spotkałam, z trudem staję na nogi. Luciana musi mi pomóc wrócić do samochodu. Jedziemy w milczeniu do hotelu. Tam biorę w ramiona Daisy i wtulam twarz w jej sierść, gdy Luciana idzie napełnić wannę.

Myślę za dużo o Bobie i ostatnich chwilach jego życia. Nie tylko o słowach, które miałam przekazać jego mężowi, ale także o radzie, której mi udzielił. Żeby odnalazła to, czego naprawdę szukam.

Czy chodzi o całkowitą zmianę trybu życia?

O szansę na trwały związek z detektywem, o którym nie mogę zapomnieć?

Czy o odnalezienie siebie, tej, którą zgubiłam gdzieś po drodze?

Nie mam pojęcia.

Policja przeszukuje domek myśliwski Marge. Znajdują kolorowe plecaki, zawieszane w dwóch rzędach po cztery w pokoju na zapleczu. Nic podejrzanego, zważywszy, że i ona, i Nemeth dużo chodzili po górach. Tyle że nie są to ich plecaki.

Ogolocono je z prawie całej zawartości. Były to zapewne potrzebne na drogę zapasy. Ale w osobnym pudełku śledczy znaleźli osobiste rzeczy ośmiu ofiar. Biżuterię. Prawa jazdy.

A w przypadku Timothy'ego O'Daya kartkę z tym, co zapisał tamtej nocy, siedząc przy ognisku. Nie była to małżeńska przysięga, jak przypuszczali koledzy, lecz list do nich. Pisał, jak bardzo ceni sobie ich przyjaźń. I że nie stałby się człowiekiem, jakim jest i na jakiego zasługuje jego przyszła żona, gdyby nie oni.

Były tam jeszcze dopiski, które musiał dodać później. Informacje, że się zgubił. Że dotarł do kanionu i schronił się w jaskini.

Przekazywał rodzicom, że ich kocha.

Latishy – żeby się nie martwiła, bo on wkrótce wróci do domu.

Przyjaciołom – że jest mu przykro, że nic nie wyszło tak, jak zaplanował, i ma nadzieję, że im to zrekompensuje.

Przedostatnia linijka: *Jutro spróbuję wspiąć się na skalną ścianę, żeby się stąd wydostać.*

Ostatnia linijka: *Kocham was wszystkich. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy.*

Policja nie może oddać nam tej kartki, bo oryginał będzie potrzebny na procesie. Ale przekonuję szeryfa Kelleya, żeby zrobił sześć kopii. Po jednej dla każdego z kolegów Tima, jedną dla Latishy i jedną dla Patrice. Neil obiecuje przekazać ją osobiście żonie Martina.

Jego ciało zostaje w końcu wydobyte z wąwozu. Miał tyle ran postrzałowych... Trudno sobie wyobrazić, jak był w stanie tropić Nemetha w lesie i skąd wziął dość siły, by go zaatakować.

Kiedy Luciana i ja dowiadujemy się o znalezieniu jego zwłok, postanawiamy wykonać nasze ostatnie i najtrudniejsze zadanie. Dzwonimy do Patrice i mówimy jej przez łzy, że Martin do końca się nie poddał. Że mimo piętrzących się trudności parł naprzód, zdecydowany za wszelką cenę sprowadzić do domu ich syna. Że powiedział nam, że była miłością jego życia, a Tima wspominał zawsze z dumą i czułością. Że uważał się za szczęściarza, skoro miał tak cudowną rodzinę.

Zginął, oddając hołd pamięci syna, ale również wiedząc, że wkrótce będą razem.

Twarz Patrice na ekranie smartfona jest niewiarygodnie blada. Na głowie, z której wypadły włosy, ma kwiecistą chustę. Ociera dłonią niebieskie oczy i dziękuje nam za przekazanie informacji. Potem uśmiecha się z taką goryczą, że znów czuję, jak pęka mi serce.

Mówi, że wiedziała, że jej mąż nie zawiedzie. Obiecał, że odnajdzie Tima, a zawsze dotrzymywał obietnic. Dziękuje nam za dostarczenie tych ostatnich wiadomości na temat męża i syna. Przeprasza, że tak bardzo ucierpieliśmy, bo to była ostatnia rzecz, jakiej ona i Martin chcieli albo się spodziewali.

Mówię jej, że Martin mnie ocalił.

Uśmiecha się i odpowiada, że wszystko się zgadza, bo jej też uratował życie. I nadał mu sens.

Zdaję sobie sprawę, że naprawdę tak myśli. Mimo że ta rozmowa brzmi strasznie, ta kobieta wydaje się w jakiś trudny do wyjaśnienia sposób pogodzona z losem. Wie, że zbliża się do kresu życia. Ale nie pozostawia niezałatwionych spraw. Jej syn i mąż wracają do domu. I wkrótce będą znów rodziną.

Ekipy poszukiwawcze przeczesują góry i znajdują kolejne ślady. KryjóWKi, w których Marge i Nemeth chowali torby ze sprzętem myśliwskim, pudełkami nabojów i zapasami jedzenia. Nic dziwnego, że zawsze byli krok przed nami. Dobrze zaplanowali strategię. Spędzali całe życie w górach i wykorzystali wiedzę na ich temat i doświadczenie do realizacji mrocznych celów.

Policja zbadała ubranie, które Nemeth miał na sobie, gdy przywieziono go do szpitala. Na jego spodniach, wzmocnionych kevlarom, były nacięcia, które pozostawiło ostrze mojego noża, a w rękawie koszuli odkryto dziurę po kuli, którą zranił go Miggy.

Nemeth nie wychodzi ze szpitala. Dostaje ataku serca i to jest dla niego koniec. Martin odnosi całkowite zwycięstwo, a mimo to czuję się trochę oszukana. Przynajmniej mogę sobie nadal wyobrażać, że Marge siedzi do końca życia w ciasnej celi. Nie odzywa się od tamtego ranka, gdy wyznała wszystko w pokoju Nemetha. Krążą pogłoski, że pilnują jej, by nie popełniła samobójstwa. Mówi się też, że nie dożyje do procesu. Do kogoś siedzącego w więzieniu łatwo się dostać, a wielu miejscowych chciałoby ją uciszyć.

Ja i Luciana przedłużamy w końcu pobyt w hotelowym apartamencie o kolejny tydzień. Jest tyle pytań, na które musimy odpowiedzieć. Potrzebujemy tak wielu kąpielii z bąbelkami i drzemek, byśmy znów poczuły się jak ludzie.

Luciana zaczyna chodzić na coraz dłuższe spacerzy z Daisy.

A ja włóczę się po ulicach Ramsey i zbliżam się coraz bardziej do peryferii miasta. Pewnego dnia dostrzegam przejeżdżającą obok Lisę Rowell. Macham do niej, a ona odpowiada mi tym samym. To dziwne

uczucie: przebywać gdzieś wystarczająco długo, by miejscowi cię rozpoznawali.

To dezorientuje.

Gdy wracam do hotelu, Luciana siedzi spokojnie w nogach łóżka, a Daisy leży rozciągnięta obok niej. Luciana ma tak poważną minę, że ogarnia mnie lęk.

– Mamy dla ciebie prezent – mówi nagle.

– My?

– Ja, Miggy, Scott, Neil, Josh i Rob.

– Mąż Boba? – Jestem zupełnie zdezorientowana.

– Początkowo wszyscy w ciebie wąpiliśmy. Większość z nas nie chciała, żebyś nam towarzyszyła. Ale nikt z nas by nie przeżył bez twojego uporu i błyskawicznych decyzji.

Luciana wyciąga rękę. Trzyma w niej grubą kopertę. Przyglądam się jej nieufnie.

– Co to jest?

– Szanujemy twój tryb życia. Taki sobie wybrałaś. Wiemy również, że brakuje ci pieniędzy.

Jestem kompletnie oszołomiona.

– Wy... chcecie mi zapłacić?

– Frankie, od ponad tygodnia chodzisz w tych samych dzinsach.

– Tylko one mi zostały.

– Wiem... wiemy. Nie próbujemy cię zmienić. Chcemy tylko ci ulżyć. Może w ten sposób będzie ci łatwiej zająć się kolejnym przypadkiem, a może zdecydujesz się robić coś zupełnie innego, o czym dotychczas nie myślałaś. Przyszłość jest darem. Dostaliśmy go od ciebie. Chcemy ci się zrewanżować.

Przyjmuję kopertę. Nikt nie ofiarował mi dotąd pliku banknotów. Nie dlatego, że rodziny, dla których pracowałam, nie były mi wdzięczne. Po prostu nie można dać tego, czego się nie ma.

Koperta jest bardzo gruba. Potrzebuję kilku minut, by przeliczyć banknoty.

– O Boże, tu jest z pięć tysięcy dolarów!

Luciana uśmiecha się.

– Przeżycie trzech najstraszniejszych dni w życiu... jest bezcenne.

Nie wiem, co powiedzieć. Trzęsą mi się ręce.

– Mogę przynajmniej postawić wam kolację?

– Naprawdę nie rozumiesz, co znaczy dostać prezent, prawda?

– Nie zdarzało mi się to.

– A może pójdziemy jutro razem kupić sobie parę ciuchów?

– Okej. – Zakupy z przyjaciółką. Słyszałam o takich rzeczach. Może nawet Sophie i ja kiedyś to robiłyśmy. Ale to było tak dawno temu.

– Aha, i chcę, żebyś wzięła też to.

– Jeszcze jeden prezent?

Luciana śmieje się i podaje mi plecioną bransoletkę, podobną do tej, którą pożyczyła mi na początku naszej szaleńczej wyprawy. Jest w odcieniach brązu i ciemnej zieleni, a w klamerce ma ząbkowane ostrze.

– Na wypadek gdyby gwizdek nie wystarczył – wyjaśnia.

Zakładam ją na nadgarstek, szczerze wzruszona.

– A ja nic dla ciebie nie mam. Nie pomyślałam o tym. Przepraszam. – Jestem zażenowana. Okazałam się egoistką.

– Frankie, przestań. – Chwyta mnie za rękę. – Cokolwiek myślisz, daj spokój. Cieszymy się twoją radością. To dla nas wystarczający prezent.

Mam ochotę się rozplakać. Ale jestem już zmęczona płaczem. Więc obejmuję Lucianę. Daisy chce do nas dołączyć i po chwili zaczynamy chichotać, a ja czuję, jak opada mi z piersi ciężar. Powoli, ale wyraźnie. Po raz pierwszy od wielu tygodni mogę oddychać.

Później, po obfitym posiłku, leżę w łóżku, przebierając palcami po bransoletce, którą mam na nadgarstku. Przypominam sobie słowa Luciany. Że mogłabym zrobić coś nowego, o czym jeszcze dotychczas nie myślałam.

Co by to mogło być?

Czego ja naprawdę szukam?

Robimy zakupy. Luciana wygląda zachwycająco we wszystkim. Uznaje, że potrzebuje prawdziwych kowbojskich butów, a skoro już je kupuje, decyduje się także na kapelusz. Ja początkowo się kontroluję. Ale gdy docieramy do wielkiego sklepu ze sprzętem turystycznym, nie mogę się pohamować. Przeglądam z ogniem w oczach rzeczy z elastycznego materiału i spodnie z wieloma kieszeniami, które można zamienić w szorty. Ciuchy na różne okazje dla osoby o minimalistycznych oczekiwaniach. Kupuję również nowe buty i tonę skarpet.

Czuję ukłucie w sercu, bo autentycznie żał mi starych butów. Pocięsam się, że miały dobry żywot i służyły mi dzielnie do końca.

Co ja naprawdę próbuję znaleźć?

Jedzenie. W wielu miejscowych lokalach już nas znają. Wracamy do restauracji, w której jadłyśmy pierwszego wieczoru, i słyszymy natychmiast, żebyśmy nie martwiły się o rachunek. Paplamy bez przerwy, unikając wzrokiem miejsca, gdzie powinien siedzieć Bob, i nie patrząc na tę połowę stolika, która powinna być zastawiona zamówionymi przez niego daniami.

Czego naprawdę szukam?

To ostatnia noc przed poranną wyprowadzką. Obie się pakujemy. Przekładam rzeczy z szafy do niezawodnej starej walizki. Dogadzamy sobie, pałaszując o północy domowe wypieki, a potem kładziemy się spać. Leżę na środku miękkiego stylowego łóżka. Słyszę uspokajające pochrapywanie Daisy i szelest pościeli, gdy Luciana przewraca się we śnie z boku na bok.

Jutro obie odwiozą mnie do Jackson, skąd mam wiele różnych połączeń. I wyruszą w dalszą drogę do domu.

A ja?

Zajmę się sprawą zaginionego ośmiolatka, o którym świat już zapomniał?

Albo czymś innym?

Czego szukam?

Paul zarzucił mi kiedyś, że moja obsesja na punkcie niewyjaśnionych spraw jest tylko pretekstem, żeby od wszystkiego uciekać. Przekonywałam go, że to ucieczka do przodu. Dziesięć lat później nadal nie jestem pewna, które z nas miało rację. W życiu, które prowadzę, liczy się moja obecność – gdy mnie nie ma, nie pozostawiam po sobie żadnego śladu. Przekonuję samą siebie, że jest mi z tym dobrze. Chociaż może ostatnio... W Oregonie jest ktoś, kto mnie kocha. Nastolatka z Bostonu nadal o mnie myśli. A Luciana i Daisy zapamiętają mnie na zawsze.

To ma znaczenie. Każda nowa znajomość jest jak odległa gwiazda. Być może więc pewnego dnia przestanę być przelotnym cieniem i otoczy mnie gwiazdozbiór ludzi, którym pomogłam, których uleczyłam, dla których coś znaczyłam.

Może kiedyś wrócę do Bostonu. Tyle że tym razem będę na to gotowa. Dość już balansowania na krawędzi życia. Nauczyłam się trzymać je mocno w ryzach. Jestem wreszcie kobietą, która zna swoją wartość.

I nagle widzę z całą wyrazistością, czego mi trzeba. Kim jestem, ale także kim chcę być pewnego dnia.

Czuję, że jestem gotowa. Kości zostały rzucone. Czas ruszać w drogę.

Wychodzę z łóżka w ciemnym pokoju. Wkładam nowe spodnie i stare tenisówki. Biorę kurtkę i zapinam walizkę. Czuję na sobie wzrok Daisy, gdy wyciągam grubą kopertę z banknotami i odliczam wystarczającą sumę, by pokryć koszty mojego pobytu w apartamencie. Luciana będzie zła, gdy to zobaczy. Ale dali mi za dużo pieniędzy, a kobieta prowadząca taki tryb życia jak ja nie powinna mieć przy sobie tyle gotówki.

Podchodzę ostrożnie do łóżka Luciany. Jeszcze śpi. Całuję opuszki dwóch moich palców i przyciskam je delikatnie do jej skroni. Potem obejmuję łeb Daisy i mówię:

– Nigdy nie zapomnij, że po tym wielkim szalonym kraju włóczy się ktoś, kto cię kocha.

Niosę bagaże do drzwi.

Mogłabym zaczekać do rana, pożegnać się z Lucianą, podjechać do sąsiedniego miasta. Ale tak jest dobrze. Bardziej... w moim stylu.

Jeszcze przez chwilę się rozglądam. Z poczuciem smutku... i optymizmu. Uświadamiając sobie, co straciłam i co mam nadzieję zyskać.

A potem wychodzę za próg.

Nazywam się Frankie Elkin.

Zaginął pewien ósmioletni chłopiec, który zasługuje na to, by wrócić do domu.

I zamierzam go znaleźć.

Uwagi autorki i podziękowania

Ludzie, którzy znają stan Wyoming i Las Narodowy Shoshone, czytając tę książkę, zadają sobie pewnie pytanie, gdzie, do cholery, jest Kanion Diabła. Wymyśliłam to miejsce. Było mi potrzebne do tej powieści. Jestem zagorzałą podróżniczką, a teraz również wielką fanką stanu Wyoming, ale żadne istniejące miejsce nie spełniało wszystkich moich wymogów. Więc jako powieściopisarka wymyśliłam je. To się zdarza.

Pisanie tej książki podczas pandemii podcięło mi trochę skrzydła. Lubię zwykle odwiedzać miejsca, w których rozgrywa się akcja moich powieści. Ograniczenia podróży uniemożliwiły mi jednak wyjazd do Wyoming. Musiałam polegać na swoich wcześniejszych doświadczeniach. Ale kiedy *Kanion śmierci* był już gotowy, nabrałam przekonania, że muszę spędzić trochę czasu w Wyoming. Nie mogę się tego doczekać!

Mam dług wdzięczności wobec Ricka Estesa, emerytowanego strażnika rezerwatu z New Hampshire, za podzielenie się ciekawymi opowieściami i pouczające wędrowki po górach. Dziękuję również Steve'owi Sanbornowi z Centrum Szkoleniowego w New Hampshire za całodzienny kurs przetrwania. Nigdy przedtem nie bawiłam się równie dobrze, igrając z ogniem. I podobnie jak Frankie mam teraz obsesję na punkcie reguły trójek.

Czytelnikom, którzy chcieliby dowiedzieć się więcej na temat liczby osób zaginionych w Ameryce, polecam książkę Jona Billmana *The Cold Vanish*. Byłam też zafascynowana, odkrywając, jak dużą rolę odgrywali w poszukiwaniu tych ludzi łowcy Wielkich Stóp. Więcej informacji można znaleźć pod hasłami *North America Bigfoot Search* i *Olympic Project*. Pamiętajcie, że ta powieść jest fikcją literacką i za wszystkie błędy odpowiadam wyłącznie ja.

Jako miłośniczka psów zawsze byłam zdumiona ich niewiarygodnymi umiejętnościami w roli tropicieli. Miałam przyjemność odwiedzać przez lata ośrodki, w których je szkolono. Pomysł fikcyjnej Daisy przyszedł mi do głowy, gdy usłyszałam od jednej z treserek prawdziwą historię o psie, którego uratowała jako szczeniaka podczas jednej z misji i zabrała do domu, a wkrótce okazało się, że zwykły kundel prześcignął jej rasowe czworonogi i stał się najlepszym tropicielem. Poświęcam tę książkę wszystkim podobnym do Daisy psom i ludziom szaleńczo w nich zakochanym.

Skoro mowa o ocalonych zwierzętach, to gratulacje dla Lisy Rowell i Laurie Banks, które po zacieklej licytacji darowizny dla Conway Area Humane Society zdobyły prawo do tego, bym nadała bohaterom książki wybrane przez nie nazwiska. Lisa postanowiła uwiecznić w powieści samą siebie, a Laurie – zmarłego ojca, Jima Kelleya. Doceniam wasz hojny datek na rzecz schroniska dla zwierząt i mam nadzieję, że jesteście obie usatysfakcjonowane ostatecznym efektem prac.

Kolejna dobra wiadomość jest taka, że mamy dwie szczęśliwe zwyciężczynie dorocznego konkursu Zabij Przyjaciela (www.LisaGardner.com). Joanne Cobb zdobyła prawo do tego, by wielki koniec spotkał Bobby'ego Monforta, a Anna Hajlasz mianowała do roli fikcyjnej postaci siebie. Gdyby jeszcze ktoś chciał umrzeć w jednej z moich powieści, nowy konkurs już trwa! Trzeba mieć ambitne marzenia!

Uściski dla krewnych i przyjaciół, których zbyt często dręczyłam opowieściami o tej książce. Dla Michelle i Larissy, moich ulubionych współniczek zbrodni, które również uważały, że igranie z ogniem w lesie podczas kursu przetrwania to dobry pomysł. Dla sąsiadek, Pam i Glendy, które nauczyły mnie prawie wszystkiego, co wiem o trekkingu, posiadają niemal encyklopedyczną wiedzę na temat górskich szlaków i namawiają mnie nadal na nowe wyzwania. Dla Boba, za dzielenie się ze mną wspomnieniami z dawnych wypraw i ogrywanie mnie przy okazji w karty, oraz dla Carol, za wsparcie i wprawianie mnie w dobry nastrój na szlaku.

Ściskam również moją córkę, miłośniczkę książek i ulubioną partnerkę do dyskusji, która zaczyna właśnie ekscytujący nowy rozdział życia.

Jestem z ciebie tak niewiarygodnie dumna i już za tobą tęsknię. Nie mogę się doczekać, jak potoczy się twoja historia.

Przez półtora roku przeżywaliśmy wydarzenia, jakich nikt z nas się nie spodziewał, chcę więc na koniec wyrazić najgłębszą wdzięczność całej ekipie moich wydawców za to, że przetrwali wszystkie trudne chwile, w tym Markowi Tarvaniemu i Selinie Walker a także mojej wspaniałej agentce, Meg Ruley. Zaimponowali mi również miejscowi księgarze i bibliotekarze, którzy naprawdę stawali na głowie, by dostarczyć mi potrzebne materiały. I wreszcie pozdrawiam gorąco moich Czytelników: dzięki, że dzielicie ze mną tę podróż i nie zapominacie, że najlepszym sposobem na radzenie sobie ze wszystkimi problemami jest pogrążenie się w lekturze dobrej książki.

Liczę na to, że wkrótce znów się spotkamy.